



M. A. Szymczak.

"Szczęście"

~~Gerhart Hauptmann~~

~~"Dziwnik Thiel" (1897)~~

~~J. R. Voglmann~~

No. 339
akt 340.



SZCZĘŚCIE.

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

3201



SZCZĘŚCIE

PRZEZ

M. A. SZYMACZKA

Z czeskiego przełożyła

Antoszka.

285-3:84

KAROL LEON
KRÓLIKOWSKI.

Handwritten notes and stamps on the right side of the page.



WARSZAWA
Gebethner i Wolff
1899

ANULOWANO

2527

Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Іюня 1899 года.



463150

K.

Niespodzianie ogłuszające dzwonienie, urywane i krótkie, ostrymi, tępymi dźwiękami odezwało się z podwórza starego dwupiętrowego domu w Palackiego ulicy na Winohradach, w części, która się ciągnie od placu Purkiniego w stronę Werszowic. Niektórzy przechodnie drgnęli przy tym nieoczekiwanym odgłosie, ale obejrzawszy się i poznawszy przyczynę, szli spokojnie dalej. Po większej części były to kobiety niższej klasy, które z koszykiem na rękę szły po sprawunki do sąsiednich sklepików, w codziennem ubraniu, z gołemi głowami, lub byle jak zarzuconą chustką. Między niemi tu i owdzie przemknął się ubogo odziany rzemieślnik, albo wyrobnik, dźwigający ciężar; nad wszystkimi wznosiła się wysoka postać lampiarza, który przechodził tędy z długą drabiną i ścierką do czyszczenia miejskich latarni.

Zaraz po zadzwonieniu wyszedł z bramy domu małego wzrostu mężczyzna w sukiennej granatowej czapce z monogramem K. W. (Królewskie Winohrady), trzymając w ręce gruby dzwonek na szerokim rzemieniu, i skręcił natychmiast do sąsiedniego domu, skąd za chwilę dało się słyszeć także dzwonienie, co powtarzało się następnie w pewnych przestankach na podwórzach i w sieniach pobliskich domów. Tymczasem ukazały się już przed otwar-

tą bramą pierwszego domu młode służące i starsze kobiety, z których każda niosła skrzynkę lub blaszany kubek z popiołem lub śmieciami. Większość ich, jak się okazało, odbiegła od prania. Wyszły w spódnicach tylko, z zakasanim rękawami kretonowych kaftaników lub staników, niektóre boso, w przydeptanych trzewikach, albo pantofelkach, które w pośpiechu włożyły. Niektóre z nich były rozgrzane i rozpalone, miały całe ręce zabryzgane mydlinami i pochłapane fartuchy. Z sąsiedniego domu wybiegli oberwani terminatorowie, niosąc śmiecie w małej wanience, a za nimi wytoczyła się z bramy gromadka zamorusanych dzieci.

Typ tych mieszkańców i przechodzących tędy osób, małe proste sklepiki w domach, traktyernie i piwiarnie niższego rzędu, a głównie druga strona ulicy, mianowicie w części bliższej Werszowicom, nadawały temu krańcowi miasta cechę przedmiejską, którą podnosi jeszcze ta okoliczność, że ulica prócz chodnika jest niebrukowana, ponieważ po drugiej stronie są tylko puste, ogrodzone place, a dalej pola, nietknięte ruchem budowlanym. Biedota ma w tym końcu miasta przewagę nad bogatymi i eleganckimi mieszkańcami, proste ładowne wozy mleczarskie, rzeźniczkie i piekarskie wózki nad dorożkami i powozami. Dlatego każda elegancka osoba szczególną zwracała uwagę, a tem bacniejszą, im więcej czasu można było przegładowi jej poświęcić.

Nie uszedł też należytej uwagi i dokładnej krytyki kobiet, wybiegłych z popiołem, młodzieniec, który przechodził niedbale koło pojedynczych grup, ale badawczo się każdej przyglądał, szczególnie zaś często zwracał wzrok ku bramie starego dwupiętrowego domu.

Służące ciągnęły się za suknie, szeptały między sobą i przeprowadzały go wesołemi, figlarnemi lub wyzywającemi spojrzzeniami. Gdy na świeżej twarzyczce której z nich

utkwiał dłużej nieśmiały wzrok jego, wyróżniona uśmiechała się zaraz, poprawiała ranny zaniedbany strój, albo niby obojętnie wstrząsała głową i zaczynała zawadyacko wyśpiewywać modną śpiewkę, przytupując jakby w tańcu. Brzydsze i bardziej śmiałe odważały się na jaki czysto praski dowcip ordynarniejszego gatunku, podchwytywany przez inne i śmiechem witany.

Młodzieniec udawał, że nie słyszy, przeszedł bramę i znowu się wracał, zaglądając za każdym razem do okna obok sklepika, po którego obu stronach wisiały dwa niebieskie szyldy. Wymalowane na nich osełki masła, sery, koszyki z jajami, wieńce cebuli i czosnku objaśniały, jakiego towaru można tu dostać; napis zaś: „Handel wiktuałów Barbary Szwejnowej” — głosił, kto w półcieniu tego przybytku panuje. W oknie, do którego młodzieniec zaglądał, nie było kwiatów; za to wywieszono w niem koszlawe napisy na grubej tekturze: „Tu jest magiel; dostać można kwaszonej kapusty i ogórków.” Dalej wystawione tam były słomiane pantofle, drewniane trepki, gipsowe główki; do fajek, mieszki na tytuń, brzozowe tabakierki, grube laski i biczyska. Ale spojrzenia młodzieńca przenikały szczelinami pomiędzy wystawionymi przedmiotami do wnętrza mieszkania, a ręka niecierpliwie tłukła okutym końcem laski o bruk, to jednak, co pragnął zobaczyć, było niewidzialne.

Wóz z popiołem odjechał, służące i kobiety wróciły do swych balii, dzwonek śmieciarza dzwęczał gdzieś w bocznej ulicy, a młodzieniec nie przestawał spacerować około starego dwupiętrowego domu. Bez współczucia, a jak mu się zdawało, nawet bezmyślnie, przechodzili ludzie obok niego. Odwracając twarz od nich ku oknom sklepów i parterowych mieszkań, spostrzegł niechcący odbitą w nich zamgloną swą podobiznę. Widział pod miękkim, szykownie przygniecionym kapeluszem białą pręgę swego szerokiego czoła, widział prawidłowe, szlachetne rysy swej bladej twa-

rzy, myślące wilgotne oko, barwy modrej z oliwkowym odzieniem, widział swe miękkie, lekko zakręcone wąsy, starannie w klin przystrzyżoną jasno szatyn brodę, widział jasny brzeżek sztywnego kołnierzyka koszuli, równo wystającego z za kołnierza szarego saka, który się pod szyję zapinał, a na nim zwieszające się końce niewielkiego czarnego krawata. Obserwował swe odbicie zupełnie mechanicznie, z braku innej obserwacji. Zauważył tylko, że mężczyźni, którzy przechodzili koło niego, których obraz przemknął się w szybach okien, przewyższali go wzrostem i tuszą. On był zaledwie średniego wzrostu, ale nie martwił się tem, bo wiedział, że cała postać jest odpowiednio kształtna i eleganckie ma ruchy

Przeszedł już chyba po dziesięć kroków koło sklepiku Barbary Szwejnowej, przeczytał za każdym razem wszystkie napisy, umiał na pamięć wszystkie ortograficzne błędy i wadliwy kształt pojedynczych liter, a nawet spostrzegł, że zwrócił uwagę właścicielki sklepu, której tłusta czerwona twarz, otulona w żółtą chustkę, i okazała postać, na której zauważył przedewszystkiem brudny granatowy fartuch, zjawiała się co czas jakiś w całej swej okazałości w uchylonych drzwiach.

Wyczekując tak długo i daremnie, zdecydował młody mężczyzna, że przejdzie jeszcze pięć razy, a później, jeśli się nie doczeka, to już pójdzie do domu. I nie doczekał się.

— A więc jeszcze nakoniec trzy razy! — dokładał i wracał się z powrotem.

Nareszcie rozmyślił się naprawdę i poszedł dalej; nawet nie zawrócił, doszedłszy alei na Purkyniowym placu. Tylko się czasem obejrzał, a nie widząc nikogo wychodzącego z bramy starego domu, szedł dalej z Winohrad do Pragi. Zegar na wieży winohradzkiego ratusza wskazywał wpół do jedenastej, upał sierpniowego dnia się zwiększał; czuł to dopiero teraz należycie, gdy wyszedł z cienia domów. Niech tylko przejdzie przez plac, to się znowu w chłód dostanie.

Doznał zawodu, a gniew i żal go dręczyły. Szedł obojętnie naprzód i bezmyślnie patrzył na katedrę św. Wita, która oblana słońcem, jak w złotej aureoli na szczycie Hradczan, płonęła akurat w prostej przed nim linii. Był to wspaniały widok, wspaniały kontrast starożytnej podniosłości wobec powszednich kłopotów życia, które wokoło czuć się dawały. Naprzeciw niego jechały wozy z cegłami i piaskiem, tumany kurzu wznosiły się za nimi i opadały znowu na ziemię. Woźnice ocierali spocone czoła, biedne szkapy kurczowo naprężały sforsowane mięśnie, żeby uciągnąć ciężki ładunek, a—starożytna świętowicka katedra, z królewskim majestatem wzniesiona nad popolite zabiegi dni naszych, spoglądała wprost w niebo.

Młodzieniec, który pomimo woli doznawał wrażeń tego kontrastu, czuł zmęczenie i zgorzkniałość. Bezwiednie przyśpieszał kroku i mrużył oczy. Otoczenie go nużyło, pragnął samotności. Śpieszył do domu.

— Panie Werunsky... — odezwał się cichy dziewczęcy głos koło niego.

Spojrzał zdziwiony.

Wysmukła postać dziewczęcia w prostej żałobnej sukience podeszła z drugiej strony ku niemu i zwróciła się do niego ze szczerem zaufaniem.

— Dokąd pani chodziła? — zapytał, uchylając kapelusza.—Czekałem przeszło godzinę—dodał z wymówką.

— Ciocia od samego rana posłała mię do Pragi.

— Po co?

— Do jednego składu. Postarała się tam dla mnie o miejsce—po krótkim wahaniu przyznała się dziewczyna.

— Ale pani przecież nie przyjmiesz? — zapytał, pewien prawie zaprzeczenia.

— Cóż mam robić? — odpowiedziała i spojrzała na niego pytająco i zarazem lekliwie.—Muszę—dodała po chwili smutno.

Badawczo wpatrywał się w jej szczerze czarne oczy

ale nie odpowiedział wprost na pytanie. Zdawało się, że uświadnie zwleka, że się waha. Po chwili wymijająco zapytał:

— Ale po południu pani przyjdzie?

— Wątpię; mamy pranie. Muszę pomagać.

— Choćby na godzinkę—prosił.—Znajdźcie jaką przyczynę.

— Nie wiem, czy będę mogła—odrzekła zamyślona.—Może na chwileczkę—zdecydowała się weselej.

Podawała mu rękę, białą, gładką, taką małą, miękką, ciepłą, że przy uściśnieniu jej doznał szczególnego uczucia rozkoszy. Potem spojrział na jej miłą twarzyczkę o przejrzysto białej cerze, która tylko na wypukłościach kości licowej miała parę plamek ciemnych piegów. Gładko zaczesane włosy dziewczyny były gęste, jasno blond z odcieniem rudawym. Małe jej usta miały wyraz dziecinnej szczeroty, a ściągły, wązki nos, wielkie czarne oko i czyste czoło nadawały twarzy wyraz poważny i myślący.

— Taka istota miałaby służyć? taka rączka zgrubieć?

I młody mężczyzna uczuł żywy wstręt przeciw samemu przypuszczeniu. Ścisnął rękę silniej, wstrząsnął nią serdeczniej po przyjacielsku i uchylając kapelusza, rzekł pocieszająco:

— Teraz boję się zatrzymywać, ale pocieszam się tem, że po południu sobie pogadamy. Więc do widzenia!

Sam dźwięk jego odpowiedzi dodawał otuchy i nadziei.

Dziewczę półgłosem odpowiedziało na pożegnanie i pośpieszyło aleją w przeciwną stronę. Pozostały wkrótce stracił ją z oczu w cieniu domów i ruchu przechodniów, Szła zręcznie, pośpiesznym krokiem, aż nareszcie skrzyła do bramy starego dwupiętrowego domu, a przez uchylone drzwi weszła do małej kuchenki, która znajdowała się obok sklepika pani Barbary Szwejnowej.

II.

Młodzieniec, nie oglądając się już daremnie, szedł na dół do Pragi. Gdy przechodził koło ulicy Hawliczka zeskoczył ze skrecającego tam tramwaju elegant o rudych włosach i wąsach, i zdążając ku Werunskiemu, wołał na niego zdaleka:

— Servus. Werundo! A to zdarzenie!.. Jadę właśnie do was; wczoraj wróciłem z Berna.

Podali sobie ręce. Przyjaciel wziął Werunskiego pod ramię i zmusił go, aby zszedł na Hawliczkową ulicę.

— Pokażesz mi przecież swoją nową pracownię, a tak że muszę zobaczyć waszą „Prawdę!” Czytałem krytyki, winszuję! — i wysunawszy rękę z pod pachy Werunskiego, uścisnął go znowu.

— To rzeczywiście pomysł oryginalny. Zresztą wspa-
niałych pomysłów wam nigdy nie brak. W inwencji wam nikt nie dorówna.

— Jesteście bardzo względni na braki w mojem wykonaniu, panie Pour — uśmiechnął się Werunsky, ale z tej uwagi, chociaż wypowiedzianej z wesołym uśmiechem, dźwięczało jakieś lekceważenie sądu towarzysza.

— Ech, cóż znowu! — rzekł tenże i machnął laską z góry na dół: — wykończenie techniczne jest tylko rzeczą wprawy. Głównie chodzi o podstawę artystyczną. To jest fundament dzieła.

— A coście robili w Bernie, panie Pour? — spytał Werunsky, aby rozmowę sprowadzić na inne tory i uniknąć frazesów swego towarzysza.

Ani trochę nie zajmował go ten człowiek, który wypadkiem dziś go napadł. Nie obchodził go wcale pobyt Poura w Bernie, ale szedł z nim i rozmawiał, bo nie miał śmiałości pozbyć się go jakim stanowczym sposobem.

— Czyż nie czytacie gazet?—załamał pan Pour ręce i wytrzeszczył oczy z podziwu.—Nie wiecie, że tam była wystawa artystyczno-przemysłowa? Byłem tam wysłany przez redakcyę „Lwa.” Nie jechałem tam chętnie—to wiecie—piszę właśnie coś dłuższego—ale nikt w redakcyi nie ma doświadczenia w tym kierunku. Były tam same braki, niewarte nawet referatu.

Werunsky milczał. Przeczyć w czemkolwiek było niebezpiecznie. Pour byłby zjechał na najoklepańszy swój temat rozmowy: na swą podróż do Paryża, zaczęłby wtrącać francuskie wyrazy, wymyślanie na wszystko, co nie francuskie, i pewnym tonem wykladałby rzeczy najnaiwniejsze i najbardziej znane.

— Słuchajcie, Werundo, gdzie macie swą pracownię? — spytał po chwili przyjacielsko.

— Niedaleko. Tylko chodźcie prędzej.

— Wiecie? możnaby dać małą reklamkę do gazet. Chętnie ją napiszę—dodał protekcyjnalnie.

— Ależ dziękuję; tego wcale nie będzie potrzeba!—rzekł Werunsky, i tym razem czuć było w głosie wyraźną niechęć.

Skręcili w ulicę Komeńskiego, przeszli na drugą stronę i stanęli przed zamkniętą wysoką bramą trzypiętrowego domu. Werunsky otworzył i wpuścił Poura na przód. Sam wszedł za nim i zamknął. Z wnętrza bramy, ozdobionego sztukateriami bez gustu, o sklepieniu i ścianach, pokrytych fijołkowymi krajobrazami, prowadziły szklane drzwi na podwórze, którego połowa zajmowała ogródek. Za nim na lewo była piętrowa przystawka z dwoma wielkimi, nad sobą położonemi oknami, które były zwrócone do bramy, oraz ze szklanym pochyłym dachem. Tu zmierzali młodzi mężczyźni.

— Ależ to przecie nie północna strona!—zadziwiony do najwyższego stopnia zauważył pan Pour.

— Niestety, ale niema wyboru.

— Przepraszam, ale pracownia powinna mieć północne wiatło—pewny siebie twierdził towarzysz artysty.

— A moja ma zachodnie; cóż na to poradzić!

Weszli do środka i stanęli przed drzwiami na lewo, na których był przytwierdzony bilet: „Edward Werunsky, artysta rzeźbiarz.”

Pan Pour wszedł znowu pierwszy, ale prawie jeszcze we drzwiach obejrzał się na Werunskiego i rozwarł szerokie usta w piegowatej twarzy do słodkiego uśmiechu:

— Ale to macie dopiero przepyszną pracownię! — i przymrużywszy chytrze małe piwne oczki, pogroził mu palcem: — W tak pięknie ukrytym zakątku... oj figlarzu!

Werunsky zamknął drzwi i poprosił gościa, aby siadł na sofie.

— O nie, nie! pierwej musimy wszystko obejrzeć po kolei, wymawiał się pan Pour i stanął na środku pracowni, tocząc wzrokiem po ścianach i zwracając uwagę na każdy szczegół.

Okno sięgało sufitu, a dolna jego część była zasłonięta czerwoną franką, tak, że światło padało tylko z góry, a z podwórza nie można było do pracowni zajrzeć. I ściany były pomalowane czerwono, tylko w rogach i u góry ciągnęły się szerokie szare pasy i przytłumiały jaskrawość czerwonej barwy. Naprzeciw okna w pośrodku ściany stał mały żelazny piecyk, a przed nim niewielkie czworograniaste podyum o dwóch stopniach, pokryte miękkim tureckim kobiercem. Takież kobierzec był zawieszony w kształcie portyery nade drzwiami, a sofa, stojąca w rogu, nęciła miękkością i kwiecistym dywanowem pokryciem. Wkoło wszystkich ścian, w dwóch trzecich ich wysokości od podłogi, na gustownych gipsowych konsolkach oparta była półka, pociągnięta czerwonym materiałem, na której rozstawiono gipsowe odlewy figur, popiersia, grupy, dalej modele odrzwi, pomników, nagrobków, całe gipsowe deski, na których rysowały się delikatne cienie płaskorzeźb, wykonanych w starożytnym i wschodnim stylu. I na szerokim gzymsie pod oknem stały zakurzone gipsowe odlewy miniaturowych

modeli figur, kiedy znowu na ścianie przeciwległej drzwiom zawieszono były odlewy części ludzkiego ciała w naturalnej wielkości. Tu wyciągnięte ręce z zaciśniętymi pięściami tu spokojnie ułożone nogi, inne stojące na końcu palców, całe ramię wzniesione, tam zgięta w łokciu ręka, tu męski biust, na którym odznaczały się wyraźnie piersiowe i żebrowe mięśnie, tu głowa wzniesiona ku górze, tak, że widać na niej każdy mięsień, każdą nabrzmiałą żyłę, tu śliczne popiersie Wenus, a ówdzie w rogu, na gipsowym słupie, cała kobieca postać w swej nagiej piękności; na drugich ścianach porozwieszane były poprawne i niepoprawne fotografie najslawniejszych utworów starożytnej i nowszej rzeźby: prace Fidiasza, Praksytelesa, Michała Anioła, Thorwaldse na, Canovy i innych, bez specjalnego systemu i ład. Między fotografiami wisiał gdzie niegdzie ładny akwarelowy krajobraz kredkowy lub olejny szkic rodzajowy, to znowu troskliwie wykończona kobieca główka z figlarną twarzą i wyzywającym spojrzeniem — podarunki przyjaciół artysty i kolegów z akademii. Najciekawiej był jednak ozdobiony kąt nad sofą. Tam pośrodku wisiała żelazna kuta stara tarcza, nad nią umieszczony był hełm z zasuniętą przyłbicą, po bokach symetrycznie sterczały końcami ku górze kopie i proporce miecze z drogocennymi rękojeściami starej roboty, a z każdej strony wisiał kołczan, wykładany kością słoniową.

W przeciwnym rogu królował wspaniały turban, bogato ozdobiony fałszywymi kamieniami, pod nim skrzyżowane pałasze, a niżej pięknie haftowany czaprak. Odpowiednio do tej grupy, ramę tworzyły w gwiazdę ułożone pawie pióra i suche palmowe liście.

Na wszystko to pan Pour zwrócił szczególną uwagę i łaskawie chwalić raczył, pochlebiał artystycznemu smakowi właściciela wyrazami podziwu, a nawet przygłuszonymi okrzykami zachwytu. Ale dopiero, gdy z przeglądaniem ozdób skończył i kiedy zwrócił się do najnowszych, bądź już skończonych, bądź na dokończeniu będących, albo dc-

piero zaczętych dzieł i prac młodego rzeźbiarza, wyrzucił z siebie pełen prąd uwag i pustych frazesów uznania.

Pośród pracowni stały trzy trójnogie stoły do modelowania, z okrągłą mniejszą deską wyżej i większą trójkątną u dołu. Na wszystkich tych podstawach widać było bryły nakryte wilgotnymi gałganami, z których tylko miejscami odznaczały się pewniejsze kształty. Kiedy Pour oglądał urządzenie pracowni, Werunsky ostrożnie odkrywał z bryłowatych ciał tych mokre płótna. Takim sposobem na pierwszym stole zaraz w pobliżu drzwi ukazało się niedokończony popiersie starszego człowieka, koło pieca również niedokończona, a raczej w głównych zarysach zaczęta postać śpieszącego z góry dziewczęcia z rozpuszczonymi włosami i oczyma zakrytymi przepaską. Brzeg zwierzchniej szaty miała za pas podwinięty, i widać było, że w sukni coś ukrywa; ręce trzymała wzniesione, jakby niemi coś rozrzuceła na prawo i na lewo. Na trzeciej podstawie było popiersie dziewicy o pięknych i szlachetnych rysach twarzy, wysokiem czole, ściągłym nosie, prześlicznych dzieciuńkich usteczkach, a przez oczy także była przewiązana wążka wstążka.

— Ach, to jest już odrobiona głowa do tego posągu obok, do tego szkicu! — zagadnął Pour.

— Tak, w naturalnej wielkości.

— A co to będzie? Dokąd? Dla kogo?

— Dla barona Rexa.

— Do willi w Roztokach?

— Nie, do jego nowego domu na ulicy Jecznej.

— Ba, już jest największy czas, aby pousuwać te bezwartościowe sztukatorskie ozdoby wjazdów, drzwi, schodów i t. d. Już największy czas, aby wyrobił się, zapanował jakiś szlachetniejszy smak, żeby zwrócić się do artyzmu krajowego! Figury, ozdoby—rozumie się, ale artystycznej wartości, nie fuszerki. Zobaczycie, co o tem napiszę! Najwięksi bogacze stawiają domy tylko na zarobek, byle tanio, tak

na oko. Nigdzie nie widać zmysłu artystycznego—to trzeba raz tym panom powiedzieć. Poprawa w tym kierunku konieczna, a każdy początek pod tym względem zasługuje na pochwałę... Więc: pan baron Rex, nowy dom na ulicy Jecznej—i pan Pour wyjął książeczkę i gorliwie w niej notował.

Młody artysta obserwował z tajonym uśmiechem. Nie było fałszem, co ten człowiek mówił, ale prawda potrzebuje innych kaznodziejów, innych obrońców.

— Jaki to będzie posąg? — pytał Pour, podnosząc głowę schyloną nad notesem, aby za jednym zamachem zaznaczyć sobie, wszystkie dane.

— Szczęście, alegorya—niedbale i niechętnie bąknął Werunsky.

— Alegoryczna figura „szczęścia” —sylibizował Pour, zapisując do książeczki, poczem ją zamknął, schował i stanął przed modelem, a wpatrywał się weń, jakby chciał jego kształty wbić sobie w pamięć.

— Oryginalny, jak zwykle—mruknął niby do siebie.— Ta przepaska na oczach pyszny pomysł — naturalnie, szczęście jest ślepe — wybornie! Nie wie, dokąd śpieszy, kogo spotka...

— Model jeszcze nie skończony. Prosty szkic. Nie wiem nawet, czy go wykonam.

— Wykonaj! wykonaj! Pierwszy pomysł bywa zawsze najlepszy, a ten jest znakomity, wspaniały!

— Przecież jeszcze nie wiecie...

— Co mi będziecie prawić! Nie wiem!.. Wiem, że zawsze macie pomysły oryginalne, zawsze śmiałe. Weźmy to szczęście. Niema rogu obfitości nad głową, kuli pod nogami—szablonu ani śladu—prez z nim! Nowe myśli—śmiałe wyjawianie osobistych zapatrywań—to główne.

Pan Pour podniósł głos i urywane swe zdania popierał dokładnymi gestami, jakby już naprzód odrzucał każdy inny projekt.

Rzeźbiarz pozwolił mu się wygadać, a nie odpowiadając wcale, zebrał płótna, któremi szkic był okryty, podszedł z niemi ku drzwiom, gdzie w rogu znajdował się kran wodociągowy nad metalową, pięknie wyrobioną muszlą, odkręcił go, zmoczył płachty, wyżał je i, wróciwszy do szkicu, zaczął go starannie okrywać. Pan Pour stał tymczasem przed popiersiem dziewczicy; uważnie się mu przyjrzawszy, zwrócił się z uśmiechem do artysty, i potrząsając w kolanie prawą nogą, spytał natrętnie:

— A gdzie to znaleźliście model tej główki? Jeżeli oryginał jest rzeczywiście taki, to wieszczę wam — szczęścia!

Naciskiem na ostatnie słowo pan Pour zaznaczał związek pomiędzy znaczeniem figury a przyjemnością podobnego modelu, i zarazem wykazywał swą domyślność.

— Co wam na tem zależy, panie Pour?—odezwał się niegrzecznie, tak spokojny i cierpliwy dotychczas Werunsky.

Ale nieproszony przyjaciel nie poznał się na tem i nie dał się byle czem zbyć.

— Winobradzki kwiat?—nalegał dalej.

Werunsky zwrócił głowę ku wypukłemu cyferblatowi starego zegara artystycznej roboty, który stał pod szklanym kłosem na małym stoliku.

— Wybaczcie, już blisko dwunasta—śpieszę się.

— Ach, pardon! Ale jeszcze nie widziałem tego, po co właściwie przyszedłem. Wasza „Prawda?” Musicie mi pokazać, inaczej nie pójdę.

Rzeźbiarz zwrócił się do podstawy, urządzonej na podobieństwo sztalug malarskich, i odkrył opartą na nich gipsową owalną deskę, zakrytą czarnym cienkim materiałem. Była to płaskorzeźba delikatnie obrobiona. Nagi człowiek stał z młotem w ręku nad wielkim jajem, które tylko co rozbił, a z którego ukazywała się postać starca z brodą, zmarszczkami pokryta twarz.

— Ach, to wyborne! przepyszne! To dopiero genialny

pomysł! Śmiałe pojęcie — głębokie znaczenie — w tem tkwi siła tej pracy. Temu nawet nasza krytyka zaprzeczyć nie mogła. Tak, prawda rzeczywiście jest jak Matuzalem stara, odwieczna, a człowieczeństwo ją z jajka wydobywać musi. Tak jest, było i będzie! Człowiek z mozołem wynajduje nieznaną siłę, sądząc, że odkrywa coś nowego — tymczasem przekonywa się, że prawda, którą osiągnął, która się przed nim jakoby z jajka wylęła, jest już stara jak świat! — deklamował z patosem pan Pour. — Patrzcie, jak prosto, jak jasno wyraziliście to! Tylko w prostocie, połączonej z głębokością myśli, jest prawdziwy geniusz. Winszuję wam, z całego serca winszuję, i wyciągnął ku Werunskiemu obie ręce.

— Ma to swoje wady, panie Pour, wiem o nich najlepiej, i krytyka dotknęła ich także — rzekł rzeźbiarz grzecznie, podając mu rękę.

— Ach, głupstwo, drobnostki, szukanie plam na słoncu! Czy ta noga lub tamta ręka są proporcjonalne, dobrze wyciągnięte lub skurczone, bok mniej albo więcej odznaczony, na tem oryginalność dzieła nie nie traci. Co za znaczenie ma słabszy rym w Byronie lub Wiktorze Hugo! co niedokładność historyczna w Szekspirze! Oryginalność całości to rzecz główna. A tę pedanci pomijają milczeniem, krążąc wciąż koło chropowatości rytmu.

Pan Pour machał znowu ręką, jakby jego zdania rozstrzygały wszystko. Młody artysta uśmiechał się na to boleśnie. Czuł dobrze, jak powierzchowne są te słowa, czuł wyrzuty sumienia, że praca jego nie jest doskonała, czuł braki w sobie. Czem jest pomysł, czem niepospolitość — jeżeli brak umiejętności skryształizowania jej w utworze pięknym, pewnym, ostrym i doskonałym! Oryginalność! Śmieszne! Go można nazwać wskroś oryginalnem? Ale o władnąc formą tak, jak wielcy mistrze, których kopie tu porozwieszane! Czem on jest wobec nich? Kotem wobec lwów! Czem są jego dzieła, kiedy wciąż mają braki!

Czasem ogarnia go paląca żądza doścignięcia tej wysokości, uderza mu do głowy i sprowadza zawrót. I paląca żądza roztopia w nim jakąś siłę, która zaczyna krążyć w ciele. Wtedy czuje, że może się zdobyć na mozolną pracę do wydoskonalenia.

Obejrzawszy się na pana Poura, zobaczył go stojącego przed biurem starszego pana i przypaśniętego się mu

— To pan Jakubec, krawiec, prawda?

Werunsky niechętnie przyświadczył.

— Zdaje mi się, żeście z nim spokrewnieni?

— Tak, jest teściem mego brata.

— Pana budowniczego?

— Nie, Fryderyka, który jest w kasie oszczędności.

— Ale pan Jakubec ma jeszcze jedną córkę?

— Młodszą Reginę.

— Milutka panienka. Znam ją. I ma te...—pan

Pour wyciągnął lewą dłoń, a prawą ręką naśladował ruch, jakby liczył pieniądze. Tę była partya dla was!

Werunskiemu zdała się ta uwaga nadto impertynencką.

— Południe! Dzwonią, słyszycie?—odrzekł wymijająco, z pośpiechem zmoczył pod kranem płótno, i nie zważając, że pan Pour jeszcze się popiersiu przygląda, zaczął je obwijać.

Pan Pour wziął kapelusz, a rozejrzawszy się jeszcze raz wkoło, trzepnął się laską po łydce i zanucił polkę z „Excelsiora.”

— Więcchodźmy!—wezwał go artysta, stojąc w drzwiach otwartych i obracając niecierpliwie klucz na palcu.

Pan Pour zbliżył się do drzwi. Ale, stojąc już prawie na progu, otworzył jeszcze tapetowe drzwi tuż przy wejściu do pracowni i zajrzał tam.

— Ach, figlarzu! Zaraz domyśliłem się, że to nie spiżarnia!—zawołał i pogroził Werunskiemu palcem, wskazując laską, którą trzymał w drugiej ręce, mały bu-

duarek, którego podłoga pokryta była dywanem, a w którym prócz stolika i krzesła nie było innych mebli.

Na stoliku stało ładne ręczne lustro, grzebień, szczotka do włosów, żelazko do fryzowania i maszynka spirytusowa. Małe okienko, wychodzące na podwórze było zasłonięte czerwoną firanką, tak, że cały ten zakątek napełniony był światłem zachodzącego słońca. Przez poręcz krzesła przewieszona była czarna jedwabna wstążka.

Pan Pour wziął ją do ręki i, trzymając przed oczyma rzeźbiarza, rzekł z zuchwałym uśmiechem:

— To jest przepaska, którą wasze szczęście zawiązuje sobie oczy? Prawda?

— A którą należałoby wam zawiązać usta — odciął artysta, i wyprowadziwszy Poura z buduaru, prawie wypchnął go za drzwi.

Otwartym lufcikiem wpadła do pracowni osa i, brzęcząc, latała koło zakrytych popiersi, aż usiadła na mokre okrycie i ssła z niego wodę. Potem znowu poleciała do okna i, błaskając się po niem, uderzała o szkło. Płótna wydzielały wilgoć i wysychająca zimna glina pochłaniała ją łakomie.

III.

W kuchence obok sklepiku wiktuałów, do którego młoda dziewczyna po spotkaniu się z rzeźbiarzem weszła, na rozpalonej blasze w rogu stał duży kocioł, a buchająca z niego para napełniała całe mieszkanie. Obok na ławce stały szafliki, dalej ordynarny stół z naczyńmi kuchennym, a w drugim rogu półka, na której poustawiano talerze i garnuszki do picia kawy. W lewej połowie stancyjki, bliżej okna, była stara wysiedziana sofka, pokryta drelichem,

a przed nią okrągły, wytarty stół, naprzeciw zaś aż pod sufit zasłane łóżko i szeroka szafa. Pod oknem stał wielki, czarno malowany kufer. Do niego podeszła dziewczyna, nachyliła się, otworzyła i schowała kapelusz.

Właśnie rozpiniała stanik, gdy ze sklepiku weszła do mieszkania tłusta pani Szwejnhowa, ocierając o fartuch czerwone, popękane ręce.

— No, że już nareszcie panna przyszła! Wierzę bardzo, że się nie chce wracać ze spaceru, kiedy w domu czeka balja.

— Ależ, ciociu...

— Tylko się rozbieraj, rozbieraj, żebyś Ludmile pomogła! A tymczasem opowiadaj, coś tam zrobiła.

— Cóż?.. przyjęli mnie. Pani Durazowa..

— Pocałowałaś ją w rękę?

— Pocałowałam. Pani Durazowa powiedziała, że mogę nastać od 1' września.

— A ile ci daje?

— Na początek tylko utrzymanie. Dopiero jak się wprawię..

To jakoś panią Szwejnhową zadziwiło i rozgniewało. Jakby ją co ukłóło, otarła sobie fartuchem usta, ręce założyła i zaczęła na całe gardło, z początku przychylnie, a potem coraz dotkliwiej:

— Czybyś to, słuchaj, dziewczyno, nie miała w służbie tysiąc razy lepiej? Ale nie, to dla ciebie ordynarne, Patrzcie, jaka panna! Nic nie ma przy duszy, nie ma się na kogo oglądać, ale chce się bawić w państwo! Tylko, żeby mogła w kapelusiku i na obcaskach chodzić! No, no, przekonasz się, spróbujesz, jak to w zimnym sklepie siedzieć od szóstej rano do dziewiątej w wieczór! Zobaczysz, jak ci rączki napuchną i popękają, gorzej niż od prania! Niechno ci każą ważyć sól i chodzić do piwnicy po zmarzłą kapustę! Czyby ci tak nie było lepiej gdzie w ciepłej kuchni? A w dodatku miałabyś zaraz pensję. A tam jeszcze swo-

je stracisz, bo będziesz musiała dokładać. Swoich dwieście guldenów dasz na kaucję i nie zobaczysz ich nigdy! Żebyś ty się chociaż na handlu znała! Mogłaś się była włożyć do tego u mnie, ale ty tylko wciąż po spacerach chodzisz, całe popołudnie za domem, przed południemby się także chodziło: tak niby miejsca szukasz, aby tylko uniknąć roboty. Kochanku, teraz to wszystko ustanie. Póki jeszcze nieboszyk tatko żył, tam w tych waszych Zejwicach, mogłyście grać rolę panien, ale tu, w Pradze, z pustkami w kieszeni wszystko przepadło! A na ciotkę, na biedną sklepiczarkę, nie masz co liczyć. Ona kontenta, że się sama wyżywi. Sama swe córki oddała do służby. A wreszcie, skąd ta duma się w was wzięła? Czemże była Kasia? Czem była wasza matka? Służyła we dworze, po niej nie odziedziczyłyście tej dumy, ona byłaby was inaczej wychowała, gdyby Bóg jej dłuższego życia użyczył, a tatko, kiedy był taki pyszny i was tak nauczył, mógł wam być zostawić majątek do tego, nie urzędniczą nędzę... No, przestań beczeć. Ja ci przecie muszę wytłómaczyć, jak właściwie rzeczy stoją.

Dziewczyna rzuciła się na sofkę i, zakrywszy twarz rękoma, głośno łkała. Podobnych jeremiad musiała wysłuchiwać kilka razy dziennie. Oburzała się na nie i najchętniej byłaby stąd uciekła i nie wróciła nigdy. Rzeczywiście, po śmierci ojca zostawszy bez sposobu do życia, udały się obie z Ludmiłą do siostry nieboszczki matki; prawda, że przyjęła je szczerze, serdecznie współczuła i dobrze im życzyła, ale była to kobieta nieokrzesana, surowa, dawniej służąca, dziś prawdziwa przekupka, która nie potrafi wznieść się duchem ponad szafę, balię, szczotkę i ścierki. W tym też kierunku wychowała swoje dwie córki i syna Franka, siedemnastoletniego wyrostka, a zasady swe wykladała teraz siostrzenicom, sierotom po wagowym z Zejwickiej cukrowni, Karolu Marku, Ludmile i Bożenie. Tymczasem obie siostry wyrosły w innych zupełnie warunkach.

Ojciec ich, syn hrabskiego ekonoma, miał zostać księdzem. Nie skończył jeszcze szkół, kiedy umarł mu ojciec, a on w drodze łaski był przyjęty na praktykanta w hrabiowskich dobrach. Z czasem powierzono mu zarząd jednego folwarku, gdzie służyła młodziutka, piękna jak obrazek dziewczyna, córka komornicy Tomaszowej. Pan rządca zakochał się w Kasi, a będąc uczciwym człowiekiem, bez względu na zakaz hrabiego, ożenił się z nią, gdy mu obowiązki nakazywał. Za to wpadł w niełaskę, a małżeństwo jego nazywano nerwowym wybrykiem, czystem waryactwem.

Naraził się na gniew i wyśmiewanie za to, że samowolnie zdeptał swą karierę. Karol Marek usunął się spokojnie, bez gniewu, z wiarą w przyszłość. Ale ta go zawiodła. Nie mógł się nigdzie zaczepić. Żonatego urzędnika w żadnych dobrach nie chcieli, a inne miejsce się nie trafiło. Był pisarzem w miejskich i policyjnych urzędach w sądzie i przeżył całe pięć lat, pełnych rozczarowania i cierpienia. Żona, przypisując sobie winę tego, płakała i narzekała, choć on jej nigdy ani jednym słówkiem nie robił wyrzutów. W bardzo smutnem położeniu powrócił z żoną i dwiema córeczkami do rodzinnego miasteczka i poszedł prosić pana hrabiego. Rozpaczliwe jego położenie wzbudziło nareszcie litość. Przyjęto go z łaski do cukrowni za magazyniera. Karyerę urzędniczą miał uważać za zwichniętą na zawsze. Marek poprzestał na małym, chodziło mu tylko o zapewnienie utrzymania żonie i dzieciom. Obowiązki swe spełniał wzorowo i starał się nagrodzić rodzinie delikatnością i łagodnem obejściem to, czego musiał jej odmówić przy swych skromnych dochodach. Był on człowiekiem szlachetnych zasad i miękkiego serca. Żona jego, kobieta prosta, szczerą, ubóstwiała męża i wszelkiemi siłami starała się zastosować do nowego otoczenia. W Zejwicach urodziły się Markom jeszcze dwie córki, Ludmiła i najmłodsza Bożenka. Przy wzorowej

oszczędności i skromnem urządzeniu domu, utrzymywała się cała rodzina niezbytckownie, ale przyzwoicie. Po kilku latach pan Marek awansował na wagowego, dochody jego się przytem powiększyły. Wyznaczono mu lepsze mieszkanie z ogródkiem; żaden też ważniejszy wypadek nie zakłócił Markom spokoju domowego. Po dwunastu latach cichego pożycia pani Katarzyna uległa silnemu zapaleniu płuc. Bożena miała wtedy zaledwie dziesięć lat, a Lida o rok więcej. Najstarsza córka Karolina miała szesnasty rok, a druga Berta piętnasty. Karola zajęła się gospodarstwem; a Bertę wzięła do służby pani hrabina. Młodsze dziewczątka pod dozorem Karoli rosły trochę w zaniedbaniu, czego jednak niedoświadczenie siostry, ani tkliwość ojca nie spostrzegały. Gdy skończyły chodzić do szkoły, pomagały w domu: trochę szyły, trochę haftowały, robiły szydełkiem na drutach, chodziły na spacer, podlewały ogródek, czasami wybrały się w odwiedziny do administratorowej, lub buchalterowej, gdzie je mile widziano, a takim sposobem płynął im czas spokojnie, ale niebardzo pożytecznie. Kochały ojca i otaczały go nadzwyczajną pieczołowitością; przed jego imieninami, urodzinami, przed Bożem Narodzeniem i Nowym Rokiem miały wielkie tajemnice, szeptały lub porozumiewały się na migi, otwierały i zamykały szafy bardzo starannie i co chwila wykrzykiwały z przerażenia, że się może zdradziły. A ojciec byłby się z dziećmi sercem podzielił. W takim cichem, spokojnem, wolnem od trosk życiu rozwijały się Lida i Boża. Wyrosły na przystojne panny, były pełne zdrowia, swobody i wesela. Były jeszcze za młode, aby się miały martwić o przyszłość, żyły szczęściem obecnej chwili. Zupełnie nieprzygotowane spotkała je nagła śmierć ojca. Pana Marka razila apopleksya: w kwadrans życie zakończył. Nie zostawił majątku, ani emerytury. Dobrze jeszcze, że pan hrabia poniósł kosztą pogrzebu, a pani hrabina obiecała zaopiekować się Karolą. Ludmiła i Bożena są dość zdrowe i młode, mogą pójść do

służby. Z łaski też dano im jednorazowo po dwieście guldenów. W Zejwicach wstydziły się zostać i przypomniały sobie ciocię w Pradze. Stało się to prawie przed trzema miesiącami. Bożenie jednak zdawało się, że to już trwa wieki. Czas włókł się jej strasznie wolno w otoczeniu, które tak różniło się od owego, w którym wyrosła. Wolałaby śmierć, niż dalsze takie życie. A w dodatku — codzienne wymówki! Byłaby z chęcią natychmiast opuściła te progi gdyby tylko wiedzała, dokąd się zwrócić. Nie mogła się uspokoić, utulić swego bólu.

Panią Szwejnohową gniewał i drażnił jej płacz; wolałaby była, żeby siostrzenica odpowiedziała jej ostro, lub nawet się z nią pokłóciła. Ale Bożenie nawet do głowy nie przyszło sprzeczać się o cokolwiek z tą hałaśliwą kobietą, która tu stała w mokrym fartuchu i wytartym kaptanie z zakasаныmi rękawami, w słomianych berlaczach na bosych nogach i brudnej chustce na tłustej głowie. Było jej wstrętne samo przeświadczenie, że to jest siostra jej matki. Zdawało się, że z samej postaci ciotki owiewa ją przykre dla niej prostactwo.

— No, czy przestaniesz raz szlochać i pójdziesz do roboty?

Tym razem ciocia, chcąc nadać siły swemu rozkazowi, tupnęła na nią, więc Bożena, żeby zapobiedz dalszym hałasom, wstała zapłakana i obeszła koło ciotki do sklepu, a stamtąd na podwórze, gdzie siostra jej przy balii prała.

Zadała gwałt sobie, ale zabrała się do prania. Nie dlatego, żeby się wstydziła pracować, bo i w domu pierała przecież, ale przykro jej było, że musi prać na dworze, gdzie na nią ze wszystkich okien patrzą, i wstydziła się tego, co prała. Nie przywykła do prania grubej, łatanej bielizny, która równie wstrętną jej była, jak sklepik i mieszkanie ciotczyne.

— Ja ci zazdroszczę, żeś tak spokojna, Lidko! — rzekła po chwili, przerywając milczenie.

— Cóż mam robić? co mi pomoże upór? A dokąd ty pójdziesz? — odpowiedziała wolno spokojniejsza z natury siostra.

— Dokądkolwiek, byle tylko stąd ustąpić. Zobaczysz, ja tu nie wytrzymam.

— Ale uspokoisz się. Przywykniesz tak, jak ja.

Lida mówiła to spokojnie, ale głos jej drżał.

— Cóż, ty masz szczęśliwsze usposobienie, ale ja...
Bożena umilkła, oczy jej zaszyły łzami. Po chwili wyjąkała z płaczem:

— Wolałabym umrzeć, niż tu dłużej zostać!

Łzy spływały jej po twarzy i spadały na spienione mydliny.

— A cóż on?—spytała cicho Ludmiła i spojrzała na siostrę ze współczuciem.

Bożena nie była w stanie odpowiedzieć. Pytanie to jak echo odbiło się o jej serce i rozum, jak ptak spłoszony szumiało i huczało jej w duszy.

— Chodził tu blisko godzinę. Nie pokazałam się mu wcale. Bałam się, żeby ciotka nie zwróciła na niego uwagi.

Ale Bożena wcale nie słuchała.

„Co on? co on?” — huczało jej w głowie, a wszystkie jej myśli krążyły około tego pytania, szalone projekty zjawiały się w jej mózgu, a w sercu drżały jakby błyszczące iskierki. Tak, on mógł ją uwolnić... o jakby mu była za to wdzięczna!

„Ależ to nie może być, to jest czyste szaleństwo!” — zaprzeczała sama sobie, a smutek przejmował jej serce.

— Powinnaś mu powiedzieć, żeby tu nie przychodził; ciotkaby ci dobrego słowa nie dała.

— Ale nie wie jeszcze nic? — zestraszona przerwała Bożena siostrze.

— I... była tu dziś rano, jak tylko poszłaś, na chwil-

kę Rozalka i powiedziała, że w niedzielę w Zamkowym ogrodzie z tobą tańczył.

— Zna go? wie, jak się nazywa? — spytała z obawą Boża.

— Mówiła tylko, że to jakiś sztukator.

Bożena trzęsła się cała. Tegoby tylko brakowało żeby się ciotka dowiedziała! Z igły zrobiłaby widły. Akurat wczoraj minęły trzy tygodnie, jak córka Szwejnohowej zaprosiła obie siostry cioteczne, aby poszły z nią do Zamkowego ogrodu. Służyła u bogatych państwa i poznała się z czeladnikiem stolarskim, którego rodzice mieli ładne gospodarstwo, a on sam miał zamiar założyć sobie wkrótce własny warsztat.

Pani Szwejnohowa, dumna z tego, że jej córka może siostrzenicom zrobić przyjemność, pozwoliła im pójść, choć dotąd przez całe dwa miesiące swego pobytu w Pradze, prócz za sprawunkami, nigdzie nie chodziły. Konkurent Rozalki skłonił dziewczęta do tańca, i tam to Bożena poznała Werunskiego. Przypomniała sobie, że kilka razy spotkała go na ulicy, ale teraz dopiero dowiedziała się, że ido Zamkowego ogrodu dla niej jedynie przyszedł. Boża zwierzyła się siostrze, ale obie przed ciotką postanowiły milczeć. I Rozalkę uprosili, aby nic nie mówiła; obecnie przekonali się, że Rozalka nie dotrzymała słowa! Pani Szwejnohowa trzyma już nitkę ich tajemnicy w rękę, i teraz będzie pewno surowsza i ostrożniejsza. Tym sposobem pobyt w jej domu stanie dla się Boży jeszcze przykrzejszy. Sama myśl ta rozbudziła w niej znowu wstręt, jakiś niepokój i bojaźń, w skutek czego zaczęła sobie układać, co ma powiedzieć, gdyby się jej ciotka zapytała, gdyby ją chciała badać. Nie zmilczy jej już tak spokojnie jak dotąd, powie jej wprost w oczy, co o niej myśli. A potem pójdzie do pani Durazowej, lub gdzie indziej, do służby.

— A cóż gdyby się tak o ciebie oświadczył, gdyby się chciał żenić?—cichutko spytała Lidka.

— Nawet mu to na myśl nie przyjdzie—z goryczą odpowiedziała Boża.

— No, ale przypuśćmy, gdyby jednak?—nalegała siostra.

— Gdyby jednak?—powtórzyła z naciskiem Bożena i utkwiała oczy w siostrę.

— No, gdyby?—powtórzyła jeszcze raz, a oczy jej się zaiskrzyły:—powiedziałabym: dobrze!—dodała pewna siebie.

— A czy go kochasz?

— Zdaje mi się, że mogłabym go pokochać.

Bożena wyrzekła te słowa szczerze i otwarcie.

Wkrótce potem pani Szwejnowa zawołała siostrzenice na obiad. Przeprana bielizna po południu się gotowała, a Boża nie miała sposobności ani na krok się oddalić, bo ciotka co chwila przychodziła na podwórze doglądać prania.

IV.

Młody rzeźbiarz wrócił dopiero około trzeciej do swej pracowni. Zdjął kapelusz, surdut i mankiety, odkrył płótno z popiersia dziewczyny i po chwili zabrał się do odrobienia części szyi, wybierając łopatkami wilgotną glinę pod brodą i szczękami aż ku delikatnie odmodelowanym uszkom. Ale pracował roztargniony i co chwila spoglądał na zegar. Przeszkadzała mu także spłoszona osa, która oblatywała coraz bliżej niego. Nie mniej jednak zwracał uwagę na rysy twarzy, a ręka kierowała się ku oczom i ustom popiersia, aby wygładzić zmoczonym palcem szlachetne rysy i linie tej pięknej twarzy. Chwilami odchodził artysta

od swego dzieła, żeby uważnie przyjrzeć się wymodelowanej głowie; widoczne było, że przypatruje się jej z przyjemnością i zamiłowaniem. A gdy tak wciąż do niej wracał, czuł w końcach palców szczególne, niespokojne ciepło, które zmuszało go dotykać się znowu tej miękkiej, wilgotnej zimnej gliny, nerwowo wygładzać owal twarzy, to znowu silniej przyciskać, aby rysy ostrzej wystąpiły. A im więcej wzrastał ten jego niepokój, tem popiersie zdawało mu się bardziej ożywionem, patrzył na nie wilgotnem okiem, jakby przez warstwę rzadkiej, czarownej pary, po za którą delikatne, modelowane usta dziewczęcia zdawały się uśmiechać, słabo się poruszać, jakby przy oddychaniu, a części pod oczyma zdawały się drżeć; wydawało mu się, że do tej głowy i szyi wstępuje krew, że dał duszę swemu dziełu.

Miał tę prawdziwą chwilę artystycznego podrażnienia, kiedy każdy nerw nabiera odczutego lechtającego drżenia, kiedy z piersi ku głowie uderza jakiś żar, w którym taje zwykła odrętwiałość ludzka, w którym myśli nabierają sprężystości i siły i są zdolne odczuć i ostro wytknąć każdy odcień, który w chwilach nie podległych wzruszeniu uchodzi. Są to chwile trudne, ale zarazem słodkie, podniecenie takie prawie zabija, ale odczucie jego w piersi jest rozkoszą, niczem nie zastąpioną.

Po chwili zbliżył się Werunsky do posągu „Szczęścia,” szybko zdjął z niego okrycia i, przymrużywszy oczy, przyglądał mu się z zajęciem. Nie widział przed sobą szkicu — wyobrażał sobie już dokończoną figurę.

Widział wdzięczną postać dziewczyny, dążącą zręcznie bosą nogą przez ukwieconą łąkę. Głowa jej nieco w tył przechylona, pierś wysunięta naprzód. Na lekkim materyale koszuli i krótkiej sukni powabnie rysują się linie biustu, bioder i nóg. Szczególnie piękne są formy prawej nogi, lekko zgiętej w kolanie, na której postać spoczywa swym ciężarem, podczas gdy lewa noga już gotuje

się wysunąć z tyłu naprzód. Palce ledwie tykają ziemi, a ponieważ noga jest wtył wzniesiona, widać piękne linie obnażonej łydki zwężającej się ku pięcie i śliczny kształt małej stopy. Tak dobrze obmyślił ten sposób trzymania się, ten ruch ciała!.. widzi dokładnie przed sobą każdy szczegół, każdy mięsień uwydatniony w czasie ruchu i każdą linię, którą wybrana poza okazuje szczególnie dobrze. Z pod prawej nogi wyglądać będzie złamany kwiat lilji, na którą dziewczę w biegu stąpnęło — nie widząc jej z powodu przepaski na oczach, przed nią na drodze położy gniazdko ptasie. Czy je nadepcze lewą nogą, czy je ominie? Kto wie? To pewna tylko, że go nie widzi. Z wyciągniętymi rękoma dąży naprzód. Podaje niemi przechodniom dary: jedną różę i ślubne pierścienie, drugą berła i wawrzyny. Czerpie ją z szaty, kłórej brzeg zawinęła za pasek. Nie wie, kogo niemi obdarza, jak nie wie, kogo spotka, a kogo ominie.

Rozmyślał długo o tych szczegółach i o całości. Postanowił stworzyć coś oryginalnego, nie przypominającego niczem utartej rutyny, a co jednak wyraźnie oznaczało pojęcie „szczęścia,” coby obok piękności formy wyróżniało się głęboką myślą. Nikt nie wie, ile musiał znieść zwątpień, nim się zdecydował na ten projekt, ile przewalczył, nim odrzucił resztę pomysłów, z których ten i ów miał swe dobre strony. Z boleścią odwracał się od każdego, aby biczowany powątpiewaniem do niego powracać i znowu opuszczać. Nikt nie ma pojęcia, co to za męka! Za to teraz, kiedy zwątpienia pokonał zwycięsko, gdy z całego legionu wybrał jedną postać, i kiedy widzi ją w całej wspaniałości, odczuwa jakąś pewność siebie, która go uszczęśliwia. Jest dumny ze swego pomysłu.

Z zamiłowaniem stoi przed szkicem i leciuchno, jakby się bawiąc, układa i poprawia pojedyncze części. Starannie wykona to dzieło—ono musi mu zyskać sławę, wło-
nie całą swą siłę, całą duszę, całą umiejętność.



Przed pracownią dały się słyszeć głośne kroki, a zaraz potem energicznie zapukano we drzwi. Nim rzeźbiarz zdążył powiedzieć „Proszę!..”—weszło trzech panów. Chudy mały porucznik z podługowatą trędownatą twarzą, wielkim nosem, bladymi cienkimi wargami i niebieskimi zapanami oczyma, dalej młodzieniec o mdłym, zmęczonem spojrzeniu, z niskiem czołem, czarnymi, mocno nawoskowanymi wąsami, a nakoniec wysoki barczysty pan z krótko ostrzyżoną brodą i okularami na nosie.

— A to szanowni goście!—grzecznie powitał ich gospodarz i zrobił parę kroków naprzeciw nim.

— Przychodzimy jako krytycy — leniwo i przez nos zaczął znużony pan, podając artyście końce palców.—Pana budowniczego Kreupę znacie?—dodał przez zęby i zwrócił się napół ku barczystemu panu.

— Jesteśmy starzy znajomi z panem Werunskim — wyrzekł budowniczy suchym głosem i wstrząsnął rzeźbiarzowi prawicę.

— Lejtenant Jakubec—przedstawił się podług przepisu porucznik w uniformie, trzymając rękę przy daszku czapki.

— Nie potrzebujesz się prezentować — uśmiechnął się rzeźbiarz:—ciebie zna cała Praga — dodał z podejrzanym akcentem i ścisnął go za rękę.

Tymczasem znużony pan zbliżył się z budowniczym do szkicu, a założywszy binokle, przyglądał się, pozując na znawcę.

— No,—dodał po chwili lekceważąco — właściwie tak wielkiego efektu nie robi.

— Niech pan baron pozwoli, abym mu objaśnił, co jeszcze myślę dodać...—wtrącił artysta grzecznie, ale na ustach jego przemknął ten sam odcień pogardy, jak rano, kiedy mówił z Pourem.

Potem treściwie wyłożył baronowi Rexowi, co zamierzał jeszcze wykonać w całości i szczegółach.

Za plecami jego porucznik Jakubec, paląc papierosa, mrużył oczyma i złośliwie się uśmiechał.

— To same drobiazgi!—dodał pewny siebie i niedbale puścił dym.—Na co ta lilja? na co gniazdo? Ty tylko widzisz w nich jakieś znaczenie. Lepiej, żeby sam posąg był więcej imponujący, bez wszelkich, zbytecznych zresztą, dodatków.

— Brawo, Jakubec, brawo!—potwierdził gorliwie baron. O ten się zna! Der hat ein Kennerauge. Był także w akademii...—tłómaczył budowniczemu.

— Tempi passati!—przerwał mu porucznik i machnął pogardliwie ręką.—Mam tylko wrodzony gust na takie rzeczy, nic więcej. A potem ta prawa goleń, to jest długość... Spójrzcie, panie baronie!

— Prawda! Gust i oko! To zaraz widać. Dobrze, żeśmy go wzięli z sobą, panie budowniczy.

Budowniczy odkaszłał, zakiwał się przed posągiem i rzekł:

— Rzeczywiście, rzeczywiście, panie baronie. Całość jest bardzo ładna, a zresztą nie możemy jeszcze stanowczo nic powiedzieć.

— Jakto nie możemy! Mogła być efektowniejsza, i bardziej pikant—to główne!

— Widzisz, taki jest nasz baron—zwrócił się teraz porucznik do rzeźbiarza, a pochylając się ku budowniczemu, dodał:—naturalnie od czasu, jak odziedziczył pół milionika. Posłuchajcie, panie baronie—rzekł do tego ostatniego:—ten posąg szczęścia powinienby być właściwie portretem waszej cioci.

Ostatnie słowa kończył z głośnym śmiechem, a baron i budowniczy mu zawtórowali.

Werunsky obserwował ich ze wstrętem. Obrażała go ich rozmowa i byłby najchętniej otworzył im drzwi pracowni i wyprowadził za nie. Najpierw Jakubec, który nie mogąc wytrwać w akademii, wstąpił do szkoły kadetów a teraz udaje znawcę. Artystę bierze za czeladnika kra-

wieckiego. „Skrócić ten surdut! zwięzić ten rękaw!” Cóż on sobie myśli, że on sam, Werunsky, nie stał tysiąc razy przed tym posągiem i nie rozważał wszystkiego sumiennie i ze znajomością rzeczy? A teraz przyjdzie taki facet i śmie mi powiedzieć: „Ta goleń... ta długość!...”

Werunsky o mało nie powiedział słowa prawdy, ale powstrzymał się w porę. Nie warto nawet dać im poznać swego oburzenia! „Oszalałem, czy co?” — łajał się sam. — Czyż nie wiem, z jakich pobudek to mówi ten niedoszły artysta w wojskowym mundurze?

Uspokajając swe rozgoryczenie, wypływające ze spokojnej, miękkiej słabej jego natury, doszedł rzeźbiarz aż do przypuszczenia możliwości, że może w słowach porucznika jest nieco prawdy, że artysta rzeczywiście wobec pewnego braku swego dzieła bywa ślepym, gdy błąd ów może zauważyć każdy laik. Z tej przyczyny zrodziły się w młodym rzeźbiarzu nowe powątpiewania, które były dla niego bardzo bolesne, w skutek czego i postępowanie jego nabrało odcienia goryczy.

A panowie, śmiejąc się, zbliżyli się do popiersia dziewicy, na które pan baron raczył spojrzeć łaskawem okiem.

— To się udało! Ein mordhübsches Gesicht!

— Bardzo piękne, bardzo piękne!—zgodził się znowu budowniczy.

— Tylko szkoda, że ma oczy zawiązane. To niezręcznie. Nie potrzeba zakrywać szczegółu, który należy do całości piękna—objaśniał uczenie pan porucznik.

— Może model zezuje, i dlatego pan Werunsky zawiązał mu oczy, żeby go nie urzekły — zdobył się pan baron na dowcip, który uprzejmie i wdzięcznie przyjęto.

— A więc to jest pobudka do tego oryginalnego pomysłu!—zauważył zjadliwie pan porucznik.

Artystę znowu ubodło to gadanie. Tak mówią przed jego pracą, w którą, jak sądził, wlał część swej duszy, ci, którzy to dzieło zamówili u niego!

Czemuż nie zrobili obstalunku u jakiego sztukatora, kiedy mieli ochotę się zabawić? Gdyby mieli choć źdźbło artystycznego smaku, lub chociaż trochę szacunku dla sztuki, nie mogliby tak banalnie dowcipkować wobec dzieła, które się zrodziło w chwilach artystycznego natchnienia. Niema wątpliwości, że ci ludzie nie z przeświadczenia, nie z potrzeby, lecz ze strachu, aby nie byli uważani za biedaków — zajdą czasem do artysty i kupią lub zamówią coś u niego. Przytem przypuszczają, że są mecenasami sztuki i że dlatego mają prawo artystę drażnić i poniżać.

W tem znać całą nizkość ich natury.

Takie myśli krążyły mu w głowie, gdy na ustach igrał uprzejmy uśmiech. Nie śmiał okazać swego niezadowolenia baronowi; bo nie był tak bogaty, aby mógł lekceważyć zamówioną robotę, a potem jego delikatne usposobienie nie znosiło żadnych wybuchów. Nie tylko nie lubił napadać, lecz i zaniedbywał się bronić. Niekiedy sam się wstydził swej nieśmiałości, i wtedy tłumaczył sam sobie, że ci ludzie nie warci, aby się przed nimi bronił. Przytem jednak dobrze pojmował, że ustępując, bywa niekiedy przez zazdrość, pańską fanfaronadę lub wprost pewien rodzaj sportu surowo i bezwzględnie przyciskany do muru. Starszy przyznawał, że nie należy być uległym, miał doświadczenie, że stanowczością i śmiałym występowaniem jego koledzy zyskiwali wiele, a często od takiego kroku zależała ich artystyczna reputacya. Był przekonany, iż pewność siebie i w sztuce jest właściwością pożądaną, ale nie mógł przemódz wrodzonej swej skromności i obawy, żeby sobie nie ubliżył.

Goście zatrzymują się jeszcze przed portretem pana Jakubca starszego, przyczem budowniczy zauważył pochlebnie, że papa na swe lata pysznie wygląda i ma prawdziwie marsowe spojrzenie. Nareszcie zabierali

się do odejścia. Po przyjacielsku podawali rzeźbiarzowi ręce, nie przypuszczając nawet, że go urazili, a odprowadzeni przez niego, w najlepszych humorach szli przez podwórze.

— W całości nie ma pan baron nic do zarzucenia szkicowi? — po długim namyśle zapytał z cicha Werunsky.

— Noo...—ciągnął powoli pan Rex — całkiem... owszem... rzecz mi się podoba...tak...tylko, widzi pan, mogłoby to być trochę więcej pikant, wiecie...

— Mam nadzieję, że gotowy model podoba się panu baronowi—grzecznie napomknął Werunsky.

— Gdyby nie, byłaby to tylko wasza szkoda—powoli wycedził pan baron, a na ukłon rzeźbiarza, gdy stanęli przed bramą, protekcyjonalnie uchylił kapelusza.

Kiedy Werunsky powrócił do pracowni, rzucił się wzburzony na sofę. Teraz dopiero wyrzywały mu się ostre słowa z ust, teraz w samotności zaciskał pięści i zgrzytał zębami.

Te podłe, niskie osobistości, płytkie, a jadem prześiąkłe!

Z jakim poniżającym koleżeństwem postępuje z nim głupi Jakubec! jak upokarzająco traktuje go ograniczony baron!

— „Gdybym nie był zadowolony, byłaby pańska szkoda!” — powtarzał sobie rozdrażniony jego słowa. A więc od fantazyi tego zbogaconego pauka, który do niedawna był zadłużonym poręcznikiem od dragonów i znał się tylko na psach i szpicróżgach, zależy teraz los jego dzieła! Jeżeli on będzie zadowolony, dostanie umówioną kwotę, tysiąc guldaków, albo tylko czterysta tytułem zwrotu kosztów, jeżeli się baronowi nie podoba przyjąć posągu, gdy ten nie odpowie jego artystycznemu pojęciu!..

Z takim przykrem usposobieniem będzie się zawsze zabierał do jakiegokolwiek pracy, podobne przeświadczenie

zepsuje mu każdą chwilę radosną, ochłodzi jego miłość dla sztuki, podetnie odwagę.

Moda, tylko moda skłoniła barona do zamówienia posągu, kiedy, odziedziczywszy majątek, wziął dymisyę z wojska i zaręczył się ze starszą od siebie i brzydką swą kuzynką, jak to ciotka w testamencie zawarunkowała. Moda każe mu stawiać dom i zdobić go obrazami i figurami; moda wskazała mu artystów w ogóle; moda też nakazuje mu przestawać z uboższymi, zależnymi od niego, których jednak nie omieszkuje traktować z góry, odstępując od reguły tylko czasami, w chwilach nadzwyczajnego humoru, i wtedy zniża się do łaskawej przyjacielskiej pogawędki i koleżeńskiego stosunku względem nich.

Werunsky czuł się w najwyższym stopniu podrażnionym; czuł, że gardzą, nietylko nim, lecz w ogóle wszystkimi artystami. Pod wpływem doznanego cierpienia nie mógł sobie znaleźć miejsca w pracowni, zapragnął hałasu i wrzawy, aby się niemi upoić i zapomnieć o swoim bólu.

Po cóż myśleć, pracować, wysilać się, kiedy skutki są tak bolesne? Wszelka praca, miłość ku niej, wszelkie walki i duma z pokonania słabości i przeszkód były tylko majaczeniem waryata, z którego lada ograniczony głupiec ma prawo się wyśmiać. Wszystko to nic nie warte; człowiek, który się z niemi boryka—jest szalonym dzieckiem. Wobec niego daleko mądrzejszym i potrzebniejszym jest każdy pisarczyk lub siodlarz, który potrafi panu baronowi przepisać rachunek, lub zreparować stary powóz.

Czarna rozpacz ogarniała Werunskiego. Porwał kapelusz i laskę, szybko zbliżył się do drzwi i otworzył je. Wtem usłyszał skrzyp szklanych drzwi na podwórzu i jednym skokiem wrócił do pracowni.

Jak mógł zapomnieć o niej, o Bożenie!

Stanął wzruszony, stłumił oddech, aby usłyszeć zbliżające się kroki i nieśmiałe jej zapukanie. Czekał chwilkę.

Odgłos kroków słychać było obok przystawki: już, już tu wejdzie...

Niestety... Kroki przycichły, a szelest dochodził jeszcze, ledwie dosłyszany z sąsiedniej sieni. Zawiedziony w nadziei, Werunsky odrzucił kapelusz i laskę. Ciężko siadł na sofę i zakrył twarz rękoma. W duszy przedstawił sobie obraz tej, której oczekiwał. Widział ją w jej czystej piękności i wstydził się, że guiew go tak opanował, iż o niej nawet zapomniał. Jak to dobrze, że ona przyjdzie! Gdyby nie ona, uległby pewno rozpaczy i rzucił na dno przepaści. A jutro zadręczyłoby go sumienie. Ale ona niechcący uratowała go. O, gdyby był ją znał pierwiej, kiedy tyle razy rozpacz go owładala! Jej czysta, piękna postać byłaby go powstrzymała, z niej czerpałby pociechę, nową siłę. Gdyby ją mógł zatrzymać na zawsze, z pewnością byłaby jego zbawieniem!

Jego szczęściem!

Inaczejby pracował, gdyby pracował dla niej. Miłość jej wiodłaby go coraz wyżej. Wszystkie siły, które w nim drzemiały spętane nieufnością, zwątpieniem, obawami, rozwiążą się i w blasku jej miłości rozwiną skrzydła.

Werunsky zerwał się z sofy i zaczął wzruszony chodzić po pracowni.

A dlaczegóż nie mógłby jej posiadać? Dlaczego nie mogłaby należeć do niego? Dziś z nią pomówi, zwierzy się jej, zapyta.

Mierząc szybkimi krokami podłogę, cieszył się z tego postanowienia i tą radością zapragnął się podzielić z całym światem. Byłby w tej chwili pobiegł do swych przyjaciół, aby zawołać:

— Chłopcy, ja będę szczęśliwy! ja już jestem szczęśliwy! Ożenię się, tak, ja się ożenię. Czegóż się dziwiacie? Ona jest tak piękna, miła, dobra! Tak, ożenię się z nią i stanę się wielkim mistrzem. Zobaczycie!

A wszystkim swym nieprzyjaciołom, którzy go lekceważą, drażnią i poniżają, powiedziałyby:

— Od dziś się przestaniecie śmiać! Oniemiejecie na widok mego dzieła. Zrozumiecie, że tkwi w niem nieśmiertelność. Anioł mię natchnie. A tym aniołem będzie moja żona.

Przypomniawszy sobie, jakie wrażenie nań zrobiła, gdy ją pierwszy raz spotkał, błakając się po ulicach winohradzkich. Przypomniawszy sobie, jak szedł za nią, jak się dowiedział gdzie mieszka, i jak zawsze jej wyczekiwał na uboczu. Przypomniawszy sobie, jakie staczał walki, jak rozważał wszystko, nim zdecydował się skorzystać ze sposobności, aby się z nią zapoznać, jak wykonał swój zamiar i przemógł wrodzoną nieśmiałość. Sam się dziwił, skąd się mu to wzięło, że ją poprosił, aby chciała być mu modelem do głowy „Szcześcia,” a jak się ucieszył, gdy po krótkim wahaniu zgodziła się na to! Widzi ją jeszcze, jak po raz pierwszy przestąpiła próg pracowni, nieśmiała, przerażona, drżąca. Odczuwa rozkosz tej chwili, gdy zdjąwszy kapelusik i przyczesawszy włosy podług jego wskazówek, pozwoliła sobie zawiązać oczy i stanęła zawstydzona na tem podyum; to znowu czuje ten zachwyt, jaki go ogarnął, gdy zaczął modelować jej piękną głowę.

Pamięta, kiedy pierwszy raz przyszło mu na myśl złączyć los tego pięknego miłego stworzenia ze swoim losem, jak projekt ten powstał nieśmiało i jak zmilkł usunięty niepewnością i obawą, ale jak znowu powabnie wracał podczas bezsennych nocy.

Dziś myśl ta przychodzi znowu, ale bez śladu obawy i niepokoju; dziś przedstawia się mu w całej rzeczywistości, widzi ją zblizka, nabiera kształtów, oddycha jej ciepłem.

Przejęty radością, stanął przed popiersiem. Zanurzał się całą duszą w powaby ślicznej tej głowy, widział, jak usta się uśmiechają, przepaska spada z oczu, widział szczery

ich wyraz, jak spoglądają ku niemu z zaufaniem, jak dzisiaj rano.

W tem radosnem uniesieniu, stojąc przed jej popier-
siem, zdawał się ją widzieć żywą, w całej ponętnej piękno-
ści. A spoglądając w jej oczy, w stanie gorączkowego pod-
niecenia, w duchu z nią rozmawiał, i przed nią i przed
sobą czynił spowiedź z dotychczasowego życia.

Wyznawał, jak dotąd dręczył się niecierpliwością, że
nie dość szybko postępuje ku celowi swego artystycznego
marzenia; jak pocieszał się szklanką i marnotrawił najlep-
sze swe siły. Wyznawał, jak rozpaczał nad sobą, jak
wyrzucał sobie ostro, że nic z niego nie będzie, jak urągał
sam sobie, a czasami dochodząc w zwątpieniu do zenitu
chciał szarpać na sobie odzienie i iść się zabić gdzie na
ustroniu.

W takich chwilach chodził do najgorszych nór zapi-
jać swą rozpacz, zagłuszyć w sobie sumienie, które go drę-
czyło, że upadł tak nisko.

.

Ale nazajutrz budził się w jego duszy wstyd. Żało-
wał tego, co się stało, i czuł się bardzo nieszczęśliwym.

Przeciw wczorajszemu własnemu wyrokowi powstawał
nagle w duszy jakiś opór, gorączkowa chęć przekonania, że
ten sąd był fałszywy. Wtedy drżał ze wzruszenia, co
prędzej chciał dowieść samemu sobie, że jeszcze żyje, i za-
bierał się do pracy z podwójną energią. Uspokajało go
już samo dotknięcie palcami miękkiej, wilgotnej, zimnej
gliny. Gniótł ją nerwowo, nie wiedząc napewno, co utwo-
rzy z tej bezkształtnej, szarej masy.

Zaczął modelować głowę zupełnie mechanicznie, jakby
tylko chcąc pokazać, jak się to łatwo robi. Dopiero przy
pracy przychodziła mu myśl planu... Nieraz trwało bar-
dzo długo, nim mu się zjawiał w pewnych zarysach. Ale

często porzucał go i z nieopisanym uporem szukał nowego. Duch jego, przebudzony z uśpienia, pracował z całym napięciem sił. Chciał koniecznie dać dowód, że jeszcze nie jest stracony. A musiał go dać dzisiaj.

Wtedy zawsze uspokajał się, nabierał pewności siebie. Potem znowu pracował pełną parą, natchniony, nie pomnąc o niedawno przeżytej walce.

Nakoniec dzieło było skończone. Gorączkowo oczekiwała teraz dusza choć szczypty uznania, choć promyka zachęty.

Tymczasem następował nowy zawód, nowy upadek ze szczytu w ciemną otchłań. Obecna rozpacz była większa od poprzedzającej, a walka krwawsza niż dawniejsza.

Srogie tortury sztuki przechodziły jego siły, sto razy upadał, sto razy się podnosił i nie tracił nadziei. Ba, właśnie czuje energię większą niż kiedykolwiek, bo zdobędzie przeciw ogarniającej go rozpaczycy pewną tarczę: miłość dla Bożeny i jej wzajemność.

.

Spowiedź, odbyta przed jej popiersiem, dodała mu otuchy.

Szerokiem oknem pracowni wpływało wspaniałe światło pełną falą. Białe gipsowe odlewy, silnie oświetlone, rzucały ostre cienie na czerwoną ścianę. Na wilgotnej nasiąkłej glinie popiersia, na mokrych płótnach, na metalu pancerza, przyłbicy i mieczów, czerwona w odcieniu igrały promienie zachodzącego słońca, ponsowa zasłona przy oknie jakby się stała rzadsza, przepuszczała całe snopy jasnych promieni, tak, że całe wnętrze tenęło w powodzi czarownego oświetlenia.

Zegar z wolna wybił siódmą.

Wysokie nogi modelowych stołów rzucały długie cienie na podłogę i na dół przeciwległej ściany i przedłużały

się straszliwym, niepewnym cieniem studyów i szkiców, okrytych mokrymi gałganami. Takież ciemny, brzydki cień dawało popiersie dziewczyny: jako szkaradua, kończąca szeroka głowa cienkonogiego pająkowego potwora rysowała się na ścianie, a obok tego cieniu migał się mniejszy cień przechadzającego się rzeźbiarza, płaczący się między siatką innych cieniów, aż uwiązał w brzydkim czarnym cieniu popiersia, przed którym młodzieniec wzruszony znów się zatrzymał.

Zbliżył się do tej twarzy, która w różowym oświetleniu zdawała się przybierać nadziemski wyraz, twarzą swą zbliżał się coraz więcej, aż dotknął jej ust.

Chwila ta wydała mu się wielką i świętą. Zdawało mu się, że uczynił pierwszy krok do nowego, szczęśliwego i płodnego życia, pełnego wielkiej miłości i pracy. Ostrożnie otulił popiersie mokrą zasłoną i wyszedł z pracowni, aby przedstawić swym przyjaciółom rozkoszne swe marzenie jako spełnioną rzeczywistość, swój plan jako odniesione zwycięstwo.

— Zobaczą dziś we mnie już innego człowieka—mówił sobie po drodze i szedł dumny i szczęśliwy ulicami koło domów, których okna płonęły w świetle zachodzącego słońca.

V.

W małym pokoju winohradzkiej narożnej restauracji „U Trnków,” który znajdował się między obszernym bufetem z bilardem a drugą salą, taneczną, siedzieli za stołem trzej młodzi mężczyźni.

Siedzącemu na brzegu podawała właśnie kelnerka Fina, pełna blondynka, piwo. Przyszedł on przed chwilą

i zapalił długie wirgińskie cygaro. Potem położył obie ręce na stole, wygodnie się rozparł, a trzymając wirżynkę tak, że dotykała prawie wielkiego orlego, zaczerwienionego jego nosa, z satysfakcją wypuszczał dym cienkimi prążkami. Był on najstarszym z towarzyszków, miał jasne, rzadkie włosy, a nad czołem przeglądała mu łysina, wąsy zakręcone do góry i cienkie wargi kątami ku górze wzniesione i w tymże kierunku rozciągające się w uśmiechu; kąty te drgały nerwowo, tak, iż zdawało się, że człowiek ten ciągle śmiech tłumi.

— Czy znacie się, Żywocie, z panem Bareszem?—zapytał go sąsiad, siedzący po prawej stronie, wskazując siedzącego po prawej stronie, ze złotymi binoklami, o fryzowanych włosach i nawoskowanych wąsikach.

— Nie—zabrzmiało chrapliwie i niedbale z ust zapytanego, który przytem zaciągał się cygarem.

— Ale nazwisko Eugeniusza Lemarego znane wam jest z pewnością?—bardziej twierdząco, niż pytająco wyrzekł młodzieniec i dodał jakoś tryumfalnie:—Oto pan Eugeniusz Lemary, poeta i nowelista, inaczey praktykant przy zarządzie finansowym Eugeniusz Baresz, a tutaj—zwrócił się do zagorzałego palacza:—nasz przyjaciel Sikowski, którego między sobą nazywamy Żywotem, niegodziwy pajak, ściągający nas zawsze ku ziemi, kiedy młoda krew unosi nas pod obłoki.

Pan Lemary skłonił się i rzekł uprzejmie:

— Bardzo mi przyjemnie—i podał Sikowskiemu małą rękę, którą obejmował biały błyszczący mankiet, a której paznogie wzorowo były pielęgnowane.

Żywot mruknął coś niezrozumiałego i ścisnął białą rączkę swą kościstą wilgotną prawicą.

— A kiedy przychodzi Edek?—spytał pan Lemary, gdy Żywot nieubłaganie milczał, a trzeci towarzysz czuł się w przykrem położeniu.

— Wy znacie Werunskiego?—nieoczekiwanie z jakimś

współczuciem przerwał Żywot i wpatrzył się w Lemarego swemi blade-niebieskimi oczyma, o małych świdrujących źrenicach.

— Zналиśmy się będąc dziećmi—żywo wtrącił Lemary, kontent, że ma sposobność zagać rozmowę.—Nasi rodzice żyli z sobą dobrze. Ojciec mój był także radcą i kolegą starego pana Werunskiego, a matki nasze przyjaźniły się z czasów panińskich. Ale potem mój ojciec przeniósł się do Wiednia, tam więc skończyłem szkoły i zacząłem urzędować. Znam też dobrze i jego starszych braci, Emanu, budowniczego, i Fryderyka, który jest w kasie oszczędności. Oni są już żonaci, prawda?

— Tak, obaj. A jak świetnie! Fryderyk wziął starszą córkę krawca Jakubca, a Emanuel został zięciem przedsiębiorcy budowlanego, Hruszki. Ten się dopiero wzbogacił!

— Mam zamiar ich odwiedzić—wtrącił pan Lemary.

— Rozumie się!—śmiał się malarz Towara, trzeci z ich kółka:—obie te panie mają jeszcze siostrzyczki na wydaniu.

— Ładne?

— Nie w moim guście, szczególnie Tony Hruszkówna. Nic osobliwego. Tyczka z bezbarwną twarzą i rzadkimi włosami. Regina Jakubcówna—no—nie brzydka—wiecie—taka malowana lalka. Eda niegdyś miał ją na myśli.

— No i cóż?

— Cóż?... myślicie, że bogaty krawiec da swą córkę rzeźbiarzowi?

— Ale przecież każdy z Werunskich dostał po matce z jakie dziesięć tysięcy—rzekł Lemary.

— Tylko że Edzie mało co już zostało. Wiecie: rzeźbiarz początkujący! Dopiero teraz zaczyna mieć więcej zamówień. Ale przeżył dosyć. Dopiero po śmierci ojca, przed ośmiu laty, wstąpił do akademii.

— Marzył o tem jeszcze w gimnazyum, ale ojciec

mu nie pozwolił. Pamiętam, jak Edek rozpaczał, jakie to były awantury! Pan radca chciał z niego zrobić prawnika, a kiedy syn się opierał i gwałtem chciał do akademii, powiedział krótko: „Dobrze, pójdiesz do akademii, ale handlowej.” Biedny Edek użył za swoje! Zapisał się na modelowanie w technice, poznał się z kilku akademikami, a za ich pośrednictwem z rzeźbiarzem Quisem, u którego przebywał całe wakacje. W domu rzeźbił i dłubał; tego mu nie wzbraniali, ale do akademii—nie i nie! Do zabawki—owszem, ale na całe życie trzeba było czego pewniejszego, niż sztuka. A kiedy go ojciec umieścił w kasie oszczędności, dopiero mógł zadowolić swe zamiłowanie: całe popołudnie miał wolne!

— Lepiej było tam zostać!—przerwał nagle Żywot.

— Dlaczego?—spytał zdziwiony Lemary:—taki widoczny talent!

— Talent ma, ale artystą nie jest, kochanku. Mógł był się bawić, być dyletantem, ale być artystą, być tylko artystą, i to u nas! a w dodatku jeszcze rzeźbiarzem!...—aby wytrwać, trzeba mieć wielki zapas sił, kochanku, a on ich nie posiada. Ma talent i artystyczną naturę—ale artystą, wojownikiem sztuki, a w razie potrzeby i męczennikiem sztuki, nie jest i nigdy nie będzie.

— To nie prawda, że nie ma siły—bronił go malarz, —Kto porzuca stanowisko z pewną perspektywą na karierę, spokojne i wygodne jak w kasie oszczędności, kto oprze się poglądom i namowom całej rodziny i idzie wyłącznie za swoją myślą, kto stara się tak poważnie o pannę, jak on o Reginę, i raczej wyrzeka się jej, niżeli ukochanej sztuki, ten chyba już dowiódł siły woli.

— Jakto? On miałby się dla Reginy zrzec sztuki?—spytał pan Lemary.

— To pewna, że gdyby był został na urzędzie, byłby pannę Jakubcównę dostał, jak dostał jego brat jej starszą siostrę. Wszyscy mu radzili, aby się cofnął, a przyjęto-

by go napewno; z urzędnikiem byłby pan Jakubec inaczej się liczył.

— Ale rzeźbiarzowi rzekł pan majster krawiecki prosto: „To za wysoko, panie Werunsky!“ i koniec—dodał Żywot, podniósł kąty ust do góry, przymrużył oczy i kośćcymi palcami przetarł czerwony koniec zagiętego swego nosa.

— Zapewne artysta, według poglądów tego pana, może starać się tylko o córki stróżów i sklepikarzy—dodał Towara rozdrażniony.

— W poglądach tych zgadzają się wszyscy nasi miejscy panowie, kochanku! Przecież to zupełnie naturalne. Cóż chcecie?—niedbale dodał Żywot i spokojnie się napił.

— A żebyście znali tego pana Jakubca!—ciągnął dalej oburzony Towara:—ma się za wielkiego wielbiciela sztuki, syna oddał do akademii, zaprasza artystów do siebie chodzi z nimi i brata się nawet, daje się malować i modelować, ale żadnemu surduta nie uszyje, nie dopiero, żeby mu córkę dał. Ale ja go jednak kiedy wezmę!

— A co sądzicie o Werunskim jako o artyście?—spytał pan Lemary, aby przerwać chwilowe milczenie, które znowu nastąpiło.

— Indywidualny, prawdziwy talent, przyjacielu, głęboki, a zarazem delikatny. Ale powinienby się udać do Paryża, do Rzymu — uchwycić jeszcze doskonałości formy. Szczęście, że jest wolny. Ma świat otwarty.

— Słyszałem zarzuty przeciw jego formie—rzekł Lemary.

— Widzicie to tak,—żywo zaczął znowu malarz—przynajmniej podług mego zdania: im oryginalniejszy talent, tem trudniej wyrabia w sobie formę, bo do swych osobliwych pomysłów potrzebuje charakterystycznej formy, a tę musi wynaleźć; nie starczy mu szablon, rutyna—pracowicie odtworzyć ją sobie musi. A na to w swem podnieceniu często nie ma cierpliwości, porwany coraz nowemi myślami,

zostawia prace niedokończone, przebiega od jednej do drugiej.

— I dlatego właśnie nie jest zupełnym artystą, prawdziwym wojownikiem. W artyście musi być, kochanku, zarazem robotnik, w generale—prosty żołnierz. Tylko wtedy pracę swą doprowadzi do szczytu doskonałości, doczeka się owoców—zauważył znowu spokojnie Żywot i zastukał nożem w szklanę.

— Do tego każdy z czasem przywyka, i Werunsky to z czasem zdobędzie. Byle tylko się dostał za granicę! Uczyć się i jeszcze raz uczyć! Niech na to ofiaruje resztę swych pieniędzy. Przyniosą mu one należyty procent.

— I temu zaprzeczę. Eda więcej filozofuje niż tworzy, lub jeżeli chcecie—więcej się bawi. Pora się z symbolami, obmyśla, jak by co wyrazić, żyje tylko alegoryami, a każdą alegoryą chciałby przedstawić cały filozoficzny system. Gromadzi szczegóły, tylko aby nic nie opuścić, i czuje się szczęśliwym, jeżeli wpadnie na coś nowego, szczególnego. O wykonanie mu już potem nie chodzi. To nie sztuka, to zabawa, kochanku.

— On jest poetą—bronił go Towara.—Pomysły ma wspaniałe, głębokie.

— Ale dzieło zepsute, bo do wykonania braknie mu siły.

— Ach, ma siłę, wierz mi!

— A więc nie ma cierpliwości, wytrwałości, a skutek jednakowy. Krótko mówiąc: jest tylko w części artystą, któryby potrzebował pomocnika, aby wykonywał jego pomysły. Wtedy dopiero powstawałyby posągi jak się należy.

— O nieba, gdybym ja miał jego pomysły i jego pieniądze—rzekł Towara, a oczy mu się zaśkrzyły.

— To gadanie! Jesteście sto razy większym artystą, bo umiecie rysować i malować, a w dodatku wytrwać przy pracy. Wy zajdziecie wysoko, to pewne. A jak nie będziecie mieli, kochanku, kłopotów, to przyjdą też większe pomysły i projekty!

— Tylko żebym miał pieniądze! — marzył malarz

i uparcie wpatrywał się w płomień nafcianej lampy. Spojrzenie jego było jasne i pewne, bystre, przenikliwe i myślące. Czarna źrenica odcinała się ostro z jasnej emalii tęczówki, którą otaczało białko ze słabym, wilgotnym, niebieskawym odcieniem. Twarz jego miała prawidłowe ostre rysy. Piękny duży nos dodawał jej energicznego wyrazu. Czarna śpiczasto ostrzyżona broda i miękkie długie wąsy robiły go więcej interesującym.

— Dojdziecie do nich! Jesteście praktyczni, prawda? Wiecie, kiedy macie co zacząć i od czego. A w dodatku nie macie skłonności do kobiet,

— To prawda, żyję tylko dla sztuki. Zrobię ze swej żony panią malarzową, ale musi na to sama co ofiarować.

— To inny rodzaj filozofii, niż Edy. Darmo mówić! — i Żywot sięgnął znowu po pełną szklanekę; jakby uczuł gorczy na języku i chciał ją splókać; wypił piwo duszkiem i znowu niecierpliwie zastukał.

— Przepraszam — zwrócił się do niego teraz pan Lemary: — odmawiacie Edowi wszystkiego, nie wierzycie w jego przyszłość zupełnie?

— Chyba żeby się stało coś nadzwyczajnego — odpowiedział na jego pytanie Żywot, jakby wszystkie okoliczności dobrze rozmyślił i przenikł całą treść rzeczy. — Gdyby się stał takim bogaczem, żeby miał całe życie zapewnione, wtedy z jego zabawki mogłoby się wykluć coś wielkiego. Powoli wszedłby na właściwą drogę, bo miałby dosyć czasu; potem mógłby bawić się swymi planami, błędzić w swych marzeniach, jak przez sen nieznacznie dojść do tajemnicy formalnej doskonałości i ocknąć się pewnego dnia jako skończony artysta. Bywają takie dziwne wypadki. Trafiają się artyści z bogatych rodzin, którzy zaczęli amatorkstwem, a skończyli sławą. Ale ich sztuka była bardziej dziwaczna, lub przynajmniej egzotyczna, niż prawdziwie wielka. Do tego rodzaju Eda ma skłonność.

— No, więc niechaj choćby do tego dojdzie: byłoby już dosyć.

— Nie zapominajcie, że mówiłem tylko o takich, którzy mieli wszelkie warunki po temu, którzy mogli się otaczać całemi muzeami artystycznymi i archeologicznymi i którzy nie potrzebowali walczyć z przeszkodami. A ulegliby im, gdyby nie posiadali majątku tak jak ulegnie im Eda, jeżeli go nie spotka wyjątkowe szczęście.

— Piękna, kochająca żona...—dodał Lemary.

— Co tam piękna! Bogata, kochanku, bogata, kiedy to już ma być żona. Bogata, aby mógł spokojnie marzyć, nie kłopotać się o nic i pozwolić w zaciszu cieplarnianem rozwijać się kwiatowi swego talentu.

— A jeżeli wiatr zawieje?

— Jeżeli?—powtórzył Żywot i wpił w Lemarego swe bystre oczy.—to byłoby lepiej, żeby dziś jeszcze zarzucił glinę i wziął się do linji i cyrkla.

— Słyszycie!—zawołał oburzony Towara.

— Głos rzeczywistości, głos męża w marzeniach młodzienczych—twierdził poważnie Żywot, ale przytem jakby drwił sam z siebie, przeciągnął twarz i skrzywił się, jak kłown w cyrku.

— Głos pesymisty, sceptyka—dobitnie poprawiał go Towara, patrząc bardziej przyjacielsko niż gniewnie na starszego kolegę.

— No, pomyślności! kochanku!—mruknął Żywot, wziął szklankę i stuknął się z pozostałymi.—Powiniennem był mieć ten rozum pierwej, co?—śmiał się, ale w głosie jego brzmiało coś cierpkiego, tłumionego gwałtownie.

Szklankę wychylał za szklanką.

Dziwak ten zaczął zajmować Lemarego coraz bardziej; obserwował go też starannie.

Tymczasem w bufecie zaczynało być gwarniej. Przychodzili ubożsi rzemieślnicy w zmiętych letnich ubraniach, z długimi cybuchami w zaczerwionych palcach

i siadali leniwie znużeni za stołem. Ledwo wychylili po szklance, już zabierali się do gry w karty. Dwóch młodzików o słabowitym wyglądzie, zdradzających swe fryzyerskie powołanie, z zatłuszczonymi kołnierzami od surdutów, wzięło się do piramidki, paląc przytem papierosy. Stąpali koło bilardu cicho, jakby nie mieli podeszew. Sala napęłniała się dymem, w którym płomienie lamp nafcianych migły czerwonałem światłem. Przy jednym stole siedział samotnie stary łysy człowiek, z długą, rzadką białą brodą i przy słabem oświetleniu z trudem czytał „Narodni listy,” nachyliwszy się nisko nad niemi. Między stołami zręcznie przebiegła Fina, a w chwilach wolnych od podawania piwa, wyjmowała kule wpadłe do dziur w kątach bilardu, przyczem śmiała się z płaskich żartów graczy. Co pięć minut prawie otwierały się drzwi, i wchodziła nieśmiało bosa dziewczynka z koszykiem zapalek lub tacką bukiecików, albo młoda kobieta w przydeptanych pantoflach, wychudła i zbiedzona, obnosząc rzodkiewki, kwaszone ogórki, pomarańcze, cukierki, a nawet tanie zabawki. Wszystkie te biedne stworzenia przechodziły z bufetu do mniejszego pokoju, gdzie siedzieli nasi przyjaciele, dotąd sami, i napraszały się ze swym towarem. Żywot kupił już po raz trzeci rzodkiewki; Towara bukiecik z gwoździków, rezedy i bratków, a pan Lemary jedną pomarańczę. Żywot kupował z zasady, Towara dla Finy, a Lemary nie chcąc się dać zawstydzić.

Rozmowa się rwała. Z bufetu dochodziły tu wyraźnie uderzenia kul o siebie spokojne wychodzenie graczy w karty i głośne rozmowy bilardzistów, bieganie Finy, śmiech jej z usłyszanym dowcipów.

— Cóż to, że Poura nie widać? przecie już przyjechał?—spytał leniwie Towara.

— Widziałem go dzisiaj: w nowym garniturze udaje wielkiego pana. Może do nas nawet nie zechce przyjść. Ale niechaj go tam!—dodał Żywot niechętnie.

I znowu nastąpiła chwila milczenia.

Aby ożywić zabawę, a pewno także, aby wykazać swe zdolności, pan Lemary wszedł niespodzianie do ciemnej tancerznej sali, otworzył wieko pianina, siadł i zaczął grać walca z „Wesołej wojny.“ Towara zawołał Finę, aby przy nim siadła.

Wtem otworzyły się drzwi z bufetu, i wszedł Werunsky. Twarz jego pałała, oczy błyszczały, a na ustach nie mógł wstrzymać uśmiechu. Fina wstała natychmiast, przywitała go i poszła po piwo.

Rzeźbiarz podał przyjaciółom rękę i serdecznie uściskał. W tej chwili wrócił pan Lemary z sali, i obaj towarzysze lat dziecinnych przywitali się szczerze.

— To z ciebie poczciwy chłopak, żeś przyszedł do naszej knajpy!—wesoło rzekł Werunsky.

— Przecież przyrzekłem ci wczoraj, że przyjdę do was zawsze, jeśli tylko będę mógł.

— Jak ci się podoba tutaj? Siadujemy tu sami, jesteśmy jak w domu. Możemy szczerze pogadać.

Tymczasem Fina przyniosła szklanekę i postawiła ją obok Sikowskiego. Lemary siadł troszkę dalej.

— Przyjaciele, dzisiejszy wieczór musi być szczególnie wesoły—zaczął, siadając, Werunsky.—Rzadko kiedy bywam tak szczęśliwy, jak dziś.

— Uwaga! Werunsky zaczyna mowę—ostrzegął ucieszony Towara.

— Wygrałeś, żeś taki uradowany?—wtrącił Żywot.

— Zgadłeś: wygrałem!--rzekł, uśmiechając się, rzeźbiarz.

— No, to będziesz dziś fundował!—dodał Żywot.

— Spotkało mnie szczęście w postaci pięknej, zacnej dziewczyny.

Całą drogę przygotowywał się Werunsky, jak to towarzyszom oznajmi; umyślnie w tym celu nałożył drogi, a teraz zdawało mu się, że powiedział to jakoś niezręcznie, bez głębokiego wzruszenia. Wzrokiem śledził wywołane

wrażenie, nie mógł mówić dalej, czekał co na to powiedzą. Był zawstydzony i onieśmielony. Spostrzegł ich poważny wyraz twarzy, nie biorący udziału w jego radości; zdawało mu się, że nagle wszyscy go opuścili.

— I cóż dalej?—spytał sucho Żywot.

— Kocham ją i ożenię się z nią—odrzekł cicho i nieśmiało Werunsky.

Ochłódnął z zapалу, bo doznał bolesnego zawodu. Oczekiwał, że po pierwszych słowach przyjaciele jego będą zdziwieni do najwyższego stopnia, ale że potem opamiętawszy się, zaczną mu wieszować, pić za jego zdrowie i nie tylko za jego zdrowie, lecz i za jej zdrowie, że będą go wypytywali o nią, a on będzie im opowiadał cały wieczór, całą noc, do rana! O niej, o swem szczęściu, o swych nadziejach, planach, i znowu o niej, jaka jest piękna, dobra, miła. A tymczasem Towara patrzył na Sikowskiego, który się drwiąco wykrzywił i bąknął przez zęby:

— Waryactwo!

— Żartujesz, czy prawdę mówisz?—spytał nakoniec malarz, uśmiechając się niepewnie.

Tylko Lemary podał po chwili Werunskiemu rękę i rzekł uprzejmie:

— Życzę ci z całego serca szczęścia.

Werunsky uchwycił podaną prawicę, ścisnął ją serdecznie i wyrzekł drżącym głosem:

— Dziękuję ci serdecznie, Izo... nigdy ci tego nie zapomnę.

Widząc to, Towara teraz dopiero przechylił się przez stół i, uśmiechając się, po koleżeńsku wyrzekł:

— Więc to prawda? Pomyślności tedy! Niech żyje twoja wybrana!

Werunsky schwycił szklanke. Przykre wrażenie się rozwiało, i oczy mu zabłysły.

— Głupstwo! — mruknął gniewnie Żywot. — Co pleciesz?—zwrócił się do Werunskiego.—Jaka to komedia?

Aczkolwiek rzeźbiarz przywykł do dziwactw Żywotowych, niemniej jednak czuł się dotkniętym jego postępowaniem. Upór błysnął mu w oczach i oblał całą twarz.

— Przepraszam, — rzekł poważnie — ale to najmniej odpowiednią chwilą do żartów.

Żywot spojrział nań z cierpkim uśmiechem.

— Ty—ty—ty, młokosie, — mrucał — ty mnie będziesz uczył!... Co pleciesz, że się żenisz? Na co? Miej przecie rozum!

Werunsky postawił szklanke i, zwróciwszy się do Żywota, starał się mówić spokojnie i poważnie:

— Słuchaj, tyś dobry człowiek, często mówisz prawdę, kochasz mnie i ja ciebie także. A więc mówię ci teraz jak najszczerzą prawdę: żenię się, bo kocham i chcę być szczęśliwym, spokojnie pracować i zmienić dotychczasowy tryb życia.

— Proszę cię, Edo, czy nie pojmujesz, że gadasz głupstwa! Czy ta, o której mówisz, ma dobra?

— Jest zupełnie uboga.

— A więc ty masz majątek, lub może dostaniesz zamówienia po pięć tysięcy?

Werunsky panował nad sobą, aby nie uległ rozgoryczeniu, które wzrastało przy każdym słowie Żywota. Ten człowiek, którego tak cenił za jego szczerą otwartość, za to, że widział w nim uosobienie doznanego zawodu i rezygnacji, pod przybraną maską obojętności, a czasem i cynizmu ten człowiek, któremu wszystko wybaczał, ponieważ domyślał się, że ma prawo być przykrym i surowym, — ten obraża go boleśnie i stara się go odwrócić od uczciwych zamiarów i strącić w otchłań dotychczasowego życia, która ziała trucizną!

I wydało się Werunskiemu, że ze słów Żywota przemawia zawiść, że człowiek ten nawskroś jest przesiąknięty jadem swego losu i że jak sam się rzekł dla siebie wiary w przyszłość, tak stracił ją względem innych.

A kiedy tak na niego patrzył, współczuł mu głęboko, ale zarazem zdawał sobie sprawę, jak daleko odsuwa go osobiste jego szczęście od tego człowieka, któremu został tylko ironiczny uśmiech na świecie. Dlatego odpowiedział tylko przez grzeczność, spokojnie, w myśl swego przeświadczenia, z całą oględnością:

— Uważam za konieczny warunek udatnej pracy spokojne rodzinne życie. Jeżeli będę prowadził nadal dotychczasowy żywot, daleko nie zajdę. Czemu marnować najlepsze siły na stłumienie pragnienia miłości i szczęścia. Kiedy samo podaje nam rękę? Dopiero człowiek miłością upojony może pełną, niepodzielną siłą zabrać się do pracy i tworzyć wielkie dzieła. Dla artysty zwłaszcza ten warunek jest konieczny.

Chociaż chciał odpowiedzieć krótko, dał się porwać ważnością sprawy i zaczął objaśniać wygłoszone zasady, do czego też pobudzał go wyzywający uśmiech Żywota.

— Weźmy dotychczasowe me życie—ciągnął dalej:—czem ono było? Walka! Walka z pracą, z pragnieniem, z namiętnością, z rozpaczą całymi dniami. A wieczór? Szklanka, knajpa, morderstwo na duszy. Czy ma być tak nadal?

Rozejrzawszy się po towarzyszach Werunsky chciwie się napił.

— Nietylko ja, lecz wszyscy żyliśmy tak. Ale ja nie chcę, aby to dłużej trwało. Niech walka z pracą nie ustaje, ale przynajmniej ubędzie mi bój z pożądlivością, z namiętnością, bez nadziei zwycięstwa. Ustanie rozpaczliwe zabijanie samego siebie, bo miłość będzie wspierała. pocieszała w zawodach, pobudzi siły, będzie lekiem, nie jadem dla ran. Ustaną wieczory, w których się dąży do zapomnienia, w których tępi się szlachetne popędy, stara się znieczulić na wszelkie bóle, a nadejdą wieczory, w których będzie się czerpało siły i natchnienie do pracy. To będzie inne, lepsze, szczęśliwsze życie. to będzie ratunek.

Werunsky umilkł i z pałającą twarzą i błyszczącymi oczyma oczekiwał, kto mu się odważy zaprzeczyć. Żywot ściągnął wyżej kąty ust, na których zjawiało się nerwowe drganie. W uśmiechu jego było coś drwiącego i cierpkiego zarazem, a w milczeniu coś pogardliwego, ale jednocześnie przebijało się współczucie. Werunsky widział w niem umyślne maskowanie porażki i rozczulenia, i dlatego opuściła go duma z odniesionego zwycięstwa i uczył gwałtowną potrzebę powiedzenia kilku słów łaskawszych temu człowiekowi, który zapewne w czasie jego mowy porównywał całe swe nieszczęście do szczęścia, ufności i spokoju młodszego przyjaciela!

— Nie przypuszczaj, że nie uznaję twej szczerzej troskliwości. Owszem przyznaję, że byłoby lepiej, gdyby obok miłości i spokojnego życia rodzinnego był jeszcze majątek. Wiem, jak wielkie ma on znaczenie, i nie lekceważę go. Wiem, czem dla artysty jest męcząca walka o byt. Ale co robić? Pokazywano nam drzwi. Artysta! Gdzie możesz zakolatać? Tylko do niezamożnych rodzin, jeżeli masz uczciwe zamiary i chcesz postępować honorowo! Półki życia, nie chciałbym spróbować drugi raz odmowy. Mam dosyć jednej. Wiesz—Regina...

Werunsky prędko się napił i ciągnął dalej:

— Wiesz, ja chcę pokazać, że nie potrzebuję się prosić. Na złość im! Z ubogą dziewczyną! Dowiodę im, że się bez nich obejde, że utrzymam się sam. Na przekór im, będę szczęśliwy.

Drwiący uśmiech nie zniknął z ust Żywota, ale oczy jego z wyrazem współczucia spoczęły na Werunskim, a głos jego brzmiał bardziej ochryple, niż wprzód, jakby ze wzruszenia.

— Jak się prześpisz, opowiem ci moją historię. Ja także niegdyś tak głupio dowodziłem, ale ja miałem obowiązek. Ty go nie masz, dlatego rozumowanie

twoje jest jeszcze głupsze. A zresztą dajmy temu pokój. Pij, a jak się prześpisz, to ci wywietrzeje z głowy.

Ton mowy uraził rzeźbiarza niezmiernie; z pogardliwym współczuciem spojrzął na Żywota:

— Tyś żywcem pochowany!—rzekł i odwrócił się od niego.

Najchętniej byłby wstał i wyszedł, ale wyglądałoby to na ucieczkę ze złości. Został więc, ale przyrzekł sobie, że w tem towarzystwie ani słowem nie wspomni o swej miłości. Nie pojowali go. Żywot jest cyniczny, Towara obojętny. Na co się im, lub przed nimi, zwiierać? Zawiódł się na nich; czuł, że dawniejsza przyjaźń dla nich topnieje mu w sercu, i w przykrem tem przekonaniu chciał sobie ulżyć w duchu, upierając się dzieciennie: „Obejdę się bez przyjaciół, przecie będę miał żonę. Jestem zadowolony, że nie będę potrzebował dbać o was. Dowiodę wam tego!”

Zaczął mówić o obojętnych rzeczach. Pozostali nie dotknęli też więcej drażliwego przedmiotu, z obawy bezwzględności Żywota. Ten siedział milczący, palił tylko i pił. Oczy zaszły mu krwią, a ironiczny uśmiech zniknął. Milczał i ciężko oddychał. Zabawa, dla której się tu zeszli, nie udała się. Koło jedenastej Towara z Lemarym zabierali się do odejścia. Werunsky długo czekał na wyjście Lemarego, chciał pójść z nim, miał serce przepelnione, ale Towara sparaliżował mu plany. Przed nim nie miał zamiaru wynurzać się. Żegnając się z Lemarym, serdecznie go zapraszał, aby go odwiedził.

Został sam z Żywotem. Siedział milcząc i patrzył do bufetu. Łysy gość przysiadł się do graczków i przerywał im grę wywodami politycznymi. Młodzieńcy śpiewali, a Fina siadła za ich stołem. Stancya była pełna dymu; na wszystkich obecnych znać było znużenie lub upojenie. Mówiono głośno, jeden starał się przekrzyknąć drugiego,

i dochodziło już do ostrych wyrazów. Sprzedający przestali krążyć, tylko jedna baba z rzodkiewkami przyszła jeszcze przed północą. Nikt nie kupił, tylko podkiwiali z niej sobie.

Werunsky czuł, że piwo uderza mu już do głowy. i zabierał się do wyjścia. Naraz wszystko mu już zbrzydło w tej restauracyi, gdzie od roku przeszło trawił codzień wieczory.

Żywot go zatrzymał. Zwrócił nań mętny wzrok, objął go za szyję, podniósł drugą ręką szklanę i rzekł, bełkocząc:

— Wiesz... ty ją kochasz—niema rady—biedaku—niema! Masz moje serce... A więc za jej zdrowie!

Werunskiemu oczy się rozjaśniły. Stuknął się i rozgadał o niej. Właśnie, że uboga, nie będzie miała wymagań... Zżyje się ze wszelkimi warunkami. Nie będzie mu nigdy czyniła wyrzutów. Zawsze go będzie kochała. Taką żonę powinien mieć każdy artysta: prostą, dobrą, szczerą!

Rozpalał się, mówił tylko o niej i co chwila pił za jej zdrowie.

Była druga godzina, kiedy z Żywotem wyszli jako ostatni goście. Obaj szli niepewnym krokiem i z zaproszonemi głowami. Werunsky miał łzy w oczach, ale uśmiech na ustach. Wychodząc, bełkotał do przyjaciela:

— Widzisz... to było ostatni raz, teraz zmienię sposób życia na poważny i szczęśliwy! Stanie się ze mnie prawdziwy artysta, wielki artysta!

Krzyczał prawie, taczając się obok przyjaciela na pustych ulicach.

VI.

Werunsky od czternastu dni nie pracował nad swym posągiem, bo nawet bardzo rzadko zaglądał do pracowni. Nie mógł w niej wytrzymać; miał inne ważniejsze zadanie. Czem była dla niego zimna, martwa figura Szczęścia, kiedy żywe, prawdziwe szczęście do niego się uśmiechało, kiedy zbliżał się do niego coraz bardziej i coraz więcej zaciągał pęta, które go miały związać z niem na zawsze? Już nietylko marzył o niem, lecz chwycił je obiema rękoma, przytulał do siebie, a wiarę w jego wzajemność wyczuwał każdym nerwem, każdym tchnieniem swej istoty; uczucia takiego doznawał po raz pierwszy w życiu, rozpływał się w szczęściu.

Wszystko szło gładką, jakby dawno ubitą drogą.

Nazajutrz po owym wieczorze, kiedy się zszedł po raz ostatni ze swymi przyjaciółmi, przyszła sama do pracowni. Wzruszona, prawie płacząca... Nie oczekiwał jej i rozmyślał właśnie, gdzieby i jak najlepiej wyjawić jej swą miłość i swe nadzieje i zamiary. Dziś jeszcze więcej zdecydowany był na krok stanowczy, niż wczoraj. Choćby na przekór swym towarzyszom, aby dowieść, że nie gadał na próżno, że rozważył dobrze swoje zamiary na przyszłość, i że pójdzie swoją drogą pomimo wątpliwości i drwin całego świata. Gdy weszła w czarnej koronkowej chusteczce, tak, jak z domu naprędce wybiegła, pośpieszył naprzeciw niej i nie dał przyjść do słowa. Z początku jękając się, nieśmiało zaczął opowiadać, co wczoraj przecierpiał; powoli wyznania miłości i nadziei popłynęły wezbraną falą przez usta. Czuje dotąd, jak ją porwał w objęcia, i jak mu dała odpowiedź uśmiechem przez łzy, kiedy uniesiony prądem uczucia, odważył się ją pocałować.

Potem zaraz wybrali się do jej ciotki. Wkrótce tam poznał, czemu jego Boża często tak smutne miała spojrzenie, dlaczego dziś przysłała do niego prawie z płaczem. Nieznane dotychczas uczucie radości, zmieszanej z dumą, przejęło go, gdy się przekonał, że on właśnie będzie tym, który ją stąd wybawi.

W pierwszej chwili zasypała ciotka Bożenę bezwzględniemi wymówkami, że niewdzięcznica za jej plecami schodzi się Bóg wie z kim, poczem nastąpiło niedelikatne wypytywanie Werunskiego o jego stosunki, a nakoniec bezmyślne dowodzenie, że ona, ciotka, będzie kiedyś odpowiedzialna przed Bogiem za szczęście Bożeny, że dziewczyna nie ma nikogo prócz niej, że ją przygarnęła i zajęła się nią, że chociaż sama dużo nie ma, ale przecież wolałaby niewdzięczną żywić jeszcze z rok, niż ją byle jak wydać za mąż. Pani Szwejnowa przez słowo „rzeźbiarz” rozumiała włóczących się handlarzy gipsowych koni i popiersi, którzy zabieleni i uwalani chodzą wieczorami po restauracjach, narzucając swój towar za wygraną na loterji, i dlatego mówiła otwarcie.

Werunsky panował nad sobą i cierpliwie jej wykladał, ale sklepiczarka zrobiła się przystępniejsza dopiero wtedy, gdy ją zapewnił, że ma gotówkę półtrzecia tysiąca guldenów; na razie, co prawda, uraziła go powątpiewaniem, ale zapewnienie artysty, że jeszcze dziś może jej przedstawić dowód prawdziwości swych słów, uspokoiło ją cokolwiek, a rzeźbiarz rzeczywiście tegoż dnia jeszcze przekonał ją, że nie kłamie. Potem już nie miała nic do zarzucenia, proponowała tylko, że jak się Werunsky ożeni, mógłby sobie założyć jaki handel, zaręczając, że to jest najlepszy sposób zapewnienia sobie bytu, sposób, który nigdy nie zawodzi. Nakoniec pozwoliła Bożenie wychodzić z narzeczonym na miasto, a jemu odwiedzać ją wieczorami w domu.

Wieczory te były dziwne. Otoczenie dla Werunskiego nie było przyjemne, ba! nawet nieraz wstrętne, ale znosił

wszystko z poddaniem się, byle tylko być blisko swej Bożenki. Przesiadali razem w kuchence za sklepem. Nie zwykli przebywać w kuchni, doznawał tam przykrego wrażenia. Co chwila wchodziła tu pani Szwejnhowa w swych berlaczach i zaczynała niemiłą dla niego rozmowę. Uważała, że nie-szczęściem wszystkich dzisiejszych młodych mężczyzn jest to, że każdy chce uchodzić za wielkiego. Dlatego teraz spotyka się tyle biedy. Oni powinni urządzić sobie gospodarstwo jak najskromniej. Pokój i kuchnia najwyżej. Sługi nie potrzebują. Taka zdrowa, silna kobieta może przecież wszystko zrobić, zwłaszcza póki nie ma dzieci. Ona, co prawda, ma zdolności na wielką panią, ale on niechaj na to nie pozwala. Dopiero u ciotki nauczyła się trochę robić, bo musiała. Niczego nie wolno tu się było wstydzić, musiała prać bieliznę i szorować kuchnię. To byłoby kiepsko, gdyby się nie chciało! Tylko ten, kto oszczędza, może co zebrać, ale kto udaje pana, a nie stać go na to, narobi tylko długów. Żadnych zbytków do gospodarstwa nie potrzebują kupować, tylko co najpotrzebniejsze. Meble skromne, malowane, zupełnie im wystarczą. A ona sama da im szafę, która teraz stoi na strychu.

Bożena wstydziła się tego gadania i, rumieniąc się, błagającym wzrokiem spoglądała na Werunskiego.

Czasami siadywała z nimi Lida, która już zżyła się ze swem położeniem, rada była z losu, jaki robiła Boża, nie zazdrościła jej.

Bożenę drażniło to jej poddanie się, i trochę wstydziła się za siostrę, która się ubierała jak sługa i godziła się z zasadami, wygłaszanymi przez ciotkę.

Najbardziej jednak raził Werunskiego syn pani Szwejnhowej, Franek, czeladnik rzeźnicki, który wieczorami przychodził do matki w kaftanie drelichowym i zakrwawionym fartuchu. Wtrącał się nieustannie do każdej rozmowy, zachowywał się ordynarnie i traktował artystę po koleżeńsku. Były chwile, że Werunsky chętnie byłby

uciekł z tego otoczenia, gdzie prostactwo czyhało z każdego kąta, czasami brzydził się na samą myśl, że ludzie ci będą mieli jakie prawo do niego, i że on, bierze na siebie pewne obowiązki względem nich, że stanie się ich krewnym, a że ich poufałości, która go teraz razi, nie będzie mógł się pozbyć przez całe życie, lecz powlecze te stosunki do grobu. Wspomniał dzieciństwo swoje i młodość, które spędził w elegancko urządzonej mieszkaniu swych rodziców: z synkiem pana radcy obchodzono się jak z księżątkiem, z Edziem nie wolno się było bawić nawet synowi kupca, mieszkającemu w tymże domu. Wspomniał lokale swych braci szykownie umeblowane, bogatych krewnych ich żon, i ogarnęło go przykre uczucie żalu. Ale wkrótce wstydził się swej słabości i otrząsał z niej. Jedno spojrzenie na piękną twarz Bożeny, siedzącej obok niego, z taką wiarą i ufnością, zmieniało gorycz w poczucie dumy, że do niego będzie należała ta piękna istota, ta kobieta, godna zazdrości, że on jej zapewni szczęśliwą przyszłość, że wyprowadzi ją z tego nieodpowiedniego towarzystwa. Ba, nawet uczyni ją żoną sławnego człowieka! Który z jego braci dokaże tego? Żony ich tej kobiecie ze sklepiku zazdrości będą.

Pod wpływem tych myśli, godził się z losem i z dumą na nią spoglądał. A zresztą, jak tylko się pobiorą, usunie się od wszystkich tych krewniaków; przecież żeni się tylko z nią: cóż go familia obchodzi?

Dlatego też nalegał na to, aby ślub odbył się co prędzej. Tegoż tygodnia, gdy się oświadczył pani Szwejnowej, pojechał z Bożeną do Zejwic, do jej opiekuna, buchaltera z tamtejszej cukrowni, który, zbadawszy sumienie warunki rzeźbiarza, nie robił trudności, lecz całym sercem powitał narzeczonego córki swego kolegi; potem poszli oboje na probostwo, a następnie odwiedzili obie siostry Bożeny, służące w zamku. Ta wycieczka na prowincję, szyb-

kie załatwienie niezbędnych formalności uspokoiły Werunskiego i wprawiły go w najlepszy humor.

Ale do najszczęśliwszych chwil, jakie przeżył w swem życiu, liczył te, kiedy chodził z Bożeną po Pradze robić obstalunki i kupować różne rzeczy, potrzebne do gospodarstwa. Wtedy mieli mnóstwo przyjemnych narad i kłopotów, które wprowadzały go wprost w zachwyty. Zachwyty ten stopniowo przechodził w niewysłowioną radość, kiedy w szybach bogatych wystaw, w wielkich lustrach sklepów, do których wchodzili, widział przy swym boku powabną, piękną postać swej narzeczonej, o twarzyczce oblanej blaskiem młodości, odbijającej wewnętrzne szczęście.

Naturalnie, że młoda para nie rządziła się radami cioci Szwejnohowej. Zgadzała się zupełnie z sobą, żeby urządzić swe gniazdko jak najmilej. Nie zbyt kownie, lecz wygodnie i z gustem. Rozstrzygał po większej części artystyczny zmysł rzeźbiarza, i kupowano nieraz rzeczy zbyt kowne i drogie dlatego tylko, że Werunskiemu podobało się ich odrobienie. Bożena trochę odradzała, trochę upominała, w końcu stawało się podług jego woli. Nawet nie mogła mu zakazać: przecież kupował wszystko za swoje pieniądze i tłumaczył, że czego nie zdobędą teraz, tego potem, gdy przybędą inne kłopoty, tembardziej nie sprawią, choćby nie wiem jak potrzebowali. Ona dawała się łatwo przekonać, ale widząc, jak pieniądze płyną, czuła niepokój i zarazem przykry żal, że wszystko załatwia on, co właściwie powinna wnieść panna młoda. Oczy jej wtedy zachodziły łzami, i spoglądała nań wdzięcznie i jakby z prośbą o przebaczenie. On czytał dobrze jej myśli i tak był przejęty jej delikatnością, że miał nieprzepartą chęć ucałowania jej na ulicy, i zapewniał ją, że dla niej niema dość wielkiej ofiary, że wszystko ponosi z radością i rozkoszą.

Mieli już i mieszkanie wynajęte. Nie namyślając się

długo, najął Werunsky na Halkowej ulicy dwa widne pokoje z kuchnią i przedpokojem; mieszkanie to już od początku sierpnia było wolne, a więc mogli się sprowadzić lada dzień. Ale ślub z powodu różnych formalności urzędowych i kościelnych musiano odłożyć na początek października, a więc mieli dosyć czasu urządzić wszystko jak należy.

Serce im biło radośnie, gdy poprzedzani przez stróżkę, szli do nowego mieszkania. Niezwykle przyjemne ogarniało ich uczucie, kiedy stojąc pośród próżnych ścian, układali sobie, gdzie co postawią: tu kredens, tam umywalnia, tu kanapa, a tam między oknami gustowna żardinierka na kwiaty, między których zielenią urządzają małe akwaryum ze złotymi rybkami i sztucznymi skałami. Nad akwaryum klatka, z kanarkiem, który rano będzie ich budził, bo tu także będzie ich sypialnia, z meblami z jasnego dębu o rzeźbionych ozdobach. W kątach ustawią słupy z figurami, na ścianach rozwieszają akwarele jego przyjaciół, ówdzie postawią piękną konsolę z popiersiem lub figurką. Robiąc te plany, rumienili się oboje i tylko z pod oka na siebie spoglądali.

Raz, gdy szli do mieszkania przekonać się, czy pomalowane podłogi wyschły, spotkali na schodach pierwszego piętra kobietę około lat dwudziestu pięciu wieku, średniego wzrostu, z drobną twarzą, o nosie trochę za wielkim i zaczerwienionym, ale o nader dobrem spojrzeniu i małych, uśmiechniętych usteczkach. Zadziwiony Werunsky pozdrowił ją, a ona odpowiadając, na ukłon, zaczerwieniła się i drobnymi krokami zbiegła na dół.

— Znasz ją?—spytała Boża.

— Siostra dawnego mego kolegi z kasy oszczędności Fichtra.

— Panna?

— Tak, dotychczas na wydaniu. Biedaczka najpewniej będzie siała rutkę, chociaż ma posag.

— Duży?

— Z piętnaście tysięcy. Ale czemu cię tak obchodzi?

— Bo się tak zaczerwieniła...

— Jak też wy, kobiety, na wszystko zwracacie uwagę! — zauważył z uśmiechem Werunsky i spojrzął na Bożenę. Sam jednak pogonił myślą za dopiero co spotkaną znajomą.

Tę mógł być dostać rzeczywiście. Zdaje się, że nie był jej obojętny. Przynajmniej brat jej mówił z nim znacząco o siostrze, ostatni raz przed rokiem. Jest miła, dobroć wcielona — ale biedactwo nigdy nie wzbudziła w nim żadnego uczucia; nawet się nią nie interesował. Zapomniał o niej zupełnie, aż tu dziś spotyka ją, i to idąc z narzeczoną! Może tu wypadkiem mieszka?

Kiedy odchodzili, spytał stróża. Rzeczywiście, pan Fichter sprowadził się tu już od maja. Wiadomość nie była dla Werunskiego pożądaną. Po co tej biedaczce robić przykrość? Ale zresztą, cóż go ona obchodzi?

IV.

Czasami, wyszedłszy ze swego mieszkania, wstępowali do pracowni na ulicę Komeńskiego. Tu miała teraz Bożena masę do roboty. Łajała Werunskiego, jak może tak wszystko zostawiać w zaniedbaniu. Płótna na modelach wysychały prawie zupełnie, glina żółkła, twardniała, a nawet w niektórych miejscach zaczynała pękać. Odlewy, poustawiane na półkach, pokryły grube warstwy kurzu, a starożytny zegar pod szklanym kloszem stanął nienakręcony.

Szybko zdejmowała Bożena kapelus: i kładła para-

solkę, ściągała rękawiczki, a podkasawszy sukienkę, ostrożnie zdejmowała zeschnięte płachty, maczała je i wyżywała, a wzięwszy ręczną sikawkę, z której tryskała woda licznymi cienkimi strumieniami, polewała szkice i popiersia; głośno śmiała się, gdy woda rozpryskana drobniutko spadała jak deszcz na schnącą glinę, która pochłaniała ją łakomie, ciemniejąc i nabywając połysku, a zbytek jej spływał delikatnie, nie naruszając kształtów modeli. W napadzie dziecinnych figlów skierowała nieraz prąd wody i na Werunskiego, a gdy ten uciekając, chciał się schować, z wesołym hałasem, goniła po pracowni, śmiejąc się przytem dźwięcznie. Załatwiwszy się ze szkicami i modelami, brała krzesło, i wszedłszy na nie, zaczynała ostrożnie i zgrabnie okurzać wszystkie odlewy, a za każdym razem, gdy musiała zejść z krzesła, aby je posunąć dalej, czekał na nią Eda, chwycił ją, zarumienioną i rozgrzaną robotą, w objęcia i całował gorąco, namiętnie. Wyrywała się mu z rąk—była silna i zręczna—kryła się za stoły, za piec, do sionki, i znowu gonili się, drażnili, godzili i układali jak dzieci; on prosił, ona groziła, on całował, ona biła, a obojgu krew uderzała do głowy, piersi się szybko podnosiły, oczy błyszczały, a serce biło.

Dokazując tak, przewrócili jednego razu podstawę z popiersiem Jakubca. Z przerażeniem spojrzała Bożena na Werunskiego. Ale on śmiał się i deptał nogami mokrą glinę i, żartując, mówił:

— Co on mię teraz obchodzi?... dobrze mu tak!. I tak była to wstrętna robota.

A objąwszy niepokieszoną dotąd dziewczynę, całował ją w czoło, oczy, usta.

— Upokorzył się na widok naszego szczęścia. Głupiec jakiś, widział, że nam zawadza. Do widzenia, panie Jakubcze!—wołał, rozigrawszy się na dobre.

Humor jego wzrastał. Chciwie pił pieniste, upajają-

ce wino pierwszej miłości, tonął w rozkoszy i czarach tych słodkich chwil, jakich nie spodziewał się być nigdy, ani nawet o nich marzył. Zapomniał o wszystkim, o przeszłości, o przyszłości, o przeżytych upokorzeniach i wielkich planach, a wszystkie siły jego, cała dusza rozplywała się tylko w szczęściu chwili obecnej. Teraz już odczuwał, jak piękny jest wstęp do tego nowego życia, które zaczynał; nie śmiał nawet marzyć, jak czarownie rozkoszne będzie nadal to ich pożycie.

Sama Bożena zaczynała nieraz mówić o przyszłości.

Lubiła bardzo mówić o posągu Szczęścia; cieszyło ją niezmiernie, że do głowy tej figury była modelem, i przewidywała w tem dobry znak na przyszłość.

— Nie tylko głowa, lecz cały ten posąg będzie twym obrazem — odpowiedział uradowany rzeźbiarz. — Zaraz po weselu wezmę się do roboty. Moja żoneczka przyjdzie i nie będzie już stała tak bojaźliwie, ale jeszcze trochę nieśmiało w lekkiej sukience, bosą nóżką... Prawda, moja gołąbeczko?

I znowu ścisnął ją i całował, zarumienioną po uszy

Stworzę dzieło, którego mi pozazdroszą, stworzę wyobrażenie prawdziwego, rzeczywistego, pełnego szczęścia! Nikt na świecie nie mógłby go lepiej odtworzyć, bo któż na świecie poznał i czuje takie szczęście, jak poznałem i odczuwam ja?

W takich chwilach mniemali oboje, że są powołani na istoty wyższe; oddalali się wtedy od ziemi i unosili ku niebu.

Pewnego popołudnia, zbliżając się z Bożeną do pracowni, spotkał listonosza, pukającego do drzwi. Przynosił mu list. Roztworzył go prędko, przeczytał i wsunął do kieszeni. Bożenie powiedział, że chodzi o jakieś nowe zamówienie. Tymczasem to był anonim, który brzmiał tak: „Szanowny panie! Czemu dobrowolnie zagrzebujecie się z dziewczyną ubogą i w dodatku z takiej rodziny? Czemu

walce o byt otwieracie drogę do swego domu, mogąc ożenić się z panną zamożną, która was kocha? Jako artysta, powinniście bardziej dbać o to, abyście mogli żyć wyłącznie dla sztuki, bez troski o chleb powszedni. Rozważcie to dobrze, macie jeszcze czas. Jeżeli list ten zrobił na was wrażenie, odpowiedzcie poste restante pod godłem: „Byt zapewniony.” — Wasz prawdziwy przyjaciel.”

Werunsky był pewny, że nikt inny tego pisać nie mógł, chociaż charakter pisma zmieniono, tylko były jego kolega, Fichter. Przekonywała go jeszcze bardziej ta okoliczność, że list ten otrzymał wkrótce po spotkaniu się z jego siostrą. Nie gniewał się, nie miał tego środka za złe nawet pannie Fichterównie. Czując grożące niebezpieczeństwo, chwyciła się tego sposobu, nie rozważając, ani wybierając długo.

Biedactwo!

Werunskiemu żał się jej zrobiło. Ani jej to przez myśl nie przejdzie, jaką siłę on, Werunsky, w sobie czuje do pokonania wszelkich przeszkód! A siłę tę właśnie czerpie w swej miłości. I mógłby się jej wyrzec? Biedaczka!

Chociaż nie mogło być mowy o zmianie postanowienia skutkiem otrzymanego anonimu, nie mniej jednak wpłynął on niemało na Werunskiego. Jakim sposobem dowiedział się Fichter, z kim on się żeni? Wypytywał się, wywiadywał? Kto w ogóle wie o tem? Tylko jego najlepsi przyjaciele. A już mu powiedzieli, że jest uboga i z takiej rodziny! Tak mówią oni, a jakże dopiero zaczną mówić ci, którzy nie są jego przyjaciółmi? Ale niech sobie! On na złość ożeni się z nią i przekona ich, jak będzie szczęśliwy. Wszyscy zobaczą, jak byli uprzedzeni! Brzydką, chorowitą kobietę daliby artyście, za ciągły widok jej braków pozwoliliby mu wziąć te marne kilka tysięcy, a ustalony byt za wzgardę dla siebie samego. Pocziwcy!

Pośrednia obraza narzeczonej, wyrażona w liście ano-

nimowym, wpłynęła na stosunek Werunskiego do Bożeny dodatnio, zamiast ujemnie; zapragnął wynagrodzić jej to, że jej ubliżyli, lub jeszcze może ubliżą.

Przybyła do tego nazajutrz ważniejsza okoliczność. Idąc z Bożeną pod rękę przez Przykopy, spotkał Rexa z Pourem, młodym Jakubcem i właścicielem sztukatorskiej fabryki, Grünem, który żywo rozprawiał z baronem. Nie czekając, aż ukłonią się jemu, idącemu z damą, pozdrowił pierwszy; ale jakby go piorun uderzył, gdy spostrzegł, jak lekceważąco i niedbale oddają mu ukłon... Nietylko baron lecz i ten Jakubec, i ten Pour! Czem się stali przez ten czas, kiedy ich nie widział? co wykonali wielkiego? A czem zawinił on, że go tak obrażają? Gdyby jego tylko, ale ją, która idzie obok niego? Zdawało mu się, że się dziwnie uśmiechnęli i nawet obejrzeli się za nim. Tak, poznali w jego towarzyszce model Szczęścia. I myśleli, że to tylko modelka...

Straszny ból, ale złączony, jak zwykle, z oporem, ścisnął mu piersi i gardło.

Tegoż dnia kupił Bożenie ciężkiego kaszmiru na czarną suknię, którą musiała dać uszyć natychmiast.

Nazajutrz w gazecie „Lew” był artykuł pełen pochwał i zachwytów nad ofiarnością i artystycznym zmysłem barona Rexa, niepospolitego mecenasa czeskiego; umieszczono tam także wzmiankę o Werunskim: „W nowo założonym ogrodzie, który sąsiaduje z pałacem, zbudowany będzie elegancki pawilon, w którym stać ma alegoryczny posąg Szczęścia. Wykonanie modelu powierzono artyście rzeźbiarzowi Werunskiemu, którego alegorya Prawdy, wykonana w płaskorzeźbie, tak mile powitana była na tegoż rocznej wystawie. Przyszły wspaniałomyślny właściciel posągu, jako też publiczność oczekują od młodego artysty, tak odznaczonego, dzieła dojrzalszego, niż pierwsze, któremu można zarzucić wiele braków i niedoskonałości modelowania. Przypuszczamy, że młody artysta zrozumiał, iż

przyjęcie jego Prawdy było bardziej przyjacielską zachętą, niż rzeczywistą zasługą, że sam dobrze zna swe słabe strony i że nie będzie jak wielu początkujących artystów, którzy pierwszą przychylną odezwę uważają za wywalczone zwycięstwo i od niego liczą mniemane osiągnięcie mistrzostwa. Jak słyszymy, pierwszym warunkiem przyjęcia modelu Szczęścia jest dokładność modelowania, a artystyczny wzrok zamawiającego ręczy nam za to, że w jego pawilonie stanie dzieło doskonałe. Wzywamy przeto młodego artystę do poważnych studyów i ostrzegamy przed nadmierną wiarą w siebie, która wypływa z braku autokrytyki!"

Werunsky był oburzony. Z tych kilku wierszy przeczytał całą treść rozmowy Rexa, Jakubca i Poura potem, jak ich spotkał z Bożeną. Dowcipkowali na rachunek jego małżeństwa. Wytykali mu jego zamiar. I ten Pour! Jaki bezwstydnik! Jak go z góry traktuje! A jakim prawem? Na podstawie jakich studyów? jakiej przeszłości? A jak się wprasza do Rexa, jak mu pochlebia, do stóp się ściele. Jeszcze niedawno narzucał się tak jemu! Werunskiemu, a jak mu wtedy schlebiał. Ale ledwie schwycił się Rexa, już na niego, Werunskiego, patrzy z góry, bo ma go za straconego, dlatego, że chce się żenić! Przypuszcza, że on dojdzie tam, gdzie inni, że utonie w wirze powszednich kłopotów. Oho! on jest z innej gliny. Zobaczą to wszyscy, zobaczy i on.

Wzywa go do poważnych studyów... Zabawny błazen! Nicpoń o łucie mózgu, a o centnarze czelności. Ten łotr się czegoś doigra!

Albo ten Grün? Jakim sposobem ten dostał się do barona? No, przecie jest także rzeźbiarzem! A baron jest mecenasem i—znawcą! A może mu nawet Grün lepiej dogadza, niż Werunsky. I model zrobiłby może taniej!

Werunsky był tak skwaszony, że gdyby nie Bożena, byłby z pewnością wieczorem wracał z ciężką głową.

i chwiejnym krokiem, jak wtedy od Trnków. Ale w kuchence za sklepikiem, wieczorem, wybaczwał wszystkim, którzy nie są tak szczęśliwi, jak on, a serca mają przepełnione goryczą i zawiścią.

IX.

Przed weselem miał Werunsky do spełnienia jeszcze ważny obowiązek: przedstawić narzeczoną rodzinom swych braci i wprowadzić ją do nich. Odkładał to z dnia na dzień, myślał nawet, że braciom swe postanowienie oznajmi piśmiennie. Znał dobrze spanoszenie się ich i ich rodzin i obawiał się, jak przyjmą Bożenę. Ostatecznie jednak zdecydował się odwiedzić ich osobiście. Przecież są jego braćmi.

Bożena włożyła po raz pierwszy swą nową, czarną suknię: jej wspaniała, wysmukła postać daleko lepiej się w niej uwydatniała, niż w zniszczonej i wypłowiałej sukience żałobnej, na której widać było, że oszczędzano każde ćwierć łokcia taniej resztki. Wzrost jej wydawał się wyższy, ciężki materiał układał się w długie piękne fałdy; od matowej czerni ślicznie odbijała delikatna, biała, prawie przezroczysta pleć twarzy i szyi i rudawe złoto gęstych włosów. Dumny z niej, wzruszony i uradowany, szedł z nią Werunsky, tracąc obok niej w skutek swego niskiego wzrostu.

Była niedziela. Poszli najpierw do brata Fryderyka, który mieszkał w miejskim parku. Wkoło pięknych kwietników dywanowych, które wystawały wypukło z pośród przystrzyżonej trawy, pod cieniem żółknących drzew przechadzało się wiele osób, zwłaszcza dam w eleganckich

strojach. Werunsky przyglądał się im umyślnie i cieszył się tem, że Bożena nie ustępuje żadnej z nich. Zauważył tylko, że jej żakiecik i parasolka są trochę skromniejsze i podniszczone... ale przecież zostawi je u braci w przedpokoju. Ale za to była najpiękniejsza ze wszystkich, jakie spotykali.

Dom, w którym brat mieszkał, niedawno kupił krawiec Jakubec. Był zbyt kownie urządzony, w czem nie ustępował sąsiednim domom. Werunsky nie był u brata już chyba z pół roku i czuł nieprzyjemne wrażenie, stanąwszy pode drzwiami jego mieszkania. W całej tej wizycie nie będzie szczypty szczerości — zwykła forma, żeby nie gadali. W ostatniej chwili żałował nawet, że tu przyszedł, i byłby się z chęcią wrócił, gdyby nie było za późno.

Otworzyła im służąca i wprowadziła z przedpokoju do salonu, gdzie był nie tylko brat Fryderyk i jego żona, lecz jeszcze stary pan Jakubec, młodsza jego córka, malarz Towara, siedzący obok niej. Pili wino i zagryzali bakaliami.

Skoro Werunsky wszedł, wszyscy okazali jakies zdziwienie. Towara zaczerwienił się i zaczął chrząkać. Tylko stary Jakubec zawołał:

— A to goście, a to goście! Werundo, jak się macie?— i wyciągnął do niego obie ręce.

Werunsky zwrócił się potem do brata, który wstał i bratowej, która podeszła do niego z wymuszonym uśmiechem, i przedstawił im Bożenę.

— Moja narzeczona!—rzekł.

Bożena zaczerwieniła się po uszy i nisko się ukłoniła.

— Ach, to niespodzianka!—swym chłodnym altowym głosem wyrzekła żona Fryderyka i poprosiła szwagra i Bożenę, aby usiedli.

Fryderyk zapytał brata spokojnie i wolno:

— Więc masz się zamiar żenić, a nic nie mówiłeś!

Tylko Jakubec podszedł do niego i głośno krzyczał:

— Brawo, brawo! Zuch! Tak być powinno! Pomysłności, Werundo!

A widząc, że butelka reńskiego, które właśnie pił, jest pusta, skinął na Fryderyka i uradowany zawołał:

— Musimy się przecież napić za wasze zdrowie. Przynieś, Reginko, dwie szklanki i butelkę wina! Szampańskiego... słyszysz?—polecał młodszej córce, która siedziała jak na rozżarzonych węglach i z pałającą twarzą spoglądała z pod oka na Towarę.

Była teraz rada, że mogła na chwilę odejść. Jakubec starał się swem głośnem częstowaniem i poufnym tonem ożywić choć trochę towarzystwo.

— Ale nie róbcie ceremonii... jak w domu—zapraszał Bożenę, która siedziała jak na szpilkach, a oczy jej zaszczyły łzami.—To dobre wino, szampańskie! Możecie go jeszcze nigdy nie pili?—częstował ją, nalewając musującego wina fabrykacyi Zatki w Pradze, które Regina podała.—Ciocia Szwejnohowa pewno takiego nie sprzedaje.

Werunsky spojrział z wymówką na Towarę, który spuścił oczy. Fryderyk zakaszłał półgłosem.

Małżonka jego patrzyła na Bożenę z uśmiechem i coraz częściej zatrzymywała wzrok na jej podniszczonym zakieciku i parasolce, spoglądając za każdym razem na swego męża i zwracając mu na to uwagę ruchem rżęs. Ani brat, ani bratowa nie poprosili gości, aby się rozebrali, tak, że oboje czuli to, iż oczekują tylko, aby już sobie poszli. Wszystkich raziło postępowanie Jakubca, który mówił nieustannie:

— To ich urządziłem, aż miło!—zwrócił się do Werunskiego.—Nie każdy może sobie tak pozwolić! Rozumie się! Wiecie: ile kosztował mię ten dom? Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. To jest grosz, panie! Ale nie żałuję tego! Wiecie, mam wrodzony zmysł estetyczny. Tu kupiłem znowu Kseni pianino. Widzicie: to z Drezna. Tam mają

najlepsze. Za osiemset marek. Droższych już niema— to się rozumie! Ale widzicie, jak co kupić, to już niech będzie, jak się należy. Reginko, mogłabyś co zagrać. Choćby ten kuplet, który wczoraj śpiewał u nas pan Tureczek. O, pan Tureczek często u nas bywał! I w ogóle wszyscy aktorowie. Znaście mię, że lubię dobre towarzystwo, a szczególnie artystów! Mam w piwnicy wino. Stare, dobre. Towara może to poświadczyć. Co? Przedwczoraj wypiliśmy go szesnaście butelek. Anibyś pan nie przypuścił. No, więc, Reginko, zagraj... Werundo, pijcie, proszę was, nie dajcie się namawiać. Za wasze zdrowie, Frycku, Ksenio, Regino, fabrykancie— hehe — ja go nazywam fabrykantem!— śmiał się i wskazywał Towarę.— Niech żyje Eda i jego narzeczona!

Z uśmiechem podniosła Fryderykowa swą zieloną szklaneczkę w górę, napelnioną do połowy winem.

— Musimy tatunia usłuchać— rzekła:— on czasem bywa strasznie dziecinny— i stuknęła się z Bożeną, Edą, potem z ojcem, mężem i siostrą.

— Lubię was za to, Werundo, żeście rozumny człowiek. Wiecie, swój do swego. To musi każdy przyznać— ten tam Towara!... Mam słuszość, fabrykancie?

Malarz przygryzał wargi, a Jakubec czelnie śmiał mu się prosto w oczy.

— Tatuniu!...— szepnęła Regina.

— Alboż nie prawda? Ależ na miłość Boga, przecież jeszcze nie pójdziecie? — zawołał, gdy Edek i Bożena wstali i zaczęli się żegnać.— A panienska nawet nie spróbowała bakalii. To byłoby pięknie! Reginko, podaj-no tu papieru! Niech sobie panienska weźmie trochę do domu. Są wyborne. Nic nie pomoże, musicie wziąć. To się nie trafia codziennie.

Bożenie wetknęto w ręce paczkę bakalii, a ona przyjęła ją, już aby tylko pan Jakubec nie nalegał więcej.

— Ale artystę poznać po jego wybranej, co? — roz-

promieniony wołał dalej pan majster, uśmiechając się do zarumienionej Bożeny i kręcąc swe wojskowe wąsy.—Do kroćset, Werundo!—jesteś zuch, poklepał go po ramieniu.—To buziaczek cacany!—tu pogłaskał Bożenę po twarzy.

— No, no, przecież nie jestem obcy — należę do rodziny. A przyjdźcie tam kiedy do mnie. Mam wyborne wino. Słodkie! Delicje...—przymrużył oczy i klasnął palcami.

— Ale tatuniu, nie masz zastanowienia — upominała go podrażniona małżonka Fryderyka, kiedy Eda z Bożeną wyszli.—Jeszcześ ich wstrzymywał! Lepiej zdaleka od takich ludzi. Dziś im podasz palce, a jutro uchwycą za rękę.

— Przecież to jest brat—nieśmiało wtrącił Fryderyk.

— Niestety, przekonamy się o tem najlepiej, gdy nam kiedy spadną na kark! Długo nie będziemy na to czeka

— Artystyczna natura—uspokajał pan Jakubec;—to inaczej być nie może.

Towara tymczasem stał schylony nad Reginą i szeptał coś do niej, przyczem koniec jego wąsów muskał ją po twarzy, która pałała jak ogień. Miała przymknięte oczy, ale przez rzęsy widziała dobrze koniec jego hiszpańskiej bródki, a palce nerwowo jej drgały, bo miała nieprzepartą chęć pociągnąć go za nią.

Głównem uczuciem, które owładnęło Werunskim, gdy wyszedł od brata, był—wstyd. Starał się wszelkimi siłami usprawiedliwić przed narzeczoną zachowanie się krewnych.

— Wiesz, to są dziwni ludzie... nawet tak źle nie myślą, ale obcuja po większej części w takim napuszonym towarzystwie i przeszli tem trochę—no! A zresztą już odbyliśmy konieczną wizytę, zaprosiliśmy ich na wesele, to nieprędko nas zobaczą. Nawetby nas nie rozumieli.

Tak tłómacząc rzecz przed Bożeną, czuł się jednak głęboko zraniony przykrymi docinkami, których doznał u bra-

ta. Wściekłość go porywała na wszystkich tych z bogactw dorobkowiczów, do których należał i jego brat, i czuł się o wiele wyższym od nich... Ba, nawet przekładał nad nich tę Szwejnohową, bo chociaż jest prostytutką, ale przynajmniej szczerą. A wreszcie tak prędko u siebie jej nie zobaczy!

Szybszym krokiem postępował koło Bożeny, która nie odezwała się ani słowa. Czasami tylko spojrzała na niego i próbowała się uśmiechnąć. Ale Werunsky dobrze widział, jak się przymuszała, jak w oczach łzy jej błyszczały, i czuł to, że wybuchnęłyby płaczem, gdyby co powiedziała. Za to tuliła się do niego serdeczniej, jakby chciała wyrazić: „Żeby się Bóg wie co stało, my się nie opuścimy!”

Skręciwszy z parku na lewo, szli koło budowy gmachu nowego muzeum na ulicę, gdzie mieszkał drugi brat Werunskiego, Emanuel, budowniczy.

Idąc tą cichą, spokojną ulicą w górę, młoda para uspokoiła się poniekąd. Po chwili Werunsky przystanął i obejrzał się na rozległą budowę muzeum, którego olbrzymie ściany wzrastały dzień po dniu, skąd i teraz, w niedzielę po południu, słychać było ruch roboczy. W myśli rzeźbiarza gmach wzrastał dalej, widział go wykończonym w całej rozległości, widział fasady jego, ozdobione posągami, a między nim i swoje dzieło. Upokorzenie, jakie spotkało go u brata, rozbudziło opór, opór zrodził siłę, która wzmogła się tak, iż zdawało mu się że zdolny byłby cały ten gmach ozdobić własnymi utworami; był pewny, że wykonałby prawdziwe arcydzieła, tak oryginalne, że każdy przechodzień na widok ich musiałby oddać cześć twórcy, nie wyłączając jego braci i tej bratowej, która go dziś obraziła,

Zachwycony, chwilę jeszcze patrzył na budowę, poczem ścisnął Bożenie rękę i poszedł dalej.

Nieładnego wchodzili już do nowego domu, podobnego

do tego, w którym Werunsky miał swoją pracownię, i w ogóle do większości winohradzkich domów. Z frontu i w bramie pełno sztukatorskich ozdób bez gustu, wszędzie wrzekoma dokładność i piękny pozór, ale drzwi i okna napęczniałe nie domykają się, miejscami tynk pęka i odpada.

Kiedy weszli na trzecie piętro, nie zastali nikogo prócz teścia, brata przedsiębiorcy budowlanego, Hruszki. Był to mężczyzna wysoki i barczysty, szerokiej, ogolonej twarzy. Ręce miał silne, muskularne, czerwone, o grubych, na końcach spłaszczonych palcach. Na prawej ręce u średniego palca brakło mu ostatniego stawu. Pan Hruszka, czekając na zięcia, bawił się okrągłą gałką swej laski. Kiedy wszedł rzeźbiarz z narzeczoną, nie odpowiedział nawet na ich powitanie i, nie dając im przyjść do słowa, rzekł:

— Eman jest na dole w kancelaryi, ale zaraz przyjdzie, posłałem już po niego.

Ponieważ nie prosił siedzieć, zbliżył się Werunsky do otwartego okna i wyglądał niem na ulicę.

Przez rozpoczętą budowę muzeum widać było Waclawski plac, dalej w lewo wzgórze Petrzyna i Hradczan. Powietrze było chłodne i czyste. Jasno zarysowały się w niem kontury królewskiego grodu, którego okna błyszcząły jak złoto, i kamienny gmach katedralnej świątyni. Wyraźnie widać było na lewym rogu Waclawskiego placu dom „na Koszyku” z wieżyczką, dalej wystający na plac dom „na Krawieckiej gospodzie,” a za nim wysoki kościół Franciszkanów ze swemi wązkimi oknami; na prawo, w dali wznosiły się podwójne wieże Tyńskiego kościoła, ku środkowi okrągła wieża Ś-go Hawła, za nią prosta wieża staromiejskiego ratusza, a za nią wierzchołek wieży Ś-go Mikołaja. Dwie aleje wysadzone drzewami na Waclawskim placu wyciągnęły się jak sznury, a środkiem idący rząd gazowych kandelabrow wyrażnie wskazywał na dole

początek ulicy Mustku. Doskonale widać też było białozielony tramwaj, przejeżdżający tamtędy.

— Szkoda tego widoku — rzekł pan Hruszka.—Jak skończą gmach muzeum, zasłonią go całkiem.

— I światła ubędzie — dodał Werunsky, aby co powiedzieć.

— Ba!—mruknął pan Hruszko i plunął na środek pokoju.

Wtem ukazał się pan budowniczy, ale tak, jakby zamierzał tylko przejść przez pokój i zniknąć za drugimi drzwiami.

— Cóż nowego, coź nowego?—mówił tonem starszego brata protektora, ujrzawszy Edwarda i podając mu dwa palce lewej ręki.

Na Bożenę ledwie spojrzał. Był najstarszym z braci. Miał rażąco jasno blond krótko ostrzyżone włosy i długie miękkie wąsy tejże barwy, które dziwnie odbijały od czerwonej twarzy i opalonego karku. Błado niebieskie oczy jego patrzyły niespokojnie przez okulary w złotej oprawie. Ubrany był w jasny letni garnitur z głęboko wyciętą kamizelką.

— Przyszedłem tobie i twej małżonce przedstawić swą narzeczoną.

Edward zbliżył się, mówiąc to, do brata i wskazał uprzejmie Bożenę.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo to pięknie z twojej strony! No, życzę ci wszelkiej pomyślności, ale wybacz, mam dziś masę roboty, a żony niema w domu, jej siostra także wyszła. Może będziesz mógł przyjść innym razem— albo ja jej to powiem, żebyś się nie potrzebował fatygować.

— Przyszedłem cię także, Maniku, prosić na wesele— zaskoczony niespodzianem przyjęciem rzekł artysta.

— A kiedy będzie? kiedy będzie? — prędko i jakby niecierpliwie spytał pan budowniczy.

— Trzeciego lub czwartego października. Dam ci jeszcze znać.

— Dobrze, dobrze, jeszcze się zobaczymy. Ale teraz do widzenia, Edo—i podał mu rękę.—Człowiek nie może podolać pracy, wiesz, szczególnie teraz: październik prawie za plecami, jeszcze nie wybrnęliśmy z fundamentów. A ci mularze—to łotry, gałgany! Ty masz wymarzone życie. Tyś pan, a ja parobek! No, do widzenia, wybaczone. Moje uszanowanie pani!—i odprowadził ich do drzwi.

Skoro powrócił, pan teść, wskazawszy brodą ku wejściu, spytał go:

— A czemu się, proszę was, żeni? Ma jaką robotę? Przecież ona podobno ma być jakiejś tutejszej sklepi-czarki?

— Proszę was, on jest artystą!—Ostatnie słowo wymówił budowniczy z takim akcentem goryczy, złościwości i pogardy, że pan Hruszka plunął znowu na środek pokoju.—Cóż my?... myśmy, według niego, parobcy; kto walczy o byt jest zawsze w oczach takiego artysty parobkiem.

— Bajdury!—rzekł dobrodusznie pan Hruszka, a wyjąwszy muskularną, obrosłą prawicą z kieszeni paltotu drewnianą tabakierkę, nabrał w szerokie końce palców szczypkę tabaki, zbliżył ją do nosa i dodał: — A on jest oberbajdura!—poczem z przyjemnością zażył.

— Nędza, nędza, nic więcej!—powiedział z gniewem budowniczy.—A jaka duma! Cobyście na to powiedzieli: niedawno chciałem, żeby mi zrobił jaki piękny gzys lub konsolę, wiecie, do domu Krajaczków—co, myślicie, że mi powiedział? Że to potrafię sam jako budowniczy, albo że bym zamówił u sztukatora! — Owszem, potrafię to, ale nie mam teraz czasu głupstwami się bawić. Chciałem mu dać co zarobić.

— Bajdura!—powtórzył pan Hruszka i ocierał sobie spokojnie nos niebieską chustką.

— Nędza!—krzyczał już z drugiego pokoju pan budowniczy i zaraz potem wezwał tam teścia na naradę.

Werunsky z Bożeną, wyszedłszy od budowniczego,

skręcili na ulicę Rubieszową, a stamtąd szli prosto na Halkową. Naprzeciw nich dążyła fala ludzi z kaplicy. Panie i panny w jasnych lub ciemnych płaszczach od deszczu albo w pelerynkach, służące w czarnych jedwabnych lub kolorowych wełnianych chustkach, z książkami od nabożeństwa w czerwonych rękach, kilku młodzików i kilku starszych panów.

Im więcej się zbliżali do niezabudowanej przestrzeni, za którą wystają tyły szkolnego budynku, w którym na dole znajduje się mała kapliczka, tem bardziej zmniejszał się tłum ludzi, bo nabożeństwo się już skończyło. Przechodząc obok niezabudowanej przestrzeni, która jak szerokie podwórze rozciąga się z tej strony przed frontem, szkoły spojrzeli oboje na niewielkie drzwi od kaplicy, potem na siebie.

„Tu na początku przyszłego miesiąca będziemy na wieki złączeni!” — znaczyło to spojrzenie, a Bożena przytuliła się do Werunskiego. Czuli się teraz daleko swobodniejsi niż przed wyjściem na wizyty. Przyjemna pewność, że nie miły obowiązek już wykonali, oddziaływała na nich więcej niż przykre i cierpkie wrażenia, których doznali u krewnych.

Bożena życzyła sobie wstąpić na chwilę do kaplicy. Werunsky przekładał, że już późno, ale byłby się zgodził, gdyby nie spostrzegł, że właśnie prawie ostatnia wychodzi z kaplicy jego bratowa, żona Emanuela, kobieta wysoka, niezwykle chuda i blada. W wyrazie twarzy widać było chłód i nieprzystępność, ale zarazem jakby rozpaczliwy smutek. Obok niej szła w strojnej sukni młodsza jej siostra, Toniczka, szczupła i blada jak bratowa, ale z szerokimi ustami, na których igrał złośliwy uśmiech. Zdawało się, iż wyśmiewa się ze wszystkich, których natura hojniej niż ją wyposażyła. Werunsky chciał się z niemi przywitać, gdy ujrzał wychodzącego z damami z kaplicy Lemarego, który zajął stanowisko obok Toniczki. Zadzi-

wiony tem, cofnął się, ale potem raz jeszcze się obejrzał, czy się nie myli; nie mógł sobie tego wytłómaczyć, jak się to stało, że Lemary odprowadza jego bratową. Ale przecież nie było wątpliwości: to był on, a jak uprzejmie się do Toniczki uśmiechał!

„Ten się inaczej na świat patrzy, niż ja!”—przeszło Werunskiemu przez głowę, i wzbudziła się w nim zazdrość, że taka blada dziewczyna dostanie posag. Ale porównawszy ją z Bożeną o twarzyczce delikatnie zarumienionej i szlachetnych rysach twarzy, spoglądając w jej słodkie, wierne mu oczy i ten szczęśliwy uśmiech, gorąco przycisnął jej ramię do swych piersi, bo wydawało mu się, że powinien ją przeprosić za uczynioną w myśli zniewagę.

X.

Już kupione były do nowego mieszkania i lustra, dywany i franki, już porozwieszano obrazy, już naprzeciw łóżek stało akwaryum, a nad niem wisiała klatka. Przytulnie urządzone mieszkanko już tylko czekało, aż się wprowadzą do niego ci szczęśliwi ludzie, którzy dotąd tylko radosnem oczekiwaniem przestępują próg jego, aby z rozczarowaniem znowu wyjść i wynieść w sercach niespełnione pragnienia.

Czwartego października, w dzień Ś-go Franciszka Serafickiego, około czwartej godziny po południu zajechały przed drzwi winohradzkiej kaplicy trzy karety. Siedzący wewnątrz, w tej chwili, gdy koła powozów z brukowanej Halkowej ulicy zjechały na przestrzeń niezabruko-

waną, a dziś błotnistą, uczuli dziwne wzruszenie, jakie zwykle nastaje przed każdą ważną chwilą w życiu.

Ledwie pierwszy powóz stanął przed kaplicą, otworzyły się drzwiczki, i wyskoczył z nich Lemary, aby pomódz wysiąść Bożenie, której twarz zasłonił welon sięgający aż do ziemi, a która trzymała w ręku bukiet z białych róż. Podawszy jej ramię, wiódł białą ubraną narzeczoną w mirtowym wieńcu na złoto-rudawych włosach do kaplicy. Z drugiej karety wysiadł Werunski, a za nim siostra Bożeny, z trzeciej pani Szwejnowa w staromodnem stroiku na głowie i jasnym tureckim szalu, a za nią Żywot i Towara.

Powoli weszli po schodach, prowadzących do tymczasowej kaplicy, i poważnie stanęli przy balustradzie, za którą był niski szary ołtarzyk.

Werunski nie był zdolny zebrać myśli. Wydało mu się dziwnem, że wszystko jest takie zwykle, jak zawsze. Szukał przyczyny tego w sobie samym i gniewał się o to na siebie. Widział przed sobą białą wysmukłą postać tej, z którą za chwilę odejdzie od ołtarza jako ze swoją żoną, powtarzał to sobie stale, chcąc rozbudzić słodkie przejmujące wrażenie, ale odczuwał w rzeczywistości tylko jakąś bezgraniczną pustkę. Obojętnie błędził okiem po prostych szarych ścianach kaplicy. Zwrócił uwagę na rzeczy, które go w tej chwili nie obchodziły. Przypatrywał się równemu sufitowi, liczył, że po prawej stronie jest sześć okien, a za niemi białe kraty, że między oknami wiszą obrazy jakichś świętych, że w prawo od ołtarza jest chrzcielnica, a u samej balustrady figura Maryi Panny, przed nią stoi kilka astrów w doniczkach, jeszcze od ostatniego święta Matki Boskiej.

Gdy wchodził do kościoła, widział tylko w ławkach kilka bab, znajomych pani Szwejnowej, i jak przypuszczał, słyszał teraz wyraźnie ich chrząkania, szepty i posuwanie się, co mu było bardzo nieprzyjemne. Uparcie wpatry-

wał się w krzyż nad ołtarzem i klęczące obok niego dwie ordynarnie wyrobione figury pomalowanych aniołów. Ale zamiast czerpać natchnienie do modlitwy, spostrzegł, że wyszukuje wszystkie wady w modelowaniu i chciał, wyobrażał sobie zamiast ich posągi, prawdziwie artystycznie wykonane pięknie i wzniosłe. Oderwał od tego przedmiotu swą uwagę, spuścił oczy i obserwował końce swych lakierków i spostrzegł że Lemary ma na prawym bucie błoto. Potem słyszał, jak ciągle ktoś wchodzi po schodach do kaplicy, kaszle, wyciera nos, szepcze. Wszystko to go denerwowało, drażniło. Nie wyobrażał sobie nigdy, żeby ta chwila przeszła tak bez najmniejszego wrażenia, i to go właśnie gniewało.

Nareszcie wszedł ksiądz, zbliżył się do ołtarza i zwrócił do nich.

Teraz dopiero Werunsky podszedł do swej narzeczonej, a spojrzawszy na nią i spostrzegłszy jej załzawione oczy, ale uśmiechnięte usta, doznał wzruszenia, które go nie opuszczało podczas całego obrzędu. Czuł, że ręce mu drżą, a gorąco uderza do głowy. A przytem nie zdawał sobie sprawy z tego, co się koło niego działo. Głos narzeczonej, powtarzający słowa przysięgi za księdzem, brzmiał jakby gdzieś w dali, a on sam przysięgał jak przez sen.

Ten stan trwał aż do chwili, gdy się znalazł ze swą żoną w karecie. Żadnym sposobem nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądał ksiądz, który im ślub dawał, i kto mu winał, gdy odchodził od ołtarza, kogo ścisnął za rękę i odpowiadał nieśmiało:

— Dziękuję, bardzo dziękuję!

Myślał o tem wszystkim z trudem i widział to jak przez mgłę, i nie umiał sobie wytłómaczyć, czy ten stan jest wynikiem chwilowej obojętności, czy też nadmiernego wrażenia. Tylko to wiedział napewno, że na ślubie nie był nikt z jego krewnych. Zdawało mu się jednak, że za-

uważył pana Jakubca. A wtem przyszło mu do głowy, że cały ten ślub był taki skromny, ubogi, pospolity...

Prawda, że Fryderyk wczoraj jeszcze wymówił się, że nie może przyjść, bo żona zachorowała, ale Werunsky odgadł prawdziwą przyczynę. Do listu, którym tłumaczył swą nieobecność, dołączył dwie dziesięcioguldenówki, a w dopisku dodał, że nie wie, co przydałoby się Edowi do gospodarstwa, a więc przypuszcza, że ani brat, ani narzeczona jego nie wezmą mu tego za złe, iż im posyła gotówkę, aby sobie kupili, co im jeszcze braknie. Werunskiego uraziło to boleśnie, ale nie chcąc wywoływać nieporozumienia, przyjął pieniądze. Oczekiwał przynajmniej Emany, ale ten się nawet nie czuł w obowiązku wytłumaczyć.

Dopiero po przybyciu do nowego mieszkania, gdzie przygotowano skromne przyjęcie staraniem starszej córki pani Szwejnowej, która na ten dzień się uwolniła, wręczono rzeźbiarzowi list oznajmiający, że bratowa ma migrenę, a on musiał nieodwołalnie wyjechać za ważnymi interesami; ślubny podarek przysła, jak powróci. W końcu dodał, życzenie wszelkiej pomyślności.

Lemary nie pytany gorliwie przyświadczał, że pani budowniczożwa już wczoraj czuła się niedobrze, i że w ogóle często choruje. Inaczej byłaby napewno przyszła na wesele.

Wtenczas Werunsky po raz pierwszy spojrział na dotychczasowego przyjaciela z goryczą i pogardliwie się uśmiechnął. Ale przy wieczerzy, siedząc obok swej małżonki, wkrótce zapomniał o wszystkim i wpadł w dobry humor; śmiał się nawet z syna pani Szwejnowej, którego dziś właśnie były imieniny i który zapewne z racji podwójnej uroczystości jadł za trzech, trzymając wciąż słomkę z cygara za uchem, a do ósmej godziny zdążył się tak upić, że plótł piąte przez dziesiąte.

„Jeszcze dziś, a potem basta — myślał zdecydowany Werunsky, spoglądając na panią Szwejnową, jej córkę,

syna i Lidę.—Za godzinę, za dwie powrócicie do swego sklepiku, a w tem mieszkaniu nie będziecie nam zatrawali powietrza...”

Rozmawiając prawie wyłącznie ze swymi przyjaciółmi, z których Żywota i Towarę zaprosił na świadków swego ślubu, dawał do zrozumienia ciotce, że rola jej już się skończyła.

Pani Szwejnowa też przed dziesiątą podniosła się z Rozalką i Lidą, i wszystkie, szlochając głośno, ucałowały Bożenę, a zabrawszy z sobą i Franka, który bełkotał i ledwie mógł ustać na nogach, poszły do domu.

I przyjaciele jego chcieli odejść, ale Werunsky zatrzymał ich serdecznie. Po odejściu cioci czuł się dopiero swobodnym. Serce miał przepełnione, a teraz dopiero mógł pogadać szczerze. Wyczekiwał uznania swego wyboru z ich ust. Dotąd nie mogli swobodnie mówić jak zwykle, zawsze pojedynczymi wyrazami, które starczyły za całe zdania, oni tylko pojmwali głębokie ich znaczenie. Zapomniał zdarzeń dni ostatnich i widział w kolegach prawdziwych przyjaciół, którym był oddany całą duszą, z którymi tak chętnie chodził wieczorami do Trnków, otwierając przed nimi serce.

— Jeszcze chwilę!—prosił ich—jeszcze trochę, o wszystkim pogadamy. I o przyszłości musimy coś powiedzieć.. Cóż teraz myślicie o tem, gdy poznaliście mą żonę?...— a w tej chwili, wymawiając po raz pierwszy to słowo, uczuł taką rozkosz, że przytulił Bożenę do siebie i pocałował wobec przyjaciół.

Ale spostrzegł zaraz, że wyraźnem postawieniem kwestyi zadziwił kolegów i wprawił w przykre położenie. Mówili jałowe frazesy, puste grzeczności, prócz Żywota, który milczał uparcie, lub mruknął niekiedy niezrozumiałe i wzdychał zawzięcie.

Kiedy po chwili, aby wybrnąć z fałszywej sytuacji, zabierali się znowu do wyjścia, Werunsky nie wstrzymywał ich.

— Nic mię z nimi nie wiąże—rzekł sobie w duchu, ale nie żałował tego.

Odprowadziwszy gości do drzwi, wrócił, uścisnął żonę, a spojrzawszy jej w oczy, rzekł szczerze i prawdziwie:

— Mam teraz tylko ciebie i swą pracę. Nawet nie wiesz, Bożeno, jak jestem bogaty, a jak dawniej byłem biedny!

— Naprawdę?—wyszeptała i patrzyła mu długo i głęboko w oczy.—Nie żałujesz wcale?

— Chyba tego, żem cię nie poznał dawniej!—i przytulił ją serdecznie.

— Puść mię... sprzątnę jeszcze ze stołu!

— To jutro—wzbraniał jej i zatrzymał za rękę.—Od jutra zaczniemy życie pracy! Już noc, żoneczko kochana!

XI.

Życie pracy! Myśl ta nie dawała teraz Werunskiemu spokoju; był nią przejęty, ożywiony i natchniony. Prawie dwa miesiące nic nie robił, wypoczął i oświeżył się. Do pracy gnała go niewyczerpana siła i gorące pragnienie ujrzenia wykończonem jakiego dzieła, zwłaszcza tego, które stać się miało węgielnym kamieniem jego twórczości, stanowić o jego opinii, wyrobić mu inną. A wreszcie przecież teraz nie pracował tylko dla siebie, lecz i dla swej żony, dla tego ukochanego stworzenia, któremu nie powinno nigdy na niczem zbywać, które powinien opromienić rezultatami swej pracy. Sława jego będzie i jej sławą, o on chce koniecznie dopiąć tego, aby jej zazdrościły i żony tych, którzy obecnie z pogardliwym współczuciem spoglądają na nią i z lekceważącym uśmiechem mówią o niej i postępu-

ją z nią niedelikatnie Jego dzieło będzie też pochwałą jej piękności!

Zaraz nazajutrz po ślubie urządził sobie rusztowanie do modelu w naturalnej wielkości, bo zaniechał planu, żeby robić najpierw model pomocniczy. Był tak przejęty swą ideą, że nie przyszło nawet na myśl, żeby zmienić co w głównym szkicu.

Na niskiej mocnej podstawie ustawiono podwójną okrągłą deskę; wierzchnia z nich łatwo się obracała na żelaznej osi za pomocą żelaznego kręgu, opatrzonego ośmiu małemi kółkami. Na tej podwójnej desce położono dopiero czworograniasty blat, w który wpuszczono szkielet, wykonany w podstawowych częściach z żelaza. Drobniejsze, delikatniejsze szczegóły były zrobione z cynkowych rurek, które się gną z łatwością, przez co pozwalają na zmianę wedle woli poziomu. Rusztowanie do posągu Szczęścia, kwapiącego się naprzód, miało kształt pochylonego ku przodowi krzyża, opatrzonego podporami, a poprzeczne ramiona szkieletu służyły do wyciągniętych rąk.

Natychmiast po ukończeniu tej rzemieślniczej roboty i przygotowaniu gliny, którą przyniósł i wygniótł mąż posługaczki z tego domu, Werunsky zabrał się do dzieła. Obrzucił szkielet ciężką wilgotną gliną, przyczem okazało się potrzebne podparcie rusztowania w kilku miejscach; następnego dnia już w grubych nieforemnych rysach zaczęły występować pojedyncze części postaci, które po trzech dniach odznaczały się już w smuklejszych i pewniejszych kształtach. Werunsky pośpieszał z temi przygotowaniami, aby mógł zacząć modelowanie. Miał nadzieję za dwa miesiące, najdalej do Bożego Narodzenia, zupełnie posąg wykończyć. Rzeczywiście, po dwóch tygodniach sumiennej pracy, zaczął obrabiać już szczegóły głowy i biustu. Miał w palcach pewność siebie i taką zręczność, że sam sobie nie wierzył, iż dawniej trudność mu stanowiło pokonanie formy. Szlachetne linie i rysy wyrastały pod jego ręką; zdawało mu się, że przez jedną noc stał się mistrzem. Czy

to rzeczywiście byłby początek dojrzewania jego twórczości?

Pracował z zapalem, czuł ten ogień, który go ożywia, a który wzrastał jeszcze wobec tego, że sam podziwiał swe rychłe postępy. Czy stał się cud?—Był jak upojony, żył i pracował w jakimś podnieceniu, które ukazywało mu wszystko w formie pięknej, bez wady, w miłych, jasnych barwach.

Bożena przychodziła codzień przed południem do pracowni, zaraz, jak tylko w domu sprzątnęła. Przy jej ukazaniu się wstępowała w jego piersi, ramiona i palce siła, o której sądził, iż mocen czynić cuda, będące rzeczywiście darem wyższego natchnienia. Podczas, gdy Bożena przygotowywała się w buduaru do pozowania, dokładał drzewa do małego rozpalonego piecyka, od którego rozchodziło się po pracowni miłe, czasami aż odurzające ciepło; zwykle rzucał na blachę szczyptę kadzidła, które, tłąc się, wydzielalo woń przyjemną.

Po chwili wchodziła Bożena, okryta szalem, z nóżkami w pilśniowych trepkach i rozpuszczonym włosom. Nie była to modelka, drożąca się z udaną wstydlivością, tuląca ramiona i łokcie ku sobie, zakrywająca twarz złożonemi rękoma, wzdragająca się wchodząca na podium, lecz kochająca, wierna pomocnica męża, małżonka świadoma, że służąc i pomagając jemu, czyni to prawem, osiągnięciem u stopni ołtarza.

Nietylko chętnie, lecz wesoło i dumnie wstępowała na podium, a zrzuciwszy szal, stała w krótkiej miękkiej wełnianej spódniczce, opasującej również wełnianą koszulkę, u szyi ściągniętą na tasiemkę, która marszczyła też brzegi szerokich rękawów. Widząc, jak Werunsky życzy sobie mieć malowniczo ułożone zmarszczki i fałdy, sama pomagała układać mu swą suknię. A kiedy ukończono te przygotowania, dawała sobie zawiązać wstążką oczy.

Potem mąż ją jeszcze pocałował, podniósł cokolwiek ku górze jej brodę, poprawił tu i owdzie jaką fałdę, a zszedłszy na dół, brał się do roboty, niekiedy na żonę spoglądając.

Ona ani drgnęła. Pojmowała ważność tej chwili, czuła razem z mężem, ile na tej pracy zależy, jakie nadzieje w niej położone. Wtedy zalegała pracownię błogosławiona cisza, przerywana tylko ledwie dosłyszaniem dokładaniem, wciskaniem i gładzeniem gliny, a czasem zeskoczeniem rzeźbiarza ze stopnia, na którym stał, opracowując części głowy i szyi. I on bywał tak zajęty swem dziełem, iż zapominał, że przed nim stoi powabna postać jego młodej żony, i patrząc na nią, widział tylko plastykę pojedynczych części ciała, fałdów szaty, nie pomnąc nawet, że w tem ciele pulsuje krew, że ono oddycha ciepłem i życiem. Jedyne pragnienie nim owładnęło: wyzyskać cały powab tych kształtów, każdy odcień, nadać posągowi miękkość i sprężystość cery.

Za pomocą podwójnej deski obracał czasami cały model do siebie, bokiem lub tyłem, poczem zbliżał się do Bożeny, ustawiał ją w odpowiedniej pozie i obserwował potem zdaleka nie okiem małżonka, lecz badawczego i wyrachowanego artysty.

Na każde żądanie jego, ile razy tylko było potrzeba, wyciągała przed siebie ręce, stawiała na prawą nogę, lewą podnosiła, zgiąwszy ją w kolanie, przyczem zawsze zsuwał się jej pantofelek ze stopy, a różowa pięta ukazywała się, jakby zrobiona z cukru.

Czasami było bardzo trudno wytrwać dłużej w żądanej pozycji, ale przymuszała się, dopóki tylko mogła. Rzadziej się zdarzało, żeby Werunsky czuł się znużonym. W takich chwilach kilka pocałunków starczyło, aby wzbudzić upadające jego siły.

Tak pracowali codziennie aż do południa. Za nadejściem
Szczęście. Dodatek do Tyg. illust.

dwunastej, Bożena się ubierała, on zdejmował swą bluzę z szarego płótna, mył ręce i zabierał się do wyjścia, a żona okrywała model mokremi płachtami. To było teraz jej zadanie, do którego nie pozwoliła się Werunskiemu mieszać.

Razem wychodzili na obiad; stołowali się w restauracjach. Nie trzymali służącej, tylko posługaczkę, a póki model szczęścia nie był wykończony, Werunsky nie chciał słyszeć o gotowaniu w domu. Zresztą to wspólne chodzenie na obiad nie było im przykre.

Chętnie ukazywał się ze swą młodą żoną, rad widział, gdy kto z przyjemnością i podziwem obserwował jej smukłą postać, jej szlachetne rysy twarzy.

Nie chodzili stale do jednej restauracji, wstępowali, gdzie im się podobało, ale zawsze do lepszych zakładów. Zwykle chodzili aż do Pragi. Po obiedzie przechadzali się na Przykopach, albo skręcali do miejskiego parku, i czasami, gdy Werunsky nie miał ochoty wracać po południu do pracowni, lecz robił sobie rekreację, jak mówić, szli na Letną lub do Stromówki, albo robili wycieczkę do Chuchli.

Pogoda była prześliczna. Dni były chłodne, ale jasne, powietrze przejrzyste, koloryt jasnej przyrody wspaniały. Jakiś poważny nastrój przenikał całą naturę. A im było pośród niej tak dobrze, tak uroczol...

Jeżeli Edward szedł do pracowni po południu, rzadko towarzyszyła mu tam Bożena. Po południu bowiem przychodzili go odwiedzać, a prócz tego nie można było dokładnie pracować z tej racyi, że po piątej już się ściemniało.

Takie dni Bożena pozostawała w domu, a zawsze znalazła sobie jakieś gospodarskie zajęcie. Koło szóstej Werunsky wracał, i znowu wychodzili do Pragi, na Przykopy, gdzie wtedy jest ruch największy. Studenci powrócili, młodzi ochotnicy wojskowi popisywali się swymi nowymi mundurami, a młodzi małżonkowie swymi żoneczkami

Tego porównania nie zapominał Werunsky nigdy robić, pyszniąc się swoją żoną.

— Ani oni, ani my nie wprawiliśmy się jeszcze do swej roli—mówił uśmiechem.

Jeżeli Bożena była wprzód piękna, to teraz tembardziej się rozwinęła. I ona rada była się pokazać; podchlebiało jej to, że zwracała ogólną uwagę. Niezwykle przyjemne swobodne życie, jakie teraz prowadziła, zachwycało ją i upajało. Rozkoszowała się niem. Była dumna z tego, że jest mężatką, i starała się być piękną i poważną. Miała nowy elegancki płaszczyk, obsyty piórami, i zimowy wiązany kapelusik z ciemno-zielonem piórem metalicznego blasku, które znakomicie odbijało od jej złotawc-rudych włosów.

Widać było na niej, jak chętnie idzie obok swego męża i jak jest dumna ze swego wywyższenia. Tłumy ludzi na Przykopach, jasno oświetlone sklepy z bogatemi wystawami barwnych materyałów i błyszczących klejnotów, ruch powozów, światła latarni, wszystko to pochłaniała chciwym wzrokiem, łaknącym tego w ciemnej kuchence, za sklepikiem aż pod Wrszowicami. A on, widząc ją rozweseloną, tak pełną życia, którem teraz oddychała, porwany był też wspólnym prądem i dał się unosić temu wirowi życia bez troski, szumnemu, pełnemu przyjemnych wrażeń, i wdychał te rozkosze pełnemi płucami.

Te chwile uniesień zawsze przerywane były na chwilę, ile razy spotkano kogo znajomego z rodziny Werunskich, byłych kolegów ojca, obecnych radców i naczelników, albo przyjaciół rodziny braci, wogóle ludzi bogatych, odznaczających się stanowiskiem i zaliczanych do śmietanki praskiego towarzystwa. Z pomiędzy nich i ci nawet, którzy dawniej przy spotkaniu z Edą chętnie rozmawiali, wybaczywszy mu już, że został rzeźbiarzem i nie ma zapewnionego stanowiska, jak jego bracia, i wypytywali, jak

mu się powodzi? jak się ma?—teraz po większej części tylko zdaleka się kłaniali, lub udawali, że go nie widzą, jakby się dopuścił grzechu, którego mu ich towarzystwo odpuścić nie może.

Ile razy się to zdarzyło bardziej widocznie, tyle razy Werunsky chciał naprzekór tym ludziom pokazać się ze swą żoną. Wiezorami wtedy wstępował z nią do najokazalszych restauracyi i pragnął tam spotkać znajomych, którzyby zobaczyli jego żonę, bo chciał widzieć, jakie wrażenie na nich czyni, jak się im podoba; pragnął z ich spojrzeń wyczytać sąd:

— Tyś jednak dobrze zrobił!... wybór twój godzien zazdrości, a kto go nie pochwała, jest hypokrytą.

Dlatego był zły, jeżeli nikogo nie spotkał, i dlatego nakoniec zdecydował się raz, jakoś w pięć tygodni po ślubie, pójść na pewno i zaszedł z Bożeną na Winohrady, zajęte do Trnków. Trochę też tęsknił do przyjaciół — mają tam swój stół w osobnym pokoju, a wreszcie nie potrzebują się oglądać na nikogo: schodzą się tam koledzy, artyści, to mu wystarcza.

Wszedłszy tam, zastali u zwykłego stołu tylko Żywota i Twarę, od którego odskoczyła w tej chwili nowa kelnerka, zajmująca blada brunetka, którą malarz w pół obejmował. Skoro Werunsky spytał o resztę, dowiedzia się, że Lemary był tu ze trzy razy wszystkiego, a że Pour w ostatnich czasach wcale tu nie przychodzi.

— Oni mają teraz odpowiednie towarzystwo—mrucał Żywot ze szczególnym akcentem na wyrazie „odpowiedniejsze.”—Baron Rex, kilku innych członków naszej złotej młodzieży, dwaj aktorowie, jeden śpiewak, trzech młodych doktorów, jeden profesor uniwersytetu—sami kandydaci do małżeństwa, ozdoba Przykopów, bogowie!—tłómaczył złośliwie.—Fryzują włosy, noszą cylindry, futra i kamazel! Ludzie wielkiego świata! Ledwie że cię pozdrowią! Tyś wobec nich biedak, taki głupi, naiwny „Czechaczek,” któ-

ry pracuje, morduje się, ale nigdy do niczego nie dojdzie.

Żywot plunął przez zęby i wychylił resztę piwa. Podczas tej tyrady rzucił parę razy okiem na Towarę, który teraz zupełnie spokojnie dodał:

— Pour pojedzie do Wiednia, potem do Monachjum i do Drezna.

— Po co?—spytał Werunsky.

— Studyować! Zapisze się na parę przedmiotów do akademji malarskiej, na parę na uniwersytet. Będzie chodził do pracowni.

— Narzucać się—przerwał mu Żywot.

— Potem znów będzie podróżował, a później...

— Później wróci jako wielki znawca, zerznie twe posągi, obrazy Towary, stanie się jeszcze bardziej ograniczony i czelny, krótko mówiąc: staniesz się znakomitością. Już teraz przecie traktuje z góry, choć nie przeczytał nawet Lübkego; cóż dopiero, gdy uwięźnie mu w mózgu co z wykładów wiedeńskich lub monachijskich znakomitości!

— Żywot jest dziś w przyjemnym humorze, co?—zwrócił się Towara do Werunskiego.—Czy też już widziałeś najnowszy plód Lemarego?—zapytał, aby skierować rozmowę na inny przedmiot.—Przecie ci swoją książkę posłał?

— Nie dostałem nic, nic nie wiem—zapewniał rzeźbiarz.

— To ci muszę ją pokazać.

Towara wstał i poszedł do bufetu.

— Pożyczył ją Bercie—oznajmił poufnie Żywot.

— Jakiej Bercie?

— Naszej nowej kelnerce... przepraszam panią... Miłosne wiersze—rozumiesz przecie!

— Ach, ach!—uśmiechnął się artysta.—Ale słuchaj, on teraz zdaje się bywa u Jakubców?—badał.

— Naturalnie. Zauważ tylko, jak się stroi! O, to

jest praktyk! Maluje teraz starego Jakubca w mundurze miejskiej kawalerji.

— I stara się przytem o Reginę?

— Rozumie się. Zobaczysz: ten starego weźmie na lep.

Wtem wrócił Towara. Rzeczywiście zmienił się bardzo. Dawniej nie dbał o swą powierzchowność i chodził lada jak; teraz ubranie na nim było zgrabne, eleganckie.

Znać było, że właściciel jego ma gust i starał się dobrać je sobie do twarzy. Oryginalna jego twarz była w oczy i budziła podziw.

Siadając, położył na stół przed Bożeną tomik poezji, wydany podług paryskiej mody. „Z łuku Amora” brzmiał tytuł. Papier był mocny, na stronicy najwyżej dwadzieścia wierszy.

— Spójrzyj na dedykację—zauważył Żywot.

Werunsky odwrócił tytułową kartę:

„Mężowi, którego porównać można z najpiękniejszymi przykładami tych, których przewodnią gwiazdą było hasło: „O własnej sile!” Wzorowi cnót obywatelskich.

Szanownemu Panu
Wacławowi Hruszce,
przedsiębiorcy budowlanemu
Na Królewskich Winohradach
z najgłębszym szacunkiem
ofiaruje E. L.”

— Widzisz, to jest artysta! Ten się swoją poezją dorabia trzypiętrowej kamienicy. Nie każdy poeta u nas potrafi sobie zrobić taką drabinkę! — zjadliwie napomknął Żywot.— A te utwory: „O, pani wzniosła...” „Jak śmie oczy podnieść wasz niewolnik nędzny...” „O, uśmiechnij się, czar wiosny wschodzi...” „Tyś smutna, cień śmierci na

mnie pada...” — i to wszystko do tej tyczki, tej Tondy Hruszkówny!

— To łobuz! co? — śmiejąc się, zauważył Towara.

— Bezwstydnny natręt! — zjadliwie wtrącił Żywot.

— Co niedziela bywa zapraszany do Hruszków — zwrócił się znowu Towara do rzeźbiarza.

— A stary Hruszka nie ma nic przeciwko temu.

— Proszę cię, Lemary całymi wieczorami grywa im na fortepianie, deklamuje monologi, śpiewa kuplety, naśladuje aktorów, udaje Bosko, goście bawią się znakomicie — takie zdolności powinni mieć wszyscy artyści, a znalazły ich wkrótce całe nasze bogate towarzystwo i współczuło im — objaśniał Żywot. — Grać im komedye, ofiarować tanie wierszydła, a w dodatku być rządowym urzędnikiem, to sto razy lepiej, niżeli być tylko autorem, choćby najlepszej książki, najudatniejszego obrazu, najpiękniejszego posągu. Przy tem dopiero, tak trochę jeszcze, oplaca się sztuka, jako talent dodatkowy. Szkoda, żeś ty nie był tak trochę komikiem! — dodał i uklął oczyma Werunskiego.

— Czyż mógłbym być szczęśliwszy? — spytał Edward i zwrócił się ku Bożenie, której ta rozmowa wcale nie zajmowała.

Nie znała stosunków i nikt jej nie objaśnił. Teraz dopiero uśmiechnęła się do męża i położyła swą rękę na jego. Przytem przymknęła oczy. To było znakiem, że chciała iść do domn. Nie bawiła się tutaj, nie podobała się jej ta prosta, pusta izba, którą oświetlała jedyna nafciana lampa, nie podobało się towarzystwo w bufecie, skąd dochodziły tu często głośne rozmowy i ordynarne wyrazy.

Werunsky zrozumiał ją i na znak zgody lekko uściśnął jej rączkę. Ale dopiwszy szklanki, pozwoił sobie jeszcze podać, tak był zajęty tokiem rozmowy z przyjaciółmi,

Zaczął opowiadać o swem „Szczęściu,” był zachwycony własnymi słowami, zapraszał przyjaciół, aby przyszli obejrzeć model, był pełen nadziei i pewności, iż posąg zrobi

sensacyę, że odrazu zdobędzie mu sławę. Do nowego roku, a napewno już do połowy stycznia, będzie zupełnie gotów.

Na razie myślał, że do Bożego Narodzenia, ale nie może przecież tego lada jak wykonać.

Skończywszy szklanke, kazał sobie znowu podać i zapewniał Bożenę, że ta już napewno będzie ostatnią. Im dalej, tem więcej się zapalał; im dalej, tem więcej mówił o sobie i nietylko o swej pracy, lecz i o swem rodzinem szczęściu, jak ma wszystko urządzone i załatwione. Mówił tak szczerze, że Bożena musiała mu zwracać uwagę, iż mówi za wiele. Nareszcie stanowczo nalegała, aby poszli.

Była już północ, hałas w bufecie wzrastał, w końcu był nie do zniesienia.

Wszyscy wyszli razem. Werunsky mówił jeszcze dużo przez drogę, wyśmiewał się z Lemarego i głosił, że gdyby kolega dostał za Toniczką cztery domy, nie mógłby być ani w dziesiątej części tak szczęśliwy, jak Bogu dzięki, on jest z Bożeną. Co to za artysta, który potrafi żyć z taką kobietą! Żaden. Wierszokleta, spekulant. Płatny blazen w towarzystwie!

Potem napadał na Poura. Ten ryży, dlatego tylko, że niezdatny do niczego innego, chwyta się szarlataneryi; nigdzie nic nie skończył, porządnym urzędnikiem nie mógłby być, ale za to gębą potrafi narzucić się każdemu. Taki człowiek ma pretensyę sądzić poważne prace, taki niedouczek, który co nieco z wykładów liźnie, a potem za swoje głosi. Już po jego uszach widać, co on wart.

— Ale czemu się denerwujesz? Myślisz, że temu przeszkodzisz? Że zmienisz modę? Dziś jest właśnie modnie, że natrętni szarlatani robią karierę—przerwał mu Żywot. — Pour może się stać jeszcze kiedy profesorem, a że z Lemarego będzie bogacz, to tak pewne, jak to, że z Towary będzie artysta.

— O proszę, proszę! — bronił się Towara, który

ze wszystkich przyjaciół szedł najpewniejszym krokiem obok Bożeny.

„A ze mnie?” — chciał zapytać Werunsky, którego zmartwiło, że go Żywot obok Towary nie umieścił. Ale z powodu jakiejś wątpliwości, stłumił to pytanie, bojąc się, aby Żywot nie powiedział otwarcie przed jego żoną:

— Nic z ciebie, nic!

I zaniepokojony pośpieszył naprzód i podał żonie ramię.

— Weź mię pod rękę—rzekł jakoś nieśmiało.

Ona, odwróciwszy się od Towary, spojrzała na męża, a w tem spojrzeniu przemknęła wymówka. Padał drobny, szczypiący, rzadki śnieg. Niebo było ciemne, ulice były zasłane białym całunem.

— Chodź prędzej—rzekła.—Tak długo siedzieliśmy, jestem śpiąca.

Było w pół do pierwszej, gdy zadzwonili u bramy.

XII.

Bywały jednak dni i nawet większość ich, gdy młodzi małżonkowie trawili wieczory w domu. Szczególnie podczas dni mglistych, wilgotnych, deszczowych, jakich przybywało coraz więcej.

Mile uśmiechał się do nich drobny delikatny deseń jasno malowanych ścian przytulnego mieszkania i różowe pączki sześcioramiennej gwiazdy na suficie. Czyste, świecące się meble pachnęły nowością, wagi i wahadło ściennego zegara, druty klatki, ramy obrazów, drzwiczki pieca, błyszcząły przyjemnie w wieczorowym półcieniu, a jasny blask ich migotał, gdy zapalili lampę i spuścili

rolety. Rozłożone dywany tłumiły kroki, nakryty stół ob-
lany był przycienionym blaskiem lampy, a w kącie kuchni
migotała rozpalona blacha, od której słychać było sycze-
nie i bulgotanie gotującej się wierzery.

Zręcznie, w lekkich pantofelkach kręciła się Bożena,
opasana fartuszkim, oczy jej spokojnie zwracały się na
męża, odpoczywającego wygodnie na sofie za stołem i przy-
glądającego się spokojnie talerzom, różowemu kłoszowi
lampy i w dali stojącej żonie.

Przyjemne ciepło rozchodziło się wkoło, słodkie roz-
leniwienie przejmowało członki, spokój zalegał piersi.

W tym czasie dawały się słyszeć z sąsiedniego miesz-
kania lagodne tony fortepianu. To grała pani Kleinwir-
thowa, żona dziennikarza, młoda, szczupła, przyjemna ko-
bieta, również niedawno zamężna. Pan Kleinwirth nie
bywał wieczorami; w redakcyi zajęty, około ósmej wracał
do domu. Werunskiemu było przyjemnie, że obok nich
mieszkają także szczęśliwi ludzie, a wspólna to szczęście
i radość, jaka z niego wypływała, objawiała się w spojrze-
niach młodych pań, ile razy za dnia się spotkały.

Czasami, ale bardzo rzadko, odezwał się pod nimi
altowy głos panny Fichterówny, śpiewającej jaką senty-
mentalną niemiecką piosenkę. Śpiewu tego Werunsky nie lu-
bił i zawsze zaczynał chodzić po pokoju, ilekroć go usły-
szał.

Znikąd więcej nie dochodził tu żaden głos, i zdawało
się Werunskiemu, że są usunięci od świata; lubował się
w tej samotności, która jakby dodawała wdzięku ich mi-
lemu mieszkaniu.

On wolał te wieczory, niż wszystkie inne, i ona lubi-
ła je także, bo bawił ją ład i dostatnie urządzenie nowego
ich gospodarstwa. Wtedy zapominała o wszystkim i śpie-
szyła to lub owo urządzić, okurzyć, ułożyć, każdą drobnost-
kę po dziesięć razy przedstawiała, oglądając ją ze wszyst-
kich stron; cieszyło ją to, że mają ładne mieszkanie, urzą-

dzone z pewną okazałością, i troskliwie o to dbała, żeby wszystko utrzymało się świeże i błyszczące.

Nieporządku i braku nie znosiła, bo to jej przypominało wstrętne mieszkanie przy ciotczynym sklepiku.

Obok dostatku i ładu nabrała zamiłowania do wygody nowego otoczenia; ubranie musiała mieć także ładne i zręczne; w sprzętach i w naczyniach nie ścierpiła żadnego braku, do każdej potrzeby chciała mieć specjalnie na to przeznaczoną rzecz, razila ją wszelka zamiana i pożyczka z konieczności. Pod tym względem Werunsky godził się z nią zupełnie; ale podczas, gdy on miał te zasady wkożenione z dzieciństwa, zrósł się z niemi w domu zamożnych rodziców, u niej powstały one w skutek jakiejś rządu otrząśnięcia się co najprędzej ze wspomnień przeszłości, które ją razily i dręczyły. Nie zwracała uwagi, że takie dokładne zaopatrzenie gospodarstwa, taki swego rodzaju zbytek, wymaga nakładu, przez co powiększa wydatki.

Widziała, jak Werunsky nie szczędził kosztów przy urządzeniu mieszkania, jak wciąż miał dosyć pieniędzy, z jaką przyjemnością spełniał jej wszystkie zachcenia, i nie rozmyślając wogóle wiele, nie przypuszczała nawet, czy tak zawsze starczy. On zaś nie przywykł do rachunków, nie mając dawniej potrzeby oszczędzać, wydawał pieniądze bez namysłu. Zresztą przecież w styczniu wykończy model Szczęścia i zaraz dostanie zań tysiąc guldenów; potem będzie robota przy muzeum, jaki portret się zdarzy, bo powodzenie Szczęścia zapewni mu obstalunki.

Jakiś rodzaj wygodnego lenistwa ogarniał ich oboje, skutkiem czego do każdego wyznaczonego terminu, na który model miał być ostatecznie skończony, co jakie dwa tygodnie dokładał z dziesięć dni.

Rano sypiał dłużej niż zwykle, tłómacząc się, że i tak mało ma światła. A Bożena rada była z tego, ba! nawet niechęć podtrzymywała to lenistwo, bo sama była może większa wygodnisia, niżeli on.

Wypoczywała teraz chętnie, tłómacząc się:

— Przecież i tak przez całe życie nic nie użyłam!

A całując męża, mówiła:

— Jak to dobrze, że nie musisz chodzić do biura!
jak to dobrze, że jesteś artystą!

Te piękne zimowe poranki! On leżał jeszcze w łóżku, kiedy ona w wygodnym negliżu sama w pokoju przyrządzała śniadanie, aby do ich świątyni nikt obcy nie wchodził.

On nie wstawał, póki nie było w piecu dobrze napałone. Przymróżonemi oczyma patrzył na nią, śledząc każdy ruch jej, a gdy mignęła koło niego, czuł się szczęśliwy, gdy mógł dotknąć szerokiego rękawa rannego kaftanika.

Czasami chwycił ją miękką ręką, przyciągnął do siebie i ucałował. Potem wpatrywał się w migocący płomień w piecu, to znowu w blask świecy, której światło przy spuszczonej roletach było czerwonawe, otoczone żółtawymi oparami nad białością stearyny.

Wtedy zwykle mawiał, jak mu miło, że jest w swem gniazdku. Jaki mróz musi być na dworze! Zimno i ciemno... Wilgotna, surowa, ciężka mgła, że ledwo widać przykryte psy przed mleczarskim wózkiem, którego płachta pokryta szronem, a z którego wygląda mleczarka, otulona w chustkę. Jak mu żal tych ludzi, którzy dziś muszą wychodzić, ręce chowają w kieszenie, a drżą z zimna po wczesnym wstaniu! Jak on jest szczęśliwy w domu, w tem białem czystym łóżku, patrząc się na drepczącą wkoło niego swą małą żoneczkę w szarej spódniczce i białym nocnym kaftaniku, obszytym koronkami, z rozpuszczonymi włosami, w pilśniowych pantofelkach, obserwując, jak dzięki niej rozchodzi się ciepło i woń kawy. Zawsze najbardziej pragnął tych zimowych poranków, gdy w całej pełni i słodczy używa człowiek ciepła rodzinnego ogniska.

„Czy mogą być tak szczęśliwi moi bracia? — rozmyślał, przymykając oczy. — Fryderyk ma strojną damę, wiecz-

nie chłodną, wiecznie niedostępną, grzecznie uśmiechniętą i poruszającą się odmierzonymi krokami, taką lalę porcelanową w bogatym salonie. Na nim też odbijało się to wszystko, wegetuje tylko w chłodzie i cieniu, taki jest bezbarwny, obojętny, nieśmiały, zawstydzony. Co to za życie?

„A Eman! Ten tylko ugania się za pieniędzmi. Są dla niego jedynym celem, jedyną nagrodą. Co za przyjemność mieć obok siebie taką chorowitą, zmartwioną i zazdrosną żonę, która wie, że wyszła za mąż dzięki posagowi, która żyje w wiecznej trosce, że mąż szuka sobie zabawy gdzieindziej! A te obawy dręczą ją jeszcze bardziej. Pewnie, że nie są bez podstawy. O panu budowniczym Werunskim opowiadają sobie rozmaicie... Czy można wobec tego przypuszczać szczęście?

„A jeżeli Lemary dostanie młodszą Hruszkównę, to nie będzie lepsze małżeństwo. Jak ci ludzie są nierozumni: ubiegać się tylko o pieniądze! Czego się pozhawiają! Potem stają się z nich egoiści. Majątek jest ich bożkiem, jedyną ich dumą. I pocieszają się głupcy, że kto nie jest bogaty, nie ma żadnego znaczenia. Traktują go z góry, niedelikatnie, bezwzględnie. Jak bracia jego...”

Zarazem przypomniał sobie Werunsky, jak go przywitani, jak nawet nie przyszli na wesele, jak Fryderyk przysłał dwadzieścia guldenów, a Eman tylko obietnicę. I dotąd jej nie spełnił. Gdzieżby on mógł pamiętać o bracie! Przy swych kłopotach! A jeżeli sobie nawet przypomni, uspokoi się, że przecież Eda może zaczekać. Tak niechaj poczeka! Rozumie się, gdyby to był właściciel sąsiedniej kamienicy, lub jaki znajomy wędliniarz, którego można było posądzać, że za jakie trzy lata wystawi sobie dom, toby się pamiętało, bo zapomnienie byłoby obrazą. Ale ubogi krewny—co nas obchodzi?... niech czeka! Przy tej sposobności można mu dać do zrozumienia, czem są oni, a czem taki biedak brat!

Rzeźbiarz drażnił się sam takim rozmyślaniami. Bolało go lekceważenie Emany, a ilekroć wspomniał o nim, stawał się może nawet przesadnym. Nakoniec w jakiejś chęci zadość uczynienia mawiał zawsze:

— Nie zazdrościmy im tego. Po za tem nic nie mają! O ileż jestem bogatszy od nich, posiadając sztukę i taką kochającą, zadowoloną żonę!

I przyszło mu do głowy, żeby tak jego bracia, albo i Lemary byli rzeźbiarzami i mieli rozwiązać alegoryę Szczęścia, ale szczerze, z głębi swego przekonania, aby to ich dzieło było zarazem wyobrażeniem ich filozofii, aby było ich wyznaniem, jakby też ów posąg wyglądał? Czyby mogły wystawić go portrety ich żon? A uśmiechnąwszy się, czuł szczególne zadowolenie i dumę, że jego posąg jest rzeczywiście wyrazem jego przekonania, najszczerzem wyznaniem. Czy był zdolny rozwiązać problem Szczęścia obecnie inaczej, niż w postaci swej żony?— i rad się napawał tą myślą.

Teraz nie chodził już wcześniej do pracowni, teraz czekał, aż żona wszystko załatwi i sprzątnie. Nie zależy znowu tak wiele na tem, czy model będzie o tydzień wcześniej czy później gotów, dlatego nie miał pretensyi, jeżeli czasem dłużej się zabawiła. Tylko gniewało go to, jeżeli niekiedy rano wpadła do nich na chwilkę pani Szwejnohowa, Lida, lub nawet i sam Franek.

Stawało się to zwykle w święto, ale czasami i w dzień powszedni. Lida teraz gdzieś w pobliżu przyjęła obowiązek i, przechodząc, wstępowała czasem do siostry tak, jak szła naprzykład po sprawunki, w chustce na głowie, ze zmarzłemi i popękanemi rękoma. A Franek znowu, w pokrwawionym fartuchu i drelichowym kaftanie, pytał się już w kuchni:

— Co porabia pan szwagierek?

Bożena też niechętnie ich widywała; byli dla niej niemiłymi, nie puszczała ich nawet dalej, mówiąc, że mąż

czuje się niedobrze, albo że tam są goście, lub wreszcie, że pracuje, nie można mu przeszkadzać. Ale on słysza głośne gadanie Franka iz kuchni, lub przyciszony szept Lidy. Pani Szwejnowa przychodziła najczęściej pożyczyć czego: albo żelazka, albo włóczkowej szydełkowej chusteczki, której Bożena teraz i tak nie nosi, lub maszynki do mielenia czerstwych bułek, lub wreszcie przyszła opowiedzieć, co się jej o Boży śniło.

Bożena, jak mogła, pozbywała się ich, ale oni przychodzili tu, jakby z obowiązku, mówiąc:

— Przecież muszę wstąpić do siostry, pani Werunskiej, do szwagierka Werunskiego, do siostrzenicy Werunskiej..

Za to Werunsky umyślnie unikał ulic, na których mógłby kogo z nich spotkać, i żonie dawał do zrozumienia, że niechętnie się z nimi widuje. Najbardziej mu obrzydła górna część Palackiego ulicy, gdzie był sklepik pani Szwejnowej. I Bożena także tu nie przychodziła; wolała, żeby raczej krewni jej mówili, że jest dumna, a nawet niewdzięczna, niżeli, aby za często i widocznie objawiali jej swą miłość.

To usuwanie się Werunskich zauważyła najpierw Lida, i raz, po nieuprzejmem przywitaniu Bożeny, odeszła bez słowa wymówki, ale z myślą, że już nie przestąpi jej progu.

— Wstydzi się mnie — tłómaczyła ją jeszcze.

Za to pani Szwejnowa wymówiła to ostro:

— Niech się twój mąż nie skarży na swoich braci, że są dumni, wszakże on nie lepszy, a i tyś od niego nasiąkała. Wstydzi się żoninej siostry, ale jak z jego strony nie przyszedł nikt na wesele, to czuł się obrażony.

Werunsky słyszał te słowa. Zadziwiła go na razie ta słuszna wymówka, i zaczął ją rozważać.

Ale im dłużej myślał, tembardziej przychodził do przekonania, że tu jest inny stosunek. On przynosi tylko

honor nazwisku Werunskich swemi dziełami, jego nie powinni bracia unikać, a co go najbardziej boli, to, iż unikają go, gardzą w jego osobie sztuką. To go najwięcej drażni. A jakiż honor przynosi mu rodzina Szwejnowej? Żadnego, raczej należy się obawiać, aby Franek nie zrobił wstydu.

Gdy tak rozważał, przyszedł do przekonania, że położenie artysty w naszym społeczeństwie jest jakieś wyjątkowe. Ani bogaci i inteligentni, ani ubodzy i próżni nie pojmują go jak należy, nie widzą, dokąd go mają zaliczyć, jak się względem niego zachować. Spotkasz albo udaną uprzejmość, albo nietajoną powściągliwość, albo narzucanie się z przyjaźnią. Coraz częściej przemyślał Werunsky o tym fałszywym stosunku i wpływie jego na artystę. Dochodził do przekonania, że gdyby był profesorem, adwokatem, lekarzem, urzędnikiem, z pewnością nie byłby tak poufnie traktowany ze strony rodziny Szwejnowej, a braciaby tak otwarcie nie stronili.

Jaka tego przyczyna?

I odpowiadał sam sobie, że jest nią ograniczone pojęcie zarówno warstw niższych, jak i wyższych, o prawdziwej podstawie i korzyści artystycznej pracy i jej cenie.

XIII.

Raz przed Bożem Narodzeniem odwiedził go w pracowni Towara. Był jakiś nieswój, rozgoryczony, niespokojny. Patrzył na pięknie urządzoną pracownię Werunskiego zawistnem okiem.

— Nie wiem, ilebym za to dał, żebym mógł tak spokojnie pracować, jak ty. Mieć takie pomieszczenie! Pracować nad jednym dziełem z całą duszą!..

— A cóż ci przeszkadza?—uśmiechnął się Werunsky.

— Pieniądze i jeszcze raz pieniądze!—zawołał rozdrażniony Towara.—Nie mam kapitału, jak ty. Żyję z dnia na dzień. Illustracye i ilustracye, najwyżej jaki szkic olejny, lub portret, i to często za darmo. Wszystko to nic nie znaczy. To istna mordęga.

— Zarabiasz przecie więcej ode mnie.

— Gdyby nie dawniejsze długi, z Monachjem jeszcze.. Nie mogę wypłynąć. Tam nie miałem żadnych dochodów, a zmarnieć przecie nie chciałem. Tu trochę spłacisz, coś kupisz i znowu nic nie masz. Nie można zacząć nic większego, nad czemby trzeba siedzieć z pół roku—spokojnie, bez troski o jutro. Robić coś z natury..

Mówił zgorzkniały i rozdrażniał się coraz bardziej.

— Człowieku, ty nie wiesz, do czegoś zdolny dla pieniędzy! Zbrzydła mi moja robota: te rysunczki, portreciki, główki.. Podlizywać się komu, żebrać—to nie w mojej naturze, prędzej zrobię co innego. Nie będę zwracał uwagi, że mogę zaszkodzić innemu. Muszę zdobyć środki, bo chcę raz pokazać, co potrafię. Nie będę się rządził sumieniem. I nikt mi nie powinien brać tego za złe, nawet ty.

— Co masz zamiar zrobić, proszę cię?—pytał zaniepokojony Werunsky zdenerwowanego przyjaciela.

— Wkrótce się pewno dowiesz. Nie dam się lekceważyć dłużej. Wyzyskiwać także nie. Rola, którą gram, jest podłą! Ale wypłynę z jej pomocą. A najwięcej ucierpi ten, kto mnie chciał wyzyskać. Co on mię obchodzi? Bylebym tylko zdobył pieniądze, choćby od niego!

— Od Jakubca?

— Nie mówię o Jakubcu!

Werunsky chciał zapytać o Reginę, ale obawiał się

Szczęście. Dodatek do Tyg. illust.

aby to pytanie nie wyglądało na interesowanie się dotąd młodszą córką Jakubca.

— Kto w naszych warunkach jest jak ciepłe kluski i stale uchyla się od stosunków, daleko nie zajdzie. Aby zdobyć powodzenie w sztuce, trzeba być do pewnego stopnia bezwzględny; to ludziom imponuje. Nieśmiały biedak zostanie na zawsze biedakiem, popychanym z kąta w kąt. Co przytem za sztuka! Mitrega, nic więcej. Rysunki i wciąż rysunki! Marniejesz przy największym talencie. Tu, owdzie, jakaś robota jakby z łaski lub litości, a pozostawia po sobie niesmak. To powolna śmierć, nie życie, a nie dopiero sztuka! Biedny artysta, jeśli chodzi w podniszczonem ubraniu, traci u nich na wartości, a ostatecznie i sam zaczyna wątpić o sobie. Kuli się stale, aż potem i wyprostować się nie może. Skarłowacieje. Sztuka, sama sztuka mało kiedy zwycięży. Najczęściej dopiero po śmierci artysty. Takiej sławy nie pragnę. Mieć majątek, móż się podrożyć, a obok tego owszem coś umieć— zobaczysz, jak stanę się wielkim, poszukiwanym. Pieniądze przyniosą stokrotny procent; ja je muszę zdobyć!

— A czy będziesz szczęśliwy?—poważnie zapytał Werunsky.

— Przypuszczam. Będę mógł pracować wedle chęci.

— A szczęście rodzinne?

— Wszystkiego posiadać niepodobna. Obawiałbym się nie spełnić swych marzeń. Zdaje mi się, że zaniechałbym pracy, że przestałbym być artystą.

— A mnie się zdaje, że prawdziwa miłość jest najbogatszem źródłem artyzmu.

— Ale źródłem może być także niespełnione pragnienie, żal i nieszczęście.

— Jeżeli nie zabiją wprzód.

— To zależy, czy w tobie artysta przewagę ma

nad człowiekiem. W sztuce i osobiste nieszczęście podnieca do twórczości. Wystawiam je na targowisko.

Rozmawiali poważnie. Z głębi duszy, w lakonicznej formie, wyrywały się im z ust skryształizowane rezultaty długich rozmyślań podczas bezsennych nocy.

Oczy Towary z pod zmarszczonego czoła wpatrywały się w Werunskiego, stanowcze, zrezygnowane.

Pod tem spojrzeniem odczuwał Werunsky szczególne, niemiłe wrażenie, jakiś smutek go ogarniał, czuł jakoś przewagę przyjaciela, a zarazem wiedział, że przeciw jego twierdzeniom burzy się coś w jego sercu, co nie jest złe, co tkwiło w niem od dzieciństwa w chwilach, najbardziej tkliwych, coś, czego nie umiał nazwać, jakiś zbytek uczuciowości, jakaś uszczęśliwiająca dziecinna dobroć, coś, co łagodziło jego upór, gdy był dotknięty, co zawsze brzmiało w nim pocieszająco, co po wybuchu oporu lub gniewu ostatecznie zawsze wywoływało rezygnację, przebaczenie, zaparcie się siebie i czyniło go lepszym, co wywoływało żal każdego surowszego słowa, które przez prędkość wyrzekł, jakaś miękkość i delikatność serca, która lękała się każdego śmielszego kroku, która cofała się przed każdym starciem się z ludźmi, która mówiła najwyżej: „Bojuj, dowiedz proszę!”—a która pyszniła się z cierpienia; coś, co w rezultacie skłaniało się zawsze do odpuszczenia, co nie pragnęło nic prócz miłości i w niej czuło najwyższe szczęście.

Ale może to zarazem była prosta słabość, brak trzeźwości, wrodzona wada, którą starał się pod fałszywym nazwiskiem zaliczyć do swych przymiotów?

Oczy jego unikały spojrzenia Towary, a tocząc się po pracowni, zaszyły mgłą; szafir tęczówki wpadał w odcień oliwkowy. Iskrzyło się i łamało w nich coś, co przypominało wstydlive spojrzenie dziecka w poważnej sytuacji, lub spojrzenie dziewczęcia, marzącego o czemś niedoścignionem.

— Ja przynajmniej myślę o sobie, że im mniej będę

miał osobistego szczęścia, tem bardziej przylgnę do sztuki, i wierzę, że znajdę w niej zadosyć uczynienie, ale muszę mieć możność poświęcić się jej tak, jak to rozumiem. Z całą siłą i werwą, z całą bezwzględnością wobec wszystkiego, co mię powstrzymuje... A do tego potrzebuję przede wszystkim pieniędzy i niezależności; niech się ktoś zgadza na moje poglądy, lub nie! Ty będziesz przynajmniej wtajemniczony w moje pobudki.

Po odejściu Towary czuł się Werunsky do samego wieczoru jakiś niespokojny i niepewny. Czy dobrze postępuje Towara, czy on?

Przypomniął sobie przepowiednię Żywota, że z Towary będzie prawdziwy artysta.

Nie wątpił o tem, ale czemużby i z niego być nie mógł? A jednak mu się zdawało, że Towara do zyskania powodzenia ma całkiem inną i bezpieczniejszą broń niż on, że zupełnie inaczej i dokładniej jest przygotowany na tę długą nieodwołalną walkę.

Niepewność ta wzbudziła w Werunskim szczególny niepokój, że nie mógł nawet pracować.

W zamyśleniu przyglądał się swej pracy; nie dużo jej już brakło.

Postać śpieszącego Szczęścia wyrosła jakby cudem w powabnych swych konturach i ładnych formach z szerokiej podstawy. Już pod palcami wyprężonej prawej stopy, na której spoczywa ciężar postaci, widać było złamaną łodygę przydeptanego i w ziemię wciśniętego kwiatu, i gniazdo rzuczone na drogę, ukrywające w sobie trzy jajeczka; wszystko to było wykonane z zadziwiającą dokładnością. Czy minie je ta postać dążąca naprzód, z zawiązanemi oczyma?

Patrz: już lewa noga w tył wygięta, gotowa wysunąć się naprzód, a obserwator rzeczywiście oczekuje z niepokojem, czy zdepcze to gniazdo, czy zręcznie je ominie?

Ruch ten był bardzo szczęśliwie uchwycony, naturalny, pełen prawdy, złudzenie było doskonałe, i nie można

było rzeczywiście obronić się wrażeniom i ciekawości oczekiwania: gdzie lewa noga, przejmując wagę całego ciała, stąpnie? Kształt nówek był delikatny, jakby do całowania, każdy wykrój i zagięcie doskonale wytknięte, i linie i kształty pozostałych części ciała były wybornie oddane, fałdy koszuli i sukienki malowniczo zebrane, ale zarazem w zupełności zależne od wykonywanego właśnie ruchu, bo modelowanie ich zdawało się okazywać gatunek i wygląd wełnianego materiału, co podnosiło wrażenie rzeczywistości i alegorycznemu temu posągowi nadany charakter realistycznego opracowania.

Charakter ten jeszcze wyraźniej oznaczony starannem obrobieniem tej części wierzchniej sukienki, która brzegiem zatknięta za pas, ukrywała w sobie dary, jakie Szczęście, dążąc swą drogą, rozdaje nie wiedząc komu. Znać było jak na miękkim materiale odłaczają się mniej lub więcej wyraźne kształty przedmiotów w sukni ukrytych; niektóre z nich wabiąco wyglądały swymi brzegami: tu kwiaty, tu berło, tu wieniec laurowy. Pomimo tego fałdy szaty ułożone były z taką myślą, aby przez nie przebijały wspaniałe kształty powabnego ciała, a zwłaszcza popiersie było pod tym względem misternie odrobione. Piersi unosiły się wyżej w biegu, na szyi widać było napięcie karkowych mięśni, usta cokolwiek rozchylone, a nozdrza, jakby rozszerzone nerwowo, zdawały wciągać w siebie powietrze. W każdej części posągu przebijały się widoczne dowody tego, że obrobiono je z zamiłowaniem, w natchnieniu, z troskliwością niezwykłą, i dzieło, wzbudzało podziwienie, szczególnie mistrzowskie opracowanie włosów, unoszących się w biegu.

Ani jednego jeszcze dzieła swego Werunsky nie odrobił z taką sumiennością w najdrobniejszych szczegółach, i drżał już w oczekiwaniu, jak z tej właśnie przyczyny zadziwi swą pracą. Tylko wyciągnięte ręce i dary rozrzucone nie były jeszcze odrobione. Ale i pomimo tego

braku było teraz widoczne, że główna siła tego posągu tkwi w niezwykle dokładnem doścignięciu prawdy życiowej, do tego stopnia, że patrzący zapominał, iż ma przed sobą prosty utwór z żółtawo-szarej, wilgotnej, tłustej, lśniącej się gliny, a widział tylko nadzwyczaj wierny obraz pięknej, smukłej, powabnej kobiety, śpieszącej naprzód z zawiązanemi oczyma. Nie była to istota nadziemskiego pochodzenia, z niebiańskim natchnieniem na twarzy, lecz przyjemna, piękna kobieta, pełna ciepła i czarów życia. Tylko tę podziwiał obserwator, pomijając wszelkie dodatki. Była to Bożena w całej swej krasie i dziewiczej świeżości. Krótko mówiąc, utwór ten był tem, czem tylko mógł być, będąc opracowanym w miodowym miesiącu przez artystę kochającego i podziwiającego swą żonę i mającego sobie za punkt honoru uwydatnić jej piękności jak można najlepiej.

Werunsky wiedział o tem dobrze, że tym sposobem wiernego realizmu odchylił się poniekąd od swej pierwotnej myśli, którą przecież otaczała jakaś aureola niebiańska, ale był przeświadczony, że to zrobił na korzyść dzieła; widział w tym posągu, w tym dokładnym obrazie Bożeny samą doskonałość, i był tem zachwycony.

A przypatrując się jej tak, nie szukał już odpowiedzi na pytania.

— Czyż miłość nie jest najczystszyim zdrojem sztuki? Czy nie jestem waryatem, że się dręcę powątpiewaniem? Gdybym był bogaczem, czy mógłbym stworzyć lepsze dzieło? Jak niepewne są zasady Towary! Czyż jego nie lepsze?!

Spokój powrócił mu.

XIV.

Śpieszył do domu wcześniej niż zwykle w radosnem ukojeniu. Ale ledwie wszedł do kuchni, już niemile dotknęła go obecność pani Szwejnohowej i córki jej Rózi.

Bardzo żywa wprzód rozmowa naraz ucichła, ale po zaczerwienionej twarzy i zapłakanych oczach pani ciotki było widać, że obrabiano sprawę ważną, którą przed nim ukryć chciano. Zacięte milczenie żony utwierdziło go w tem mniemaniu i drażniło zarazem jego ciekawość.

Zaczął nalegać, chcąc za jaką bądź cenę dowiedzieć się, co się stało.

W końcu po długich ceregielach, z niewyraźnych i wymijających odpowiedzi wyrozumiał, że Franek sprzeniewierzył majstrowi pieniądze, a bojąc się więzienia, najpewniej gdzieś uciekł, a może nawet sobie co zrobił. Od wczoraj go niema, nie przyszedł do roboty, nie pokazał się w domu, poszukiwanie dotąd jest bez skutku. A jeśli go znajdą, czeka go kara i wstyd.

Pani Szwejnohowa wciąż płakała i wzywała Boga i Matki Boskiej na pomoc. Bożena i Rozalka stały jak skamieniałe, wstydziły się za swego krewnego, ale współczuły biednej jego matce.

Werunskiego przeszły zimne dreszcze. Pierwszą myślą jego było, że obawa, jaką miał względem Franty, go nie zawiodła; gdy nabrał tej pewności, wydało mu się, że coś ściągnęło go na niższy stopień społecznego stanowiska, niż był dotąd. Rozumiał, że w części ta hańba spadnie i na niego, i krew mu uderzyła do głowy. Wyobrażał sobie, jak Franka wiodą żandarmi, a on z Towarą i Lemarym przechodzą akurat. Oni znają syna Szwejnohowej z wesela i patrzą nań w przykrem milczeniu i unikają potem spoj-

rzeń Werunskiego, który o mało nie pada pod ciężarem hańby. A wkrótce to rozniesie się po całej Pradze, po wszystkich znajomych! Dojdzie do rodzin braci! A ci pewno jeszcze powiedzą: „Dobrze mu tak!”—i będą go wymijali na ulicy.

— Na rany Chrystusa, co ja zrobię? Taki wstyd!—narzekała pani Szwejnowa.

— Lamentacye nic nie pomogą—przerwał jej Werunsky podrażniony.—Ja zawsze przepowiadałem, że się z niego nic dobrego nie doczekamy, ale wyście widzieli w nim Bóg wie co. Łotr i nic więcej!—wyrzucił z siebie ostro.

— Wszakże, kto wie, jak to było—zaczęła go bronić matka i wynajdowała setki wymówek.

— Ja wam poradzę, pani!—kończył Werunsky:—idźcie do domu, mówcie o tem jak najmniej i czekajcie cierpliwie, co z tego będzie. Jeżeli go znajdą, to niema rady, a jeżeli ucieknie, dowiemy się o nim z czasem. Żeby sobie co zrobił, tego się nie bójcie. Taki nikczemnik nie myśli o śmierci.

Cały wieczór potem Werunsky był milczący. Ani się uśmiechnął. Bożena wstydziła się nań spojrzeć. Żal mu jej było, ale nie był w stanie przemówić do niej serdecznie jak zwykle. Czuł się wzburzony, zdenerwowany, obecność żony przypominała mu sprawkę Franka, którąby rad puścił w niepamięć.

Po raz pierwszy od ślubu po kolacji sam wyszedł.

— Wciąż o tem myślę, aż mi głowa pęka z tego...—rzekł, nie spojrzawszy na żonę.—Pójdę się przejść. Wrócę niezadługo. Ten twój brat cioteczny zrobił nam piękny pasztet!

Wyszedł, błąkał się jakiś czas bez celu, w końcu zaszedł do znanej piwiarni Pilzeńskiej. Chciał siąść gdzieś sam przy stole, wtem spostrzegł, że go wita siąsiad pan Kleinwirth, siedzący przy poblizkim stoliku obok swej małżonki. A ledwie się ukłonił, już grzeczny sąsiad zapraszał

go, aby się do nich przysiadł, że potem pójdą razem do domu.

— Cóż to dziś sam pan Werunsky?—zaczął uprzejmie rozmowę, pomagając mu zdjąć palto.—Czy może pani niezdrowa?

— Widziałam ją po południu w sieni—wmieszała się do rozmowy pani Kleinwirthowa, wysoka, szczupła, przyjemna osoba z podłużną twarzą i delikatnym uśmiechem.

— Ach, nie... dziękuję, jest zupełnie zdrowa—odpowiedział Werunsky, siadając naprzeciw pani Kleinwirthowej.

— Naturalnie, aż przyjemność na nią spojrzeć, jak kipi zdrowiem—uśmiechnęła się i dodała:—Prosiłam ją parę razy, żeby mię odwiedziła; jestem prawie cały dzień sama, ale ona dotąd nie przyszła. Musicie się za mną przyczynić, panie Werunsky. Dobrze?

I znowu miłuchno się uśmiechnęła.

— Nawet nie wiecie, jak moja żonka o waszej wciąż opowiada. Chciałaby pozyskać jej przyjaźń, prawie się w niej kocha—dodał pan Kleinwirth.

— Bo też pani Werunaska niezmiernie miła—pochlebnie zaznaczyła jego żona.

— Mnie samemu przyjemnie patrzeć na was, gdy oboje idziecie: tacyście weseli i zadowoleni z życia—dodał znowu pan Kleinwirth.—Wiecie, tembardziej mię to cieszy, że widzę, iż znowu jeden z naszych artystów żyje w szczęśliwem małżeństwie przy zapewnionym bycie.

— Do zapewnienia bytu jeszcze daleko—rzekł Werunsky.

— Niech tam sobie, aledla naszego społeczeństwa jest to pocieszającym faktem, jeżeli rozmnoży się rodzina artysty, uczonego, literata, dziennikarza. Ma to wielkie znaczenie, ważny wpływ na racjonalniejsze, odpowiedniejsze zrozumienie i ocenienie tego stanu. Idziecie przez ulicę ze swą

ładną, młodą, elegancką żoną zwracacie uwagę: „Kto to?” pyta ten i ów. „Rzeźbiarz Werunsky ze swą żoną” brzmi odpowiedź. Panie, ci ludzie, którzy byli zaintrygowani, nie widzieli nigdy waszego dzieła, ale widząc waszą żonę tak powabną, ujmującą rzekną: „Patrz, rzeźbiarz!” A w domu nie zadzierają już tak nosa, gdy się mówi o artystach. Nie zdaje się wam?

Słuchając tego, robiło się Werunskiemu gorąco, jak złodziejowi, gdy mówią o cnocie. Nie ufał Kleinwirthowi i wciąż myślał:

„Ty wiesz coś, mój kochany, o Francie ”

Wciąż kręcił głową, jakby miał ciasny kołnierzyk, albo jakby się obawiał, że za chwilę ktoś zań schwyci.

— Niema co, żona dodaje nam reprezentacyi, ona ją właściwie tworzy—mówił nieubłagany Kleinwirth.—Po żonie sędzę, jak się wam powodzi, czem właściwie jesteście w społeczeństwie. Proszę was, a jakie to są po większej części związki artystów?

Dziennikarz, lewe ramię podniósł wyżej niż prawe, nachylił się ku Werunskiemu, patrzył na niego przymrużonemi oczyma, zwrócił ku niemu dłoń, zaczął się trochę kiwać, jakby co na rękę, ważył, a nie mógł zdecydować na której ręce ma większy ciężar. Przytem ustami wydał głos, pół syczący, pół gwiżdżący.

— Wiecie to sami! Myślicie, że to dobrze? Widzicie, dlatego wasz związek mię cieszy.

-- Ale moja żona nie była także z zamożnej rodziny—z trudem odezwał się Werunsky i drgnął nerwowo.

— Tego ja wcale nie myślę, mój drogi panie, do tego nam jeszcze daleko. Ale chodzi o wybór. Widzicie, i ja byłem także trochę artystą. Pisałem wiersze, arabeski, nowelki. Wydałem coś trzy, czy cztery książki. I były przyjęte przychylnie. Ale co z tego? Dał mi za to kto swoją córkę? Czy śmiałem się o nią starać? Czy miałem być wiecznie szlifbrukiem, człowiekiem żyjącym z cudzego

stołu? Uważałem, że nie doda to powagi ani mnie, ani mym książkom, ani literatom w ogóle. Zostałem więc dziennikarzem, zdobyłem odpowiednie utrzymanie, ożeniłem się. Ale także nie z bogatą panną: takie nie wychodzą ani za literatów, ani za dziennikarzy. Ale z panną z bardzo przyzwoitej rodziny. Teść był radcą sądu krajowego, jeden szwagier jest profesorem uniwersytetu, drugi lekarzem, trzeci urzędnikiem sądowym. Tego tu właśnie oczekujemy, bawi w Pradze w odwiedzinach u profesora i przyjdzie tu po teatrze. Ale wracam do głównego wątku rozmowy. Tedy ja mniemam o sobie, że postąpił w danych warunkach jak należy. Stanowisko me, małżeństwo, stosunki pokrewieństwa dodają mi powagi. A jeżeli spotykam też zasady w kołach wytkniętych przeprowadzane, cieszę się z tego nie tylko ze względu na osoby, lecz jeszcze ze względu stanu, który reprezentuję.

Werunskiemu było bardzo nieprzyjemnie. Czy ma wypadek z Franckiem na czole napisany, że go każdy czyta? Zaczął się skarżyć na ból głowy. Chciał jeszcze powiedzieć Kleinwirthowi, że przy zawieraniu małżeństwa decyduje głównie miłość, nie zasady, ale zdawało mu się to w tej chwili pustym frazesem. Ukosem spojrzął na panią Kleinwirthową, czy na ustach jej nie wyczyta kołącego uśmiechu, a w oczach chłodnego wyrazu, i na dziennikarza, bojąc się wyczytać na jego twarzy niedopowiedziane zdanie:

— To cię zażyłem! My wiemy, kochanku, wszystko!

Ale pan Kleinwirth był bardzo uprzejmy i grzeczny, siedząc tu w błogiem przekonaniu, że nic społeczeństwu nie winien i niczego nie potrzebuje się obawiać, a jego żona uśmiechała się wciąż łagodnie i patrzyła dokoła wzrokiem jasnym, spokojnym, który dowodził szlachetności duszy i pewności towarzyskiej.

Werunsky podziwiał to spojrzenie, i naraz zdało mu się, że w spojrzeniu jego żony brak tej pewności i spo-

koju, i uczył, że Bożena nie dorównywa tej kobiecie. Potem wzrok jego osunął się na ręce pani Kleinwirthowej, długie, białe, z wązkimi paznogciami, w bransoletce starej wiązanej roboty. Potem zauważył jej kolczyki i broszkę również starej, gustownej roboty, jaką dobrze zapamiętał z czasów dzieciństwa, widując takie u swej matki. I z tych klejnotów przemawiała do niego powaga rodzinnej przeszłości tej kobiety, której powierzchowność była ugładzona i przyjemna. Dalej przypomniał sobie jej doskonałą z uczuciem grę na fortepianie i odczuł naraz całą tę osobistą poezję tych rodzin, w których taka żona ze sfer urzędniczych, młoda, poezją przypominająca spokojną, przytłumioną, cokolwiek mdlącą woń uschłej róży i jaśminu w książce niemieckich lirycznych wierszy, między której połówkami stronicami ułożono pasemka różnokolorowego jedwabiu, złotych i srebrnych nitek przygotowanych do haftu. Znał dobrze tę woń, jaka wywoływała w nim poblakłe obrazy dzieciństwa, i zdawała mu się teraz tak miła, tak powabna, tak czysta, iż głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi.

Im dalej, tem było mu przykřej; tęsknota i niepokój go ogarniały, pragnął samotności. Wstydział się raz jeszcze westchnąć przy obcych.

Powołując się na coraz silniejszy ból głowy, wstał, pożegnał się, obiecując z żoną złożyć wizytę państwu Kleinwirthom oraz zapraszając ich nawzajem do siebie.

Niepewnym krokiem wracał na Winohrady. Ludzi na ulicach spotykał mało, sklepy z hałasem zamykano. Zwrócił na prawo i ze schyloną głową szedł koło okopów. Wymijał ludzi, chciał też uciec przed sobą samym. Lękał się własnych myśli. Nie chciał myśleć, bał się dojść do rezultatu, który pozbawi go reszty spokoju. Pragnął uniknąć tego, chciał zapomnieć. Zaczął przyśpieszać kroku i prosto kierował się do Truków.

Wszedł bez wahania, i nie oglądając się ani w pra-

wo, ani w lewo, jakby z obawy, żeby go kto nie zatrzymał i nie spytał po co tu sam idzie, czego tu sam chce, przeszedł przez bufet do środkowego pokoju. Siedział tam samotnie Żywot.

Skoro ujrzał Werunskiego samego i zawstydzonego, skrzywił się i znacząco nań spojrzął. Ale potem podając mu rękę, rzekł dobrodusznie:

— No, więc usiądź sobie, przyjacielu... i mnie tęskno samemu—i podał mu swoją szklanke.

Kiedy w nocy wychodzili od Truków, gospodarz zamknął za nimi i zgasił gaz. Byli ostatnimi gośćmi, a Werunsky zataczał się pijany.

XV.

Chwile niepokoju i rozdrażnienia wracały Werunskiemu i w dniach następnych, przerywając niezamąconą dotychczas radość pożycia małżeńskiego.

Czasami bez widocznej przyczyny denerwował się, unosił, ale zaraz potem, jak zwykle, robił sobie wyrzuty, że względem żony był nieuprzejmy i niesprawiedliwy, i pragnął wywołać nanowo jej jasne spojrzenia i uśmiechy, których się przez swoją prędkość pozbawił, obsypywał ją pieszczotami, całował i tulił do siebie, patrząc na nią pełnem miłości okiem.

— Przecież ona temu nie winna!.. przecież ona jest wciąż dobra, kochająca mię i wciąż jednakowo piękna!—mówił sobie, ale go to pocieszanie nie uspokajało.

Prawda, Bożena była jednakowo oddana mu i piękna, ale i wciąż jednakowo spokojna. Gdy on pomimo woli zdradzał niepokój i rozdrażnienie, ona, jak zwykle,

uśmiechała się do niego rozkosznie, jak gdyby nic nie zauważyła, jakby nie miała pojęcia o tem, że nietylko ma prawo, lecz i obowiązek objąć go za szyję i spytać głosem miękkim i słodkim:

— Powiedz mi, co ci jest? czegoś smutny?

Naraz zaczynał ją namiętnie całować, aby rozbudzić w niej jakiś płomień gorętszego uczucia, którego teraz łaknął taki biedny, taki chłodny...

O sprawie Franty oboje unikali rozmowy. Bożena czasem tylko spojrzała na męża błagalnie, kiedy lękała się, że o Franku mógłby zacząć. Znaleźli go, i już odsiadywał swą karę. Pani Szwejnohowa ani jej córki nie przychodziły teraz do Werunskich. Wstydzily się. Werunsky był bardzo rad temu i pragnął w ogóle nigdy o Franku nie słyszeć. Obawiał się samego przypuszczenia, że Franek z więzienia wyjdzie i znowu może jaką podłość zrobić, o nowy wstyd ich przyprawi.

Czasami sam wyrzucał sobie swe podrażnienie, tłumaczył je sobie zdenerwowaniem i wmawiał w siebie, że inny w jego warunkach byłby zupełnie spokojny i zadowolony się osobistym szczęściem. Wspomnił o walce początkujących, dla których pierwsze powodzenie, własne ognisko domowe i szczęście rodzinne są dalekimi snami, wspomnił dawniejsze swe walki i kłopoty, poczem obejrzawszy się po swoim miłutkiem mieszkanku i objąwszy wzrokiem postać swej żony, pomyślał sobie:

— Ty niewdzięczniku!

Ale pomimo takiego tłumaczenia, niepokój powracał znowu.

Niekiedy obserwował nieznacznie, ale badawczo, twarz Bożeny, która stała się pełniejszą, ale pozbywała się tego puszku, który ją zdobił za czasów panieńskich. Ba! nawet czasami bywała uderzająco blada, a na tem bladym tle odbijały rażąco piegi na kościach licowych aż ku skroniom i sine obwódki pod oczyma. Werunsky musiał przyznać,

że twarz ta pozbywa się dziewiczej świeżości, a zarazem i tego interesującego wyrazu, który nadawały jej przedtem walka z nielitościwą dolą, opór wobec przykrego otoczenia, w którym musiała przebywać, i gorące pragnienie wydobycia się z niego. Teraz ta twarz była nadto spokojna, a popęlniawszy, traciła delikatność niektórych rysów, spojrzenie zaś stało się bardziej mętne. A po tych zmianach spostrzegł Werunsky w twarzy żony chwilami pewne podobieństwo, przypominające pokrewieństwo jej z rodziną Szwejnohów, szczególnie z Rozalką, a w części i z Frantą, i to przeświadczenie drażniło go i irytowało. Ale im więcej starał się w tych podobnych rysach odszukać jakąś różnicę, tem podobieństwo zdawało się jaśniej występować, a ślady łagodności i szlachetności, które dawniej w tej twarzy czytał, jakby zupełnie znikły.

Przy wzrastającym niepokoju szukał ukojenia w swem dziele, ale znajdował je tylko połowicznie. Potrafił jeszcze przed posągiem stać całemi godzinami, patrzeć nań, tu i owdzie palcem przyglądać jakąś fałdą, poczem troskliwie go obłożyć, zmoczyć, ale wykończyć ostatecznie mu się nie chciało. Odkładał to z dnia na dzień, a gdy nakoniec zaczął modelować wyciągnięte ręce, nie wiodło mu się. Żona jego męczyła się prędko w tej pozie, i trwało zwykle kwadrans, nim jej ręce ułożył w tem swobodnem, niewymuszonem położeniu. A ledwie chwilę popracował, już muskuły jej zaczynały drżeć ze znużenia, ręce opadały, a im więcej starała się zapanować nad sobą, tem utrzymanie rąk nabierało więcej oznak przymusowego, kurczowego napięcia. Probował podeprzeć jej ręce w danej pozie, ale wtedy zupełnie zniknął powab naturalnej sprężystości wykonywanego ruchu.

Prócz tego i on nie był uzbrojony należyłą miarą cierpliwości i wytrwałości. Wreszcie prawie wykończony posąg jego samego zadowalał, części, na których mu najbardziej zależało, udały się dobrze; pozbył się drę-

czącego pragnienia, aby już, już robotę skończyć, ujrzyć swe marzenie wcielonym, ale za to zbudziło się teraz inne, daleko trudniejsze do spełnienia. Żądza uznania!

Pragnął usłyszeć sąd o tem dziele, pochwałę, podziw. Czuł, że przez nie zrobił stanowczy krok naprzód, że jest najlepszem jakie kiedy wykonał, znał jego zalety i chciał to słyszeć potwierdzone ustami innych; ucho jego łaknęło słowa uznania, oczy spojrzeń podziwu. Pragnął je dostrzedz w oczach swej żony, ale te były zawsze jednakowo spokojne.

Uważnie wpatrywała się w posąg, ale na myśli miała przytem tylko podobieństwo swoje, badała rys za rysem, czy wiernie uchwycony, jakby śledziła udanie swej fotografii. Mówiła też tylko o tem podobieństwie i cieszyła się, że się powiodło.

A tymczasem Werunsky obecnie najmniej pragnął to słyszeć. Wzrastała w nim chęć, aby głównie zwracano uwagę na myśl, jaką on chciał w samo dzieło włożyć, na siłę, z jaką myśl tę wykazał. Im więcej teraz odczuwał, że to zadziwiające podobieństwo w najdrobniejszych nawet szczegółach do modelu zacienia nieogłędnie główne znaczenie tej pracy, tembardziej marzył, aby mu kto wytłómaczył i przekonał go przeciwnie. Pragnienie to, zwłaszcza w pierwszych dniach stycznia, przeszło prawie w stan chorobliwy.

Gdy pewnego razu wpatrywał się długo w swój posąg, właśnie tego dnia, kiedy rozdrażnienie opanowało go całkiem, bo podczas obiadu na twarzy Bożeny wyraźniej, niż kiedykolwiek, dojrzał przykre mu oznaki podobieństwa jej ze Szwejnohami, zdało mu się, że spostrzega je i w twarzy posągu, i wtedy po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ta twarz wogóle nie nadaje się do jego alegoryi.

— To nie jest Szczęście, nie! Szczęście musi to być coś czystsze, wyższe, świętsze, na czem niema na-

wet cienia, któryby naruszał wzniosłość wyobrażenia—szep-
tał.

I pomimo woli przypomniał sobie twarz pani Klein-
wirthowej — i ta, w tej chwili, daleko bardziej wydała mu
się odpowiednią, jako poważniejsza i myśląca.

Dlaczego widzi to dopiero teraz? Jak mógł tego nie
dostrzedz wprzód? Jak mógł w tem wykonaniu uznawać
doskonale wyobrażenie Szczęścia?... A byłby przysięgł na
to, że jego pojęcie jest najprawdziwsze.

Teraz widzi, że się zawiódł. Kto mu otworzył oczy?
A co jest właściwie szczęście?

W rozpaczy rzucił się na sofę. Nie chciał temu
wierzyć, żeby jeszcze mógł powątpiewać o tej kwestyi.

Po chwili wstał znowu i zaczął przypatrywać się po-
sągowi, odchodził od niego i zbliżał się, przymrużał oczy i pa-
trzał przez złożoną rękę, obserwował badawczo każdą część
i wmawiał w siebie, że są to fałszywe wątpliwości, rodzące
się z podrażnienia, z wysiłku po pracy. Pocięszał się, że
teraz nie jest nawet zdolny wydać sprawiedliwego sądu,
że gdy przyjdą znawcy z pewnością usuną wszelkie te po-
wątpiewania.

W połowie stycznia przyjechał do Pragi kolega jego
z akademji, zamieszkały teraz w Monachium. Odnalazł
Werunskiego w jego mieszkaniu i poszedł z nim do pra-
cowni. Werunsky pokazał mu swe roboty, kilka pomników
i portretów, potem Prawdę, o której przyjaciel jego mówił
z nieudawanem uznaniem. Nakoniec odkrył swe Szczęście,
a kolega winszował mu z podziwem.

— To życie, to życie!—powtarzał wielokrotnie.—Wy-
bornie uchwycone podobieństwo, delikatnie! Ta szyja, te
usta, te włosy! Ta lekkość! To jest znakomite!

Werunsky śledził go z gorącym zajęciem. Drżał,
pragnąc usłyszeć choć słówko o alegorycznym znaczeniu.

Szczęście. Dodatek do Tyg. illustr.

Przyjaciół obchodził posąg ze wszech stron, wciąż podziwiając; w końcu zapytał:

— A czemu ma przepaskę na oczach?

Gdyby był nie chwalił wcale, milczenie nie byłoby tak boleśnie dotknęło Werunskiego, jak to pytanie.

— Musisz wyobrazić sobie przytem dorobione ręce, tak oto—i uczynił ruch potrzebny—a niemi sypać będzie na drogę kwiaty, pierścienie, berła...—i patrzył na kolegę ze drżeniem, czy już pojmuje.

Ale ten zadziwiony spojrział na niego, a spostrzegłszy jego zaniepokojenie, zwrócił się znowu do posągu i rzekł:

— Ach, tak!.. już rozumiem.

— A czy wiesz, co ma oznaczać? — spytał niedowierzająco strapiiony Werunsky, a serce mu biło jak młotem.

Przyjaciół był w kłopotcie. Obejrzał posąg raz jeszcze i wreszcie zwrócił się do Werunskiego:

— Chyba „Przypadek?” co?

— Nie—odpowiedział Werunsky złamanym głosem.

— Wybacz... widzisz, pod względem alegoryi jestem nader niedomyślny—tłómaczył się kolega.

— Nie, nie—zaprzeczał Werunsky.—Ma to być Szczęście, ale widocznie chybiłem, nie przebija to należyście.

— Ależ owszem! Szczęście! Tak, naturalnie. Zupełnie jasno. Ta przepaska—tak, bo szczęście jest ślepe, wybornie! Czasami jestem niemożliwy... Musisz wybaczyć.

Ale Werunsky nie dał się przekonać.

Przykre przeczucie, że w podstawie chybił, utwierdziło się w nim w niezłomne przeświadczenie.

Tak, tym posągiem przedstawiał chyba przypadkowość szczęścia, nic więcej. Ale samo szczęście jest coś daleko szerszego, głębszego, wszechstronniejszego, wspanialszego.

Odrąz stracił zamiłowanie do swego dzieła. Zalety jego przestały go zachwycać, widział tylko jego wadę. Oby co prędzej usunąć je z pracowni! żeby już ten Rex

przyszedł, i on mógł dać odlać model! Te ręce już jakoś dorobi, a dla Rexa jest rzecz to dosyć dobra.

Ale on potem inaczej rozwiąże to zadanie. On musi tego doścignąć. On musi znaleźć konieczną definicyę Szczęścia w jego wielkości, prostocie i wszechstronności. Musi to być posąg daleko wspanialszy, pełen siły, głęboki myślą, wzniosły formą. To pragnienie drażniło i zakłócało mu spokój. Przyrzekał, że nie ustąpi, póki nie spełni go w mistrzowskim dziele. Choćby pół życia na nie ofiarować!

— Co jest szczęście? co jest szczęście? — powtarzał i zagłębiał się w myślach.

XVI.

Wkrótce po odwiedzinach przyjaciela z Monachium, przyszedł nakoniec baron Rex w towarzystwie budowniczego i Poura, który przyjechał z Wiednia na święta Bożego Narodzenia.

Na Pourze, który niedawno jeszcze Werunskiemu się narzucał, pochlebiał mu i domagał się jego przyjaźni, wiadać było pewność siebie i jakąś zuchwałą bezwzględność, uderzającą już przy powitaniu, a jeszcze więcej w wymawianiu pustych frazesów.

— Jak się macie?— spytał Werunskiego, jakby kolegi z gminnej szkółki, który stał się stangretem przy tramwaju.— Fi, to tutaj gorąco! zostawcie trochę drzwi otwarte!— wołał, stojąc już przed posągiem i przecierając zapocone binokle, aby się lepiej przypatrzeć.

Przytem krzywił się i mrugał swemi małemi oczkami. Nareszcie włożył binokle, podniósł głowę i przebiegł posąg niedbałem spojrzeniem od stóp do głowy.

— No, co na to mówicie, baronie?—zwrócił się do Re-xa z pogardliwym uśmiechem—Nie miałem racji?.. To się wam niebardzo udało, przyjacielu—rzekł Werunskiemu:—ja wiedziałem zaraz, że sięgacie za wysoko.

— Za mało *piquant*—ciągnął przez nos baron.

— Wszystko to za ciężkie! Ta draperya, cała postać, ten ruch, modelowanie w ogóle! Spójrzcie na tę szyję, na te włosy! Ciężkie, za ciężkie, jednym słowem: — mówił Pour.

— Mnie się zdaje także—wtrącił się do rozmowy budowniczy.—Grüna szkic podoba mi się lepiej.

„A więc stąd wiatr wieje — domyślał się teraz Werunsky, który ledwie nad sobą panował.—Dlatego to Grün słał się do stópek pana barona, a budowniczy widocznie proteguje pana sztukatora. Dlatego razem chodzą...”

— I mnie także przynajmniej jest więcej *piquant*—mniemał baron.

— Lżejszy, więcej ma gracyi bez zaprzeczenia—dodał Pour.

Werunskiego przeszły dreszcze, a koło serca coś go ścisnęło.

— A ta twarz także mi się bardzo nie podoba—ciągnął dalej baron.—To jest taka.. jakby to się wyrazić.. no, do kroćset—taka *Dorfschönheit*—wiecie—brak elegancyi... —i patrzył się impertynencko na Werunskiego.

Ten się powstrzymać nie mógł. Chciał odpowiedzieć ostro, ale gniew spelzł na krótkiej uwadze:

— Jeżeli pan baron niezadowolony, to żałuję bardzo, że się tu do mnie fatygował.

A nie czekając, co na to rzekną, odwrócił się od gości tyłem i zaczął okrywać model mokremi płachtami. Ręce mu przytem drżały, i musiał się wysilać, aby nie paść. Miał nogi w kolanach jakby przetrącone.

— Widocznie przeszkadzamy—rzekł urażony baron.— Chodźmy, panowie!

Uklonił się, i milcząc, pozwolił im odejść.

Skoro został sam, padł na sofę, jak wtedy po pierwszym ich wyjściu. Ale jaka różnica w położeniu jego teraz i dawniej! Wtedy zrodził się w nim opór: potem plany i najpiękniejsze nadzieje, wzmocnione przez świadectwem o zdobyciu trwałego szczęścia, już choćby im naprzekór! A dziś, dziś... O, Boże, dziś!...

— Czem jest właściwie szczęście, ludzkie szczęście? — szeptał niepocieszony jeszcze, chociaż już zmrok zimowego wieczoru przedzierał się do jego pracowni.

Wtedy wspomnienie oczekiwanej Bożeny wywiodło go z rozpacz i roztoczyło przed nim jasny obraz najwyższego szczęścia... Dziś, w tej chwili, teraz, gdyby tu weszła, byłby chyba przed nią uciekł.

Wstyd, żal i zawód...

Czuje, że obawia się wprost samej myśli, żeby tu jego żona wejść mogła. Widzieć jego poniżenie, jego..

Wpiłaby w niego zapewne swe pytające, spokojne spojrzenie, uśmiechnęłaby się — nic więcej. Zdruzgotałby go ten spokój jeszcze bardziej, a może oburzył.

A przyznać się jej? Odkryć swój ból?

Czyż pojęłaby boleść jego, czyż pierś jej zadrżałaby rozgorączkaniem, jak jego?

Nie!

A czy odchylając tajemnicę swego bólu, nie musiałby się przyznać, że się zawiódł? Czyż nie lepiej zostawić ją w jej błogim spokoju i cierpieć samemu?

Nie, tylko niech nie przychodzi, niech się go o nic nie pyta, niech go zostawi jego losowi!

Taki jest koniec jego iluzji. Patrzcie, teraz widzi, jakie dzieło stworzył w „opromienieniu jej miłości.”

Jak był wtedy dziecinny, jak niedojrzały!

Żal go przejmował, lzy się cisnęły do oczu. Ale nikt ich nie widział, prócz odlewów figur, które bielily się straszliwie w półmroku wzrastającym, i tego bałwana płachtami

obłożonego, posągu Szczęścia, który się czernił i zdawał się być strasznym potworem dziwnych, kończastych kształtów.

Zdawał się rosnąć w ciemnościach, rozszerzać się i zbliżać ku niemu. Werunsky mniemał, że przysunie się do niego coraz bliżej, ciężko nań padnie i zadusi go. Czuł już jego wilgotne zimno i otrząsnął się.

Ale jednak nie wstał; bał się ruszyć. Dokąd ma pójść?

Rozkosz sprawia mu to udręczanie się, badanie swego bólu i zapominanie o nim w krótkich przestankach.

XVII.

— A jak się to wszystko stało? skąd to się zaczęło? Czyż to nie jestem ja ten sam, jak wtedy w sierpniu? A może Bożena się zmieniła?... Albo dokuczyła mi? ubliżyła? Czyja wina? Kto jest przyczyną? Czy zmieniły się me oczy? Czemu mi się wprzód posąg podobał? czemu zachwyciałem się nim? Kiedy zacząłem przychodzić do przekonania, że nie jest wyrazem szczęścia? Co rozproszyło mgłę, przez którą patrzałem?

Zarzucał się temi i podobnemi pytaniami. Myślał, myślał wciąż i nie umiał z tego wybrnąć.

Było to omamienie, — rzekł w końcu — omamienie się na przekór innym. Tak, chciałem zaprzeczyć Rexowi, Jakubcowi, Żywotowi — to była przyczyna wszystkiego. A rezultatem? — Zawód!

Wmawiał to w siebie, ale sam sobie nie wierzył. Jakiś wewnętrzny głos uspokajał go: „Przesadzasz, nie jest jeszcze tak źle!”

W końcu zmęczył się, osłabł i spytał:

— Co robić? co na to poradzić?

Ale znowu wpadał w to samo zwątpienie.

— W domu nic nie powiem—rozważał.—Na co? Posąg posłę do odlania. Jej zresztą mogę powiedzieć, że się rozmyślił nie dać tego Rexowi... że byłoby nawet dziwne dawać mu portret swej żony. Powiem, że zostawię go dla siebie, a ona się z tego ucieszy.

Układając to sobie, wstydził się za wszystkie swe wykręty. Jakim tchórzem jest do tego wszystkiego!

— Pieniądze mam jeszcze—dumałdalej.—Liczymy: siedmset, tysiąc, tysiąc sto, tak, około tysiąca dwustu. Tymczasem to wystarczy, Kupię jakie losy, może wygramy.

To byłoby pysznie.—Tak z pięćdziesiąt, ze sto tysięcy. A choćby tylko dwadzieścia... Byłbym do śmierci zabezpieczony od niedostatku. Spokojnie mógłbym pracować. Towara ma racyę! A cóż to znaczy dwadzieścia tysięcy. Mógłbym je mieć, gdybym był wziął chociaż Fichtrową.

Werunskiego uspokoiło trochę to przypuszczenie, i zaczął sobie układać, jakby się urządził i coby zrobił, gdyby rzeczywiście wygrał.

— To byłoby szczęście dopiero!

— Widzicie, to trzeba było oznaczyć w posągu: bogactwo. Patrzcie, jaki byłem jednostronny!

Przeskakiwał teraz myślą z przedmiotu na przedmiot.

Pracownię zalegała zupełna ciemność. Kontury Szczęścia zlewały się z nią. Zdawało się, że ciemności powstają z modelu, że on właściwie jest ich jądrem, z którego stale rozchodzi się czarniejszy i gęściejszy zmierzch. Tylko powierzchnia okna odbija się jaśniej, a białość odlewów mętnie świeciła wśród zwiększającej się ciemności. Zegar wybił ósmą.

Już trzy godziny tu tak leży. A żona oczekuje go w domu. Może nawet lęka się o niego. Lęka się?

Gdyby się bała, przyszłaby tu zobaczyć, czy go czasem niema. Nie, ona z pewnością jest spokojna. Siedzi

tam cicho i wygodnie w ciepłym pokoju i wieczera nawet bez niego. A przecież mogłaby przyjść się przekonać! I teraz mogłaby jeszcze, a przynajmniej posłać tu kogo, aby się zapytał. Ale jej to ani przez myśl nie przejdzie!

I znowu myślał o niej, o sobie, o przyszłości. Co będzie w lecie, kiedy będą mieli dziecko?

Samo wspomnienie o tem wzruszyło go. Przejęło go jakieś ciepło, rozpływał się w radości.

— To jest także szczęście, a zapomniałem o niem zupełnie.

I błysło mu w myśli, że w ogóle może Szczęście dałoby się wyobrazić dziecięciem. To pomysł godny uwagi. Rozważy to sobie.

Szklane drzwi bramy otwarto z hałasem. Ktoś idzie przez podwórze—tutaj? Tak. Werunsky się zerwał.

— A więc posłała. Przecież się obawiała.

— Proszę—zawołał na zapukanie i potarł zapałkę.

Wszedł służący w liberyi i podał mu list.

— Od barona Rexa—oznajmił.

Jakby kto Werunskiego oblał ukropem. Serce zabiło mu prędko.

— Byłem u pana w domu, ale pani mi powiedziała, żebym tu przyszedł. Długo pana szukałem. Pan baron prosi dziś o odpowiedź.

Tymczasem Werunsky wziął list i zapalił lampę.

— Pani wam powiedziała, że tu będę — rzekł, jakby nie dosłyszał, co pierwaj lokaj mówił.

— Tak: albo tu, albo może u Truków.

Werunsky zbliżył się do lampy i rozciął kopertę.

Były w niej cztery stuguldenowe papierki i bilet barona z temi słowy:

„Ponieważ pański model do zamówionego przeze mnie posągu Szczęścia nie odpowiada moim wymaganiom, posyłam według umowy czterysta gul. na odszkodowanie i pro-

szę o pokwitowanie, oraz zapewnienie, że umowie z mej strony stało się zadość.”

Ręce Werunskiemu drżały. Pośpiech, z jakim baron umówioną sumę odsyłał, oraz ton listu, obrażały go, a miłość własna nie pozwalała mu przyjąć tych pieniędzy, jako jałmużny. Rozdrażniony siadł przy stoliku, wyjął papier listowy i napisał pod adresem barona:

„Oznajmiam niniejszem, że pan raczył dotrzymać warunków umowy, tyczącej się wykonania modelu do posągu Szczęścia, mającego stanąć w ogrodowym pawilonie Waru, nowego pałacu na Jecznej ulicy, i że mi się więcej od pana nic nie należy. Na żądanie gotów jestem powtórzyć, to w formie urzędowej. Załączona przy Waszym bilecie suma czterechset guldenów nie należy się mnie, bośmy już rachunki załatwili; zwracam ją tedy, prosząc o pokwitowanie.”

Wyraźnie się podpisał, włożył do koperty list i pieniądze, zalepił i oddał lokajowi.

— Proszę się kłaniać panu baronowi — dodał sucho i wsunął służącemu napiwek w rękę. Tęskłonił się nisko i odszedł.

Po wykonaniu tego Werunsky się uspokoił.

Tak, to była jedyna należyta odpowiedź za popołudniowe odwiedziny i obrazę. Teraz jest w porządku z baronem Rexem.

W tem pocieszającym przekonaniu opuścił swą pracownię i udał się do Truków. Żona jego i tak sądzi, że tam poszedł.

Tegoż wieczoru pan Pour otrzymał od właściciela sztukatorskiego warsztatu, Grüna, pierścień z brylantem w ślicznym pudełku. Przy wyrażeniu wdzięczności swej panu budowniczemu pałacu Rexa, pan Grün obszedł się bez pośrednictwa klejnotów.

Nazajutrz ukazała się w dzienniku politycznym, który z początkiem roku oznajmił, że dział artystyczny powierzył wziętemu znawcy panu Pourowi, który właśnie odbywa w Wiedniu specjalnie studia, taka wzmianka:

„Wykonanie posągu Szczęścia do ogrodowego pawilonu

przy nowym pałacu znanego mecenasa barona Rexa na Jecznej ulicy, powierzono bardzo zdolnemu rzeźbiarzowi, p. A. Grünowi, który zarazem jest właścicielem i kierownikiem sztukatorskiej pracowni. On też wykona sztukatorskie ozdoby frontu, wjazdu, schodów i salonów.

„Model szkicu wyobraża nagą postać kobiecą pełnych kształtów, stojącą prawą nogą na kuli, na której śpieszy po świecie, mając oczy zasłonięte przepaską. Zwłaszcza ten szczegół w ogólnem pojęciu jest bardzo szczęśliwy i oryginalny. W prawicy nad głowę wzniesionej trzyma figura róg obfitości, z którego sypie kwiaty przed siebie na drogę.

„Posąg Grüna będzie pod każdym względem jednym z dzieł najgodniejszych uwagi naszej sztuki plastycznej, a niezmiernie utalentowanemu swemu twórcy zjedna zasłużone uznanie.

„Młody rzeźbiarz, któremu przed panem Grünem powierzono wykonanie posągu, żądając jako od początkującego za wiele, z zadania swego, jak obawiano się zaraz słusznie, należycie się nie wywiązał.”

Prócz tej zajmującej nowiny, która w artystycznych kołach wywołała prawdziwe oburzenie i niemiłosierne żarty z Poura, Grüna i Rexa, w tym samym numerze oznaczonej gazety znalazła się wiadomość, która nie tylko koło artystyczne, lecz i szerszą publiczność zainteresowała swym romantycznym i ostrym smakiem; w publicznych miejscach i na ulicach krążyła z ust do ust i wywoływała niezmierną sensację. A brzmiała jak następuje:

„Mały romansik.

„Przedwczoraj wieczorem wyszła piękna córka właściciela domu, majstra krawieckiego i członka praskiej miejskiej jazdy, pana J....a, z mieszkania swych rodziców w nowym miejskim parku na spacer i nie powróciła dotychczas. Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie ojca, szanownego praskiego obywatela, który gorliwie popiera krajowych artystów. Natychmiast

przedsięwzięto wszelkie kroki w celu odnalezienia zaginionej, podczas gdy znajomych rodziny J....a, lokatorów w domu i służbę utrzymywano w mniemaniu, że panna Regina wyjechała za wiedzą ojca do krewnych na prowincję. Takim sposobem romantyczna ta przygoda nie doszła tegoż dnia do wiadomości publicznej.

„Kiedy odpowiednie organy rozrzuciły swe sieci na wszystkie strony, starając się wszelkimi siłami zdobyć jakie pewniejsze ślady, otrzymał p. J....c nazajutrz po południu depeszę z Monachium, w której młody, znany praski malarz i ilustrator, p. T....a, donosi, że panna Regina znajduje się pod jego opieką, zdecydowawszy się wyjechać z nim za granicę, gdyż inaczej nie mieliby nigdy nadziei, że ich wzajemna miłość osiągnie cel upragniony u stopni ołtarza.

„Do tego telegraficznego wyjaśnienia przyłączał malarz nalegającą prośbę o rękę panny Reginy, i należy przypuszczać ze względu na sytuację, iż pan J....c, przejęty miłością córki, chętnie udzieli jej swego błogosławieństwa, tembardziej, że malarz T....a był jego ukubieńcem w licznym szeregu artystów, których zaszczycał przyjaźnią i przyjmował w swym domu.

„Jak się dowiadujemy z pewnych źródeł, wyjechał już pan J....c po córkę do Monachium, aby zapewnić szczęśliwego p. T....ę, że nie było nawet potrzeby takiego wyraźnego dowodu jego miłości, przeciwnie, że on się czuje szczęśliwym, mając sposobność okazać swe względy dla artystów związkami pokrewieństwa z jednym z nich, który tak dobitnie okazywał swą skłonność bezinteresownem malowaniem portretów p. J....a, będącego szczególnym ich amatorem i wielbicielem.

„Doczekamy się tedy jeszcze tegoż karnawału w Pradze okazałego wesela panny Reginy J. z malarzem p. T., które tem większe wzbudzi zainteresowanie, że miało taki wstęp romantyczny.“

Godnem uwagi było to, że gazeta politycznej partyi, do której należał p. J., rzekła się wspaniałomyślnie podniesienia sprawy o jego córce Reginie i p. Towarze.

Niektórzy z zaufanych przyjaciół malarza posądzali gazetę, która podała tę wiadomość, o bliższe stosunki z Towarą.

Egzemplarz rannego wydania tej gazety, zakreślony w odpowiednim miejscu niebieskim ołówkiem, przysłał Werunskiemu jakiś dobry przyjaciel, a prawie równocześnie doszedł go list, w którym sekretarz Rexa zawiadamiał go, że jakkolwiek jaśnie pan baron nie może go zmusić do przyjęcia umi onego odszkodowania, nie mniej jednak czuje się obowiązany wiadomą sumę dla niego odłożyć, i gdyby kiedykolwiek Werunsky rozmyślił się i zażądał jej, może wprost zgłosić się do podpisanego sekretarza, a on mu niezwłocznie z procentami zaległymi wypłaci.

XVIII.

Proroctwo gazety, która zamieściła wiadomość o panie Jakubcowej i malarzu Towarze, spełniło się.

W końcu lutego odbył się ślub obojga, tylko że nie okazale, lecz skromnie i cicho, wczesną godziną w kościele św. Henryka.

Wkrótce potem, marcowego popołudnia, zjawił się Towara nieoczekiwany w pracowni Werunskiego. Powierzchność malarza była nadzwyczaj elegancka, oczy mu błyszcząły, a usta jego nie mogły powstrzymać uśmiechu, jak po splątaniu porządnego figla.

— Przychodzę cię zaprosić — zaczął bez przedmowy, podziękowawszy za powinszowanie Werunskiego lekko

rzuconem:— „Dziękuję, dziękuję! no, przecież wiedziałeś, przecie mnie znasz.” Potem zaczął zaraz o rzeczy:

Na uczczenie powrotu kolegi Urbana z Paryża, a przytem trochę i na pomyślność jego wesela, urządzą niektórzy przyjaciele wieczorek w górnej sali restauracyi Opatów. Będą tam i profesorowie z akademji, kilku uczonych, artystów, krótko mówiąc: wesole i dobrane kółko. Rozumie się, że bez dam się nie obejdzie, program zabawy wzięli na siebie niektórzy panowie z towarzystwa, szczególnie Lemary, tak, że wieczór uda się napewno ku powszechnemu zadowoleniu obecnych.

— Ciebie nie może za nic w świecie brakuć, przyjdiesz z żoną, obraziłbyś mię odmową! — wyraźnie zaznaczył Towara.

Werunsky, który w ostatnich czasach stał się jakiś nieśmiały i unikał ludzi, nie był wcale zaproszeniem zachwycony. Wstydził się wypadku z Franckiem, niepowodzenia modelu, ale głównie dręczony był jakiemiś przykre mi obawami, że każdy wyczyta z jego wzroku zawód i niezadowolenie. Potem przeczuwał, jak to towarzystwo patrzeć będzie na jego żonę.

— Czy będzie tam Frydryk? — spytał przypominawszy sobie brata.

— No, przecież to teraz mój szwagier, przecież i myśmy teraz krewni, Werundo! — dodał wesoło Towara.

— Eman też tam przyjdzie?

— Zdaje się, jeżeli tam będzie Lemary. Przyjdą pewno z Toniczką. A pocóż się dopytujesz, kto tam będzie? Dość na tem że z pewnością wszyscy się dobrze zabawimy. A potem coby powiedzieli, gdybyś nie przyszedł? Ty musisz przyjść!

— Ja się nie wymawiam, nie powiadam, że nie przyjdę. Owszem, jeżeli mi tylko coś nie wypadnie, przyjdę z pewnością — mówił Werunsky, byle tylko nie wzbudzić podejrzenia względem tego, co chciał właśnie ukryć;

ale w duchu układał sobie, że się w ostatniej chwili wy-
mówi niedyspozycją swoją lub żony, aby uniknąć przykro-
ści tego wieczoru.

— No, chwała Bogu! — cieszył się Towara: — jam
dobrze wiedział, że będziesz mi wiernym. Widzisz —
lada kto patrzy dziś na mnie z ukosa — nie powiadam, że
bez przyczyny—stary Jakubiec jeszcze dotąd nie ochłonał,
spogląda z podełba jak lucyfer—to był grom dla niego!—
ale ja za to mam już piękne mieszkanie i pracownię—no,
zobaczysz! Teraz, bracie, teraz dopiero będę malował! Ja
się ze wszystkich śmieję, którzy się na mnie krzywią, wiesz:
taka ta pieniądze śmietanka! Hołota! Chamy! A ci ich
synkowie patrzą na mnie, jak na intruza, jakbym ukradł
to, co należało do nich. A cóż dopiero mamusiel! Prze-
szywają mię bazyliiskowym wzrokiem. Za to panienki —
kochanku! u nich zyskałem dobry numer. Patrzą się na
mnie tak, no tak! — zupełnie jak na cudowny obrazek.
Proszę cię, to romantyzm! Wiem dobrze, że niektóre
z nich marzą o takim rycerskim malarzu!

I Towara zaczął się głośno śmiać.

— Ale wiesz co—ciągnął dalej poważnie: —niech sobie
na mnie patrzy kto chce, jak chce, niech się chmurzy,
krzywi, wyśmiewa—mnie wszystko jedno. Ja zdobyłem, com
chciał. Zapewniony byt! Swoboda sztuki! A całe to oto-
czenie, które dotąd nie może się zżyć ze mną, zdobędę.
Za rok, za dwa będę ich chlubą. A im weselsza będzie
zabawa u Opatów, im więcej artystów tam będzie, tem
lepiej. Musimy raz im zaimponować, tym naszym dumnym
obywatelom! Nie unikać ich, lecz wojowniczo przeciw nim
wystąpić! Ale czemu ty masz taki kwaśny wygląd! Co
porabiasz?... mów, co robi twoje Szczęście! Wiesz, to było
nikczemne ze strony tego Pcura i takiego Rexa... Ten bu-
downiczy też umaczał w tem palce. Ale ty przecież model
dasz na wystawę! Co? Już go wykończyłeś?

I Towara obejrzał się po pracowni.

Model Szczęścia stał w rogu, niedbale okryty niezmoconemi płachtami, których suche rogi sterczały, lub spadały jak łachmany. Na uchylonych częściach widać było, że glina szarzeje i pęka.

— Na Boga, co robisz? Chyba nie masz zamiaru tego tak zostawić! Czemu nie kończysz? nie dajesz odlać?— wybuchł Towara, bystre oczy swe zwrócił na Werunskiego i tak uparcie weń się wpatrywał, jakby chciał przeszyć wzrokiem.

Werunskiemu drgnęły oczy pod tem spojrzeniem przyjaciela, spojrział na lewo, na prawo, w górę, potem wyrzekł z przymuszonym uśmiechem:

— No cóż, proszę cię? To już zepsute.

— Chyba nie wierzysz Pourowi, szalony! Chyba nie dasz się zamordować takiemu nędznemu pajacowi! Ten posąg jest dobry i basta! Oddasz go na wystawę.

— Już mi się sprzykrzył! Mam inny pomysł. To nie było Szczęście. Teraz dopiero zobaczysz!

— Niech sobie, ale to był pyszny posąg. Pal djabli, jeżeli nawet nie było Szczęściem, cóż z tego! Ale ma to znakomite szczegóły.

— To wszystko napróżno; nie skończę tego.

— To mi go daruj.

— Nie dam. Zepsuło się. Zresztą nie mówmy o tem.

— Werundo! ty się zabijesz takim sposobem. Pół roku pracy! Przecież musisz się z tem liczyć, nie zostawiać niedokończonego dzieła, jak ci przyjdzie inny pomysł. Przedewszystkiem jesteś rzeźbiarzem, nie filozofem. To jest stanowczo najlepszy twój utwór. W nim zwyciężyłeś formę.

— Ale błędnie pomyślany, a więc znowu niedoskonały. A widzisz, ja czuję, że jednak wykonam alegoryę Szczęścia. Po co pokazywać schody, po których do niego

doszedłem. Niech się ukaże w całej okazałości, niezaprzeczenie doskonały, nagle, jak cud. To zrobi większe wrażenie.

— A z czego będziesz żył tymczasem? Nie jesteś teraz sam!

— To chyba nie potrwa tak długo — uśmiechnął się Werunsky. — Cokolwiek jeszcze mi zostało, a tymczasem trafi się jaki portret, jaki pomnik — taką rzecz mogę zawsze obok robić.

— A cóż muzeum? Przecież staniesz do konkursu?

— Wątpię; wiesz... bardzoby to myśl rozproszyło, a tegobym nie chciał.

Towara wracał od Werunskiego bardzo zaniepokojony. Obawiał się o niego; widział, że jest na złej drodze. Ta, którą tak uparcie kroczy, sprowadzi go na manowce. Żywot go dobrze scharakteryzował. Walczy wciąż z nowymi pomysłami. Tak, ale na to trzeba być bogaczem. Świat żąda wykonania! A cóż dopiero, jak go przyciśnie niedostatek! To będzie rozpacz...

Werundo ma miękki, podatny charakter, który nie potrafi opierać się, ani walczyć.

— Ach, szkoda go! — westchnął nakoniec Towara i zapiął swe eleganckie nowe futro, które wysoką jego postać czyniło jeszcze męźniejszą.

Bożenie o wieczorku na cześć Urbana i Towary Werunsky nic nie mówił. Nie miał zamiaru tam iść, po cóż więc żonie robić przykrość?

Tembardziej tedy był zdziwiony, gdy na jakie cztery dni przed wieczorem Bożena sama zaczęła o nim mówić. Była u niej rano pani Kleinwirthowa i przekonała ją, że powinna wpłynąć na męża, aby tam poszli. To byłoby pięknie, gdyby ich brakowało! Mogliby pójść razem i razem wrócić. Będą się z pewnością bardzo dobrze bawili; będzie dobrane towarzystwo.

Potem zaczęła ją pani Kleinwirthowa wypytywać, czy zna tego lub owego artystę, literata, tę lub inną panią, a gdy było eba na każde pytanie musiała przecząco potrząsać głową i odpowiadać: „Nie, nie znam, nie widziałam go wcale.” — wtedy pani Kleinwirthowa zaczęła nalegać:

— Ach, to tembardziej³ musi pani tam pójść; mój maz i ja poznamy panią ze wszystkimi. Mnie się zdaje, że pan Werunsky jest trochę pustelnikiem — dodała z przyjemnym uśmiechem.

— Teraz nigdzie nie bywamy; cały karnawał nie wychodziliśmy wcale — westchnęła Bożena.—A ja się tak ciczylałam!..

— Powinna go była pani namówić!

— Z początku chodziliśmy razem. Beze mnie wcale nie wychodził. Ale teraz chodzi już sam. Zdaje mi się, że ma jakieś zmartwienie. Jakby miał co na sercu... Ale nic nie mówi. Milczy. Nie chcę więc na niego nalegać, żeby gdzie poszedł. Miał dużo wydatków przed weselem i po weselu. To co innego, gdy żona ma posag...

W głosie Bożeny czuć było żal. Znać było, że trudno jej przyszło to wyznanie, jednakże nie zataiła nic czując ulgę w tem zwierzeniu się. I teraz jeszcze odczuwała to sama, gdy powtarzała swą rozmowę z panią Kleinwirthową mężowi dosłownie, co ta mówiła i co ona na to odpowiadała. Ostatnie zdanie brzmiało dla Werunskiego, jak wymówka. Rozrzewniło go. Nigdy się nad położeniem obecnem nie zastanawiał ze stanowiska żony. Więc patrzcie, dlaczego ona bywała czasem taka nieśmiała, jak bez życia! Dręczyła ją pewność, że jest uboga, że nic nie wniosła; dotąd tkwił jej w pamięci sklepik ciotki Szwejnohowej i jej rodzina, i dlatego nie miała śmiałości z zupełnem zaufaniem, szczerością, które wytwarza równość położenia, traktować męża, zwierzać mu

Szczęście. Dodatek do Tyg. illust.

swe myśli, uważać go nie tylko za męża, lecz i za najlepszego przyjaciela i współtowarzysza swego. Wszystko to przeszło teraz Werunskiemu przez głowę. Bywały chwile, gdy porywy szczęścia tłumiły wszelkie takie względy, ale kiedy on stawał się zamyślonym, wyrzuty się odzywały.

A dziś i on je uznaje i widzi w nich jasny dowód wrażliwego uczucia. Odezwały się w nim wyrzuty sumienia, że ją krzywdził.

Otoczył ją wpół ramieniem i spytał uprzejmie:

— A coś jeszcze mówiła pani Kleinwirthowej?

— No, musiałam przyrzec, że cię napewno uproszę, żebyśmy poszli na ten wieczorek do Opatów. A więc ci to mówię.

A po chwili wstydliwie, wzdragając się, dodała:

— Jeżeli jeszcze teraz nie będziemy trochę wychodzili razem... potem, w końcu lata i w jesieni, będą inne kłopoty. A kto wie — czy to przeżyję.

Spojrzała na męża, ale zaraz spuściła oczy, mając je łzami zalane. Westchnienie wyrwało się z piersi, ale twarz zapalała rumieńcem. Wtedy przytulił ją do siebie i rzekł:

— No, to wiesz, kochaneczku, pójdziemy. Przygotuj sobie wszystko. Chyba nie potrzebujesz nic nowego?

W tej chwili serdecznie z nią współczuł, postawił się w jej położeniu, ale dawną miłość tłumiły wypadki dni ostatnich. Pobażał jej i dogadzał, jako istocie nie tak dojrzałej jak on, ale zarazem uważał się wyższym, a to powstrzymywało wybuch dawnego uczucia. Coraz więcej był przekonany, że najodpowiedniejszym symbolem szczęścia jest tylko dziecko.

XIX.

Wieczór u Opatów zgromadził rzeczywiście dobrane towarzystwo. Artystów było sporo, ale żonatych między nimi niewielu. Z tych, którzy przyszli, tylko dwaj profesorowie, potem rzeźbiarz Quis, malarz Urban i Towara przyprowadzili z sobą żony. Quis był sam zamożny, żona jego Niemka, pochodziła też z bogatej rodziny.

W kobiecem kole, zebranem na zabawie, główną uwagę zwracały żony czterech bogatych adwokatów, kilku miejskich radców, trzech profesorów uniwersytetu, kilku lekarzy praktykujących, budowniczych i dwóch śpiewaków z opery. Szczególne zainteresowanie na wieczorku budziły dwie młodzintki artystki i jedna śpiewaczka, przybyłe pod opieką dam do towarzystwa.

Wszystkie panie w wykwintnych tualetach, błyszczące od klejnotów, siedziały pyszne bądź ze swego majątku, bądź stanowiska męża, albo pewne siebie ze względu na swe wzięcie w świecie i powodzenie.

W jasnym gazowym oświetleniu nabierał barwy matowy połysk ich atlasowych staników delikatniejszych odcieni, klejnoty łagodniejszego blasku, a koronkowe ozdoby stawały się ponętniejsze; piersi oddychały głębiej, powiększone źrenice błyszczały jaśniej, a w figlarnych uśmiechach widać było pewność siebie.

Wysokie uczesania głowy, uróżowane twarze, szyje, pełne ramiona obnażone i uupdrowane, bransolety i jasne rękawiczki, wachlarze i kwiaty przy gorsie, wszystko to przy tych długich stołach, bijących w oczy białością obrusów, połyskiem zastawy stołowej, ozdobionych wysokimi wazonami z palmami i bukietami pod

lśniącymi światłem wieloramiennymi żyrandolami, odbijało się należycie, jak kolory i kształty kwiatów w pełnym słonecznym blasku.

Gdy weszli małżonkowie Kleinwirthowie i Werunscy, zauważyć można było na Bożenie pewnego rodzaju zawstydzenie. Nie wyobrażała tego sobie tak wspaniale. Twarz jej oblała się rumieńcem, a oczy zwilgły. Jakaś nieśmiałość ją opanowała.

Jak wobec tego przepychu wyda się jej czarna kaszmirowa sukienka ze stanikiem, zapiętym pod szyję i ozdobionym tylko złotym kołnierzykiem! Koralowa brosza i skromne koleżki stanowiły jedyne jej klejnoty. I pani Kleinwirthowa nie była bogato ubrana, ale tanimi środkami umiała uczesaniu włosów i wykończeniu stanika dodać odpowiedniego szyku. Delikatna robota łańcuszka od zegarka i pozostałej rodzinnej biżuteryi doskonale odpowiadała całemu jej strojowi.

Ledwie ich Towara spostrzegł, natychmiast wstał ich powitać i poprowadził do stołu, gdzie im przedstawił malarza Urbana, a jego żonie swych znajomych.

Pani Kleinwirthowa zrzęcznie pochlebila paryskiemu artyście i jego żonie, czem ich sobie wnet pozyskała. Potem zbliżył się do niej brat, profesor uniwersytetu, i zaprosił Kleinwirthów i Werunskich do drugiego stołu, gdzie siedział on z kolegami i ich żonami, dalej adwokat Koliba, stary kawaler, budowniczy Kisely i literat Wawrzyniec Burgr. Pani Kleinwirthowa zaraz zżyła się z towarzystwem i nieudaną uprzejmością, oraz trafuemi uwagami zajęła pierwsze miejsce w rozmowie.

Werunsky siedział między nią a swoją żoną. Był milczący, bo czuł się skrępowany. Dobrze widział, gdy stali przy krzesłach Urbanów, jak damy, u środkowego stołu siedzące, przymrużonemi oczyma obserwowały jego i Bożenę, jak przebiegły wzrokiem jej i pani Kleinwirthowej suknie, jak dwie sąsiadki nachyliły się do siebie, jakby

niechęący, i szepnęły coś, a następnie podchwyciły to ledwie widocznym skrzywieniem ust. Zauważył, jak bracia jego i bratowcy, siedzący z młodym Jakubcem i Reginą przy okrągłym stole w rogu, zajęli się po jego przyjsciu gorliwie rozmową, odwracając się umyślnie od niego, jakby go nie widzieli.

Było mu to bardzo przykro, ale dziś nie odczuwał niesmaku w tem towarzystwie. Spojrzał na żonę, do której nikt się z niczem nie zwracał, a na której widać było, że czuje się obcą w tem kole, i spostrzegł, że i ona się usuwa w tył, siedzi błada w przykrem wyczekiwaniu, a chwilami spogląda dokoła nieśmiało i wstydliwie, jakby się chciała przekonać, czy nikt na nią nie zwraca uwagi i nie wyśmiewa się z niej.

Przytem mile mu brzmiała w uchu przyjemna rozmowa pani Kleinwirthowej, rozmowa, z której widać było, że ona bierze żywy udział we wszystkim, płynnie prowadzi lekką i dowcipną pogawędkę bez wszelkiego przymusu, bez wyćwiczonego udawania i bez wszelkiego małpowania quasi emancypacyi. W przyjemnym toku jej mowy w każdym słowie czuć było takt, delikatność, a zarazem pewność siebie, że znajomość rzeczy jej nie zawiedzie. To przeświadczenie dodawało jej spokoju, pozwalając na wygłaszanie odpowiedzi i zadawanie pytań bez przymusu i ozdabiania ich miłymi odpowiednimi uśmiechami i wolnymi ruchami rąk. Wszystko to było delikatne, szlachetne i pochodziło z nawyknięcia.

Ileż traciła Bożena w jej sąsiedztwie!

Uważając na sposób postępowania pani Kleinwirthowej, Werunskiemu zdawało się, że wrócił do czasów swej młodości i dzieciństwa. Wspomnił sobie niektóre wieczorne zebrania u rodziców, zebrania, na których rej wiodła jego matka, taka miła, niewymuszona, a zarazem

tak elegancka i taktowna. Myśląc o tem i patrząc na panią Kleinwirthową i panie przy środkowym stole, czuł, że zmysł jego na wszelkie odcienie ich rozmów i śmiechu, na powab ich ruchów, na te delikatne półśmiechy, na tę woń bijącą od nich—jakby się zwiększał i zaostrzał; pochłaniał to wszystko z zapalem i znajomością, które się w niem przebudziły, jakby po długiem łaknieniu, wciągał to w siebie, jak smakosz chwyta nozdrzami upajający zapach wina lub zwierzyny.

Atmosfera tego towarzystwa zajmowała go teraz, wabiła, podnosiła, a zarazem budziła wstręt już na samo wspomnienie niższych warstw, jak do czegoś, co się nam z fantazyi podobało, ale wkrótce potem przejadło.

Nawet ten niesmak z bogacenia w tem towarzystwie nie był mu tak niemiły i porównywał go do pieprzu w sosie, przyprawy, której gryźć nie należy.

Czuł, że teraz bardzo dobrze potrafiłby się żyć z tem towarzystwem, którego tak opornie nienawidził, kiedy mógł je porzucić, ale którego dobre strony go nęciły, skoro nie mógł już do niego powrócić.

A im więcej zmysły jego w tym kierunku się zaostrzały, im więcej wspominał swą przeszłość, dzieciństwo i pokrewieństwo z tem towarzystwem odczuwał, tembardziej zdawało mu się, że odsuwa się od niego żona.

Bożena, przeczuwając budzące się zainteresowanie męża, jak ciekawie się ogląda, jak obserwuje panią Kleinwirthową, jak przysłuchuje się wdzięcznie jej opowiadaniom, jak się uśmiecha, przyświadcza, jak nie ujdzie mu żaden ostrzejszy akcent, ani jedno mrugnięcie oka, odczuła im dalej tem większe zniechęcenie i skrępowanie, a im zabawa stawała się żywszą, tembardziej czuła się opuszczoną, osamotnioną w tem towarzystwie. Wiedziała, że jest tu obcą, że się tu nie nadaje, a widząc, jak męża to porywa, jak on się tu czuje dobrze, jak to rozumie i pojmuje, odczuwając przytem, że to otoczenie stanowi właśnie jego

żywo! przejęła się takim żalem, że łzy jej napelniły oczy, a ból niewypowiedziany ścisnął gardło.

Zwróciła do Węrunskiego wybladłą swą twarz, na której widać było walkę, i szepnęła:

— Mnie jest niedobrze, chodźmy stąd!

— To ci przejdzie, kochanie—odpowiedział jej pocięchu mąż.—Muszę przecie choćby na chwilę przysiąc się do braci, a potem poczekamy troszkę na Lemarego, który z pewnością co zadeklamuje, to i zapomnisz o tem.

Jak lekki był ton jego mowy! Odczuła z tego, że traktuje ją z góry, a to ją tem więcej zabolalo.

Ucichła i nie odezwała się ani słowa. Usuwała się tylko od stołu i starała się rozproszyć swe myśli.

Bawiono się coraz lepiej. W sali słyhać było szum nieprzerwany, coraz głośniejszy, w którym mieszały się czasem lekkie gamy kobiecego śmiechu, albo głośne objawy wesołości dźwięcznych męskich głosów.

Koło jedenastej rzeźbiarz Quis wznosił toast za pomyslnosc Urbana i Towary, oraz ich małżonek, a całe towarzystwo przyjaźnie i serdecznie stuknęło się kieliszkami ze zgromadzonymi tu artystami. Było to niby chwilowe przyłgnięcie bogatych obywateli do świata artystycznego, wobec którego ustawała nadętość z jednej, a podniecony opór i pogarda z drugiej strony.

Wkrótce potem wstał Lemary i wznosił humorystyczny toast, a w nim przedewszystkiem hołd oddał obecnym tu damom, których wdzięki i uprzejmość wysławiał, potem pochlebił śmietance zebranych tu praskich obywateli, zaznaczył ich obecność, objawy ich zamiłowania dla sztuki i artystów, chwalił niezmiernie ich zmysł piękna, zamiłowanie prawości, elegancyi i szyku i wytknął ważność takiego zetknięcia się kół artystycznych z kołami miejskiej inteligencyi; w końcu życzył, aby się ten stosunek wzmagal i utwierdzał przez takie szczęśliwe, piękne, przykladne

związki, jakie widzimy, jeśli spojrzymy na jaśniejące oczy tych, na których przeszłość urzędzono dzisiejszą uroczystość, tych, którzy tu siedzą szczęśliwi obok swych zacnych małżonek, które nie tylko są im towarzyszkami na drodze życia, lecz ich ratunkiem, źródłem ich artystycznej sławy, jaka, da Bóg, stworzy nam jeszcze dzieła, które w cię będą wskazywały z dumą. A dzieła te nie będą tylko ich sławą, lecz i sławą ich żon i ulubioną tego towarzystwa, z którego duchem i pięknością odznaczające się te żony wyszły.

Ogólne oklaski dziękowały za ten zręczny toast, wołano: bravo, bravo! — Lemary w swym eleganckim fraku, w olśniewającym białym kołnierzu ze spinkami z fałszywych brylantów o wysokim kołnierzyku, skromnie kłamał się na wszystkie strony trącił kieliszkiem, dziękował i wreszcie zbliżył się do stołu, gdzie siedzieli obaj starsi bracia Weruńscy, Jakubce i Hruszkowie trącił się z każdym osobno, a nakoniec z Tonieczką, do której się pięknie uśmiechnął, a która podnosiła nad swe blade czoło uwielbieniem i dumą, a bezbarwne swe wargi wydrżyła do wstydliwego uśmiechu.

— Dobrze steruje—zauważył o Lemarym, śmiejąc się, literat Burgr, siedzący naprzeciw Edy Werunskiego.

— Teraz zaawansuje, a pewnie w jesieni doczekamy się wesela—dodał doktor Koliha.

— Z panną Hruszkówną?

— Naturalnie, to już ułożone. Cóż, to zręczny człowiek.

— I doskonały nabytek w towarzystwie—wtrącił profesor Kouba, brat pani Kleinwirthowej.

O tem, jakim jest pisarzem, nie mówiono ani słowa.

Wtem Lemary już wstał i zasiadł do fortepianu. Z kilku stron poproszono o uciszenie się, i wszystkie oczy zwróciły się na ulubionego poetę. Ten najpierw powoli

i okazał zdjąć rękawiczki, które następnie gwałtownym ruchem odrzucił na bok; potem wyjął z za kamizelki jedwabną chusteczkę i zaczął ocierać czoło, ręce, a wszystkim robił tak koniecznie, że już te przygotowania budziły ogólną wesołość i wywoływały tłumiony śmiech. Przytem wyraz jego twarzy był zadumany, oczy patrzyły smętnie i zwracały się często w górę, z ust wyrывały się westchnienia... Nakoniec adorzył w klawisze. A jak poprzedzające przygotowania, tak i gra jego była w najwyższym stopniu sztuczna. Chwilami ledwie dotykał klawiszów, że wydobywał prawie niedosłyszane tony, to znowu przeleciał całą klawiaturę, że aż fortepian zadrżał. Występ był naśladowaniem znanego muzyka, tak dokładnie, że całe towarzystwo, poznawszy go, ze śmiechu się kładło, a ocierając łzy radości, wołało:

— Wyborniel wyborniel!

Lemary święcił swój tryumf. Nawet najbardziej nieprzystępne i ceniące się panie prosiły o powtórzenie, obstały go i w najlepszym usposobieniu śledziły każdy ruch, a wdzięcznym uśmiechem i pochwałą zachęcały do dalszych produkcji. I sam tłusty pan Hruszka wstał i patrzył na Lemarego z przyjemnością, która graniczyła już z ojcowską pychą.

— To zuch! to zuch!—powtarzał do stojących wokół.

— Ja to już znam. Prawie co niedziela robi to u nas! A żebyście wiedzieli, co jeszcze innego umie—dodał ciesząc się, że może tak poufale mówić o tym, który wzbudził podziw całego towarzystwa.

Podczas gry Lemarego powstał i Eda i powoli zbliżył się do fortepianu. Zrobił to raczej dlatego, żeby nieznacznie mógł pomówić parę słów z braćmi i przywitać się z bratowami, które niedaleko siedziały.

— Ach!... tyś tutaj także, to bardzo pięknie—przywitał go budowniczy, podając mu dwa palce lewej ręki i mierząc jego czarny garnitur od stóp do głowy.

— Jestem z żoną; nie mogliśmy Towarze odmówić.

— Tak! — przeciągnął Eman i rzucił okiem do stołu, gdzie siedziała Bożena.

— Szkoda, mogłeś się przysiąść do nas.

— Dziękuję, mam tam swoje kółko—odrzekł Eda trochę ostrzej.

— Ach, Kleinwirthowie, widzę... on jest gdzieś przy gazecie, prawda?

— Przy praskich Nowinach.

— Kolegował ze mną w technice — na profesora, szkoda, że tego zaniechał, Czemu?

— Czy to jego żona?—spytała Frydrykowa, która stała obok Eman.

Eda przyświadczył.

— Biedactwo!—westchnęła bratowa.—Takie materiały na staniki już dawno wyszły z mody—zwróciła się do żony Eman.

— Prawdopodobnie to przerobione, moja złota—odpowiedziała ta szeptem.

— Nie pojmuję, jak niektórzy mężowie mogą wystawiać swe żony na poźmiewisko—wygłosił poważnie Eman i spojrzął z ukosa na Edę.

— Kto na to nie ma, niechaj lepiej siedzi z honorem w domu, bajdura — przyświadczył pan Hruszka.

Werunsky zrozumiał dobrze sens moralny. Mówią o pani Kleinwirthowej, a piją do jego żony. Dają mu wyraźnie do zrozumienia, że niema tu dla niego miejsca.

Zmysł artystyczny, stosunki z artystami! Może być, ale chyba tylko z takim, jak Quis, z bogatej rodziny, lub jak Towara, którego koniecznie musieli przyjąć między siebie — ale przebóg, z daleka od tych, którzy mogliby kiedy przyjść zaproponować kupno jakiej figury, obrazu, jak najda-

lej od tych ubogich, od których trzebaby się mieć na baczności, którzyby na zasadzie przyjaźni mogliby narzucać się z interesami i prośbami, zdaleka od tych, którzy nie mają jakiegoś urzędu lub stałych dochodów, o których niema pewności, co ich czeka...

Jakby kto zimną wodą oblał budzącą się w nim skłonność do tego towarzystwa.

Przecież on z nich pochodził, ale zaledwie stał się artystą, już się od niego odwracają. Z tego powodu nabrał do nich wstrętu i naprzekór im nie zawahał się zwrócić i zbliżyć do sfery innej. Przerachował się. Niedawno poznał, że atmosfera, którą oddychał w młodości, nie straciła dla niego swego uroku. Zamiłowanie do zalet tego towarzystwa nie zagasło w nim; mając to we krwi, nie był w stanie zżyć się z niższemi sferami, mając to we krwi, był zawsze w niezgodzie z ich przyzwyczajeniami, a związawszy się z niemi przez swe małżeństwo, doszedł nakoniec do nie milego odczucia ciemnych stron tego braku. A im lepiej to pojmował, tem bardziej pożył otoczenia swej młodości.

A patrzcie, teraz właśnie dają mu to do zrozumienia, że uważają go za wydziedziczonego. Wgnany stąd, nie zżywszy się i nie mogąc się zżyć tam, strapiony błąka się na niepewnem rozdrożu. Jak można w tych warunkach postępować naprzód spokojnie, z pewnością siebie?

Uwagi te przechodziły mu przez głowę, kiedy wróciwszy na swoje miejsce, siedział milczący ze zwieszoną głową. Nawet Lemary go już nie wzruszył, kiedy przy ogólnem zadowoleniu zaczął naśladować sposób deklamacyi pierwszorzędnych aktorów. Wesołe "usposobienie dochodziło do zenitu, wznoszono toasty za zdrowie Lemarego, podziwiano jego nadzwyczajne zdolności, składano życzenia ze wszech stron.

— To rzeczywiście niezrównane!—wołały damy.

— Zadziwiająca!—przyświadczały panowie.

Śiała grzmiała oklaskami. Lemaitre był bohaterem wieczoru.

Kleinwirth rozżył się w radości:

— To zabawa, aż miło! tak lubię! Takich wieczorów więcej, a nasz świat artystyczny z bogatszym towarzystwem zapozna się, zaprzyjaźni, i wyniknie z tego korzyść dla stron obydwóch.

— Ale czemuż pan nie przyprowadził swej małżonki?

Z tem niekiedy spóźnionem pytaniem zwrócił się Kleinwirth do pana Burgra, który chyba ze wszystkich obecnych był najspokojniejszy. Był on znany ze swej szczerości i prawdomówności, nigdy nie wahał się każdej rzeczy nazywać po imieniu i wytykać zawsze rdzenia sprawy, często nawet ostro, bez względu na to, czy się to podobalo, lub nie.

— Proszę was, — odrzekł teraz — w naszych warunkach to niemożliwe. Tu trzeba wprowadzić żonę wystrojoną, jak każda z tych tam pań, których mężowie mają przynajmniej po jednym domu; inaczej traktują ją z góry; jej byłoby to przykre, a mnie też niemiłe. Lepiej tedy niech siedzi w domu z dziećmi.

— Ale raz przecie... — napomniał Kleinwirth.

— I licha tam! Nawet przy najskromniejszych przygotowaniach byłby to wydatek nadzwyczajny, a na co? Za trochę tej krytyki lub w najlepszym razie trochę uprzejmych względów tamtych? To się nie oplaci. Nasze stosunki nakazują trzymać się na ustroniu i nie bawić się w państwo.

Poprzednie ochłodzenie wywarło przykre wrażenie na Werunskiego, a proste i trzeźwe zdanie Burgra dobiło go. Nie chciał tu przyjść i rzeczywiście powinien był zostać w domu. Ustąpił żonie, a teraz i ona się przekonała, że żądanie jej było dziecinne. Gdyby nie było pani Kleinwirthowej, która się grzecznie w czasie rozmowy do niej

zwracała, zmuszając ją do potakiwania jej zdań i zapatrywań uprzejmem:—Czyż nieprawda, pani Werunski?... Nie mam racji? Moja droga, wy z pewnością zgadzacie się ze mną,—była by tu siedziała w zapomnieniu, i niktby na nią uwagi nie zwrócił.

Sama nie odważała się mieszać do rozmowy, która toczyła się o rzeczach jej nieznanych lub obojętnych, a to ją tembardziej onieśmiało i stawiało w przykrem położeniu; nużyło ją to siedzenie niezmiernie, do czego też przyczyniał się stan, w jakim się znajdowała.

Werunski czuł teraz i częściowe zadowolenie, że żona jego przekonała się dokładnie, jak przeceniała swe siły, gdy nalegała, żeby tam poszli. Teraz nie będzie się wzbraniał, jeżeli ona zechce odejść. Ba, sam pragnął co prędzej opuścić to miejsce, gdzie nic już nie zajmowało. Wyjdzie cicho, nie zwracając uwagi.

Nachylił się do Bożeny i spytał:

— Czy ci już przeszło? A może chcesz pójść?

— Chodź, chodź! — szepnęła błagalnie.

Werunski skłonił się ku pani Kleinwirthowej, a oznajmiwszy jej swe postanowienia, prosił, aby go potem wytłómaczyła pozostałemu towarzystwu, poczem wstał i zręcznie się oddalił. Bożena opuściła salę na chwilę przed tem.

Kiedy wyszli, padał drobny, szczypiący deszcz, który zimny wiatr gnał prosto w oczy. Szkła latarni drżały i brzęczały, nogi po wilgotnych chodnikach ślizgały się a przez ulice szybko przejeżdżała niekiedy hałaśliwa karetka, lub dorożka, jakby uciekały od wiatru, który za niemi pędził i gwizdał.

Bożena szła z trudem. Tak pragnęła znaleźć się już na Winogradach; bała się, że ma jeszcze przejść cały Wacławski plac, chętnie byłaby wsiadła do dorożki, aby uniknąć zmęczenia. Cichutko poskarżyła się mężowi

— Wezmę dorożkę—rzekł, spojrzawszy na nią.

— Nie, nie, pójdziemy... chciałby najmniej guldena, a i tak już to dzisiaj niemało kosztowało — odpowiedziała Bożena.

Jeszcze nigdy tak boleśnie nie odczuł Werunsky majątkowego stanu swego i swej żony, jak obecnie, a i ona nigdy dotąd nie pojmowała tak dokładnie swego położenia, jak w tej przykrew chwili.

— Towara pojedzie z pewnością—nie mógł się powstrzymać od zrobienia tej uwagi.

Milczący, z zaciśniętymi ustami, szli dalej pomimo szarugi ku Winohradom. On kurczowo ścisnął parasol, który wicher wyginał na wszystkie strony, i z zazdrością myślał o Towarze, Urbanu, Quisie i Lemarym...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM II.

I.

Rozdrażnienie, jakiemu ulegał Werunsky w ostatnich dniach, osłabło i zamieniło w poddanie się okolicznościom. Nie drażnił myśli rozważaniem swych dawniejszych marzeń o wątpliwościach swego małżeństwa, unikał przykrego badania zawodu, jakiego doznał, poddał się bez oporu jakiemuś osłabieniu, które oswądnęło jego ciałem i umysłem.

I pogoda działała na taki stan duszy. Niebo było wciąż zachmurzone, gęsto i leniwie wisiały na niem ciemne chmury, i zdawało się, że jest ich kilka warstw nad sobą. Przytem było wilgotno i wietrznie, tak, że nawet deszcz, jak należy, padać nie mógł. Codziennie parę razy kropiło, ale niebo po takim deszczu zdawało się jeszcze ciemniejsze. Miejscami wiatr rozpędził skupione chmury w roztrzepane pręgowate szaro-brudne szmaty, które przybierały groźne kształty. Jakaś niepewność władła między niebem a ziemią. Nie było ani jasno, ani ciemno, coś nieokreślonego, ostrzegającego zawisło w powietrzu, jak jakaś straszliwa zmara.

Niepogoda ta trwała bez końca. Na imieniny We-

raskiego przed Ś-tym Józefem zdawało się, że jeszcze się oziębilo więcej, niż wprzód. Wistr świstał na ulicach, rozbijając potoki deszczowe nad samym brukiem, wpędzał strumienie na okna i rozpryskiwał je we wszelkich kierunkach.

Bażena przygotowała mężowi na imieniny haftowane pantofle w zielone liście i różowe pączki na czarnem tle. Kiedy mu je podawała z ozywionym uprzejmym uśmiechem oczy jej nagle zasły łzami, a gdy mu chciała porę słów powiedzieć, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. objęła go tylko, przytuliła twarz do jego piersi i wybałnęła płaczem.

Werunskiego to wzruszyło; przycisnął ją do siebie, pocałował ją w twarz, pogładził jej delikatne włosy, które olyszczały złotawo na tyle głowy, zbiegając się z dwóch stron ku przedziałowi na cieniu.

— Czego płaczesz? Kotuniu, co ci jest?— spytał miękko, a tymczasem serce mu się ścisnęło z żalu, bo przenikł i jasno pojmował to uczucie, jakie miotало duszę jego żony w tej chwili: przykre przeświadczenie, że ani jemu, ani sobie nie przyniosła szczęścia, niepewność na myśl dalszego pożycia, nieprzeparta obawa zbliżającego się dnia, kiedy stanie się matką.

Całował ją, głaskał, pieścił, ale nad tymi objawami nie unosiła się złota aureola nadziei, jak dawniej, lecz kupiły się ciężkie chmury, i serca ich nie drżały szczęściem i radością, lecz legł się w nich żal i wzajemne współczucie, które ich teraz zbliżało.

— Już się to zmienić nie da, nie da, nie da!— dźwięczało w ich duszach, ale nie był to gwałtowny okrzyk, tylko tęskne westchnienie poddana się losowi.

A na dworze przelewały się ciężkie chmury, jakby już nigdy nie miał ich przekroczyć żaden promień światła.

W ciągu dnia doszły niemiłe powinszowania od Towary, Lemarego, Kleinwirthów, Fichtrow i Jakubca. Fry-

deryk i Eman pierwszy raz nie przysłali nawet biletu. Wiodocześnie przestali go zaliczać do rodziny. Po co mają robić z nim ceremonie? Nic nie ma, nic nie zdobędzie—na co się tedy do niego zbliżać?

Ze mu to sprawi przykrość, że to wyraźne lekceważenie go zaboli, ani im się śniło na to zważać. Pomimo woli przypomniał sobie Werunsky, jak za czasów jego dzieciństwa i młodości obchodzono w domu rodziców imieniny każdego z członków rodziny. Przypomniał sobie te poprzedzające tajemnice, to oczekiwanie, ten uroczysty nastrój, te sale, podwieczorki, w których udział brała cała rodzina, te wyjątkowe grzeczności i szczególną uwagę, jakiej doznawał od braci solenizant. Przypomniał sobie te najrozmaitsze podarunki, jak każdy je obmyślał, jak się na nie oszczędzało, jak się starali prześcignąć wzajemnie. Przypomniał sobie te tkliwe objawy rzeczywistej miłości i serdeczności braterskiej... Czy i oni to pamiętają?

Koło południa przyszedł Żywot w swym wytartym haweloku, którego kolor wypłowił ze starości. Podał mu swą wilgotną, kościstą rękę, a zwykły jego zjadliwy uśmiech nie udał mu się przytem; przenikliwy wzrok jego łamał się dziś w jakiejś łagodności. Był nieśmiały, jak zawsze i wszędzie, prócz u Trnków.

Miękki swój, niegdyś czarny, dziś zielonkawy kapelusz gniótł w rękę, siadając na zaproszenie Werunskiego na sofie, i zaczął mówić o fatalnej pogodzie, chociaż zawsze było mu zupełnie obojętne, jak jest na dworze. Przytem toczył wzrokiem dokoła, jakby się bał dłużej zatrzymać się na jednym miejscu.

— Ładnieś się urządził — rzekł nagle, jakby sobie przypomniał zapomniany frazes.

Werunskiego rozczerły te odwiedziny Żywota, ten dowód jego pamięci i niezmiennego zachowania dawnych przyjacielskich stosunków, tembardziej, że wiedział, jak nie-

chętnie Żywot bywa szczególnie w domach prywatnych. Jedyny on stawiał się z tego kółka kolegów i przyjaciół, którzy dotychczas nie zapominali uroczysto obchodzić imiennymi wzajemnymi odwiedzinami, którym często towarzyszyły żarty, dowcipy, figle, a potem wieczorne libacje.

W tym roku tak zmniejszyło się ich kółko!

Wspominali obaj z Żywotem owe dawne koleżeńskie zebrania. Werunsky, tkliwie nastrojony, wpadał w czułość-kowość. Żywot odzyskał swój sarkastyczny humor i opowiadał z przyjemnością o nierozsądnych czasem żartach, wybrykach i często wypływających stąd nieprzyjemnościach, a nawet wypadkach, które się w nocy po upiciu trafiały. Jak Pour im służył za kłowna, ofiarując się do wszystkich awanturniczych pomysłów, aby tylko utrzymać się w ich towarzystwie; jak Towara kochał się w każdej kelnerce; jak śpiewali, hałasowali, wracali do domu z kocią muzyką, zataczając się po ulicy, ale w najweselszem usposobieniu; jak niegdyś Urban, kierując się szynami tramwajowemi, zaszedł zamiast do Pragi do Nuśli, i żadnym sposobem nie mógł się wydostać z Winohrad; jak byli raz w tej winiarni, gdzie usługiwała ta pękata Słowaczka w powabnym swym stroju, jak ją potem Witok malował—ach! gdzie są te czasy, ta serdeczność Urbana!... Bez wątpienia wezwą go z Paryża na profesora do Pragi. Towara jest już połowicznym właścicielem domu. Witok jest już poszukiwanym wiedeńskim mistrzem. Pour przyłgnał do arystokracji i pozuje na znakomitość—kończył Żywot swój przegląd.

— Tylko my, my zostaliśmy obaj w tyle, mój przyjacielu—dodał, a uśmiech jego miał jakiś rys straszliwy, który Werunskiego przejął dreszczem.

— I nie wybrniemy stąd—prorokował półgłosem.

Werunsky spojrział na niego i wyczytał na jego twarzy smutek i zwątpienie. Kąty jego warg drgały, jakby zwalczyć chciały bolesne wykrzywienie.

Rzeźbiarza przejął niewysłowiony żal. Powoli spu-

ścił oczy i zauważył, jak mankiety Żywota są zmięte i wystrzępione, spodnie na dole wytarte, buty popękane, a kiedy niechęący wzrok podniósł, widział, że Żywot siedzi ze spuszczoną głową, na której włosy się przerzedziły, a gdzieś niedzie przyprószyły siwizną.

Oto człowiek, który przed ośmiu laty wydał dwa tomy poezji, głębokich, śmiałych pomysłem, wspaniałych formą, i tom nowel, powitany z zachwytem; oto talent, któremu prorokowano najlepszą przyszłość, powodzenie, w którym pokładano największe nadzieje... Czem się stał? Złamaną siłą, upadającym człowiekiem. Kto go do tego stanu doprowadził? Nigdy o tem nie mówi. Siedząc tak obok niego, Werunsky obserwuje go, współczuje z nim głęboko, ale zarazem się go obawia.

„I nie wybrniemy stąd, nie wybrniemy!” — huczy mu w głowie, i tak już tego pragnie, żeby ten człowiek wstał i poszedł. Nie wierzy jego słowom, nie chce mu wierzyć, ale brzmia mu w uszach złowrogo, jak straszliwa przepowiednia. Nie, nie, przecież dla jednego fałszywego kroku nie może być całe życie złamane! Jego czeka jeszcze praca, cel życia, jego czeka jeszcze—dziecię...

— Nie mamy prawa tracić nadziei—odezwał się oglądnie i poklepał przyjaciela po kolanie, ale słowa te brzmiały raczej jak frazes, niż przekonanie.

Żywot podniósł głowę i spojrział na kolegę. Na twarzy już miał znowu ten uśmiech zjadliwy, który czynił go wstrętnym.

— Może!—skrzywił się i, wstając, dodał:—A więc jeszcze poczekamy.

Potem podał przyjacielowi zimną prawicę, a idąc przez kuchnię, pożegnał Bożenę, jak nieśmiały gimnazyasta.

Po jego odejściu, przed samym obiadem, przyszła jeszcze pani Szwejnhowa, a wkrótce po niej Lida, życzyć „Edziowi.” Lidy nie chciała jej pani puszczać, a i teraz

ledwie się wyrwała, więc szwagierek musi wybaczyć, że jest nieubrana i z gołą głową.

— Przecież nie przyszłaś do obcych—zauważyła pani Szwejnhowa, która ustroiła się w swe ubranko na głowę i turecki szal, a Werunsky uśmiechnął się ironicznie.

Oto nowe pokrewieństwo przybywa na miejsce jego braci! Franek, co prawda, jeszcze przyjść nie może.

Starał się być grzecznym, dziękował pani ciotce i szwagrowej, która nie mogła zabawić dłużej, aby jej pani nie wylażała. Za to pani Szwejnhowa zasiadła i zaczęła opowiadać o swych dziewczynach. Różia od początku stycznia była zamężna. Mąż jej założył sobie własny warsztat, i doskonale mu się, chwala Bogu, powodzi. Ma dosyć roboty, ona jest oszczędna, nie udaje pani, a tacy ludzie zbiorą sobie co na stare lata. Jakiś budowniczy obiecał mu robotę do dwóch domów; z takiego zamówienia to się przecież co okroi. I młodsza córka, Baruszka, niezadługo wyjdzie za mąż. Poznała jakiegoś czeladnika od wędliniarza, i chcą na Winohradach założyć sobie handel. Niechaj z Bogiem! Może im się dobrze powiedzie. Trochę na początek ma, a i ona im cokolwiek pomoże; potem niech sobie radzą. Jeżeli dobrze rozważyć, to zręczny rzemieślnik jest najlepszym kandydatem do małżeństwa, i utrzymanie mają zapewnione, jeśli nie żyje nad stan. Jej córki są bardzo mądre dziewczyny, że nie wdawały się z byle jakim panem, który na pozór jest uczony i szykowny, ale w rezultacie daleko nie zajdzie. Co prawda, ona jest jeszcze kobietą starej daty i sądzi o wszystkim podług swego głupiego rozumu, ale jednak dotychczas nigdy się nie przerachowała.

Zdaje się, że pani Szwejnhowa przygotowywała się na tę lekcję długo, a teraz ją pięknie wypowiedziała z najdelikatniejszymi napomknieniami o swym głupim rozumie. Było widać, z jakim zadowoleniem, krążąc wokół, kłóła Bożenę, a następnie zaraz zbaczała od tego przedmiotu,

nadmieniając naprzykład, jaki piękny widok ma Rozarka z kuchni, lub że tego roku, przy takiej pogodzie i zimnie, odpust Ś-go Józefa się nie uda. Zachowywała się jak obrzydliwa, natrętna mucha, która dręczy człowieka, a ledwie się ten opędzi, ona znowu brzęczy na oknie.

Bożena zniecierpliwiona chrząkała, a Werunsky się przymuszał do śmiechu.

— Cóż, póki niema dzieci—perorowała dalej—to jeszcze można sobie na jakąś paradę pozwolić, ale potem ustaje wszystko. Potem dopiero zaczynają się prawdziwe kłopoty, a która kobieta przywyknie tylko do zabawy, to później jest złą matką.

— Nazadługo się przekonasz, co to taki bęben!—zwróciła się do Bożeny:—wtedy ustaną dla ciebie wszelkie przyjemności,

Podczas całego gadania, Werunskiego owiewał jakiś chłód. Wciskał się w róg sofy, jakby chcąc usunąć się od tego niemiłego obrazu, jaki mu się przedstawiał w myśli przy ostatnich zwłaszcza wyrazach pani Szwejnowej. W duchu wspominał izdebkę stróża w domu, w którym zamieszkiwali jego rodzice, izdebkę niemiłą, wilgotną, pełną zapachu gotującej się bielizny, porozwieszane tam pieluchy, zmordowaną postać stróżki, stojącą przy balii, i dziecko w kolebce, zsiniałe z krzyku i konwulsyjnie bijące nóżkami i rączkami... Ależ na Boga! przecież tak nie będzie wyglądało jego mieszkanie!

II.

Odetchnął pełną piersią, gdy ta kobieta wyszła. Podobna była do dzisiejszej pogody, niemiła, groźna; sama jej obecność była przykra i wstrętna. Zdawało mu się, że

po jej odejściu trochę się wyjaśniło... Od Kleinwirthów dały się słyszeć dźwięki fortepianu, spokojne, kojące...

On zupełnie inaczej wyobraża sobie przyszłość.

To będzie tłuściutki, milutki aniołek z nóżkami i rączkami, jak wałeczki, z policzkami jak jabłuszka, z oczkami jak ciareczki, z boskim uśmiechem. Wszystkie stawy giną w milutkich dołeczkach, główka pokryta złocistymi kędziorkami. Staje mu już w myśli taka niepewna postać tłuściutkiego chłopczyny, postać, której prześliczne kształty uchwyci do swego przyszłego Szczęścia. Studjuje wszystkich mistrzów, którzy znakomicie wyobrażali postacie dziecięce, uśmiecha się do swawolnych póz ich okrągłutkich ciałek na fotografiach, bada każdą ich pozycję, każdy ruch i położenie. Już ma w myśli nawet plan swej przyszłej alegoryi.

Kędzierzawy aniołek ze skrzydełkami unosi się nad drogą. Uśmiechniętą twarzyczkę, nad którą pała gwiazda, zwraca do gołąbki, siedzącej mu na ramieniu i trzymającej w dziobie dwie ślubne obrączki, jedną zawieszoną w drugiej. Bieży, nie patrząc na drogę, a pod jego nogą wije się nadeptany gad. W tłuściutkich rączkach trzyma dziecię lejce, któremi kieruje czterech koboldów, śpieszących przed niem i niosących na poduszkach i w koszach dary: wawrzyny, korony, złoto, róże i kolebki.

Rozmyślanie nad tym planem, układanie szczegółów, odstępowanie od nich i zastępowanie innymi, składały się na jaśniejsze chwile w smutnem życiu Werunskiego.

W pracowni pracował nad szkicami do przedsięwziętej grupy, ale głównie robił studia do dziecinnej postaci Szczęścia. Przytem oddawał się uspokajającym marzeniom i nadziejom o własnem dziecku.

W tymże czasie nabył cztery większe losy i rozmyślał nieraz nad tem, co by było, gdyby naprawdę wygrał. Czuł

przytem, że życie mogłoby mieć dla niego jeszcze dosyć uroku i radości, a twórczej sile jego urosłyby nowe skrzydła.

W początku kwietnia niebo się rozchmurzyło, słońce świeciło wesoło i jasno, jakby chciało zmusić całą przyrodę i ludzi do wspólnego z niemi uśmiechu.

Śpiew skowronków rozperlił się nad zoranyymi łany, które woniały młodą oziminą, a pierwsze motyle unosiły się z rozłożonemi, niewyblakłemi skrzydłami na żółtych pierwiosnkach leśnych ścieżek. Drobnutkie listki wyskoczyły na młodych brzoźkach, tak, że kto spoglądał przez nie w górę, widział jakby przez rzadką zieloną gazę czysty błękit wiosennego nieba.

W cienistych zakątkach poblizkich lasów pachnęły fijołki, a żółtawy trznadel skrzypiąco gwizdał, latając nad trawą potoczku, odbijającego, jak zwierciadło, szmaragdową zieleń młodej trawki.

W tym czasie Werunsky odbywał nużące przechadzki za miasto bez wyraźnego celu, pędzony przykrą niepewnością, która jednak znośniejszą była niż poprzednia, spokojna rezygnacya, ponieważ przebłyskiwały w niej iskry nadziei, ale zarazem była pełna tęsknoty i wzruszeń, gdyż wiele miała obaw, wątpliwości, niedowierzenia.

Niepokój ten powiększały wyrzuty, że nic nie robi, a pieniędzy ubywa, wyrzuty, które daremnie starał się usunąć powoływaniem się na przykrą niepewność i pochodzącą z niej niestałość myśli, której zagłuszyć się nie udało rozjaśnionej wiosennej pogodzie.

Szukał uspokojenia i zasiłku w przyrodzie, ale wracał niespokojny i niezadowolony ze swych wycieczek. Wiosenny ruch w polach i lasach napelniał go nieukojonemi pragnieniami; niezmożona siła przyrody, tłocząca się wszędzie na powierzchnię, drażniła go i unieszczęśliwiała, bo zdawało mu się, że nań woła: „Czemu i ty nie bujasz, nie kwitniesz i nie radujesz się?“ Śpiew ptaków wydawał mu się drwinami, a barwy kwiatów wyrzutami. Nienawi-

dził oracza w polu, kobiet kopiących w ogrodach, dzieci, zbierające fijołki. Niezadowolony i rozdrażniony, uciekał z powrotem do miasta i wpadał do Trnków, gdzie zapijał swą gorycz i zazdrość.

III.

Jakoś w połowie kwietnia, zaraz po dziewiątej rano, zjawił się Towara w pracowni Werunskiego.

Rzeźbiarz pracował nad pomocniczym modelem do dziecinnej postaci swego Szczęścia, ale był roztargniony, i robota nie szła mu od ręki. Ucieszył się tedy, ujrawszy Towarę, i powitał go serdecznie.

Malarza zadziwił nowy utwór przyjaciela, bo nie spodziewał się go wcale. Myśl naturalnie podobała mu się, i chwalił szczęśliwe ułożenie grupy i żywy, miutki ruch dziecka, ile mógł go ocenić ze szkicu i pomocniczego modelu.

— Szkoda, że modelu nie zdążysz na wystawę—rzekł jakby niechcący.

— Szkoda, — zgodził się Werunsky—ale za to na przyszły rok nie będę miał kłopotu, co posłać — dodał z uśmiechem.

— Ale teraz musisz przecież koniecznie coś wystawić; to niezmiernie ważne.

— A co? Wszakże wiesz, że nic nie robił, prócz tamtego modelu—i wskazał niedbale głową w tę stronę, gdzie stał popękany model pierwszego jego Szczęścia, z którego brzegi szat i końce unoszących się włosów kruszyły się i odpadały.

— Wiesz, jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, Werundo,

przyszedłem dziś tutaj, aby cię namówić do dania tego na wystawę. Przecież musisz przyznać, że trzeba, aby co czas jakiś o tobie mówiono, aby nazwisko twe ukazało się publiczności; każde zaniechanie w tym względzie znaczy krok w tył. Koledzy postępują naprzód, a ty im zostawiasz pole. Wystawią w tym roku wszyscy, będą o nich mówili, pisali, a o tobie zapomną. Spróbuj jeszcze raz z tym pierwszym modelem: jeżeli zechcesz, zdążysz na czas, albo wystaw chociaż popiersiel — serdecznie nalegał Towara.

Werunsky nie odpowiadał, tylko milcząc uśmiechał się boleśnie.

— Nie krzywdź sam siebie, nie bądź uparty, każde takie zaniechanie pociąga nową szkodę — przekładał przyjaciel.

— Gdyby to nie był portret mojej żony, to możebym dał — wyrzekł nakoniec Werunsky, a w głosie jego czuć było, iż gwałtownie tłumi wewnętrzne wzruszenie. — Gdyby nie to, ale tak!... Wiesz, przyjdą wszyscy na wystawę, co ją znają, a już widziałem tych uśmiechów i spojrzeń do sytu... mam wszelkich uwag, aż dotąd — tu szybko wskazał na gardło. — I miałbym, ten model posłać, aby mieli bez przeszkody o nią i o mnie wycierać sobie zęby i podczas mej nieobecności mrugać na siebie, uśmiechać się, robić uwagi? Czyż mam im w tem pomódz? Tej satysfakcyi im nie zrobię, choćbym się miał tem zniszczyć... za nic! Czyż mam dostarczyć Pourowi sposobności do nowej publicznej impertynencyi?

— Z tym gadułą nikt się nie liczy poważnie; reszta krytyki nie ma z nim nic wspólnego; przeciwnie, da ci zadośćuczynienie.

— Czyż z obrazy, jaka mię spotkała, mam uczynić przedmiot ogólnej rozmowy? — ciągnął Werunsky, coraz bardziej rozdrażniony i rozgoryczony. — Mam publicznie wystawiać osobisty zawód? — wybuchnął nakoniec, a głos je-

go drżał przytem, gorzki uśmiech igrał na ustach, a oczy zaszyły łzami.—Nie, nie, po tysiąc kroć nie, choćby od tego zależało nawet moje całe zbawienie!—dodał wzburzony i zaczął szybko chodzić po pracowni.

Malarzowi spadła zasłona z oczu; z rzuconych kilku słów zrozumiał Towara wszystko, co dotychczas Werunsky starannie ukrywał, i przejęło go głębokie współczucie dla niešťczęśliwego druha.

— No, to zaniechaj tego—zaczął go uspokajać łagodnie i nieśmiało.—Może będziesz miał inne popiersie, lub chociaż medalion, to wystarczy.

— Nic nie mam, nawet żadnej drobnostki, i nic mieć nie będę. Tego roku, to już daremnie — wygłosił Werunsky, wciąż chodząc po pracowni.—Czy nie chciałbyś się trochę przejść? — zwrócił się do przyjaciela:—nie mogę i tak nic robić.—Chodź!—prosił.

Towara był zadowolony z tej propozycyi. Po drodze pogada z Werunskim serdecznie. Żyjąc teraz bez troski, w dostatku, i całą siłą poświęcając się sztuce, współczuł przyjacielowi głębokó.

Dzień był słoneczny, wesóły. Powietrze ciepłe i czyste, jak gdyby pieściło się z człowiekiem. Zdawało się wprost niemożliwem, żeby nie wpłynęło kojąco, na myśl i serce.

W gmachu muzeum było wszystko w pełnym ruchu: praca, hałas, stukanie. Obeszli ją długim łukiem, ale spojrzeli na wzrastający budynek zdaleka, zainteresowani i pobudzeni, a Towarze wydawało się, że z tego wiru i w jego duszę wstępowała nieokiełznana chęć do pracy i tworzenia.

— Chodź prędzej, jak najdalej od tego huku—nalegał Werunsky.

W parku na pobliskich krzakach widać było z popękanych pączków świeże koniuszczki listków; dalsze drzewa i krzewy były jakby popróśzone zielonawym

szronem. Młoda trawka uśmiechała się niby do świeżej zieleności, a szara ziemia dopiero co skopanych zagonów miała słaby odcień fioletowy.

Niebo było czyste, błękitne i wydawało się Towarze wyższe niż zwykle. Oddychał tak swobodnie! Wszystko miało dosyć miejsca i czasu rozszerzać się, rosnąć, unosić. Cała przestrzeń, przejęta wiosennem powietrzem, działała i na człowieka tak, że duch jego się wznosił, a czucie wzma- gało.

— To cudowne—rzekł malarz, nie mogąc się powstrzy- mać od wypowiedzenia tej uwagi, i przymrużywszy oczy, patrzył wdał, jakby chciał jednym spojrzeniem wchłonąć cały ten młody, upajający powab.

— Mhm, — mruknął przez zęby Werunsky, trzymając kolegę pod rękę, a widać było, że jest zajęty myślami, których czarująca siła wiosny nie może przytłumić.

— Co ty przygotowujesz na wystawę? — zwrócił się nagle do Towary,

— Chodź zobaczyć—zapraszał go przyjaciel.

— Owszem—zdecydował się rzeźbiarz, i obaj zawrócili na Wacławski plac, gdzie w jednym z domów, po lewej stronie od muzeum, Towara miał urządzoną wspaniałą pracownię, którą wynajął po profesorze Klanie.

Niegdyś obszerny ogrodowy pawilon, teraz był przero- biony na malarską pracownię z górnem północnem świat- łem i urządzoną z przepychem.

Na ścianach wisiały tureckie i perskie dywany, w ro- gach stały etażerki z oranżeryjnymi kwiatami, między któ- rymi przeważały paprocie i palmy, na środku ścian poroz- wieszana malowniczo drogocenna broń, suto i bogato po- wyszywane części strojów historycznych i południowo-śło- wiańskich; jeden kąt wyglądał jak skład japońszczyzny, przykryty ogromnym pstrym parasolem. Dalej były tu ze- brane prześliczne przedmioty porcelanowe, majolikowe, szklane wazony, bronzowe amfory, tarcze, chorągwie, a mię-

dzy tymi ozdobnymi przedmiotami znowu porozstawione i porozwieszane były figury, szkice, studia, kartony, stare obrazy w bogatych ramach; krótko mówiąc: całość robiła wrażenie małego muzeum, w którym drogocenne przedmioty poustawiano bez żadnego planu, rządząc się tylko względami malowniczości.

W środku obszernej wysokiej tej sali stały stalugi; na jednych z nich był duży, naturalnej wielkości portret starego Jakubca w uniformie miejskiej jazdy, na drugich obraz rodzajowy: „W kobiecym buduarze.” W fotelu na biegunach czytająca dama spoglądała wpool senna na leżącą na kolanach książkę. Pospolity, niegłęboki motyw, ale jak odrobiony! Jakie życie w tej postaci i w tej twarzy! Jaki powab, jakie odczucie! A jaka elegancya! Pod temi długimi czarnemi rzęsami płoną źrenice, jak noc ciemne; z tych słabo uchylonych malinowych ust bucha namiętność, tę delikatną przejrzystą płeć przebija nalot rumieńca. Te ręce, na kolanach złożone, jakie ciepłe i miękkie!—czuć w nich krążącą krew, jak w żywych. Jedwabna bladolila suknia opina śliczne kształty wysmukłej tej brunetki; od mdłej barwy sukni odbijają się śnieżysto białe koronki i matowy połysk ciężkiego złotego medalionu z perłą. W czarne włosy zatknięty biały pomarańczowy kwiat, tak znakomicie odrobiony, że Werunsky prawie wyczuwał jego słodkavo mdlący zapach. Ta sama woń zda się rozchodzić z bogatej przyémionej komnaty, w której siedzi dama.

W różnych artystycznych ozdobach, rozstawionych na niskim marmurowym stoliku przed czytającą, poznaje Werunsky przedmioty w pracowni widziane, ba! i z całego urzędzenia buduaru widać, że modelami były kobierce, obrazy, figury, kwiaty z pracowni malarza. Jak żywo to wszystko przedstawione, jak gustownie urządzone! Zaraz poznać, że to buduar kobiety, mającej gust wyrobiony.

W podziwie nad misternem wykonaniem, stanął We-

runsky przed obrazem. Pochwała jego nie była wielosłowna, ale widać było, z jakim zrozumieniem rzeczy ocenia wybitniejsze punkty.

— Kiedyś to malował?

— Teraz, po weselu. Pracuję jak pszczoła! Ale na coś większego za mało było czasu.

— To wystarczy... Ten matowy połysk sukni zdaje się że szeleści przy dotknięciu. A ta twarz! Człowiek odczuwa, jak ją rozogniło to czytanie. Ale gdzież ja tę twarz widziałem? Gdzie? Czyż nie przypomnę sobie?

Towara zaczął się śmiać i figlarnie spoglądał na Werunskiego.

— Widziałeś ją, widziałeś, przyjacielu, ale tylko raz jeden—podpowiadał.

— Już wiem! — zawołał Werunsky.—To jest ta kelnerka, która była u Trnków po Finie, kiedym tam przed Bożem Narodzeniem był z żoną. Jak się nazywała?

— No, tak... Berta jej na imię.

— Rozumie się, żeś jej pochlebił — dodał Werunsky, zwracając się do obrazu.

— Nie bardzo; ona ma zajmującą twarzyczkę! Rysy szlachetne i wyraz ostry—mówił z zachwytem Towara, a w jego wzroku było widać, że ta twarz go porywa i dlatego wyczuwa jej powaby.—A wreszcie trzeba ją widzieć w tym stroju i w tem otoczeniu.

— Ona ci pozowała? tu? teraz, po weselu?

— No, rozumie się! — Towara wygłosił tę odpowiedź w ten sposób, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego Werunsky tak naiwnie się pyta.—Tam będę ją jeszcze raz malował, ale w innym kostiumie, na tle przyrody.

Wskazał zaczęty obraz, wystawiający zakątek ogrodu na wiosnę, jak właśnie teraz. W lekkim miejskim stroju dwie dziewczyny pracują w ogrodzie: jedna polewa zagony,

druga stoi na ogrodowym krześle przy ścianie i wiąże na niej dzikie wino. Szkic był pełen światła i jasnych barw młodej zieleni, oraz białych i niebieskich sukien dziewcząt, których postacie na zgrabioną żółtą drogę i polany świeżo trawnik rzucały ostre cienie.

— Patrz, to tam -- dodał malarz i wyprowadził przyjaciela z pracowni w róg ogrodu pod ścianą, na której wicie dzikiego wina pięły się po latach.

— Tu maluję—i Towara wskazał mały trawnik, na którym leżała polewaczka i stało brzoźowe krzesło. Dalej w rogu była altanka, a przez jej kraty widać było porozwieszane jasne perkalowe suknie i staniki.

— Szkoda, że tego obrazu nie skończę na wystawę. Gdyby tak o miesiąc była później, albo gdyby ta pogoda nastąpiła była przed sześciu tygodniami!—dodał.

— Czy dziś Berta nie przyjdzie? Może ci przeszkadzam?—pytał Werunsky.

— Dzisiaj przyjdzie dopiero po południu; nie śpiesz się.

Powrócili do pracowni. Tam Werunsky postąpił jeszcze chwilę przed dobitnie malowanym portretem pana Jakubca, którego wojskowe spojrzenie, podniesione wywoskowanymi czarnymi wąsami i krótko przystrzyżonymi włosami, kańciastą, opaloną, zdrową twarzą, grubym karkiem i szerokimi ramionami w mundurze wydawało się jeszcze wyraziściej. Widocznie i malarz położył na to główny nacisk, znając słabość teścia; ale równie ostro wytknął w spojrzeniu i zaciśnięciu wyraz nadętości i ograniczenia, który charakteryzował pana majstra, ale który spostrzegał tylko głębszy obserwator.

— To malowałem jeszcze przed weselem, gdy mnie „pan major” łaskawie zapraszał do swego domu, do swej willi—dodał malarz.—Teraz dam go na wystawę—śmiało się.—Póki życia mojego nie sprzedam żadnego obrazu drożej niż ten! Interes, który ubiłem, wart tego, aby obraz odpowiednio ucził.

Robiąc te uwagi, Towara zaczął wyciągać z pracowni stalugi z rozpoczętym obrazem.

— Weźmiesz się do roboty?—pytał Werunsky.

— Tak, trochę się pobawię. Nie mam spokoju. Wiosna pędzi mię do pracy, jak drzewo do bujania. Nie pamiętam, żebym był kiedy tak podniecony, jak teraz—odrzekł wesoło malarz, a w twarzy jego widać było prawdziwe zadowolenie z pracy i ochotę do niej.

— Ale ty zostań, nie przeszkadzasz mi zupełnie—wtrącił, widząc, że przyjaciel zabiera się do wyjścia. Werunsky chwilę się przyglądał, ale w końcu nie dał się zatrzymać. Stał się małomównym, napadła go zaduma, ciągnęło go do samotności.

Towara zauważył, że przy pożegnaniu nie uściskał go za rękę tak serdecznie, jak rano, gdy do niego przyszedł.

Werunsky dążył ku Winohradom, ale nie zwracał na nie uwagi, zajęty swymi myślami. Z początku krążyły one koło Towary.

Z jaką chęcią i starannością on pracuje! Jak szczęśliwie! Bez walk wewnętrznych. Całą siłą opanowuje formę. Z jakim skutkiem! Przytem nie ma męczących zwątpień! Jakże ma teraz przyjemne, bez troski życie! Ta pracownia! To otoczenie!

Już to samo budzi wewnętrzne zadowolenie. I żadnych obaw o przyszłość, żadnych!..

A cóż miłość i szczęście rodzinne? Ożenił się bez niej, nie spodziewa się go. „Wszystkiego człowiek posiadać nie może” — twierdził i nie gonił fantazyi, lecz sięgnął po rzeczywistość. Ta go nie zawiodła. Może się poświęcić wyłącznie sztuce bez troski, o egzystencję, o przyszłość rodziny. Ile zyskał!

Sztukę swą postawił na pewnych fundamentach, które okupił zręczeniem się upajających marzeń o miłości, o szczęściu rodzinnem. Pod ten fundament rzucił swe serce

i uczucie i buduje teraz na nim pewną, wolną ręką. I to mu daje szczęście. Daje?..

Werunsky jednak odczuwał, że w tem wszystkim czuć jakiś chłód, i że w tem nie przebija się nigdzie taka czysta, dziecinna, głęboka radość, że brak tam czegoś. Widocznie on nie kocha Reginy, inaczej nie mógłby zaraz po weselu malować Berty, z takim uczuciem i przyjemnością, i tak o tem mówi! Kocha ją tedy, ale jaka to może być miłość? Nie, niema w tem tego czystego, szlachetnego uczucia, jakie jego przejmowało przed ślubem i w pierwszych czasach po nim. Tamto było czemś pełnem, wielkiem, boskiem!

Tak, ale to było złudzenie, ponieważ potem nastąpił zawód.

Niech tam sobie!.. jednak było to piękne, było wtedy, szczęście, lub przynajmniej niezwykle udatny obraz jego. A może takie szczęście musi być potem opłacone zawodem, męką obaw, torturą kłopotów?

A czyż ta troszka szczęścia warta tego?

— Nie warta—odpowiedział sobie Werunsky, a zaraz potem zadał pytanie: — Czyż byłbym szczęśliwy na miejscu Towary?

I czuł w duszy odpowiedź przeczącą. Już sam rodzaj twórczości przyjaciela nie zadowalałby go. Jego cieszy sprawia mu rozkosz wykazywanie swymi utworami myśli, wypowiedziana za ich pomocą swego przekonania, swej wiary, swego bólu i radości, swej duszy i swego serca. Gdyby nawet stworzył najdokładniejszą pod względem formy postać, nie zadowoliliby się tem, jeśliby to jednocześnie nie było pewnym wyrazem jego myśli.

Ale tak spokojnie, bez troski pracować, jak Towara—owszem; pragnąłby zabezpieczyć swą przyszłość. Tkwi w tem wielkie zadowolenie i siła. A w dodatku zapewnić sobie stanowisko towarzyskie!..

Towara teraz nabrał znaczenia, jest poszukiwany, liczą się z nim, bo należy do towarzystwa, zajmuje w niem odpowiednią pozycję. A on?

Jemu dają tylko na każdym kroku odczuć, że jest biedakiem bez jutra, a jego tak boli każdy taki przyczynek! Każdy nerw drży w nim.

Ach, co dałby za to, żeby był na miejscu Towary!

I mógł mieć to wszystko! Gdyby był się naprzykład ożenił z panną Fichtrówną, mógłby żyć, przynajmniej miałby zaspokojone konieczne potrzeby.

Wszystko byłoby wzięło inny obrót, gdyby żył jego ojciec. Nie śmiałyby się żenić z Bożeną.

Werunskiemu się przypomniało, jak ojciec troszczył się o Emanę. Sam wyszukiwał mu odpowiednie partye, a pozycją swą i stosunkami ułatwiał mu wstęp do zamożnych domów. Jeszcze jako student szalał Eman za córką jakiegoś urzędnika, która chodziła do operowej szkoły Pirody, i Werunsky pamięta, jak się ojciec oburzył na Emanę, skoro się o tem dowiedział. Zakazał mu wszelkich z nią stosunków, a gdy się Eman upierał, wysłał go na dalsze studia do Wiednia.

— Chcesz zostać nędzarzem! chcesz się zabić! — krzyczał ojciec na wszelkie jego wywody. — Ty możesz się ożenić zupełnie inaczej i ty się inaczej ożenić musisz!

Gdyby nie to, może i Eman zrobiłby głupstwo; z Wiednia wrócił wyleczony i mądrzejszy.

A to, co Emanowi, byłby ojciec powiedział i jemu. A choćby się z niego nie stał nigdy karyerowicz, jak z brata, to pewna, że gdyby miał jeszcze ojca, aniby się poważył myśleć o żeniacze z taką dziewczyną, jak była Bożena.

Całe nieszczęście, że ojciec tak wczesnie umarł. Bracia nawet nie pojmowali, ile mu byli winni.

A gdyby i ojciec nie zdołał go swym wpływem ożenić. Szczęście. Dodatek do Tyg. ilustr.

nić z bogatą panną, przynajmniej byłby go z pewnością uchronił od tego nierozważnego małżeństwa.

Odradzał mu Żywot, ostrzegał Fichter i inni, ale co to znaczy wobec ojca!

A gdyby nawet został kawalerem, zrobiłby lepiej.

Czemu się żenił? czemu wybrał Bożenę?

I przejęła go taka gorycz, taka rozpacz na samą myśl o Bożenie, że oczy zaszczyły mu łzami.

Czemu pragnął szczęścia? czemu serce miał przepelnione marzeniami, pełne pychy i uczucia, a nie był takim jak Towara, który przeczuwał, że to wszystko jest tylko przejściową fantazyą, której daleko mądrzej się wyrzec!

A czy dlatego jest mniejszym artystą? Nie, on będzie większym artystą, ponieważ był mniejszym marzycielem, mniej bujał fantazyą. Wyrabiał sobie stosunki towarzyskie, pozwolił sobie utorować drogę, gdy on tymczasem stale się o towarzystwo potyka. Dawniej pogardzał niem, i dziś nie ma dla niego szacunku, ale widzi już, jak ono jest ważnem dla artysty, koniecznem, aby zapewnić powodzenie.

Tak, dla zwykłego talentu; ale genialny artysta potrafi wybrnąć sam, zwyciężyć biedę, obojętność, brak uznania, wrogie usposobienie, ha! nawet pogardę.

Ale czy on jest genialnym artystą?

Widział, widział niezliczone razy w swej fantazyi utwory wielkie, wzniosłe i piękne, wspaniałe i powabne, ale utrwalić je w glinie... Zaraz znikają, nieśmiertelna czystość i zgoda formy się kruszy — aby uchwycić je, ręka za słaba, sztuka za mała.

Niewysłowiony ból przejął Werunskiego, kiedy sobie uczynił to wyznanie. Rozpacz go ogarniała.

W tej chwili chciałby poszarpać na sobie wszystko, wyrwać z piersi uczucie, a z głowy pamięć, i uciekać daleko, gdzieby nie wiedział o niczem i żył w stanie natury.

Wspomniął na żonę i stłumił rozpacz. On musi dalej pracować, musi! musi! Zawiódłszy się na sobie, z przeświadczeniem o swej bezsilności wobec społeczeństwa, ze świadomością, iż musi się ograniczać, i tylko sobie przypisując winę, zadręczać się wyrzutami...

Musi pracować dla żony i dziecka, a im więcej, tem lepiej; chociaż nawet nie ma ochoty, a ręka się opiera i myśl rozprasza...

A im większy wstręt odczuwał do rezultatu swych rozmyślań, tem bardziej męczył się dowodzeniem, że nic innego nie czeka go, i zwrócił swe kroki ku pracowni, mówiąc, że szkoda każdej godziny.

— Musisz, musisz, nic nie pomoże!

Jak razy bicza wpijały się w niego te słowa, ale on czuł jakies ukojenie zemsty nad samym sobą w tem smaganiu.

Wszedłszy do pracowni, rzucił się na sofę i przycisnął rękoma oczy, które paliły go jak ogień.

Gdyby mógł zapłakać, gdyby tylko mógł!...

.

Nikt nie był świadkiem tej chwili, w której jakby zerwał wszystkie swe rojenia i spojrzął w twarz olbrzymowi nieszczęścia i zapłonął wstydem i strachem; przycisnął silniej powieki do palących oczu, jakby się bał raz jeszcze spojrzeć wokoło, bo zdawało mu się, że ten kolos stoi tam w rogu, tam, tam, gdzie wznosi się na podstawie aż pod sufit posąg jego Szczęścia, otulony wyschłymi szmatami, które dodają mu straszliwych kształtów.

A jednak po tym wybuchu, gdy roztrząsał swe sumienie i wyspowiadał się sam sobie, nadeszła chwila ulgi, spokoju. Zbliżyła się do niego jak miłosierdzie i położyła mu chłodną rękę na czoło. Rzeczywiście, on marzy o takiej istocie poważnej, spokojnej, o bladej, ale nieskończenie

dobrej twarzy, jak odrywa mu ręce od oczu i wskazuje tam, tam, gdzie stoi model jego przyszłego Szczęścia, ta mała postać dziecka, w grubych jeszcze zarysach, a przecież w przebłyskującym powabie swej figlarności. I on opuszcza ręce, otwiera oczy i patrzy na tę niedokończoną pracę. Spokojne światło zapełnia jego pracownię, cisza wokoło...

Patrzy na model, obserwuje go długo, i jakby budził się ze snu. Z ostatniego przykrego, który go dręczył jak zmora, i z tych złocistych pierwszych, których blask dawno zgasł.

Nie olśniewa go wkoło słoneczna zorza, ale nie otacza i mrok. Jest trzeźwy świt, rzeczywistość. On się ożenił i będzie ojcem. Trzeba pracować dla tego dziecka, dla tego silnego, tłuściutkiego chłopczyny, o białem i elastycznym ciałku, które składa się z samych dołków i fałd, z buzią jak oblepioną, z dobrym zabawnym uśmiechem bezzębnych usteczek i nieokreślonym, pytającym, a jednak takim przejmującym spojrzeniem jasnych oczek, którym napatrzeć się nie można. Trzeba pracować dla tego dziecka i dla jego matki, żeby wzmacniało się i rosło i mogło się uśmiechać i szczebiotać..

Zerwał się z sofy, przetarł sobie oczy, odetchnął głęboko i zdecydowany zabrał się do roboty.

IV.

Dotąd Weruńscy nie mieli służącej. Tylko rano, w południe i wieczór przychodziła posługaczka, przynosiła wodę i piwo, czyściła ubranie, szorowała kuchnię i statki, oraz prała. Resztę załatwiała Bożena sama, z łatwością i bez wysiłku. Dopiero w ostatnich czasach zaczęła narze-

kać. Ciężko i niezręcznie się poruszała i szybko się męczyła. Werunsky to widział, a i ona się na to skarżyła.

— Trzeba będzie koniecznie wziąć służbę — zauważył nareszcie, nie mogąc inaczej wybrnąć, ale takim tonem, z którego można było wnosić, że radby tę konieczność odłożyć jak najdalej.

W tym względzie zmienił się bardzo. Zaczął oszczędzać i mówił nawet często w domu, że sobie trzeba tego i owego odmówić, że pieniądze płyną jak woda, a tymczasem nastaną jeszcze większe wydatki. Zmuszał się do tych uwag, chociaż sprawiało mu to wiele przykrości, choćby dlatego, że mu przypominało jego dołę. A Bożenę przy tych uwagach przejmował ból, jakby ją kto gorącym żelazem przeciągał od stóp do głowy. Czula w nich wytykanie swej biedy, poniżenie i dowód, że miłość męża dla niej wygasła. Niezmierna to była różnica od pierwszych dni małżeństwa, kiedy niczego dla niej nie żałował, kiedy był uszczęśliwiony, gdy robił jej przyjemność! Żyjąc tylko dla niego, obserwując go, obliczając i ważąc jego słowa, każde spojrzenie i uśmiech, widziała dokładnie tę różnicę, której on sam nie zauważył nawet.

Panowała nad sobą, zmuszała się, powstrzymywała westchnienie, wystrzegała się odezwać. On nie czuł wcale, że ją dotyka, żył myślą, że postępuje ostrożnie i rozważnie, w przekonaniu, że wypoczynek i dogadzanie musi w jego domu ustać, bo trzeba przywyknąć do oszczędności i ograniczenia potrzeb.

— Jej to wreszcie nie zaszkodzi: jest zdrowa i silna, do takich warunków przywykła w domu i u ciotki i zżyje się teraz daleko łatwiej i z mniejszą przykrością, niż ja — rozważał i miał spokojne sumienie, że wykonywa swój obowiązek, co prawda, nie miły, ale w którego spełnieniu znajduje zadośćuczynienie za dawne swe błędy, co uspokajało jak balsam wlany w ranę, zrządzoną nieogłędnością, balsam, który

swędzi i szczypie, a jednak czujemy pewne zadowolenie, mówiąc: „Dobrze mi tak! czemu byłem tak nierozważny?”

Te uwagi i przeświadczenie o potrzebie oszczędności i ograniczenia wydatków w domu przychodziły Werunskiemu często w czasie pracy, obciążając go balastem, ścigając i prześladowając go i odciągając myśl jego od roboty, jak natrętni goście, których się nie można pozbyć. Nie mógł się od nich uwolnić, nawet gdy go zaczęły nużyć, obsiadły go jak muchy, które nie dają się spłoszyć.

Czasami się uśmiechał na samą myśl, jak dawniej był rozrzutny, nie przywiązując do pieniędzy żadnej wagi i nie przypuszczając nawet, aby kiedykolwiek miał sobie czego odmówić, a jak teraz oblicza, rozmyślając, na czemby się co dało oszczędzić.

— To wszystko dla tego dziecka!—uspokajał się— i było mu przyjemnie, jak przy składaniu ofiary. Przytem nie taił przed sobą, iż nie idzie mu robota tak łatwo, jak dawniej, łapał się na tem, że ustaje często i zajmuje się myślą o domu, ale przypisywał to tylko szczególnej troskliwości w tym czasie przed narodzeniem dziecka, mając nadzieję, że potem nabierze znowu dawnej świeżości i wprawy.

Chociaż pracował nieraz, mając, jakby spętane ręce, utwór przy wytrwałości, do jakiej się zmuszał, postępował, a Werunsky w tej postaci dziecięcej, która w swym ruchu i pieszczotliwym wyrazie twarzyczki znakomicie odpowiadała charakterowi dziecka, znajdował zamięłowanie i źródło pociechy na przyszłość.

Za żywy model służył mu nieraz dwuletni synek stróża, chłopak opalony jak Cygan, rozczochrany, którego cierpliwość okupował cukierkami i pomarańczami. W tym czasie Werunsky oddawał się samotności bardziej, niż wprzód. Nie szukał nikogo i rad był, gdy go inni zostawiali w spokoju. Zamykał się w pracowni, wyjmował klucz z zamku

i czasami nawet nie odmykał, chociaż stukano. Pod wieczór wychodził za miasto, ale spacerował zamyślony i nie zwracał uwagi na otaczającą go przyrodę. Tylko pełzające na czworakach po ścieżkach dzieci potrafiły go zająć i mógł je obserwować całymi godzinami. Skoro wracał do domu, ogarniało go znużenie, którego dawniej nie czuł, opadał na siłach, stawał się małomówny i ospały.

— Jak tam za miastem?—pytała czasem Bożena.

— Tak sobie—odpowiadał i znowu milczał. Czasam patrzył na żonę, na której coraz bardziej znać było stan odmienny, i wyobrażał ją sobie, jak już przy piersi trzyma dzieciątko w poduszce, z której wygląda tylko różowa główka w białym czepeczku z kokardą z niebieskich wstążeczek, i małe rączki w szydełkowym kaftaniku, rączki o drobnych paluszkach z dołeczkami na stawach.

Wtedy stawał się względniejszym dla Bożeny, pytał jak się czuje, i mówił:

— Szkoda, że nie możesz ze mną chodzić; tam tak ładnie i ciepło!

Raz, w końcu maja, wieszala Bożena z posługaczką bieliznę na dworze. Było gorąco i duszno. Zmęczona pracą, poszła Werunska do mieszkania na górę. Zamiast odpocząć, zbliżyła się do okna w kuchni i wyjrzała na niebo, na którym ukazały się groźne chmury, a po chwili zaczęły padać duże krople deszczu.

Jak tylko mogła najprędzej, zbiegła Bożena z powrotem na dół, ale posługaczki już nie było. Zniecierpliwiona i rozdenerwowana, sama ściągała bieliznę ze sznurów i rzucała do kosza, poczem chciała odjąć sznur z haka. Daremnie próbowała dosięgnąć, pożyczyła sobie tedy stołek i po nim starała się prędko i niecierpliwie sznur odwiązać. Ale jakby się wszystko przeciw niej złożyło, nie mogła rozplątać węzła i spróbowała wyrwać hak, przytem jednak stołek się usunął, a Bożena z krzykiem spadła na ziemię. Teraz dopiero pośpieszyły jej kobiety

z pomocą, mieszkające na dole, podniosły ją i odprowadziły na górę, robiąc wymówki, czemu sama się bierze do takiej roboty.

— Kiedy nie mam służącej, to muszę—odpowiedziała, i zaraz zamknęła usta i przymrużyła oczy, bo poczuła straszny ból.

— Poślijcie po męża—szepnęła jeszcze.

V.

Nazajutrz urodziła się Werunskim córeczka, taka maleńka, słabiutka, z żółtą jak wosk twarzyczką, pełną zmarszczek, z oczkami ledwie do połowy otwartymi, z sinymi wargami. Stworzenie słabo piszczące, z którego wykrzywionej buzi i drżącego ciała widać było, jak cierpi. Piszcziała i drżała przez sen, wzbudzając litość i współczucie, objawiające się w słowach:

— Oby ją Bóg lepiej zabrał zaraz!.. i tak żyć nie będzie!

A z jej bolesnem kwileniem i czkawką łączyły się głębokie westchnienia i słabe jęki Bożeny, która leżała blada, jak bez duszy, z poruszającym się ciężko i wolno pod przymkniętą powieką okiem. Ciemne rzęsy jej rzucały dwa długie cienie na kredowo-białą twarz.

Półotwartymi zsiniałymi usty, na których przebiegały krwawe plamy, tak je zacinała zębami, przedierał się szybko gorący oddech, który z trudem wyrzucały piersi, podnoszące się ciężko i opadające głęboko. Z czoła krople potu spływały aż na skronie, koło których wiły się wilgotne promienie złotawo-rudych włosów.

Zmordowana śmiertelnie, bez macierzyńskiego uśmiechu, który przebija się przy największej boleści, leżała tu

prawie bez czucia, i tylko dwie łzy, wytrysnąwszy z pod powiek i zawisłszy na rzęsach, zdawały się mówić o tem, co się w niej dzieje. Białe i wilgotne ręce leżały obwisłe na pierzynie, jakby wyciekła z nich wszystka krew i siła.

A Werunsky stał między łóżkiem a stołem, na którym powijali dziecię, blade, z wytrzeszczonemi oczyma. Ból i rozpacz widać było z jego twarzy, drżące ręce ścisnęły czoło, lub zagłębiały się we włosy, usta zacinały się, a kąty ich zwracały się do dołu; do oczu łzy się cisnęły. Twarz jego wyrażała skamieniały okrzyk grozy i rozpaczu.

A wewnątrz był jak gromem rażony, jakby mu jakiś kamień zwałił się na głowę i piersi.

Czuł to uderzenie, ale nie oprzytomniał jeszcze z niego. Nie był zdolny rozważyć, czy pod nim padnie, czy ten ciężar potrwa do śmierci, zmniejszy się lub powiększy jeszcze. Chwilami tracił zupełnie świadomość tego, co się stało.

Patrzył jak osłupiały na lekarza, który ratował chorą, na akuszerkę, która zajmowała się dzieckiem, na panią Szwejnową, która załamywała ręce, wznosiła oczy do nieba, wzdychała, lub szlochała, szukając po wszystkich szafach tego, lub owego, czego lekarz i akuszerka żądali, biegając jak pomieszana z pokoju do kuchni, z kuchni do pokoju, przewracając wszystko, a nic nie znajdując, spocona, z rozrzuconymi włosami, w kaftanie zapiętym o jeden guzik wyżej.

To wpatrywał się w nocny stolik przy łóżku, na którym stał kieliszek z winem, szklanka wody i rzucone były szpilki wyjęte z włosów Bożeny, ze świecącemi stalowemi gwiazdkami; przejrzał wszystko, utkwiał wzrok w desenie tapetów, przebiegł okiem cały pokój, jakby się chciał opamiętać, gdzie jest i czy to wszystko nie jest przykrym snem tylko.

Potem przypomniał sobie, że może należałoby się

schylić nad Bożeną, uśmiechnąć się do niej, pogłaskać i uspokoić, ale nie miał na to dosyć siły woli, będąc w tej chwili niezdecydowany, przestraszony i odurzony, jak człowiek niespełna rozumu. Nie miał odwagi nawet się ruszyć, jakby się bał, że będą się na niego gniewali, i cichutko, aby nie zrobić najmniejszego hałasu, sięgnął do czoła i otarł je z potu.

Chwilami opanowywała go taka duszność, że zdawało mu się, iż się dusi, wszystko zaczęło się w nim kręcić, i chciał uciekać bez celu w dal, gdzieby go oczekiwało coś zupełnie innego, gdzieby się dowiedział, że to wszystko nieprawda, co się tu stało, i gdzieby o tem wszystkim nawet nie wiedział.

Ale najgorzej mu było, gdy się odważył spojrzeć na to dziecko, na to stworzenie biedne, przedwcześnie urodzone. Leżało tu, wykrzywiając się kurczowo, i zdawało się wcielonym wyrzutem, że je sprowadzono na świat. Podrzucało je coś i szarpało, a kwilenie jego przeszywało Werunskiego jakby ostremi igłami.

Nie mogli dla niego nic znaleźć, bielizna nie była jeszcze przygotowana, a co znaleziono, nie nadawało się, ponieważ uszyte było na dziecko większe, donoszone, gdy to biedactwo wyglądało jak ruszająca się woskowa lalka, albo raczej nędzny potworek, nad którym ojciec nie wiedział, czy ma płakać z litości, czy rozpaczy.

A więc takie było jego dziecię!

On nie miał na to rady—to okropne—ale nie czuł dla niego żadnego przywiązania, a kiedy mówili o niem, że nie wyrzyna, on pragnął, aby umarło co prędzej, aby przestało trząść się i drgać, aby ustało kwilić, było ciche i bez ruchu.

To, czego był świadkiem, zdawało się być bolesnemi drwinami z jego snów, raziło jego zmysł estetyczny, lubując się w delikatności i piękności kształtów, w powabie dzie-

cięcym, z którym tak się zżył w ostatnich czasach, że każde naruszenie tak go niepokoiło, to, co widział, zabijało w nim to, czego oczekiwał, co w duchu już kochał, zabijało w nim to piękne pieśczętliwe tłuściutkie dzieciątko, którego pragnął, a w którym już naprzód przewidywał swe zbawienie.

Rozpaczliwie odwracał wzrok od stołu, na którym leżało niemowlę, czując dziki żal i wściekłość. Zaciskał pięści i byłby je podniósł w górę i potrząsnął niemi, gdyby nie stał w nogach łóżka swej żony i nie bał się, że ona mogłaby właśnie podnieść oczy; byłby to uczynił, czując palącą krzywdę, która stała się jego czystej, jasnej i ostatniej nadziei.

Dlatego drażniło go, gdy pani Szwejnowa szeptała na boku akuszerce i doktorowi, że możeby trzeba posłać po księdza, aby Bożenie udzielił ostatnich sakramentów i w czas ochrzcił dziecko. Dodawała, że mówi to dlatego, aby potem nie potrzebowała robić sobie wyrzutów, i narzucała się lekarzowi z uwagami, że nie dobrze brać takie opóźnienie na sumienie, ba, że nawet jego chrześcijańskim obowiązkiem jest ostrzedz w tym względzie.

Gadanie to obudziło Werunskiego z duchowego uśpienia, w jakim się znajdował, i myślom jego nadało pewniejszy kierunek.

Ostrzeżony o niebezpieczeństwie, jakie grozi zarazem i jego żonie, pomyślał, co by było, gdyby Bożena umarła.

Ona i dziecko... mój Boże!..

Odrazu byłby wolny i wyzwolony z niepewności i kłopotów.

Znalazłby się tam, gdzie był przed ślubem.

Mógłby zacząć inne życie — naprawić wszystko.

Mój Boże, mój Boże, czyżby to było naprawdę możliwe?

.

Ale ledwie te myśli przeszły mu przez głowę, zawstydził się ich i poczuł przejmujące gorąco.

Przeraził się, jak są niesprawiedliwe i okrutne, a powstały niechęcy tylko z rozpacz. I brzydząc się nimi, starał się je rozpedzić twierdzeniem, że jego najświętszą powinnością jest robić wszystko, aby tylko uratować żonę i dziecko. Na przekór tej krzywdzie, jaka go spotkała, na przekór swemu losowi, choćby miał sam paść trupem!

Uchwycił się tej myśli z gorączkową żarliwością i z jakimś wewnętrznym zadowoleniem oznajmił lekarzowi, że chce robić wszystko, aby tylko zachować żonę i dziecko przy życiu, że spełni każde jego polecenie, choćby nie wiem jaką ofiarę przyszło ponieść. Czem też w obecnym jego nieszczęściu były wszelkie ograniczenia się i oszczędności? czem wogóle pieniądze?

Wszystko przestało mieć dla niego wartość, a prócz tego czuł, że powinien naprawić to, co zawinił może swemi oszczędnościami w ostatnich dniach. Uchwycił się tej myśli namiętnie, jak gracz, stawiający na ostatnią kartę ostatni grosz, sam wątpiący o skutku, ale oczekujący już z jakąś dziką rezygnacją na to, aż wyda wszystko, i ta trawiąca niepewność się skończy.

Jeszcze tegoż dnia wezwano na konsyljum profesora i zgodzono mamkę i sługę.

VI.

Zdawało się, że dziecko umrze lada chwila, i profesor zdecydował, że wątpliwe jest, aby żyło; tylko akuszerka, stara, mała kobietka, z przyjemną twarzą i spojrzeniem pełnym wiary, powtarzała, że cuda dzieją się dotychczas.

I powierzyła dziecko mamce z tak błagalnym uśmiechem i tak troskliwie kładła jej na kolana, jakby chodzi-

ło o najpiękniejsze dziecko. Profesor miał dla staruszki pobłażliwy uśmiech, jak dla istoty, której wiele wybaczyć należy.

I oto dziecko nie umarło ani drugiego, ani trzeciego, ani czwartego dnia. Za to Bożena leżała wciąż bezwładna, obojętna, jakby jej ten świat nie obchodził, jakby dla niego nie miała spojrzenia, ani uśmiechu, ani myśli. Leżała w gorączce między życiem a śmiercią. Lekarz odwiedzał ją dwa razy, a profesor raz na dzień.

Werunsky trzy dni nie ruszył się z domu. Był razem z pozostałymi porwany wirem obaw i niepewności.

Co godzina, co chwila oczekiwano u Werunskich ważnej jakiej zmiany. Jeżeli nie zaszła rano, to z pewnością nastanie po południu, w wieczór lub w nocy. Bał się wyjść, żeby mu nie zarzucono nieobecności w smutnej chwili.

Wszyscy chodzili na palcach, spoglądali na siebie znacząco, szeptali półgłosem i dawali sobie znaki, które miały być nieznaczne, ale wypadaly zawsze niezręcznie, nie były zrozumiane i powiększały jeszcze zamieszanie. I on chodził także na palcach z pokoju do pokoju, to zatrzymał się przy łóżku Bożeny, to ze strachem spojrzął w stronę dziecka, które drzemało na kolanach mamki, siedzącej szeroko na niskim stołeczku i pocącej się w niedostatecznie przewietrzonym pokoju, w którego okna paliło słońce, pomimo nawpół spuszczonej rolet.

Kiedy tylko spostrzegał tę żółtawą, pomarszczoną, przykro krzywiącą się twarzyczkę, odwracał się szybko i siadał na sofę, stojącą między oknami, i wyglądał nie zakrytą szybą na ogródek przed domem, w którym od zieleniejącej się trawy odcinały się żółtym piaskiem posypane ścieżki, a na nich leżały kwiaty, opadłe z jabłoni.

Czwartego dnia, wkrótce po obiedzie, gdy nic się dotychczas nie zmieniło, a oczekiwanie wszystkim się już znudziło, wyszedł nakoniec z domu.

Zataczał się na ulicy, jak człowiek rozespany lub w najwyższym stopniu znużony. Szedł bez planu, dokąd go nogi niosły, zajrzał tu i tam do kwitnących ogródków; na podmurówce ich sztachet siedziały tu i owdzie niańki lub matki z dziećmi w białych i kolorowych poduszeczkach, trzymając nad niemi parasolki lub chroniąc je od światła i much chustkami, zdjętymi z głowy.

Nie pojmował, skąd się tu tyle dzieci wzięło, jakby z każdego mieszkania tych domów słonko wywiodło przynajmniej po jednym.

Większe dzieci, które już chodzić umiały, plątały się po chodniku, a gdzieś w ogródku przed domem stał dziecinny wózek, z którego wyglądały czasem okrągłe twarzązki, lub wysunęła się rączka, albo leżały w nich ciche aniołki, pogrążone w słodkiej drzemce, ze spokojną, tłustą buzią i podbródkiem, z przymrużonemi oczkami, w białych czepeczkach, z pod których wyglądały jasne, na czoło zczesane włoski, błyszczące na delikatnej wilgotnej cerze czołka, jak złote promyki. Odblask niebieskich lub bordo firaneczek padał im na twarz i spoczywał na nich jak delikatny cień.

Werunsky, patrząc na te dzieci, czy to drzemiąc, czy z szeroko, pytająco otwartemi oczyma, czuł, że gardło mu się ścisza, a piersi zwężają z bólu na samą myśl, której nie może odpędzić, a która przy każdym spotkaniu dziecka go szarpie, że jego biedactwo nie będzie nigdy tak wyglądało, jak najsłabsze nawet i najbledsze z tych, które spotykał lub widział, nigdy tak jasno i szeroko nie będzie patrzyło, tak dzielnie ruszało rączkami i tak się uśmiechało. A kto wie, czy doczeka się nawet pierwszego uśmiechu, a jeżeli doczeka, jaki to będzie ów uśmiech u takiego stworzenia, którego twarzązka od urodzenia się krzywiła i ściągała w kurczach, które będzie zawsze drobne i chorowite, z bolesnym wyrazem koło zsiniałych ust!

Przypomniawszy sobie takiego szczupłego, chorowitego,

bladego chłopczyne, który na wiosnę chodził po restauracjach z rzodkiewką. Cała postać była—skóra i kości, nogi sterczały jak tyczki w szerokich majtkach i poruszały się z trudem, niezdarnie skrzywione ciężarem korpusu, a gdy wyciągnął rękę, aż litość brała patrzeć, tak była chuda. A do tego to smutne spojrzenie na bladej, wąskiej, małej twarzy, spojrzenie, w którym przebijał się stale wyrzut i strach, a czasem błysnęła wściekłość, mówiąca o świadomości swej nędzy i trującej zazdrości ku wszystkiemu, co jest zdrowe.

To był chłopiec; u dziewczynki takie warunki zatrują życie podwójnie. Przebóg, jakie tu dzieciństwo, jaka tu młodość i starość!

Pełne nienawiści i rozpacz!

A rozwijając tę myśl, podrażnioną fantazją do ostatecznych wyników, Werunsky sam odczuwał zazdrość i ogarniała go wściekłość na wszystko na świecie, granicząca prawie z pomieszaniem.

-- Dlaczego ci wszyscy koło mnie mają dzieci zdrowe, rozwinięte, a ja nie? Dlaczego mnie to ściga, przecież ja nie chciałem źle! Wszakże marzyłem o dobru piękności i szczęściu, a taką ma być moja dola! Czy ma mnie to zgubić? Wszakże, mój Boże, jam szukał w rodzinie zbawienia, chciałem odnaleźć żywe źródło siły, nie zgubę...

Jakiś szal go opanował przy tych myślach, szal, pragnący niszczyć wszystko wokół i siebie samego. Uprzedzić los, porwać mu zdobycz przed samemi oczyma!...

Błądząc ulicami winogradzkimi, dostał się na ulicę Komeńskiego, a znalazłszy się na niej, raczej z przyzwyczajenia niż świadomie, doszedł do domu, gdzie miał pracownię. Stał, zawahał się, ale po chwili wszedł.

Na podwórzu zbliżył się do niego synek stróża, w koszulce, umorusany, ale z bazią przypominającą chłopców malarza Monesa, z figlarnem spojrzeniem. Zabiegł mu

drogę, objął za kolana, przegiął się w plecach, a zwracając ku niemu swą opaloną zarumienioną twarz, nie chciał go dalej puścić, napierając się cukierka lub pomarańczy.

Werunsky popatrzał nań chwilę, poczem zaciął usta, sięgnął do kieszeni, dał mu czworaka i kazał odejść. Chłopczyna pobiegł, tupiąc nóżkami i znikł w bramie. Rzeźbiarz rozgoryczony wszedł do pracowni.

Owiało go powietrze duszne, przejęte pyłem gliny, i tenże pył uniósł się z ziemi, skoro drzwi otworzył.

Panował tu cień i chłód, skamieniały smutek i brak ruchu wobec jasnego słonka, wolności, woi i kwitnącego życia na dworze. Jak spętane, sterczały wkoło ścian gipsowe odlewy i modele na podstawach, pookrywane szmatami.

Wzbudzały obrzydliwość...

Rozdrażnienie Werunskiego wzrosło w tem otoczeniu. Niepoczytalny z cierpienia, szalony wściekłością, pragnący ulgi w zemście, zbliżył się do pomocniczego modelu swego nowego Szczęścia, zerwał z niego napół oschłe płótno, i z widoku tej dziecinnej postawy z szarej gliny, z tymi miękkimi, ciepłymi kształty, z tą główką o pełnej twarzy, z tymi kędziorami, tym uśmiechem, zgrabnymi nóżkami, pełnymi fałd i dołków, ssał chciwie nowy rozpalający jad goryczy i nienawiści i żądzę zniszczenia, jak wilk się drażni widokiem krwi. Wszakże i na tym modelu była krew!

Krew jego nadziei, jego snów, krew jego zaparcia się siebie!

Nozdrza Werunskiego nerwowo się rozszerzały, źrenice powiększały, do głowy uderzało straszne gorąco, i gdy rozdrażniony tem spojrzeniem, zawadził myślą o drżące, pomarszczone, chorobliwie kwilące stworzenie, którego twarz krzywi się kurczowo tam w jego mieszkaniu, na kolanach mamki, oburzenie jego doszło do zenitu, i uniósł

model razem z podstawą, wyciągnął ręce i trzasnął nim o ziemię.

Zagrzmiało głucho uderzenie.

Szkielet modelu, padając, skrzywił się i rozpadł na części, podstawa odleciała, a głowa figurki się potoczyła.

I nie mogąc się opanować w tym dzikim napadzie, schwycił model i podstawę ze szkicem i cisnął go w kąt, aż glina się rozpadła.

Ale po tym wybuchu wytrzeźwiał, jak złoczyńca po spełnieniu zbrodni.

Przerażony, patrzył chwilę na swe dzieło zniszczenia, rumieniec z jego twarzy zniknął, poczem ogarnął go rozpaczliwy żal, łzy tłoczyły się do oczu, wstręt, groza go przejęły, i zakrył rękoma oczy, aby nic nie widzieć, i rzucił się na sofę wysilony i zgnębiony.

Ale nie leżał długo.

Daremnie zasłaniał oczy, aby nie patrzeć na to, co się stało. Myślał wciąż o rozbitym modelu i szkicu i widział je wciąż na ziemi. Tu głowę, tam skrzywiony i zgnieciony kadłub, a tam w kącie roztrzaskane kawałki szkicu.

Wzburzona jego wyobraźnia nie przedstawiała mu tych szczątków w rysach najostrejszych, lecz otoczyła je jeszcze straszliwą potwornością. Ukazywała mu tę głowę z ruszającymi się oczyma, ciało drżące, to znów kurczowo podnoszące się.

A kawałki szkicu powoli, tajemniczo się zbierały, składały i równały w kącie, a Werunskiego przejmowała straszna groza. Zimny pot oblał mu czoło.

Zdawało mu się, że nie rozbił bezdusznej, martwej materii, lecz jakoby zamordował, okrutnie zabił istotę żyjącą, z której teraz uchodzi dusza, płynie krew, a w której z ostatnimi podrygi kończy się życie.

Umierająca ta istota leży tam, tam na ziemi, blisko Szcześnie. Dodatek do Tyg. illust.

niego; on słyszy jej jęki, westchnienia, widzi drgawki, czuje jej strach śmiertelny.

I Werunsky skoczył z sofy, porwał kapelusz i uciekał z pracowni jak zbójca.

Drzwi zamknął na dwa spusty i za nic w świecie nie byłby się obejrzał.

VII.

Cokolwiek się uspokoił, gdy się znalazł na ulicy. Tam dosyć żywo. Większość przechodniów dążyła w kierunku Nusli, i mimowoli Werunsky poszedł za nimi. Nie chciał spotkać wielu ludzi, lękał się ich spojrzenia, bojaźliwie spuszczał oczy i cisnął się do ściany.

Muzyka, która brzmiała z kilku miejsc, gdy dochodził do nuselskich schodów, i kilku ludzi idących po nich w świątecznym nastroju, w jasnych letnich sukniach, przypomniały mu, że to niedziela.

Świąteczny ruch wokoło ogarniał go, słyszał śmiech biegnących ze schodów wesołych dziewcząt, widział, jak migają się przed nim, w białych muślinowych sukniach, słomianych kapeluszach, jak poruszają nad sobą otwartymi parasolkami, schodząc po niewygodnej drodze. Za niemi dążyło kilku młodzików w szykownych modnych garniturach, z cylindrami na głowach, binoklami na nosach i laskami w rękach, a obok kołysały się przysadziste matrony, pocąc się i wzdychając za każdym krokiem.

Teraz zagrała głośno rzeźka wojskowa muzyka wesołego marsza, a do jej taktu wszyscy się zastosowali.

Werunsky dał się unieść prądowi, będąc jak upojony.

Nie myślał dokąd idzie, gdzie siądzie; ogólny wir go porwał, ponieważ zagasła w nim świadomość osobista. Zapomniało sobie, i było to dla niego dobrodziejstwem; stał się bezwładnym członkiem, i dobrze mu z tem było. Fala idącej publiczności wskazywała mu kierunek i cel, a on rad był, że unikał pytania: Dokąd teraz? — któreby go torturowało.

Muzyka brzmiała coraz bliżej, rytm jej kołysał i ogłuszał wszystkich i jego. Tak dostał się aż do zamkowego ogrodu. Płatał się między stołami, szukając miejsca gdzie usiąść. Wtem z lewej strony ktoś nań zawołał.

Obejrzał się i spostrzegł Żywota.

Gdyby to był kto inny, Werunsky uciekłby z pewnością w drugi kąt ogrodu. Z nikim ze znajomych nie chciałby się dziś spotkać oczy w oczy, tem mniej się mu zwierzać, ale do Sikowskiego coś go ciągnęło. Uczuł prawie radość i zwrócił się ku jego stołowi.

Nie szkodziło mu, że przyjaciel ma na sobie zniszczony hawelok i zielonawy bezkształtny kapelusz, który wyglądał, jak wyżęty; że oczy jego są wilgotne, a kołnierzyk brudny, jak gdyby go nosił ze dwa tygodnie. Uwzględnił dzisiaj to zaniedbanie, ba — nawet było mu ono na rękę; siadł obok, pragnąc mu się wypowiedzieć ze wszystkiego, a potem zapomnieć z nim o całym świecie. Kochał go dziś jak brata, tak czuł się do niego zbliżony.

— Wiesz, kiedyśmy tu byli po raz ostatni? — napomknął w rozmowie Żywot.

Werunsky przypomniał sobie. W sierpniu zeszłego roku, gdy przyszedł tu z Bożeną.

— Mnie się zdaje, że to już bardzo dawno — westchnął stłumionym głosem i spojrzał w kierunku sali, w której oknach migwały się tańczące pary. I Żywot patrzył tam przez chwilę; potem spojrzał na przyjaciela i dodał sucho

— To waryaty!... co?

A Werunsky, zwróciwszy się, przyświadczył mu spojrzeniem i smutnym uśmiechem.

— A wtedy robiłeś takie tajemnice i przesywałeś mnie oczyma... Nie, nie, nie! nic nie mów! Przecież i ja, i ja byłem szalony, i nic ci nie wyrzucam! Dziś jesteśmy równiejsi sobie, dziś ci to mogę powiedzieć, nie będzie to miało cechy odradzania, może być raczej pociechą.

Żywot mówił ochrypłym głosem, a chwilami wpijał w Werunskiego przejmujące spojrzenie. Potem zbliżył do niego głowę, jakby go dobrze nie widział, i przyciągnął go do siebie swą wilgotną kościstą ręką. Werunskiego dochodził jego chrypiący, przesiąkły piwem oddech, ale nie usuwał się od niego. Tylko częściej popijał, poczem zdjął kapelusz i ocierał spocone czoło.

Żywot wydmuchiwał prawym kątem ust dym z krótkiej, napół przeżutej wirzynki i odpluwał w czasie rozmowy przez zęby, daleko, na żółty piasek, na którym było pełno białawych kwiatów, spadłych z kasztanów.

— U mnie to była taka studencka miłość. Byłem zakochany aż póty! — wskazał na uszy — marzyłem, poetyzowałem i stawiałem zamki na lodzie. Wiesz: „Ja z pieśni tron ci uczynię“ — myślałem — no, wiesz, student, filozof, ale człowiek taki głupi, taki niedoświadczony, aż, aż! Ona była córką złotnika, obok którego mieszkałem. Człowiek ten stracił wszystko. Nie robił już na siebie, pracował tylko czasem cokolwiek dla swego dalekiego krewnego, który był dentystą. Nabrał trochę wprawy w robieniu sztucznych szczęk i zębów. Prócz tego hodował kanarki i sprzedawał młode znajomym. Kupowali czasem z litości. Miał także syna, ale ten gdzieś wyemigrował do Ameryki i rok cały czasem nie pisał.

Córka pracowała u jakiejś modystki. Taka była zręczna, żywa, zawsze szykownie ubrana, ugrzecznona. A jam jej tak żałował, gdy wieczorem wracała z roboty i musiała swemi zgrabnemi rękoma, które stworzone były do koronek i złotej przędzy — szorować podłogę, stół, krzesła, skrobać klatkę i wyżywać bieliznę... Ze współczucia

dla niej — wiesz — z litości... wywiązała się taka dziecinna miłość. Stary i ona sądzili, że zostanę profesorem, zapraszali mnie do siebie, byli tak radzi!... tem mnie sobie zjednali!... tacy pokorni i uniżeni, żem mało nie płakał. Kochałem ją do szaleństwa, no i wiesz — młodzik dwudziestodwuletni, niedoświadczony fryc — ale pełen nadziei i planów... Ech, przecież wiesz!... kochanku, po co to gadać?...

Skowski napił się długo, odrzucił dopalone cygareto i uważnie zapalił słomką drugie.

Werunsky, milcząc, czekał, czy przyjaciel skończy swą historję, i mając spuszczone oczy, rysował końcem laska na piasku same strzały i gwiazdy.

— Krótko mówiąc, po roku był ślub — ciągnął dalej Żywot, puszczając z przyjemnością dym z pierwszych zaciągnięć. — Ja miałem dwadzieścia trzy, ona także. Wiesz, nie mogliśmy dłużej czekać dla niej... nie byliśmy już sami... Nie skończyłem uniwersytetu, dostałem się do redakcyi. Ale jakie zaczęło się życie! Jak się ona zmieniła! Żywość i szczebiotliwość zamieniła się w kłótnie i gderania. Z oddanej, uniżonej dziewczyny zrobiła się sekutnica żona, a jaka prostytutka! Teraz dopiero dowiedziałem się, jak była wychowana, jaka to niska natura, jaka głupia i bez czucia... Nic kobiecego w niej nie było, prócz chyba próżności i ochoty do strojów. Prawdziwego przywiązania ani śladu, udawała miłość i pieśczętę, aby tylko zostać mężatką. No, i wiesz, ja się tak zawiodłem, tak byłem nieszczęśliwy, żem zaczął uciekać z domu i we wrzawie, hałasie piłem i piłem, aby zapomnieć. Te nieporozumienia, swary, krzyki, to bezgraniczne prostactwo! Ach, zbrzydło mi to, zbrzydło i dręczy jeszcze teraz...

I machnąwszy ręką, zastukał kościstym palcem w pusty kamienny dzbanek, a potem zakrzywionym wskazującym palcem przesunął po swym czerwieniejącym nosie, przy czem lewy kąt ust drgał mu kurczowo.

— I wiesz, teraz ja już jestem niczem, a ona wszystkim. Ona pani, ja podnózek. Zaczęła znowu robić kapelusze, bo nie było innej rady; wiesz, teraz ma sklep, i dobrze jej idzie, a mnie tak tylko posyła: to do Kolina, to do Kutnej Hory, do Czasławi, do Czeskiego Brodu, do Beneszowa, do Mielnika... No wiesz... a ja jeżdżę, kochanku... Z kapeluszami jeżdżę. Na wiosnę, na jesień... Ona zarabia, rozkazuje..., no, a ja.. wiesz, nicem nie wart... Przeciwnie, nawet jej szkodzę, a ona tak tylko z litości mię znosi. Zniknęła nadzieja, siła, honor, wszystko... i ambicya, kochanku, ambicya!.. Widzisz, a potem jeszcze mówi: „Literat, poeta! umilkł—wielka szkoda!”—To śmieszne! Czem teraz Sikowski, spojrzij nań! parya, kochanku, parya, nie literat. Więc widzisz! Nawet dzieciom nie jestem ojcem. Tylko się ze mnie wyśmiewają, sama matka je pobudza... ba, jestem tylko dla nich ostrzegającym przykładem... Już przepadłem... Na dobre, kochaneczku, na zawsze! Parya!

Żywo pochwycił świeżo przyniesiony pełny dzbanek, nie nalewał już do szklanki, lecz przyciągnął do ust i powoli, powoli obracał dnem do góry. Chciwie łykał, jakby chciał wszystko zatopić w swych wnętrzościach.

Werunsky położył mu rękę na kolano, przysiadł się bliżej do niego, a serce mu się otworzyło. Jakby na pociechę, zaczął teraz on opowiadać o swych nadziejach, zawodzie, nieszczęściu. Mówił, mówił bez końca.

Rozgadali się potem obaj, zabiegli do lat przeszłych, mówili o swych planach, jak się mówi o nieboszczykach, wspominali wszelkie szczegóły, jak kiełkowały, rosły i mogły się urzeczywistnić, dlaczego gasły i umierały, jak je żegnali i grzebali. A te nadzieje ich były tak podobne jak siostry, a oni względem siebie, mówiąc o nich, stawali się więcej niż braćmi. Mówili o swem nieszczęściu jak hypochondrycy o swych chorobach, a we wzajemnem współczuciu nie chciał być jeden mniej chory, niż drugi. Ten

czuł tu, ów gdzieindziej ból, i tak byli zajęci rozmową, tak się ich serca nawzajem rozumiały, że zapomnieli o otoczeniu, nie słyszeli muzyki, nie spostrzegli, jak się ściemniło, jak wiatr się wzmacza i gwiżdże w koronach kasztanów i sypie im na stół tysiące lekkich, eterycznych kwiatów. Gdy już od ostatnich stołów wszyscy się podnosili i uciekali przed groźącą burzą, oni jeszcze siedzieli i rozmawiali, nawet wtedy, gdy pierwsze ciężkie krople spadły im do piwa, a nad drzewem błysnęło i zagrzmiało. Ogród w ciągu dziesięciu minut wyludnił się, tylko oni dwaj podnieśli się dopiero wtedy, gdy przybiegli kelnerzy, aby zebrać obrusy, przechylić stoły i poopierać o nie krzesła.

Między zastępami ludzi, chroniących się w sali, w bramie i pod werendą, nie chciało im się zostać; krzyk kobiet, podnoszących suknie, okrywających nowe kapelusze, zwoływanie nianiek i kłótnie z niemi, płacz dzieci, gderanie mężów—wszystko to było dla nich nieznośne i takie marne w porównaniu z tem, co oni obaj mają sobie jeszcze do powiedzenia! Dlatego usunęli się stamtąd i poszli z powrotem ku Winohradom.

— Pójdziem do Trnków—zadecydował Żywot.

— Pójdziem—zgodził się Werunsky i cieszył się, jak tam razem zasiądą ukryci przed oczyma ciekawych, w tak przyjemnej samotności, w wązkim środkowym pokoju, gdzie zawsze przebywali.

Szli razem podczas burzy i ulewy, szli pod rękę i tulili się do siebie. Żywot okrył się z Werunskim swym zniszczonym hawelokiem, i tak pod jednym płaszczem szli obaj miarowym, wolnym krokiem, gdy tymczasem nad nimi przewalały się chmury, niebo przy błyskawicach otwierało się wszystko uciekało przed piorunami. Koło nich turkotały powozy w dzikim galopie, a skoro przed jednym z nich uciekali z drogi, pozdrowił ich z wnętrza przyjacielski głos Towary, a potem zabrzmiał jeszcze w przelocie jasny, perlisty śmiech jego młodej żony. Śmia-

ła się, że tak niezgrabnie i komicznie ci dwaj usunęli się im z drogi.

Werunsky przytulił się do Sikowskiego.

— Chodź, żebyśmy już tam byli... byli sami — nalegał i ciągnął go naprzód.

Gdy po północy wyszli od Trnków, chodzili jeszcze trochę ciemnymi ulicami, nie mogąc zakończyć rozmowy. Nakoniec przed domem, gdzie rzeźbiarz mieszkał, Żywot pożegnał się ochrypłym głosem.

— Więc nie zapomnij jutro.

— Codzień!... to dobrze robi, to jest lekarstwo! — rzekł Werunsky, i ścisnąwszy Sikowskiego za rękę, pociągnął za dzwonek u bramy.

VIII.

Odtąd Werunsky żadnego wieczoru nie wytrzymał, żeby nie wpaść do Trnków i nie ulżyć sobie z Sikowskim. Tłómaczył sobie, że musi się koniecznie rozerwać, poskarżyć, pocieszyć. Cały dzień oczekiwał tego wieczoru, kiedy z przyjacielem zaczną narzekać, filozofować, rozbierać swój stan duchowy, wspominać dawne nadzieje, pieścić się niemami, a przy takich przyjacielskich, niczem nie krępowanych i najskrytsze myśli i uczucia odkrywających zwierzeniach, przy takim wzajemnem łączeniu się dusz i pogrążaniu się w przeszłość, zapomną o teraźniejszym życiu i w uspokajającym zapomnieniu poddadzą się z pijacką rozkoszą działaniu chmielowego nektaru i złudnym jego skutkiem.

Ale to było tylko chwilowe zaspokojenie. Nazajutrz zawsze odzywały się w Werunskim wyrzuty, przejmował go wstręt i obrzydzenie do takiego postępowania, z letargicz-

nego duchowego i cielesnego stanu rodził się niepokój, dochodzący do rozpacz. Widział jasno, dokąd dąży, sto razy przyrzekał sobie, że wyrwie się z tego niebezpieczeństwa, ale za nadejściem wieczoru, po dawnemu odkładał swe lepsze zamiary, uciszał wyrzuty: wpadnie tylko na chwilę, na sekundę—a tymczasem wpadał jak dnia poprzedniego.

Z domu wypędzały go też przykre i smutne warunki.

.

Bożena była wciąż między życiem a śmiercią, raczej tam, niż tu. A kiedy sądzono, że nastaje zwrot ku lepszemu, dostała zapalenia otrzewnej, a z niem nowe przedłużenie niebezpieczeństwa i niepewności, która już jednak nikogo ani rozczulała, ani denerwowała, ponieważ nerwy wszystkich były już nadwreżone tak, że zapadły w bezwładność, z której powstał ciężki, nadzieję i ufność zabijający spokój.

Pani Szwejnhowa przestała ich odwiedzać, rozgniewała się na dobre, a ocierając suche oczy końcem swego szerokiego fartucha, opowiadała teraz sąsiadkom i wszystkim służącym, przychodzącym do sklepiku, że człowiek za swoje dobre doczeka się zawsze tylko niewdzięczności. Przytem głos tej poczciwej kobiety drżał czasami, jakby przechodził w łkanie, chwilami brzmiał swarliwie, piłując w uszach słuchaczek, jak dogorywające światło błysnie czasem ostrym śpiczastym płomieniem. I dlaczego by nie miała poskarżyć się ona, ona, która dla siostrzenicy była zawsze tak życzliwa! Ta biedaczka leży już od końca maja jak nieżywa, a więc pani Szwejnhowa zaproponowała jej mężowi, że pośle tam którą ze swych córek, Bozorkę lub Baruszkę, żeby dojrzały gospodarstwa, a jeżeli nie, to radziła, żeby wziął siostrę Bożeny, Lidę — ma

być dziewczyna u obcych, niech będzie u siostry. Ale on ani słyszeć nie chciał.

Raczej powierzył dom obcej kobiecie, tej nieokrzesanej mamce, z której sadło aż kapie. Ona mu pokaże, po czemu łokieć! Ta mu rogów przytrze, będzie go ładnie kosztowała! Ale on jest jak ślepy. Ona potrafi gospodarować do swej kieszeni! Obcej — powiada — może rozkazać, jak i co, a jak mu nie dogodzi, nie potrzebuje się z nią krępować. Jakby obca mogła wogóle sprawiedliwie i uczciwie postępować! Pod tym względem on się myli! Oby tylko nie żałował! Ona, pani Szwejnhowa, pręgu ich już nie przestąpi, ponieważ rady jej nie słucha, a za życzliwość ma niewdzięczną zapłatę. Gdyby jej nawet wzywał i w cztery konie po nią zajechał, nie pójdzie, nie!

Pani Szwejnhowa naopowiadała tego jeszcze o wiele więcej, zarzekała się straszliwie, a właściwie do takiego znowu gniewu nie miała przyczyny. Dane Werunskiego nie były bez podstawy, a nadto mamka wydała mu się spokojną i poczciwą kobietą, która mogła łatwo dojrzeć służącej w gotowaniu, praniu, a nawet w kupnie produktów. Dalej sądził, że tego zastępstwa nie trzeba będzie tak długo, gdyż choroba nie mogła się przeciągnąć miesiącami, a gdy żona przyjdzie do zdrowia, łatwiej się pozbyć służącej, niż krewniczki.

Tymczasem przez cały czerwiec, nawet do połowy lipca, stan chorej nie bardzo się polepszył. Dopiero w drugiej połowie tego miesiąca nastąpiła zmiana o tyle, że niebezpieczeństwo minęło. Za to osłabienie było ogromne, chora ledwie na łóżku usiąść mogła. Z kobiety dawniej tak tęgiej i silnej została skóra i kości. Teraz należało wzmocnić chorą ile można, a nadto lekarz zalecał wyjazd na wieś do lesistej okolicy. Ale w tymże czasie środki Werunskiego zupełnie się wyczerpały. Oprócz czterech owych losów, nie zostało mu po opłaceniu wydatków, które urodziny dziecka i dwumiesięczna choroba

żony za sobą pociągnęły, całej setki, którą przy powiększonych obecnie wydatkach dociągnąć mógł zaledwie do końca miesiąca. Do tego oczekiwało komorne, a dochodów nie spodziewał się znikąd.

Werunsky jakiś czas po owym dniu, gdy niepoczytany z rozpaczy i gniewu zniszczył szkic i pomocniczy model do swej nowej alegoryi Szczęścia, wahał się wejść do pracowni. Omijał ją, bał się jej. Chociaż wiedział, że stary Broż, który mu rozrabiał glinę, nazajutrz z pewnością szczałki usunął, ale mimo to lękał się nawet przypomnieć o tych ścianach, świadkach czynu, który napełniał go żalem, wstydem i dziwnym, nieopisanym lękiem. W duchu widział, jak wszystko w tej pracowni: te szerokie okna, czerwone firanki, białe odlewy figur i pojedynczych części ciała, te przyłbice, te zbroje patrzą nań napół z wymówką, pół z drwiącym uśmiechem; w duchu widział, jak zgięta w łokciu ręka, wisząca naprzeciw wejścia, wyprostowuje się i drzwi mu wskazuje, jak inna godzi palcem wprost na miejsce, gdzie tarzały się resztki figury dziecięcej i skąd słychać bolesne kwilenie. Widział w duchu, jak gipsowe odlewy figur grożą mu, a odlewy głów strasznie poruszają próżnym elipsoidem swych oczu w górę i na dół.

Chorobliwe te widziadła były jeszcze pozostałością jego wzburzonej wyobraźni, napiętej rozpaczą aż do granic szalu w chwili, gdy rozbijał, zaślepiiony bólem, w dzikim rozgoryczeniu model i szkic swego Szczęścia, pozostałością, którą Werunsky w bolesnej rozkoszy dręczenia się utrzymywał w stałym napięciu, raczej wzrastającym niż słabnącem.

Dopiero w połowie czerwca zdecydował się wejść do pracowni. Nie sam, lecz w towarzystwie Żywota, a i to dlatego, że poprzedniego dnia, u Trnków, rzeźbiarz Fuchs zamówił u niego mały model Madonny z Dzieciątkiem Jezus.

Będąc w dobrem usposobieniu, Werunsky przyrzekał wszystko, a daną obietnicę starał się wypełnić, choćby na-
zajutrz żałował, że się z nią wyrwał, czując przykrość zo-
bowiązania. Tak było i z robotą dla Fuchsa. Chociaż
długie próżnowanie go znużyło, i tęsknił już do pracy, zna-
lazłszy się w pracowni, oddał się wyłącznie rozmowie
i tylko od niechcienia krzątał się i robił potrzebne przygo-
towania, przyczem szybko się niecierpliwił, widząc, że mu
braknie tego lub owego, to i owo nie jest w należyтым
porządku, i zaczął się skarżyć i gderać, że choćby czło-
wiek chciał pracować, zawsze mu coś przeszkodzi.

Koniec końców, po wyłajaniu starego Broża, który
nadbiegł spocony i biegał zziajany z kąta w kąt, i po wy-
daniu rozkazów na dzień następny, Werunsky opuścił
pracownię i zostawił wszystko po staremu.

O ile Sikowski nie był w podróży z kapelusznami
schodził się z nim Werunsky, i przed obiadem, a czasami
i po południu po krótkiej przechadzce zachodzili zwykle
do jakiejś zapadłej gospody. Chwilowo podczas tych schad-
zek Werunsky zapominał o swym losie i rozrywał myśl, ale
potem następowały godziny, w których pojmował całą nę-
dzę obecnego swego życia, czynił sobie gorzkie wyrzuty,
że nic nie robi, i przyrzekał, że się poprawi.

— Jutro zacznę, jutro napewno—uspokajał się i obie-
cywał codzień, ale gdy jutro nadeszło, to w trybie pijackie-
go życia, które wiódł już kilka tygodni, opuszczało go to
postanowienie, i w rozpaczliwym tchórzostwie, wymawiał się,
że nie ma usposobienia, że nie ma siły, że go boli głowa,
że ma rozstrojone nerwy, a niezadowolony, wstydząc się
sam siebie, nie mogąc wytrwać w samotności, gdzie go gryz-
ły wyrzuty sumienia, podążał znowu odszukiwać Żywota
i znowu z nim trawił dzień, skarżąc się, narzekając, że
nieszczęście odebrało mu chęć do pracy, że czuje w du-
szy próżnię, że pozbawiony jest siły, że nieubłagany los
zrobi z niego w końcu żebraka...

Nie wstydził się już nawet znajomych, z którymi wypadkiem się spotykał, z którymi nigdy przedtem otwarcie nie mówił, narzekać przed nimi podobnie, biadać nad swą dolą, nad brakiem pomysłu, niezdolnością do pracy, i pochłaniał każde słowo powszedniej pociechy, która prędzej jest obrazą, niż grzeczością.

A jednak i w tym czasie miewał chwile, w których wiedział, jak jest niegodne i brzydkie takie postępowanie, i kiedy wstydził się swej słabości, niedołęstwa, kiedy przyrzekał sobie, że znowu musi się wzmocnić, wznieść i naprzód wysunąć.

W takich razach przekonywał Sikowskiego, a czasami i obcych gości, siedzących w gospodzie, że jeszcze jest zdolny tworzyć, wpadał w drugą ostateczność chwalenia się i powtarzał do znudzenia:

— Wierzcie mi, że gdybym chciał, zrobię posąg, że mi nikt w Pradze nie dorówna!

I wciąż to powtarzał, a coraz głośniej, jakby mu kto przeczył, lub wątpił o tem, chociaż słuchaczom było zupełnie obojętne, co może wykonać lub nie. Ale temi dowodzeniami najbardziej uspokajał siebie, jakby chciał przeprzeć powątpiewania, które się w nim budziły.

Dopiero gdy w połowie lipca, po zapłaceniu doktorów, obliczył swój stan majątkowy i przekonał się, że lada dzień kasa jego się wyczerpie, wzruszyło go sumienie, i uczuł zimny dreszcz, jak po przebudzeniu, i strach, jakby się do niego zbliżało coś wielkiego, olbrzymiego, co spadnie nań i zgniecie, jeżeli mu się nie oprze całą siłą, jeżeli nie stanie z niem do rozpaczliwej walki na śmierć i życie, z napięciem sił ostatnich. Wróg ten, ziejący głodem, przejmujący człowieka wstydem, nie mający litości, bez czucia, bez względu, bez miłosierdzia, jest nieubłagany, jak materya gnana szalenie naprzód nieuniknionem brzemieniem siły wyższej. Nie można się cofnąć

ani minąć, i niema innego zbawienia, tylko szalona, rozpaczliwa walka.

A jednak! Cóż? gdyby tak wygrał? Myśl, aby tym sposobem uniknąć wszelkich kłopotów, zajęła go całą siłą i drażniła dniem i nocą; rozbierał ją z namiętnością szaleńca, lgnącego wciąż do raz powziętej myśli.

Zdawało mu się, że to niemożliwe, aby powodzi tych nieszczęść nie przerwało nagłe zbawienie; upewniał siebie, że jest godzien takiego wybrnięcia bardziej niż ktokolwiek na świecie, i że niema nikogo, któryby takiej wygranej więcej niż on potrzebował, i przyrzekał za nią wdzięczność i uznanie, i zaczynał się modlić, aby zjednać życzliwość Nieba. Rozdrażniony, nie mogąc czasem usnąć, składał ręce i mówił:

— Panie Boże, Ty wiesz, podstawy mej istoty są dobre, zawsze pragnąłem tylko dobrego i nikogo na całym świecie nie skrzywdziłem. Tyś mi dał iskrę artyzmu, Tyś dał mi podnioslejszą duszę, Tyś wszczepił pragnienie miłości i szczęścia, Tyś postanowił doświadczyć mię zawodami, ale teraz Ty zeslesz mi ratunek, abym nie zaginął aby wskrzesić to, co we mnie jest jeszcze dobre i silne. Wierzę w Ciebie i ufam, że mi pomożesz, a ja potem stworzę dzieło, które będzie głosiło Twoją chwałę, i całe swe życie poddam znowu Twojej woli. Spójrz na mnie łaskawie: wszak dotąd jestem dobry i mimo wszystkich słabości godzien Twego zmiłowania!

A przy tej modlitwie łzy zalewały mu oczy, miał litość nad samym sobą; zdawało mu się, że znowu staje się dzieckiem, i duchem unosił się do czasów swego dzieciństwa, do wspomnień o matce, z którą się razem modlił, i czuł się tak dobrym, łagodnym, tak wierzącym i widział wkoło siebie same posągi Madonn i aniołów.

Rzeczywiście jednak wszystkie takie chwile były skutkiem jego słabości.

Szukał pomocy nad ziemią, nie mając odwagi szukać

jej w sobie, i tracąc nadzieję, że ją tam znajdzie. Wracił do wiary, wzbudzonej w dzieciństwie, pozbywszy się wiary w swą pracę, przerzucił się do próśb i wzbudzania litości, topiąc siłę własną i ufność w siebie.

Jednakże w tej jego modlitwie było o wiele więcej przejmującej słabości ludzkiej, niż hypokryzyi.

Zawsze po takim akcie pobożności, zdawało się Werunskiemu, że niemożliwe, aby go Bóg nie wysłuchał, i był pewien, że już na przyszłe ciągnięcie wygra, że inaczej nawet stać się nie może.

Ale mimo to wszystko, zdecydował się jeszcze zabrać do Madonny dla rzeźbiarza Fuchsa, a nawet zamówienie to swym tematem zdawało mu się szczególnie odpowiednie, a wykonanie jego obowiązkiem. Postanowił, że nie będzie to figurka miernej wartości, lecz że włoży w nią całą swą dziecianną ufność i że popracuje pilnie, aby na sierpień wykończyć. I rzeczywiście wziął się wtedy poważnie do roboty, skłódząc ją sobie nadzieją na zwrot ku lepszemu.

Ale dobry skutek nie uwieńczył dzieła.

Werunsky przekonał się ze zgrozą, że palce jego pozbyły się naraz zdolności tworzenia rysów, które miał w myśli, robota się nie wiodła, zaczynał kilka razy, a wyczerpawszy cierpliwość, przechadzał się po pracowni, w końcu odłożywszy pracę na jutro, aż będzie w lepszym usposobieniu, szedł poskarżyć się Sikowskiemu i szukać pociechy...

IX.

W takim stanie, łamiąc swą wolę i siłę piciem, uśmie-
rzał niezadowolenie, pochodzące z tego, znowu piciem i do-
czekał się początku sierpnia.

Tego dnia, gdy nareszcie wyszło w gazetach ogłosze-
nie ciągnięcia odpowiednich losów, poszedł Werunsky za-
raz rano do kawiarni w miejscowym parku.

Wszedłszy, siadł pod werendą przy pustym stoliku
i zażądał gazet. Nie zauważył nawet, że naprzeciw nie-
go, w pobliżu oszklonego pawilonu, siedzi Pour z Lemarym
i młodym Jakubcem. Widzieli go oni, jak wchodził, zwró-
cili sobie nawzajem uwagę oczyma, ale zaraz potem pochy-
lili ku sobie głowy, jakby zajęci najciekawszą rozmową.

Zauważyli, że ubranie Werunskiego jest powalane,
nieoczyszczone, że niedbale na nim wisi, że chód ma po-
wolny, ospały, twarz zapadłą, a włosy i wąsy roztargane,
jak u człowieka, który całą noc przebył w podróży, a ra-
no wysiadł z wagonu, lub też powraca z nocnej włóczęgi.

Na nich wszystko świeciło się; mundur Jakubca był
jak z igły i doskonałością wykonania aż raził. Niedbale,
pogardliwie z fanfaronadą przymrużali wypoczęte oczy i le-
niwie przebierali troskliwie pielęgnowanymi palcami, a znu-
dzony ich uśmiech był tak sztucznie wystudyowany,
że przeciągając się na jedną stronę, wyrażał przez pół
pobłażanie, a przez pół ostre drwiny. Zdawało się, że
nawet na dawnego towarzysza nie patrzą, ale nie uszedł im
ani jeden ruch jego.

Kiedy rzeźbiarz brał gazetę, ręce mu drżały, i przejmował go strach jakiś. Bał się spojrzeć na tę stronę,
na tę szpalte, na ten paragraf, rojący się cyframi, bał się

pewności, chociaż nadzieja jego była tak wielka, że widział wyraźnie wydrukowaną seryę i numer swego losu.

Wyobrażenie to tak utkwiło w jego znużonej myśli, że nie można go było wyrugować bez zadania ciosu. Nareszcie, z wielkiem rozczuleniem, zarumienioną twarzą i niepewnym, wilgotnym okiem, odważył się spojrzeć na rzędy tych cyfr. Najpierw je przeleciał, potem przetarł sobie oczy i zatrzymał wzrok na grubszych cyfrach, oznaczających większe wygrane. Przytem przejmowało go jakieś bolesne uczucie, jakby coś ciężkiego w nim się przewracało.

A z takim natężeniem patrzył w te cyfry i tak nabywał pewności nowego zawodu, mózg jego ociężał, myśli się rozstrzelały, że gdyby w tej chwili zwrócił się kto do niego, byłby zdziwiony, spojrzal nań, nie poznając kto to, co mówi, nawet nie zdając sobie jasno sprawy, gdzie jest, czy śni, czy czuwa.

— Ten wczoraj znowu przebrał miarękę—mówił półgłosem Lemary, patrząc przez rzęsy na Werunskiego.

— Nie patrzcie się tam, aby do nas, broń Boże, nie przyszedł—napominał Pour, odwracając się i bawiąc się niedbale swemi złożonemi rękawiczkami, które przed nim leżały na stole.

— Widzicie, oto są ci nasi artyści, oto są ci nieśmiertelni!—z nieukrywaną zjadliwością rzucił pan porucznik, były słuchacz akademji malarskiej.

— To właściwie ten osobliwy rodzaj naszych artystów—przerwał mu literat Lemary.

— Nie. To są ludzie, w których przy ograniczonych zdolnościach wybijała wielka pycha—poważnym, głębokim, filozoficznym tonem mówił Pour.—Nie rozejrzeli się po świecie, nie znają obcej sztuki i w swej miernocie nadyniają się jak olbrzymy. Tymczasem francuskiego sztukatora cenię wyżej, niż dziesięciu takich Werunskich.

Znam te stosunki, mam doświadczenie i mogę coś o tem powiedzieć. Ale czy taki Werunsky da sobie co powiedzieć? Nie! On myśli, że wszystkie rozумы pojadł i od szczerzej rady się odwraca. Żeby chociaż tyle umiał, co ja, żeby się choć tyle uczył! Wiedeń, Monachium, Drezno, Paryż... Ach, Paryż! Ale to trzeba kiedy tym naszym panom powiedzieć otwarcie, brutalnie! Wymagać ich trzeba. Jak tylko będę miał trochę więcej czasu, wezmę się do nich, do tych pyszałków.

I pan Paur, nabrawszy teraz zwyczaju traktować wszystko z góry, przejechał ręką po włosach i nie zaczerwienił się wcale.

Lemary podczas jego gadania trącił pod stołem Jakubca i ruszył nieznacznie kątem ust, a gdy krytyk skończył, dorzucił pan porucznik tonem najpoważniejszym:

— Co innego rzeźbiarz Grün, prawda? tego oszczędzicie?

— No, ten młodzieniec się stara — ciągnął trochę niepewnie Pour i chuchał zawstydzony na szkła swych w złoto oprawnych binokli, przecierając je serwetką.

Potem zwrócił się do Lemarego i zaczął mówić o zbliżającym się jego ślubie z panną Hruszkówną.

Tymczasem Werunsky odłożył gazetę, wstał i ciężkim krokiem, ogarnięty mieszaniną chorobliwych złudzeń i dziwacznych dzikich fantazyi, odchodził, aby bez celu błądzić ulicami. Ze schylonem czołem wpadał na ludzi, czując w głowie nieznośny ciężar i straszliwe huczenie.

Tego dnia wrócił do domu nad ranem całkiem nie-poczytalny.

X.

Bożena w tym czasie zdołała już chwilami podnosić się, próbowała chodzić po pokojach i powoli otrząsała się z obojętności i prawie martwoty, w którą ją choroba pogrążyła. Pomalutku wracała do świata, do życia, ale powracając, byłaby raczej przy każdym kroku chętniej się cofnęła z powrotem w stan nieświadomości, do dawnej obojętności i martwoty.

Jak bolesne były te wrażenia, te obrazy, które ją witały przy tym powrocie, tłocząc się jej do głowy, ledwie budzącej się z uśpienia...

Zdawało się jej, że przez czas, gdy nie brała czynnego udziału w tem życiu, zagasły wszystkie promienie, bo widziała przed sobą na każdym kroku tylko cienie, gęstą, czarną noc, a na każdym kroku czuła chłód, czyhający, śmiertelny ziąb.

Powoli dopiero pojmowała całe znaczenie tych zmian, które na razie wydawały się jej jak ciemny, niemiły cień, ale które rosły i rosły, im dłużej je obserwowała i badała, w straszliwe, groźne chmury, przez które nigdy nie może przedrzeć się nadzieja, a które brzemienne są pogromem i nieszczęściem.

Wyschła, wychudła ta kobieta wlokła się po mieszkaniu, przytrzymując się stołów i krzeseł, nabywała powoli pewnego przeświadczenia o całej rozciągłości nieszczęścia, które sprowadziło przedwczesne urodzenie chorego, brzydkiego dziecka, jej długa choroba i niedostatek męża.

Wszystko to ścisnęło jej serce, jakby je kleszczami z piersi wyrwać chciano, i z żalnością wspomniała, jak jej było dobrze, póki leżała nieprzytomna na łóżku, póki

cień śmierci ją osłaniał i nie dał jej przejrzeć na cienie życia!

W tym smutnym czasie zapanowania nieszczęścia w tej kobiecie, nad której czołem unosił się jeszcze duch śmierci, czyhającej na nią tyle tygodni, w tej kobiecie, która dotychczas zdawała się słabem stworzeniem, istotą powszednią, kiełkowało wzniosłe postanowienie, że uratuje, co się jeszcze da uratować, że powstrzyma i naprawi, co jeszcze nie jest zniszczone i podkopane. A postanowienie to wywiązało się z wielkiej litości nad tem słabem, krzywiącem się maleństwem, leżącym bezsilnie w pieluszkach i poduszce na kolanach mamki, nad dzieckiem, które nosiła pod sercem i urodziła, a kochała tembardziej dlatego, że ta odrobina niewinna i nieszczęśliwa stała się z racji swego niedołęstwa przyczyną rozpaczyny ojca, poderwania spokoju domowego i nadziei matczynych.

Ten maleńki, słaby robaczek, ta biedna, niewinna istota!

Matce, patrząc na to dziecko, łzami zachodziły oczy, łzami tem większej miłości, im dziecko było nędzniejsze, i im więcej przyszłość jego zapowiadała się nieszczęśliwsza, ocieniona wiecznym smutkiem i bolesnem narzekaniem na swą krzywdę.

A razem ze łzami do oczu przedzierała się w jej serce silna, wielka, święta chęć poświęcenia się, aby wynagrodzić temu dziecku czułością i opieką, jaka jest w jej mocy, chociaż w części to wszystko, czego mu braknie. Wtedy brała dziecko z rąk mamki, przytulała je do swych wychudłych piersi, schylała się nad niem, twarzyczkę jego i ciało pokrywała namiętymi pocałunkami, przyczem odczuwała, jak całą jej istotę przejmuje mocna, niepokonana chęć życia, gorączkowe pragnienie zdrowia. A może ta niezłomna wola naprawdę wzmacniała jej upadające siły?

Pobladła twarz Bożeny zaczęła się słabo rumienić,

oko nabierało niebывałego blasku i żywości, a w każdym jej ruchu widać było powracające życie. O lekarzu nie chciała wcale słyszeć. Kiedy w ostatnich dniach, niewzany i nieoczekiwany, z własnej woli i życzliwości, zjawił się u Werunskich, a zauważywszy gorączkowe podniecenie chorej, nalegająco zalecił spokój i radził wyjazd na wieś:

— Ach, nie, ach, nie! — przeczyła zestraszona Bożena. — Przecież czuję się zupełnie zdrowa, czuję, jak mi sił przybywa. Nie obawiajcie się wcale, panie doktorze: zobaczycie, że za miesiąc będę zdrowa jak ryba, jak gdybym nigdy nie chorowała. Co wam przyszło do głowy: na wieś! Musimy teraz oszczędzać dla tego naszego małego robaczka. Nie jesteśmy bogaci, a co główna, że nam tego nie trzeba.

A skoro lekarz wyszedł, otoczyła ręką szyję męża i rzekła uspokajająco:

— Ci doktorowie wszyscy jednakowi! Znamy ich: „Jedźcie na wieś, odżywiajcie się dobrze, pijcie dobrze.” To bardzo piękne, gdyby tylko człowiek miał kapitały. Ale nam, chwała Bogu, że tu niczego nie brakuje.

Uważając tę chwilę za odpowiednią, przytuliła się do niego bliżej i pochlebny, pieszczotliwym, błagalnym głosem dodała:

— Ja wiem, ileś przecierpiał i poniósł dla mnie, ale, da Bóg, znowu będzie wszystko dobrze. Miałeś wiele wydatków, wiem ja, wiem! Ale już się to raz skończy. Służącą oddalimy, ja już jestem zdrowa. Ale jak tylko nasz ten robaczek będzie silniejszy, jeszcze tylko parę miesięcy, to pójdzie i mamka. Mnie się na płacz zbiera, że cię przyprawiam o takie wydatki, że nie mogę tej odrobinki sama karmić. Tak mi to bolesne...

I chociaż chciała pocieszać, uspokajać i wzbudzić nadzieję i ufność, głos jej się zachwiał, a łzy gwałtem cisnęły do oczu i niepowstrzymane spływały po zapadłych policzkach.

W takim stanie oczekiwała od niego słówka pocie-

chy, pieszczoty, ale on rozpaczliwie patrzył w dal wzrokiem niepewnym, mętnym.

Było to nazajutrz po tem, jak nabrał pewności, że znowu zawiodła go nadzieja na wygraną, gdy obezwładniony i ogłuszony nie był zdolny do ufności i poddał się zrezygnowany losowi, pragnąc tylko, aby nie musiał myśleć i mógł zapomnieć o wszystkim.

Daremnie czekając na jedyny uśmiech—choćby smutny, ale jednak uśmiech—ciągnęła Bożena dalej z jakąś gorączkową przykrością nawpół pytając, wpół przekonywając, wyglądając po każdym zdaniu jego zgody, lub uwagi.

— Wiesz, moglibyśmy wziąć mniejsze mieszkanie, pokój i kuchnię?... To nam wystarczy?... Tu płacimy za wiele. Poszłabym sama do gospodarza... co myślisz?... To by można zaoszczędzić!...

A patrząc w jego oczy pełne niepokoju, spodziewała się niecierpliwie chociaż litośnego, lecz przyświadczającego spojżenia.

Ale on wciąż był zapatrzony w jeden punkt.

Wtedy ogarnął ją taki żal, serce się jej ścisnęło, że nie mogąc się wstrzymać, wybuchnęła płaczem.

— Czemu się na mnie gniewasz? — pytała. — Przecież jam niewinna wcale... nie gniewaj się, proszę cię, mężu... Edo, Edynku!...

A szlochając, schwyciła go za rękę, o które podpierał głowę, swymi wychudłymi kościstymi palcami przyciskała do nich swą rozpaloną twarz, wilgotne czoło, zalzawione oczy, i zwolna, jak złamana, zsunęła się przed nim na kolana.

— Czyż mnie już nie kochasz, nie kochasz?... Edo! — krzyknęła, a w jej głosie czuć było ból bezgraniczny, ból i straszną obawę, i w tym strachu potrząsnęła jego rękoma, jakby chciała z niego wydobyć słowo, choćby ono nie było przychylne.

Nakoniec zwrócił Werunsky na żonę mętny swój wzrok,

ale spojrzął na nią jak obcy, jakby słuch jego stępieł na dźwięk jej głosu. A nie tylko słuch jego stępieł, ale i wzrok zubożał, i nie umiał już czytać w twarzy i oczach żony tak, aby spostrzegł i przenikł każde drgnienie; myśl jego była zmacona, ścierpła, obolała, jakby stale pokrywała ją warstwa wysokowych oparów, mgła, której nie mogły przebić wrażenia, ani myśli.

Odwykł od żony.

Przez czas jej choroby przyzwyczał się uważać ją za przedmiot, z którym nie należy się rachować, za przedmiot, który leży tam na łóżku w beczynności, w martwocie, dla którego ma się obowiązki, ale który nie bierze udziału w życiu, i dla którego nie trzeba nic więcej prócz cierpliwości. Przedmiot, który nie skrzywdzi, lecz który w życiu jego będzie grał obojętną rolę, a myśląc tylko o sobie, zapomniał o niej. On przyzwyczał się traktować ją jak rzecz nieżyjącą, nie mającą życzeń, myśli, uczucia, która tylko leży po to, aby znowu wstała i wlokła się po mieszkaniu bez celu, bez żądań, milcząc jak cień, który każdego wyminie.

A oto istota ta wstała, mówi z nim, daje rady, chce zaprowadzić zmiany, wymaga od niego uczucia, miłości, upomina się o swe prawa, chce go wyrwać z tego, w czym on widzi jedyną ulgę, chce go skłonić do walki, gdy on pragnie zapomnienia, chce podnieść i podtrzymać ten ciężar, który go ciągnie na dno.

Oto wstało stworzenie, o którego duchowym stanie zupełnie zapomniał, o które nie dbał, mając wciąż siebie i swe nieszczęście na sercu i na języku. Stworzenie, które usunął z widnokregu swych nadziei i myśli, istota, o której zapomniał już przed narodzeniem dziecka, a którego zadanie późniejsze widział tylko w pielęgnowaniu tego dziecka, w którym pokładał swe nadzieje... A kiedy te doznały zawodu — istota ta przestała mieć i to zadanie... Nie miała już nic do wykonania...

Dlatego teraz tak dziwnie spoglądał, a choć patrzył długo, nie miękło i nie rozgrzewało się jego wejrzenie.

Obraz tej kobiety, którą widział przed sobą, nie wzbudzał w nim nawet wspomnień. To nie była Bożena, którą całował i ścisnął. To była wyschła, sucha kobieta, to był szkielet, na którym wszystko szkaradnie obwisło, wskazując przez to dokładnie pozbycie się wszelkiego powabu. To była kobieta z wychudłą twarzą i ciałem, z którego kości sterczały na wszystkie strony, a zestarzała się o jakie lat dziesięć. Był to prawdziwy, nieubłagany obraz nietrwałości rzeczy doczesnych, to wcielenie jego zawodów przed nim klęczało.

I wzrok Werunskiego nabrał jakiegoś ostrego wyrazu teraz, gdy ją zmierzył od stóp do głowy. A przytem usta jego mimowoli wyrażały ból i gorycz.

Bożena, patrząc nań, wpiła gorączkowy wzrok w twarz jego — a serce drżało jej z niepewności oczekiwania — i zrozumiała tę niemą odpowiedź.

I przejął ją dreszcz zimny.

Zrozumiała, co się dzieje w duszy męża. Pojęła jego myśli, zmierzyła nieszczęście, i rozpacz jego, i ogrom własnej niedoli.

Nie oburzała się na niego, żałowała go, pojmowała, że jest stracony, i w sobie widziała przyczynę jego upadku.

I przejęła ją zgroza, zgroza, która druzgotała w niej wszelką nadzieję.

XI.

Druzgotała, ale nie zdruzgotała.

Wszelkimi siłami broniła się Bożena zupełnej pod tym względem pewności i gorączkowo szukała w każdym wcześniejszym powrocie Werunskiego, w każdym jego spojrzeniu na dziecko, lub na nią, jaśniejszych blasków, których chwytiała się, jak tonący brzytwy.

Uporczywość jej wiary w niego była godna podziwu; wdzięczność za każdą taką mniemaną oznakę zwrotu była tkliwa, a troskliwość w wynalezieniu i ułatwianiu takiemu zwrotowi drogi przejmowała aż do łez.

W jej postępowaniu objawiał się nieustający wysiłek i gorączkowy pośpiech. Obawa zupełnego zepsucia, dążenie do ochrony pogrążała ją w stan wyczekiwania i przyspieszyła jej decyzję.

Sama poszła do gospodarza i wymówiła mieszkanie; sama znalazła inne, na samym końcu Winohrad, na ulicy Macha, którą tworzy tylko jeden rząd domów, gdy na drugiej stronie ciągnie się długi, szary, smutny mur, otaczający wielki ogród zwany Korzaczką; z za muru występują piękne wille Taussigów, Schiffnerów, Gröbów i innych.

W tej ulicy, której ciszę i pustkę przerywał w lecie tylko ruch budowlany, aż tu dochodzący, biegają stale przed domem gromadki umorusanych, bosych dzieci, zatrzymujących się niekiedy przy powroźniku, który wzdłuż smutnego ogrodowego muru, uprawia swe monotonne i nudne rzemiosło. W lecie jeszcze tu dosyć wesoło, ale w zimie, gdy drzewa stoją nagie, gdy hula i gwiżdże tu wiatr i bije śniegiem w okna, widok na zaśnieżone ogrody

i puste wille, na martwą Nuselską dolinę i próżne Pan-krackie pola był bardzo jednostajny i smutny.

Werunscy mieli się tu przeprowadzić w listopadzie.

Bożena wynajęła mieszkanie, składające się z dużego pokoju z oknami od frontu i kuchni, z której okno wychodziło na szereg podwórzy i podwóreczek, na których porozwieszana bielizna, krzyki dzieci i postacie przechodzących tędy kobiet wyraźnie wskazywały, że po większej części mieszkają tu ludzie ubodzy, którzy obywają się kuchnią i jaką taką alkową.

Zabezpieczywszy się z tej strony, Bożena wymówiła od połowy sierpnia służącej i wprowadziła cały szereg oszczędności w domu, ale tak oględnie, aby Werunsky jak najmniej je odczuł, żeby miał wszystko jak dawniej, w ni-czem nie potrzebował się ograniczać; najmniej dbała przy-tem o siebie.

— Cóż tam ja!—tłómaczyła sobie.—Dziecko pielęgnuje mamka; cóżbym ja cały dzień robiła?

I szła od roboty do roboty, a przytem odejmowała so-bie od ust, aby tylko mózdz lepiej dać mężowi i mam-ce. Żywiła się byle czem, a podając mężowi i mamce po-trawę, zapraszała ich do jedzenia z uśmiechem:

— Proszę was, jedzcie sami; jam nie głodna, już się w kuchni najadłam.

Starannie ukrywała, aby się nie zdradzić, jak się przymusza do roboty, jak czuje się znużoną i osłabioną.

Jedyną jej nagrodą i pociechą był widok dziecka, które wyglądało trochę lepiej, powoli się rozwijało, z czego matka czerpała nadzieję, że je przy życiu utrzyma.

— Patrz, jak ten robaczek nasz rośnie: niezadługo cze-peczki będą dla niego za małe!—zwracała wesoło uwagę ojca i patrzyła ku niemu oczyma pełnemi ciekawości, żeby przecież także spojrział, doznał radości, wyjaśnił twarz i zwrócił się ku temu dziecku z uśmiechem miłości.

Pragnęła dla niego miłości, bo widziała w niej wszystko i pokładała w niej całą nadzieję.

Ale Werunsky nie uśmiechnął się. On widział w swem dziecku wciąż to samo stworzenie, którego nędzne ciało, spłaszczona główka i brzydka stara twarz raziły jego zmysł estetyczny ku zgrabnej pełności i świeżości formy; widział w swem dziecku wciąż to samo stworzenie, którego braki raziły go i oburzały, przypominając mu boleśnie straszny zawód.

A obok tego dziecka ta żona zestarzała, wychudła, na której wszystko było za wolne i za wielkie, jej gorączkowe spojrzenie i uśmiech nie pasowały wcale do tej smutnej twarzy, wzbudzającej w patrzącym niesmak i litosne współczucie.

Dla Werunskiego, którego dusza od małego miała upodobanie w miękkości i ciepłe form powabnych, dla Werunskiego, artysty rzeźbiarza, był to widok nieznośny, który go jątrzył, jak palące krople jadu. Unikał go tedy, mało przebywał w domu, a kiedy musiał już być, to spuszczał oczy, odwracał się do okna, gdy żona weszła do pokoju, lub szedł do drugiego i siadał przy biurku, opierał głowę na lewej dłoni i kreślił ołówkiem powabne kształty postaci kobiecych lub dziecięcych. Każde odezwanie się żony lub dziecka tłoczyło mu uparcie do głowy najwstrętniejsze wyobrażenia, których nie był w stanie się pozbyć, które go nie opuszczały.

Jeżeli weszła za nim żona do pokoju, doznawał przykrego uczucia, porywało jego niezadowolenie, ba! nawet wściekłość. Odrzucał ołówek, gniótł papier i ścisnął głowę rękoma. Chciał być samym, nic nie widzieć, nie słyszeć, a osobliwie nic z tego, co przypominało mu jego nieszczęście. Przejęty goryczą, zaczął upatrywać w każdym wejściu żony do pokoju jakieś umyślne, natarczywe narzucanie się, które go drażniło i czyniło nerwowym i bezwzględ-

nym. Czasami zerwał się prędko i, trzasnąwszy drzwiami za sobą, uciekał przed żoną z domu. Czuł, jak wszystko w nim wre, że nie wytrzymałby i wpadłby w brutalność.

Innym razem pojmował całą krzywdę swego postępowania, pojmował, jak musi Bożenę boleć jego niesprawiedliwość i surowość. Były chwile, gdy budziła się w nim i powstawała dawna dobroć jego serca, gdy ogarniało go współczucie, żal, i byłby się rzucił wtedy na kolana, objął nogi Bożeny, płakał, prosił i wołał:

— Ja wiem, wiem, wiem, jakim teraz nieznośny, zły, ale wybac mi, nie jestem panem siebie; to, co się stało, zwalcza mię, gubi, pożera... Jestem słaby — miej litość. Tyś dobra... mój Boże — taka dobra! Tak, ja wiem, tyś pełna dobroci, uprzejmości, ofiarności i pobłażania. Tyś sto razy, tysiąc razy lepsza ode mnie... jam tak ułomny... Słyszysz! ułomny... Nie mam siły..nie mam..i lepiej będzie, jeśli mię to zmoże prędzej. Przynajmniej nie będę was tyranizował. Jużem do niczego niezdatny—tyś temu niewinna, droga duszo, żem ja oszalał..

Ale było mu tak okropnie przykro w takich chwilach, tak go coś za gardło ścisnęło, że zwracał tylko oczy ku Bożenie, w których było tyle nieszczęścia i prośby o litość, że spojrzenie zapadało jej do głębi duszy i paliło jak ogień. Strasznie jej było.

Czuła, że ta miara nieszczęścia przechodzi jej siły, i potaczała się zawsze do kuchni, a tam, usiadłszy przy otwartem oknie, ujmowała głowę w dłonie i rozpaczliwie zadawała sobie pytanie:

— Czemu, czemu go spotkałam? czemu on mnie ujrzał? czemu mię pokochał? Byłoby lepiej.. Jam dla niego nie była odpowiednia..

I gorzki, niezmierny żal ją ogarniał, i zanosila się od płaczu.

XII.

Bywały chwile, kiedy Werunskiemu się zdawało, że naprawdę zwaryował, lub że przynajmniej nie jest od tego daleki. Rozgoryczenie i zdenerwowanie dochodziły do szaleń, a napady nieklamane go żalu i litości następowały u niego przy najmniejszym wzruszeniu. Pojmował, że męczy swe otoczenie i w tem przeświadczeniu coraz bardziej unikał domu. Do rozdrażnienia przyczyniały się i okoliczności poza domem.

Aby zapłacić komorne i dać zadatek na nowe mieszkanie, oraz zaspokoić domowe potrzeby, Werunsky musiał zastawić dwa z kupionych losów. Był zrozpaczony, gdy ostatecznie uznał konieczność tego kroku i przyrzekał sobie, że teraz, żeby nie wiem co, przemoże swą niechęć do pracy; robił sobie wyrzuty, jaki był dotąd niedołężny, jak się wymawiał ciągle, że nie ma należytego usposobienia, i zdecydował się bezwarunkowo wykończyć Fuchsowi model Madonny przed końcem miesiąca.

— Niech sobie wygląda jak chce, ostatecznie na tem tak wiele nie zależy—pocieszał się.—Muszę przecież coś zrobić, nie mogę zmarnieć.

I pracował. Przymuszał się.

Przemógł niechęć, uspokajał niezadowolenie, które nim owładało. Poskramiał kielkujące niedołęstwo i gniew, skoro widział, że utwór wcale się nie udaje, skoro mu palce wypowiadały służbę, jakby utraciły ruchliwość i uczucie. Modelował i modelował, chociaż pot występował mu na czoło, każdy nerw w nim drżał, a głowa pękała mu z bólu, ręce cierpły, a on odczuwał chwilami wielką ochotę przewrócić podstawę, cisnąć zaczęty model do beczki

z gliną i uciec z tej pracowni, gdzie mu się nic nie da-
rzyło.

Zaczął nienawidzić swojej pracowni. Wszystko tu wy-
dawało mu się wstrętne, obrzydłe, nieznośne. Ale
on wciąż wmawiał w siebie:

— Musisz, musisz. . . z czegobyś żył? — i pracował dalej,
aż przed oczyma robiły mu się mroczki, całe ciało ogar-
niało niepokonane znużenie, a głowę zawrót.

— Do wpeł do szóstej musisz wytrzymać — męczył się
znowu, podnosił opadłe ręce i modelował bez zamiętowania
i bez powodzenia.

Widział wszelkie braki swej roboty, widział sztyw-
ność i ciężkość, widział i wady w rozmiarach, ale nie rzu-
cał modelu, nie zaczynał nanowo, jakby to dawniej uczynił,
lecz uspokajał się, że tak może pozostać, tylko tu i tam
starał się coś poprawić, a zwykle prawie z przeciwnym
skutkiem. To nie była praca, to była fuszerka, partactwo,
ale uspokajał się, że raz może się każdemu zdarzyć, byle
tylko dostać pieniądze.

Ale to uspokajanie było początkiem stłumienia jego
artystycznej ambicyi, która dotąd rozwiniętą w nim była
aż do przesady; to było usypianie artystycznego sumienia,
graniczącego ze skrupulatnością, które było zapewnieniem
i warunkiem postępu.

I oto ta ambicya i sumienie, na których ofiarę padło
ze sto początkowych prób, szkiców i napół i zupełnie
ukończonych utworów, którym poświęcił i pierwszy model
swego Szczęścia, tę lekko i ciepło modelowaną postać Bo-
żeny, to ambicya i sumienie, które niemiłosiernie wpędza-
ły go na drogę prawdziwej sztuki, tę ambicyę i sumie-
nie dało mu się teraz uciszyć i stłumić. A jaką
bronią!

Biedę zahukiwał, a piciem topił ich głos. Bez tej
podstępnej, układnej i jadowitej broni nie byłby temu po-
dołał.

Skończywszy nareszcie Madonnę i widząc całą nieudolność tej pracy, którejby nigdy dawniej nie przepuścił za próg swej pracowni, którą dawniej byłby z pewnością rozbił, aby jej oko ludzkie nie widziało, której nawet nie dokończyłby—sam zaczął z niej podkpiwać, wysmiewać się, ale było śmiech gorzki, tragiczny, z jakim dowcipkuje chory ze swej choroby, na którą niema ratunku. Potem odesłał ją Fuchsowi, zniósł spokojnie obrażające skrzywienie i niekoniecznie pochlebną uwagę, a nawet wyrzekł kilka słów na usprawiedliwienie i przyjął pieniądze.

Ale tegoż wieczoru pił z Żywotem bez upamiętania, tak czuł się nieszczęśliwym.

Za drugim razem walka była łatwiejsza, wyrzuty słabsze. Werunsky fuszerował już z zasady. Poszukiwał i przyjmował nawet roboty małej wartości, a wstyd swój i hańbę zalewał u Trnków.

Przytem bojaźliwie unikał dawnych kolegów, ponieważ tych się jeszcze wstydził, lub przynajmniej czuł się wobec nich skrępowanym, gdy tymczasem, przed laikami się wychwalał. Mówił tylko o sobie, coby wykonał, gdyby miał czas i możność po temu, że czuje się na siłach utworzyć posąg, jakiegoby nikt inny w Czechach wymodelować nie zdołał. Z racyi tych przechwałek stał się Werunsky i w kołach pospolitego towarzystwa nieznośnym, wzbudzał litość w czulszych, a drwiny w bezwzględnych. Darmozjad i ludzie wątpliwej reputacyi zaczęli traktować go z koleżeńskim zaufaniem.

Ale przy zaniedbaniu w pracy i upadku swej ambicyi miał Werunsky chwile, gdy zapłonęło w nim, jak w popiele, dawne nieukożone pragnienie stworzenia czegoś wielkiego, doskonałego, sławnego.

Takie pragnienie ogarniało całą jego duszę i smagało go płomieniami, o których sądził, że już dawno wygasły, i rzucało go znów w pałający krater, z którego rodzą się krwawe iskry twórczych pomysłów. Ogień taki zajmował

się podstępnie, lecz pewnie, niespodzianie, w chwilach bezbronnych, chwycił go niepokonaną siłą swych porywów i oświecał nieubłagane całą głębię przepaści, w którą spadł na dno artystycznego i moralnego upadku, i wołał na niego:

— Nie rozpaczaj jeszcze, spróbuj, choć jeszcze raz ostatni! Może ci się uda!

Porwany tym głosem, czuł Werunsky, jak drży w nim nerw każdy niby struna, myśl jego wylaniała się z chmury odrętwienia i, podniecona płomiennem pragnieniem, naprężyła się do ostateczności, szukając w wirującym zamęcie setek marzeń znowu i znowu prawdziwego wyobrażenia ludzkiego Szczęścia.

Nawet w swym upadku powracał wciąż Werunsky do tej myśli, albo raczej ona wracała do niego napadała na niego, jak niepokonana.

Ale płomień ten nie trwał długo. Był silny, ale krótki. Nie znajdował już w duszy rzeźbiarza dostatecznej ilości palnego materiału.

Podsunał mu zwykle kika nowych wyobrażeń, wzbudził w nim natychmiastową decyzję. Ale wszystko to wkrótce w nim wygasało.

Wprawdzie i potem Werunsky zmuszał się do nowego rozwiązania problemu Szczęścia, ale myśli tych raczej używał jako uspokojenia, że się nie zaniedbuje.

Wykonywając niedbale i z niechęcią różne drobne zamówienia, mówił sobie:

— To nie ma żadnej wartości. Niech-no ja się zabiorę znowu do mego Szczęścia, pokażę im co umiem!

Pewnego razu jednak zapalał bardziej w jego mózgu jeden z pomysłów, powstałych w chwilach wybuchu dawnych marzeń. Był on dziwaczny, ale się mu podobał.

Zdawało mu się, że byłoby bardzo oryginalnie wyobrazić zwodnicze ludzkie Szczęście przez postać kobiety, której przednia strona byłaby pełna powabu i ponęty,

podczas gdy tylna przedstawiałaby straszliwy obraz ludzkiego szkieletu z czaszką bez oczu i wyszczerzonymi zębami. Zresztą, zamiast postaci kobiecej, mogłaby być dziecina, a możeby nawet robiła większe wrażenie.

Najlepiej byłoby, gdyby udało się projekt przeprowadzić tak, aby posąg zdaleka wydawał się postacią pełną powabu, a za zbliżeniem się dopiero widz spostrzegał wyrafinowanie zamaskowany szkielet. Przytem myślał o głowie Chrystusa przez Maxa z oczyma jednocześnie otwartymi i zamkniętymi.

Zajmował się nieraz takimi artystycznymi złudzeniami przez całe godziny, zapominając o innej robocie, i rozszerzał je mocą swej podrażnionej wyobraźni aż po za granice naturalności i możliwości wykonania. Kiedy wyrwał się z takiego rozmyślenia, przecierał ręką swe biedne czoło i smutno się uśmiechał, łapiąc się na tem pomieszaniu zmysłów.

XIII.

W tymże czasie rozwinęła się w nim szczególna, chorobliwa zabobonność.

Wmawiał w siebie, że nieszczęście dlatego tak go prześladowa, iż nie zdołał dotychczas uchwycić doskonałego obrazu szczęścia; jak tylko dokona tego w glinie, spęta je nazawsze ze swem życiem.

Myśl ta powoli zmieniała się w niezłomne przekonanie, a z czasem przyplątała się do niej druga, która wywiązała się z jego opieszałości. Nabrał przekonania, że

w tej pracowni, gdzie już dwa razy nie udało mu się próba stworzenia posągu Szczęścia, nie uda mu się i trzeci raz, i zaczął w siebie wnawiać, że już dawno doszedłby do celu, gdyby pracował gdzieindziej.

— Od czasu jak jestem tutaj, nic mi się nie darzy — rozumował; — co tylko przedsięwzię, nie szczęści mi się.

A wstręt jego do pracowni wzrósł do nienawiści.

Rzeczywiście też pracownia straciła cały powab. Od czasu jak Bożena tu nie przychodziła, wszystko było w nieładzie, a Werunsky zaniedbał się całkiem.

Okna były brudne, z nieomiecionych ścian zwieszały się pajęczyny, na podłodze osiadały i twardniały warstwy śmieci.

Odlewy figur były pokryte szarym drobnym pyłem, powstałym z suchej gliny, który osadzał się też w fałdach portyery i na ozdobach ścian. Przy najmniejszym powiewie ulatał w powietrze i osiadał zwolna na oknach i ścianach. I stoły modelacyjne pokryte były miękką warstwą kurzu, która całej przestrzeni ujmowała przyjemnej jasnej barwy.

Po kątach poniewierały się suche gałgany, stwardniałe bryły gliny, kawałki rurek gazowych, łąt, drutów, deseczek.

Stary Broż nie zadawał sobie ze sprzątaniami żadnej roboty. Werunsky był mu winien i nie śmiał mu nic powiedzieć, a zresztą stawał się obojętnym na ład w pracowni. Nic go nie obchodziła. A nawet z pewnem zadowoleniem patrzył na to spustoszenie. Życzył sobie tego z całej duszy.

— Dobrze jej tak, dobrze — mawiał i sam przysparzał umyślnie nieporządku.

Innym razem myślał: czy właśnie nie jest błędem wciąż rozważać o posągu Szczęścia? Czy dlatego właśnie nie zepsuł obu poprzednich modeli? Prawdziwe wyobrażenie, rzeczywisty obraz powinien się zjawić sam, to się nie

da wymusić. Co jest wymuszone, wymyślone, już przez to samo nie jest prawdziwe. Najlepiej tedy czekać, aż natchnienie przyjdzie samo.

Ale wszystkie te myśli pochodziły z upadku jego sił i służyły mu do uspokojenia wyrzutów, które odzywały się zwłaszcza wtedy, gdy był zmuszony coś sprzedać lub zastawić, aby zdobyć grosz na potrzeby domowe.

Po zastawieniu dwóch pierwszych losów, nastąpił trzeci i czwarty, a w październiku z tych pieniędzy zostało już tylko trochę. Drobnymi zamówieniami Werunsky cokolwiek zarabiał, ale za to wydatki w domu były większe.

W końcu września zachorowało znowu dziecko, i wezwano doktora, a Bożena tak była znużona i osłabiona, że, pomimo siły woli, ledwo się na nogach utrzymać mogła, i często się kładła; z obawy, aby nie musiała wziąć służącej, przyjęła tymczasem posługaczkę do pomocy.

Z nastaniem chłodniejszej pogody okazała się potrzeba cieplejszego ubrania, ale Bożena radziła na to jak mogła, nie chcąc nic kupować dla siebie, aby nie przysparzać wydatków. Ze strachem uważała, jak pieniądze płyną, i z obawą obliczała, na jak długo może wystarczyć, bo wiedziała, że fundusze Werunskiego się wyczerpują. Szczególnie się modliła, aby jej niebo wróciło siły i zachowało dziecko, a także, aby uratowało męża i dało mu dawny spokój nadzieję i zadowolenie z pracy, a ustrzegło od pijaństwa i rozpaczy.

Ze zgrozą patrzyła na jego upadek. A gdy przyszła do przekonania, co go spowodziło na tę drogę, żal i rozpacz nią miotaly. Załamywała wychudłe ręce i wpatrywała się w dal, na opadłe żółte liście, ślizkie czarne drzewa, na szare tęskne niebo, po którem przewalały się ciężkie fale mętnych, czarnych chmur; oczy zachodziły jej łzami, a na zapadłej twarzy przebijały się gorzkie wyrzuty.

Czemu, czemu z cichych Zejwic jechała do Pragi? Czemu umarł ojciec? Czemu chociaż nie zostawił jakiego majątku? O ile Werunsky byłby spokojniejszy!, nie patrzyłby na nią tak smutno i chłodno... Żeby choć cokolwiek teraz miała... Chociaż sto, lub pięćdziesiąt guldenów. Mogłaby sama zapłacić lekarza. Mąż nie potrzebowałby o tem wiedzieć. Kupiłaby wina. Ono tak wzmacnia... Byłoby jej zaraz lepiej.

A możeby napisać do sióstr?..

Te biedaczki same nic nie mają. Ale do ciotki Szwejnowej?.. Ona ma pieniądze. Mogłaby poratować.

Bożena przypomniała sobie jej gadanie, słyszała już w duchu te wszystkie wymówki. Nie, byle tylko nie do niej!

— Proszę pani, węglarz przyniósł węgle—rzekła posługaczka, wchodząc cicho do pokoju.

— Wszakże dałam wam w południe trzy guldeny?—rzekła Bożena ze strachem.

— Ale przecież w samej aptece zapłaciłam gulden dwadzieścia, potem nafta, potem—co to jeszcze?—tak, piwo dla mamki—i szynka... a mleczarce trzydzieści krejcarów, a bułki! Niech tylko pani policzy!

Bożena westchnęła i powlokła się do komody, gdzie miała schowane pieniądze. Drżącą ręką wzięła z nich pięć guldenów. To już były dziś drugie... A nie płaciła lekarza i sama ledwie cokolwiek zjadła.

— Jak to długo potrwa? jak długo?.. A on, Eda!

Dreszcz ją przebiegł, a kolana się ugięły.

— Chyba trzeba pójść do ciotki..—zdecydowała się znowu.—Lub może powiedzieć Lidzie..—ustępowała od poważnego zamiaru.

W tymże czasie Werunsky chodził po pracowni wzburzony, dręczony kłopotami i napadany różnemi uwagami. Dziś przed południem spotkał Poura z panną Fichtrówną i jej bratem.

Zauważył już dawno, że Pour szuka, dosyć nawet niezręcznie i nieoględnie, drogi do zawarcia jakiej znajo-

mości w celach matrymonialnych. W ostatnich czasach obok referatów o sztukach wyzwolonych objął dział krytyki teatralnej. A jak z góry traktował sprawy malarstwa i rzeźby, tak lekceważąco pisał o teatrze. Do sprawozdań teatralnych wtrącał często naiwne, ale uprzejme uwagi, tłómacząc się z kokieterią, że „niegrzecznie zdradza pełne znajomości rzeczy poglądy rozkosznej swej sąsiadki z miłutką kędzierzawą główką i iskrzącem spojrzeniem.” Czasami dla rozmaitości przyłączył inną grzeczność lub pochlebstwo o jej małych rączkach, różowych uszkach, nawet włoskach na szyi. Komplementa te zdawały się bardzo komiczne dla tych, którzy znali przymrużone żółtawe oczki i piegowatą twarz Poura.

Ale pan Pour nie dbał o złośliwe uśmiechy swych kolegów i uczynił w referacie o „Fedorze“ tkliwą wzmiankę także o głębokiem uczuciu swej sąsiadki. Sikowski, który niedawno zwrócił na to uwagę Werunskiego, nie wytrzymał i zaczął parodiować Poura.

— Wyobraź sobie, — mówił — siedzi tak obok swej sąsiadki; naraz drgnie, jakby go kto szczytnął, mrugnie oczkami, zwróci się do niej i szepnie: „Widzicie, widzicie, jak panna Koleszówna siadła i chłodzi się wachlarzem! Och! jak pospolicie. I to ma być hrabina! Ab, quel horreur! A przecież tym ludziom już sto razy to pisałem. Czytaliście przecież mój referat o „Fedorze?” Wiesz, ten z tą wzmianką — zwrócił uwagę Sikowski. — Potem rozciągnie tak usta i mruga oczkami. Sąsiadka się zaczerwieni, kiwnie głową, ale pan Pour szarpnie binokle i nieubłaganie ciągnie dalej: „Ale napiszę im to jeszcze raz wyraźniej. Zobaczę, czy posłuchają mej rady. Już najwyższy czas.” Rzekłszy to, wpije w pannę Fichtrównę oczy. Tak, — patrz.

— W kogo?—spytał Werunsky.

— No, w pannę Fichtrównę. No, w tę, co mieszka w jednym domu z tobą! Przecież to ta jego sąsiadka—wy-

rażnie odpowiadał Sikowski takim gniewnym tonem, jakim przemawiamy do kogoś, kto się pyta o znane rzeczy.

— Na siostrę Rudolfa? — chciał się upewnić Werunsky.

— No tak, tak, sto razy tak! — zirytowany przytakiwał Żywot.

— To chyba omyłka—niedowierzał Werunsky, ale Żywot rozgniewał się nadobrze.

— Przekonasz się, jak ich spotkasz. Przecież chodzą już sami po ulicy. Rex mu daje jakąś posadę.

Ale Werunsky jeszcze nie wierzył. A dziś ich spotkał. Właśnie wychodzili z domu. Więc już Pour bywa u nich. Ale na Boga, jak się to stało? Prawda, ona się starzeje, nie jest ładna, nie przebiera tedy... A Pour?... Ten robi jeszcze los. Ona jest wcieloną dobrocią i dostanie w dodatku posag. Idzie za przykładem Lemarego, a może nawet za jego radą. Karyerowicze... Fi!...

I Werunskiemu zrobiło się przykro.

Nie mógł się otrząsnąć, nie mógł zapobiedz myślom, tłoczącym się mu do głowy.

— To niezły interes. Nie, nie, ci chłopcy źle nie liczą. Ten Lemary,.. Teraz jest we Włoszech w poślubnej podróży. Właściciel dwóch kamienic. A to mieszkanie, ten przepych wszędzie... Bez kłopotów, całe życie spokojne. Zapewniona przyszłość... To wiele znaczy, to jest szczęście, wielkie szczęście... A ten Pour! Ten ograniczony, nadęty pajac. I ten sobie byt zapewnił. A tę Fichtrównę mógł mieć on sam, on, Werunsky! Nieładna, ale cóż po piękności? Śmieszne! A jakie to byłoby teraz życie! Zupełnie inaczej. A jeszcze przed ślubem pisał do niego brat... Prawie ją nastęrczał! Ale on chciał przekonać, że się wszyscy mylą. Na złość im trzymał się swej iluzji. Naturalnie, że „iluzji, iluzji, iluzji!”

Werunsky z gniewem wyrzucał te słowa, jakby urągał czemuś niewidzialnemu.

Coś podobnego do zawiści przejmowało go wskroś, tak—zawiść i szal. A w tym szale odwoływał wszystkie swe poprzednie zasady, odwoływał je gniewnie i pogardliwie, jakby się chciał na nich zemścić i na tym dawnym Werunskim.

— Jaki to był głupiec, uparty głupiec!—syczał przez zęby.—Cierp teraz, cierp za niego—irytował się.—dobrze ci tak!

A rękoma przytem ścisnął skronie, jakby się bał, że mu głowę rozsądzi. Nagle podbiegł do biurka, szarpnął szufladkę i ze stosu papierów i biletów wizytowych wyciągnął fotografię, swoją własną fotografię, robioną przed dwoma laty.

Przyglądał się jej pół smutno, pół drwiąco.

Tak, temi głupcami, czulemi oczyma patrzył na cały świat. Tem spojrzeniem, pełnem marzycielstwa i nadziei... Ach, co? — nadziei?

Bezgranicznego niedoświadczenia, raczej głupoty, tak, tak, głupoty! Głupoty.

I patrząc na swą podobiznę, próbował wyobrazić ją sobie ożywioną. Widział przed sobą tą bladawą twarz o szlachetnym wyrazie, otoczoną miękkim zarostem, śpiczasto przystrzyżonym, ten delikatny, zgrabny wykrój nosa, to oko, to czule zielonawo-modre oko, to szerokie czoło i włosy, lekko i szykownie nad niem przyczesane. Widział się z tym delikatnym uśmiechem na ustach, jasno widział tego młodzieńca o średnim wzroście, lecz sprężystej postawie,— a gdy go sobie tak wyobrażał, przejmowała go nienawiść ku niemu i wydał się mu tak dalece wstrętny, żeby go był na miejscu zamordował. Wyobraził sobie już nawet, jak pada, jak się chwieje, jak krew tryska z rozbitego czoła i cienkim prążkiem ścieka! Widział, jak wargi drgają, oko powoli się obraca, w końcu staje słupem i strasznie cierpie, stygnie w zasiniących powiekach.

A wobec tego okropnego widziadła Werunsky odczu-

wał szczególną rozkosz. Rozbierał je w najmniejszych szczegółach i pieścił się niemi. Nawet nie zauważył przytem, że wpija paznogie w fotografię, wydłubuje jej oczy, potem drapie całą twarz, w końcu rozrywa na kawałki.

— Tak należało zrobić... a byłoby się skończyło zaraz. Podczas gdy tak...—szeptał przytem.

— Et, co tam!—obrótł się i rzucił resztki fotografii.

Potem sięgnął do kieszeni, wyjął woreczek i zaczął liczyć pieniądze. Gulden, dwa — trzydzieści dwa, czterdzieści dwa... czterdzieści pięć — och, to jeszcze wystarczy na jutro.

Przeciagnał palcami włosy i zaczął gwizdać. Następnie wrócił do biurka, powrzucał wyciągnięte z niego papiery i chciał szufladkę zasunąć. Ale nie mógł: coś się wewnątrz oparło. Sięgnął i namacał jakąś teczkę. Kręcił nią, kręcił, aby się usunęła, a wreszcie szarpnął nią ze złością, aż mu z ręki wypadła na podłogę. Przypomniał sobie: był to jeden z podarków, otrzymanych na gwiazdkę przed kilku laty. Schylił się po nią.

W teczce była żółtkła fotografia gabinetowego formatu. Grupa rodzinna.

Jego matka siedzi w środku, a wkoło niej trzech już dorosłych chłopców. To jego bracia, a on najmniejszy z nich. Była to kopia fotografii wielkiego formatu, która wisiała nad biurkiem ojca.

Myśl Werunskiego zabiegła w te czasy. Był wtedy w piątej klasie. Pałał wówczas chęcią wstąpienia do akademii, aby się stać artystą.

Werunsky wpatruje się w tę dziecinną jeszcze twarz i chce z oczek wyczytać to pragnienie. Wpatruje się ze smutnym uśmiechem. Potem patrzy na matkę... ona go tak kochała, tak była dla niego dobra! Jej się przyznał do swych planów, i obiecała się wstawić za nim u ojca.

Gdyby go tak teraz widziała!.. I ojciec!—Wyobraża jego szczupłą figurę z surową urzędniczą twarzą i wielkimi wąsami. „Nie mówiłem tego? nie ostrzegałem cię?.. Teraz jesteś artystą, no patrz, jak daleko doszedłeś!—słyszy jego głos.—Spojrzyj na Emanę i Fryderyka!”

I Werunsky patrzy. Eman był już wtedy na technice i nosił okulary. Jasne jego włosy odcinają się ostro na na fotografii. Twarz jego ma wyraz niemiły, przekorny.

A ten apatyczny Fryderyk! Jak obojętnie tu stoi! W domu wciąż na niego krzyczeli, wciąż go łajali.. Ale teraz... Ojciec miałby z niego pociechę. A cóż dopiero z Emaną! Obaj bogaci, poważani, silni. Tylko on, tylko on nędzny preletaryusz... „Oto artysta!”—słyszy znowu ojca i widzi jego uśmiech sarkastyczny. I matka patrzy na niego tak tkliwie, smutnie zawiedziona.

„Jednak byłeś na to za słaby, zamiar przeszedł twe siły. Szał młodości, nic więcej...”

Werunskiego przejmuje rozpacz.

— Nie, nie, nie!—przeży:—ale powinienem był ożenić się choćby z Fichtrówną... Pieniądze, pieniądze, pieniądze!

I cisnął teczkę z powrotem do biurka, zatrzasnął szufladkę i chwycił kapelusz i laskę.

We drzwiach wpadł na starego Broża, który szedł do niego. Uniósł czapki, stanął przed nim, nachylił się i mruzczał coś, że nie ma, że potrzebuje...

— Niech się pan nie gniewa, ale prosiłbym, abyście byli tak łaskawi.. no, wiecie.. już dwa miesiące—a nie-miła jego twarz zmuszała się do grzecznego uśmiechu.

Werunsky wyjął z kieszeni dwa guldenty i podał mu:

— Resztę na pierwszego—rzekł prędko i trochę się zaczerwienił.

— Bóg zapłać!—mruknął za nim Broż; — przecież ja poczekam..

— Będziemy pić na kredyt!—syknął Werunsky, uderzył się po kieszeni, plunął przez zęby i poszedł szybko, jakby mu się śpieszyło.

— Trzeba się i do tego przyzwyczaić. Stoczyć się najniżej, aby prędko.

XIV.

W końcu października domęczyło się nareszcie biedne maleństwo Werunskich. Słabo tlejący płomyk jego życia zagasł zupełnie.

Nieruchomo leżało nędzne ciało jego na kolanach matki, która rozpaczliwie wpijała zapadłe swe oczy w mrok wieczorny, przenikniony całą okropnością jesiennego zamierania przyrody.

Cienie jego, pełne bezgranicznego smutku, przedzierały się zapoconemi oknami do pokoju i rozpełzały ociężałe po wszystkich kątach.

Ani razu już zsiniała drobna twarzyczka nie drgnęła konwulsyjnym dreszczem, ani razu już ze strachem i wyrzutem nie otworzyła oczek, i nie poruszyły się one pod zakrytymi powiekami; spokój, śmiertelny spokój zawładnął każdym mięśniem tej dziecińcy, której dni życia, były jednym pasmem bólu, której przedwczesne urodzenie zdawało się być sądzone do rozsiania zagłady, a której śmierć była pozbawiona siły do odnowienia zatrutego spokoju. Nieszczęsne stworzenie, w boleściach zrodzone, przeznaczone na cierpienia, przyniosło z sobą ból i rozpacz.

Skonało..

A z jego życiem zagasła ostatnią iskierka, która się

bojaźliwie utrzymywała, a jednak wciąż unosiła się i błyszczała nad falami zniszczenia, walącemi się dokoła.

Z jej życiem zagasła w duszy Bożeny pozostała reszta siły do życia, reszta rezygnacyi do znoszenia tego nieszczęścia i odwagi do walczenia z niem.

Jeszcze do chwili pogrzebu zdawała się utrzymywać jakas siła w Bożenie. Ale było to wywołane i utrzymane tylko podnieceniem, powstałem ze strasznego bólu.

Ubrała swe dziecię, ozdobiła je w trumienne wiązanki kwiatkami, obrazkami i przygotowała do skromnego pogrzebu. O śmierci jego wzbraniała się uporczywie zawiadamiać kogokolwiek.

Po co słuchać jeszcze uwag o tam, że dziecko było słabowite, i że lepiej, iż je Bóg do siebie powołał? Dlatego podczas przygotowań pogrzebowych objawiała wielkie rozdrażnienie i obawę, aby tylko pogrzeb odbył się cicho i pośpiesznie.

Ale z cmentarza powróciła złamana w zimne ściany swego domu.

Teraz tu już nic nie było, coby ją z niemi wiązało, coby zachęcało do życia; teraz ściany te zdawały się drwić z niej: „Od dziś będziesz tu samotna, bez żywego stworzenia, zupełnie sama, opuszczona, bez strachu, ale i bez nadziei, spokojna, ale bez celu.”

I przejęła ją straszliwa tęsknota, i nabyła smutnego przekonania, że w życiu nie ma już żadnego zadania, prócz dowleczenia się cicho do grobu.

Myśl ta ją przeraziła.

Na razie strach ją przejął, ale powoli oddała się jakiejś spokojnej rezygnacyi, stopniowo przechodzącej w mniemaną suchą obojętność.

Jedno tylko teraz miała pragnienie, aby się co prędzej wynieść z tego mieszkania, z którego kątów dotychczas słyszała jęczące kwilenie swego umierającego dziecka, a z którego ścian czasami w ciszy i opuszczeniu długich

nocy odbijało się ciche echo dawno przebrzmiałych pocałunków i słodkich słów miłosnych.

Jakie morze bólu wzbudziły te wręcz przeciwne sobie wspomnienia i w jakie głębie zawodów zapadały bezpowrotniel

W połowie listopada nareszcie przeprowadzili się na ulicę Macha.

Pogoda w tych dniach była fatalna.

Z ziemi i chmur jakby unosiła się i opadała ciężka, wlokąca się mgła, nie mogąca się oderwać ani od ziemi, ani od nieba, ale osłabiona oplatała się około gałęzi nagich drzew i wieszala zestraszona u ścian domów i okien. Kto z nich wyjrzał, widział jedynie szarą, smutną zasłonę, która zdawała się otulać jego duszę i serce i dusić je tęsknotą i rozpaczą.

W nowem szczupłym mieszkaniu, przesiąknięm odorem biedoty, przypominającym stare malowidła, mieszkaniu, które pokrzywionemi podłogami, otłuczonymi kantami niedomykającemi się drzwiami i ramami okien, każdym kątem i każdą szparą wskazuje położenie tych, którzy tu przebywają, Werunsky czuł się jeszcze nieszczęśliwszym.

Wszystko się na to składało, wszelkie jego przyzwyczajenia oburzały się na te ordynarne i nieubłagane dowody niedostatku. Wszystko go stąd wypędzało, wychodził stąd, skoro tylko wstał, a wracał w stanie obojętnym na otoczenie.

Czasami zapatrzył się oknem z pokoju tam ku Kercim lasom, lub w prawo w dolinę Wełtawy, z której parowała mgła, potem na Pankracki kościółek, i przejmował go taki smutek i tęsknota, że uciekał z domu, aby je co prędzej zapisać.

W tym właśnie czasie miał dosyć pieniędzy.

Gdy dziecko umarło, a komorne trzeba było płacić, nie miał w domu ani krajcara, a prócz tego urósł już dość duży dług Werunskiego u Trnków. Nie pozostawało nic

innego, tylko zdobyć trochę pieniędzy za jakąbądź cenę; pogrzebu odłożyć nie można, a lekarza trzeba także zapłacić... Zastawić już nic nie mieli prócz mebli... W dodatku postanowił Werunsky wymówić mieszkanie na pracownię, a gdyby znalazł odpowiedniejszą, dać na nią zadatek.

W tych kłopotach Werunsky obmyślał różne plany.

Chciał pójść do braci, to znowu zwierzyć się Towarze; w końcu wpadł na pomysł prosić o pożyczkę panią Szwejnohową. Ale jeszcze w porę przewyciężyła w nim ambicya, i wyszukiwał w myślach kogoś obcego, któremu nie potrzebowałby się zwierzać, przyznawać, od kogo nie potrzebowałby się obawiać wymówek, poniżającego napominania, zgryźliwych docinków.

Wtedy przypomniał sobie Rexa i jego list o czterystu guldenach.

Werunsky się chwilę zawahał, ale znużony okolicznościami, przemógł ostatecznie swą drażliwość i udał się do sekretarza Rexa.

Była to droga cierniowa. Odzywała się w nim dawna jego duma, przypominając mu, jak szlachetnie w styczniu odrzucił wszelkie wynagrodzenie i jak był zadowolony ze swego postanowienia. Jak się baron uśmiechnie, gdy teraz zobaczy, że jednak się poniżył, i jak mu to z pewnością da uczuć! Ale ostatecznie idzie po swoją należność, nie potrzebuje się prosić...

A wreszcie Werunsky już łatwo teraz uspokajał swą dumę.

Nauczywszy się tłumić swą artystyczną ambicyę, był na najpewniejszej drodze przyzwyczajania się do zwalczania osobistej dumy. Przecie już potrafił być dłużnym Brożowi, w gospodzie, potrafił nawet pożyczać sobie po kilkadziesiąt krajcarów od Sikowskiego — czemużby tedy wstydział się zgłosić po należne mu pieniądze?

W kancelaryi barona nabrał przeświadczenia, że da-

remnie obawiał się jakiegoś poniżenia. Wyplacono mu pieniądze bez zastrzeżeń, bez uwag, grzecznie, jak się należy.

W tem postępowaniu była także zemsta barona, która zabolala Werunskiego więcej, niżby go dotknął jaki docinek.

Z otrzymanych pieniędzy zapłacił przedewszystkiem długi, potem skromne wydatki pogrzebowe. W początku listopada wymówił Werunsky rzeczywiście pracownię, chociaż nie szukał nowej.

Nie dbał już o to. Teraz miał pieniądze, następnie przez śmierć dziecka zmniejszyły się domowe wydatki, po co tedy zaprzęgać się zaraz do pracy, której i tak nie pragnął, a która go tylko rozdrażniała i napełniała niepokojem?

Nie chodził do pracowni, unikał domu, tylko wyszukiwał Żywota, a nawet płacił za niego, aby nie postradać jego towarzystwa.

W owym czasie Werunsky spadał szybko.

Powierzchnowość jego była coraz bardziej zaniedbana. twarz nabrzmiała, spojrzenie zalękłe, on sam jakiś rczlazły, a piwo czuć było od niego zdaleka. W domu nie mógł usiedzieć, a ile razy spotkał się z wejrzeniem żony, spuszczał oczy i co prędzej uciekał.

W nocy, gdy gospodę już zamykano, z przykrością myślał o musowym powrocie do nienawidzonego mieszkania i czuł się nieszczęśliwym, wiedząc, iż niema już gdzie z przyjacielem zasiąść i gawędzić dalej, lub wesprzeć zmęczoną i otumanioną głowę i pozwolić na krążenie w niej przypadkowych wspomnień o lepszych czasach, w atmosferze przesiąkłej dymem i piwnymi wyziewami, przejętej drżącymi głosami pijaków, którzy go dobrze znali, a między którymi jemu było tak wygodnie i przyjemnie...

Za to Bożena snuła się rada po nowem mieszkaniu. Przyglnęła do tego smutku, zżyła się z jego tęsknotą.

Całemi godzinami siadywała przy oknie i wpatrywała się w zamierającą przyrodę. Mętnemi oczyma czepiała się tego obrazu śmierci na szarem niebie, na którym słońce zjawiało się jako żółtawa plama w mętnej mgłę. Wy-chudła, blada jej twarz za drżącym od podmuchu wiatru oknem zdawała się chcieć przeniknąć do tego koła zagłady, być oprzędzoną jej siecią, umierać razem ze wszystkim, co kona dokoła powoli i cicho, ale pewnie i nieubłaganie.

Nie mogła się nawet oderwać od tego obrazu, i wydawało się jej, że gdyby ukazało się słońce i rzuciło na ten kraj swój uśmiech, odeszłaby od okna niezadowolona i zawiedziona.

Cieszyło ją to, że może patrzeć tak daleko, aż tam, gdzie szare niebo tuli się do szarej ziemi, powoli, śmiertelnie. Czuła podobne tłoczenie na swych piersiach, także powolne, lecz nieodwołalne.

Cały dzień spędzała tu sama. Nikt do niej nie przychodził. A jednak chodziła jakby się bała przeszkodzić komu, jakby pragnęła, aby ją jak najmniej widziano i słyszano. Zdawała się ciągle obawiać, że komuś przeszkadza.

Jeżeli Werunsky przyszedł w południe na obiad, nie wchodziła za nim do pokoju, usuwała mu się z drogi, a jeżeli weszła cicho szeptała: „Przepraszam, przepraszam”—i stawała przy samej ścianie.

Oczy jej wyrażały niemą prośbę o trochę litości, póki jej będzie potrzebowała.

Wiedziała, że nie wytrwa tu długo. Napadał ją gwałtowny kaszel, a choć go tłumiła, choć wciskała w ataku głowę w poduszki, jednak zawsze potem spoglądała na mężą załzawionem okiem, błagającym o przebaczenie.

Owładnęła nią zupełnie myśl, że mu jest ciężarem,

ciągle się bała, a w tym strachu stawała się niezręczną, i chcąc wszystko załatwić jak najciszej, ominąć wszystko, co chwila się o coś uderzała, parzyła sobie palce, upuszczała talerze.

Ruchy jej pozbyły się pewności, a Bożena, wiedząc o tem, stawała się jeszcze bardziej lękliwą. Obawa ta zwiększona była jeszcze świadomością, że się zestarzała i źle wygląda. Choroba i strapienie patrzyły jej z oczu i trawiły ją nieubłaganie. Nikła z dnia na dzień, a obserwując chudnienie ciała i zapadanie się twarzy, niechętnie pokazywała się ludziom.

Pewnego razu, w napadzie czułości, która Werunskiego czasami nawiedzała, zbliżył się do niej pobłażliwie i spytał, czyby nie chciała przejść się z nim. Ale ona zrozumiała dobrze litościwy ton jego głosu i także spojrzenie.

„Ach, nie fatyguj się, nie zmuszaj, daj mi pokój!” — znaczył jej smutny uśmiech i zaprzeczenie głową.

— Czy czujesz się może słabą? — spytał mąż, któremu jej się żal zrobiło.

— Już to lepiej nie będzie — rzekła cicho i spokojnie.

— Ale nie trać-że nadziei! — pocieszał ją łagodnie, i pocałował w czoło, wyszedł.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, zaniósła się Bożena od płaczu.

Przypomniała sobie te czasy, gdy chodzili razem, i obudziło się w niej pragnienie choć jeszcze raz jeden, jeszcze na chwilę, wzbudzić w nim dawne uczucie. Ale było to tylko chwilowe.

Zaraz przyszło jej na myśl, jak on zwykle patrzy na nią z pod oka, jak obserwuje jej wynędzniałą postać, odwraca od niej oczy; odczuła znowu, że widok jej sprawia mu przykrość, i gorzki uśmiech wykrzywił jej usta.

— Wszystko daremne.. obym już tu nie była! — szepnęła, i ozwała się w niej niepohamowana żądza śmierci.

Powoli wstała i zawlokła się do swego okna, i przyciskając palające czoło do zimnej szyby, wpatrzyła się w smutny, cichy Pankracki cmentarz, jakby go chciała do siebie zbliżyć.

Wcale już nie dbała o ubranie. Po domu chodziła w przydeptanych trzewikach, w barchanowej spódnicy i kaftanie, który marszczył się na jej wychudłych ramionach. Zabiegała już tak i do mleczarki, i do sklepiku zarzuciwszy na plecy tylko chustkę. Nikt jej nie obchodził, była na wszystko obojętną.

Nie różniła się już teraz od tych spracowanych kobiet, które mieszkały w sąsiedztwie i schodziły się wieczorami na gankach w zniszczonych trzewicznach i łatanych spódnicach. Z roztarganymi włosami, wyglądającymi z pod zatłuszczonych chustek zwierzały się wzajemnie ze swych kłopotów, spoglądając na siebie bez współczucia, bez litości; otwierały swe rany tylko dlatego, aby czuć na chwilę ulgę przy słuchaniu zmartwień swych sąsiadek.

Bożena czuła pewnego rodzaju zadowolenie, że nie różni się już od nich, i że one patrzą na nią obojętnie i bez zazdrości.

XV.

Pewnego dnia w końcu grudnia, gdy Werunsky zaszedł wypadkiem do swej pracowni, znalazł we drzwiach zatknięty bilet Towary z temi słowy:

„Jestem u ciebie po raz trzeci i, niestety, zawsze cię nie zasąję. Chciałbym się z Tobą widzieć, proszę Cię tedy: odwiedź mię w pracowni, gdzie zawsze bywam przed

południem. Przed tygodniem wróciłem ze wsi. Było mi tam znakomicie. Szczegóły ustnie.”

Bilet czekał tam trzy dni, i gdyby coś podobnego stało się przed rokiem, Werunsky bez dalszej zwłoki pośpieszyłby do Towary. Ale teraz się rozmyślił.

Wstydził się pokazać Towarze. Stając przed nim w tem zniszczonem ubraniu, z tą twarzą, na której wyryty był jego upadek.. Nie miał odwagi znieść spojrzenia przyjaciela, w którym znać byłoby podziwienie, litość i wyrzuty.

Dlatego zaproszenie to było mu nie na rękę, niepokoiło go, i radby, żeby Towara całkiem o nim zapomniał. Wiedział on atoli dobrze, jak to będzie dziwnie z jego strony, jeżeli zaproszenie przyjaciela zostawi bez odpowiedzi.

— A wreszcie mogę tam kiedy wstąpić, może tak źle nie będzie, ale później, przy sposobności—zdecydował się nakoniec i odkładał wizytę z dnia na dzień.

Towara był wytrwały, i nie mogąc doczekać się Werunskiego u siebie, wpadł pewnego razu niespodzianie przed południem do Trnków.

Przez tych parę miesięcy, które strawił na prowincyi, powierzchowność malarza zyskała.

Z opalonej twarzy oczy jego patrzyły pewniej i jaśniej. Wyraz twarzy oznaczał zadowolenie i szczęście—a przytem czytać z niej można było siłę, pewność siebie. Pozdrowiwszy serdecznie Werunskiego i Żywota, przysiadł się do nich i podczas rozmowy śmiał się, żartował, dowcipkował, co dawniej rzadko się u niego zdarzało.

Całe lato strawił w willi swego teścia na Szumawie. Jak cudowna okolica, jak go ten pobyt oświeżył, z jakim tam zapalem pracował!

— Wiesz, jak się człowiek po tylu latach dostanie znowu na łono przyrody, do tego raj, jeżeli go nie powołuje żaden obowiązek ani kłopoty, jeżeli potrafi się żyć

nałęczycie z nowymi warunkami i pokocha naturę, to się ożywi, nabierze sił; czuje to dobrze, jak ją wdycha z tych lasów, łąk, jak przechodzi mu w krew, odmładza i dopiero widzi ile stracił, siedząc wciąż zamknięty w mieście, poszukując pracy i troszcząc się o zarobek.

— Jam odmłodniał, Werundo, o pięć lat przynajmniej! Chociaż nie próżnowałem!

A jakże! Pokażę ci studia, gdy do mnie przyjdiesz. Całą gromadę! Wiesz, łaknąłem tych wrażeń wsi. Ciągłe w mieście i tylko w mieście — poprostu pochłaniałem tę wieś, przybywszy tam głodny i spragniony. Nic nie uszło mej uwagi, wszystko mię zajmowało. Jak tylko przyjdiesz, zobaczysz, żem nie próżnował. Pomyśl tylko: całe lato i pół jesieni.

Dopiero w ostatnich dniach odpocząłem. A właściwie namęczyłem się jeszcze więcej w literalnem znaczeniu wyrazu, bo łąziłem od rana do wieczora z fuzyą i patronami. Wiesz, przyjacielu, a znowu namiętnie! Poprostu, jak waryat. Spójrz tylko, wyglądam jak Cygan—i odwinął kołnierz z opalonego do czerwoności karku.

Gdyby nie to polowanie, już dawno byłbym w Pradze. Na wsi już było porządnie zimno. Żoneczkę przed miesiącem już wyprawilem — była po temu jeszcze inna przyczyna.

Towara uśmiechnął się, oczy mu się zaiskrzyły, a koło ust krążył figlarny uśmiech.

Skoro malarz wyrzekł słowo: „żoneczka,” Werunsky spojrział mu natychmiast w oczy.

Dotąd nie słyszał go wcale z ust Towary; wogóle przywykł do tego, że malarz unikał wzmianki o żonie. A teraz ni z tego ni z owego: „żoneczka!”

Co za zwrot?

— Ale co tu mamy siedzieć, chodź ze mną... tylko bez wymówek... nic 'nie pomoże, chodź, chodź! I wy, Sikkowski!—zwrócił się także do Żywota, który drwiąco się

uśmiechnął, machnął ręką i rzekł niedbale:

— Idźcie sobie sami, ja muszę być w domu. Jadę po obiedzie z kapeluszami do Mielnika.

— A więc zostańcie! — niecierpliwie przerwał Towara.—Ale ty pójdiesz ze mną—zwrócił się do rzeźbiarza.—A na przyszły rok pojedziesz z nami na wieś z żoną! Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi. A zwłaszcza jej. Powiadam ci: to rozkosz!

I rozjaśniony radością, ciągnął wzdragającego się Werunskiego za sobą.

— A co mam fotografii, a jakie!.. Wiesz, mógłbym zostać fotografem z zawodu. Ale bo też mam przepyszny aparat—mówił Towara dalej po drodze, i zaraz zaczął opowiadać o jego zaletach i jak nabrał wprawy w obchodzeniu się z nim.

— Będę ci teraz fotografował szkice, modele, posągi, co tylko zechcesz, lepiej niż kto inny.

Towara nie umilkł na chwilę. A Werunsky, widząc, że on nie robi żadnych przytyków, o nic nie pyta, pozbył się powoli swej nieśmiałości i obawy i słuchał przyjaciela z przyjemnością.

Gdy weszli do pracowni Towary, rzeźbiarz stanął jak wryty przed wielkim obrazem, wystawiającym małżonkę malarza w stojącej postaci, wielkości naturalnej, w białej muslinowej ponsowo-centkowej letniej toalecie, w białym, słomianym ogrodowym kapeluszu na głowie, ozdobionym kwiatami dzikiego maku, których ognisty kolor wspaniale odbijał od czarnych włosów Reginy, zczesanych na czoło. Od runda kapelusza padał cień na połowę wyrazistej twarzy, za to partye koło pełnych ust i okrągłej brody były mocno oświetlone i rzucały znowu pełne cienie na obnażoną szyję, świecąca połyskiem pięknej cery.

W jasnym oświetleniu było też piękne popiersie Reginy i ręce obnażone aż do łokcia; pełne, miękkie, ciepłe te ręce, traktowane po mistrzowsku, jakby wystawały nad płótno.

Obraz lekko rzucony pełen był powietrza i światła, a rzec można: i uśmiechu. Głębokie tło wyobrażało szaro-zielony skraj lasu, leżącego za łąką, błyszczącą jaskrami w świeżej zieleni.

Werunsky był zachwycony tym obrazem, tyle w nim było letniego żaru, życia, namiętności.

Czyż Regina teraz tak wygląda? Czyż z tej dziewczyny stała się tak powabna kobieta?

Werunsky wpatrywał się w te miękkie, pełne kształty i nie mógł od nich oczu oderwać. Ile wspomnień, porównań przeszło mu przez głowę!

Z uśmiechem na ustach i wesołym wejrzeniem stał za nim Towara. Napawał się podziwem Werunskiego, jak smakosz, spoglądając na niego co chwila.

— Cóż ty na to mówisz? to niespodzianka, co? — przerwał nakoniec rzeźbiarzowi.

Ten odpowiedział cichem westchnieniem.

Wtedy Towara objął go lekko ręką za szyję, przyciągnął do sofy i rzekł łagodnie, ale poważnie, jak człowiek, gotujący się do zwierzenia tajemnicy lub wyznania:

— I we mnie zaszła wielka zmiana.

A spojrzawszy przyjacielowi w oczy, uśmiechnął się, poczem wyrzekł z namiętym zapałem:

— Ja kocham ją — swoją żonę — słyszysz? Ona jest rozkoszna!

A po tym wybuchu mówił jednym tchem, jakby tłómacząc się:

— Nie masz pojęcia, jak ona mię kochała, jaka była pobłażliwa i dobra.

Kiedy malowałem Bertę — wiesz tę od Trnków — ani pisała, patrzała zawsze z uśmiechem zadowolenia, ale w głębi serca ukrywała chęć wielką, abym ją malował. Tylko gdy była sama, smuciła się i płakała.

Nic nie wiedziałem, nawet nie przypuszczałem. A dopiero na wai, gdym tylko ją miał przy sobie, zacząłem ją

badać, i naraz odkryłem w niej tyle powabu. Wiesz, umiała tak spojrzeć, a w tem oku było tyle ognia... tyle namiętności!

Raz powiedziałem jej, że zrobię jej portret. Gdybyś ją był wtedy widział! O, to się nie da opowiedzieć!

A kiedy mi pozowała, to zdawało mi się, że ona „chce” być piękną; chęć ta wyrażała się każdym muskułem twarzy, chęci tej poddał się blask oka, wykrój ust, barwa policzków... i stała się piękną! I była codziennie piękniejsza. Wiesz, nie kłamię, widziałem to: cudownie się rozwijała!

Pokochałem ją i czułem, że kocham ją codziennie więcej, ak, jak żadna dotychczas na świecie!

Werundo, jam bardzo szczęśliwy! Ty nawet nie wiesz! I namiętnie uścisnął przyjaciela.

Ale po chwili, jakby wstydząc się tego wybuchu, Towara zwrócił jego uwagę na liczne rodzajowe szkice, studia krajobrazów rozwieszonych po pracowni, lub ułożonych w tekach, z których je wyjmował i kładł przed Werunskim.

Między nimi były i studia strojów, tu i tam charakterystyczna głowa starca, staruszki, mężczyzny w sile wieku, szkice dzieci, główek dziecinnych, pobieżnie rzucone postacie kobiet i dziewcząt, pracujących w polu.

Dalej znowu pojedyncze grupy drzew, interesujące swym kolorytem, mieniającym się w dali i odznaczające się charakterystyką ułożenia.

Tu i tam jaka typowa chałupa, domek, krótko mówiąc: cały zbiór rzadkich i cennych rysunków i studyów.

Potem przyszła kolej na fotografie, których była wielka obfitość. A jakie zajmujące! Ile tu uchwycono charakterystycznych szczegółów! Był to bogaty plon widocznie niezwyklej pilności i poważnej pracy.

Towara opowiadał o nich: gdzie, jak i co?.. tu wplątał wspomnienie, tu żart, tu dowcip.

Nakoniec zatrzymali się znowu przy dwóch szkicach do portretu Reginy.

Na każdym była w innym ubraniu, a na jednym siedziała na brzozowym krześelku.

Na ostatnim była w tej tualecie, co na portrecie, tylko ocieniona roztworzoną parasolką.

Pokazując to Werunskiemu, malarz nie mógł się powstrzymać od opowiadania o żonie.

— To szczególne, jakeśmy się zbliżyli, a właściwie jak ją pokochałem. Prawie jak w bajce.

A cóż dopiero teraz! Przecież już na Boże Narodzenie nie będziemy sami, Werundo! Przecież już będziemy mieli stroić dla kogo choinkę. Nie wiesz, jak się z tego cieszę: jak waryat!

Wiesz, nigdy nie byłem sentymentalny, nie wierzyłem w to wcale.

Szczęście rodzinne! Ba! dla mnie zdawało się to zawsze złudzeniem. Jak żyję, nie rachowałem na nie, nie dbałem o nie wcale.

A teraz posiadam je. Samo przyszło. Wiesz, jak mi się to wydaje?

Zadawszy to pytanie, spojrział badawczo na Werunskiego, który siedział obok ze spuszczoną głową, bujając bezmyślnie prawą nogą.

— Gdy jeździłem jeszcze z akademii do domu na wakacje, bywałem często zapraszany na niedzielę do doktora, który był u nas prezydentem miasta. Znakomity człowiek! Bogaty, młody, miał piękną żonę i dwuletnią pociechę, Jarmilkę. Dzieciak, jak aniołek.

Wiesz, już przez grzeczność, wszyscy goście zajmowali się Jarmilką, przynosili jej co tylko mogli, szukali jej gonli, brali na kolana, pieścili. Przesadzali się w grzeczności. Ale bo też była w tem i prawdziwa sympatya—bęben był jak malowany.

Ale im bardziej ją kto do siebie wabił i nęcił, im

więcej starał się o to, aby do niego poszła, chwilę się popieściła, tem maleństwo bardziej uciekało, a nawet nieraz zaczynało krzyczeć.

Wiesz, jam znowu nigdy o dzieci nie dbał: co mnie tam miało obchodzić takie Cyganiątko? I o Jarmilkę się nie dobijałem. Prawie wcale na nią nie zwracałem uwagi.

Ale czy uwierzysz, że dziecina przychodziła najpierw do mnie? Wybiegała naprzeciw mnie, szukała u mnie opieki od napaści innych, tuliła się do mnie, pieściła ze mną na złość drugim. Czy wierzysz?

Teraz myślę, iż tak samo jest w życiu. I szczęście jest tak przekorne. Kto go najmniej szuka, ten go najpierw osiąga, Cóż ty na to?

I zapatrzył się w Werunskiego bystrym, jasnym wzrokiem, a koło ust krążył mu przyjemny uśmiech.

— Zdaje się, że masz słuszność—bąknął Werunsky po chwili, nie z przekonania, lecz aby tylko coś powiedzieć.

To, co słyszał i widział u Towary, oddziaływało na niego za silnie, aby mógł sobie na poczekaniu zdać z tego sprawę.

Tysiące wspomnień i myśli przechodziły mu przez głowę, a mimo woli ogarniał go powoli niepokonany, ciężki smutek. Czuł się tak skrepowanym, tak obcym względem Towary! Bał się na niego spojrzeć, zbliżyć do niego; przeciwnie, pragnął stąd wyjść, usunąć się daleko i być—samym.

Zaczynał aż nienawidzić tego człowieka, który go tu dręczy opowiadaniem o swem szczęściu. Bał on się z niego wyśmiewa. A z jakim dyabelskim wyrachowaniem!

A czując bliskość Towary, chciało mu się nań rzucić, porwać za kark, cisnąć o ziemię, aby się już nie ruszył, aby już nie mógł nawet pisać o tem szczęściu, którem go sunaga, którem go morduje, które spada nań jak deszcz ka-

mienny, które nań się zsuwa jak niebotyczna skała i krusza go i miażdży jak robaka. Co prędzej precz od niego, bo tu jeszcze oszaleje!

— Tobie niedobrze. Wyjdźmy, przejść się trochę. Co ci jest?—nalegał i pytał jednym tchem Towara i ciągnął Werunskiego za sobą.—Chodź, pójdziemy trochę do parku! Czy wolisz do domu?—mówił po drodze.

— Nie, nie, nic mi nie jest — tłumaczył się Werunsky, nie bój się.

— Albo wiesz co, chodźmy na szklaneczkę wina; poczekaj tu: kupię cygara, zaraz przyjdę. Musisz mi przecież opowiedzieć co o sobie.

Ale zaledwie wszedł do dystrybucyi, a Werunsky się sam znalazł na chodniku popędził, jak szczywan, na ulicę Zahradnicką, i skręciwszy w nią, zaczął szybko uciekać, aby go Towara nie mógł dogonić.

Dopiero na ulicy Żytniej zwolnił kroku. Nie zwrócił się jednak ku Winohradom, lecz szedł w kierunku Karlowego placu. Idąc, tak dziwnie wyglądał, jakby tracił nad sobą władzę, lub chciał się rzucić w przepaść. Nie zważał na nic wkoło siebie i szedł środkiem ulicy, aby nie musiał usuwać się z drogi.

Zachodni, wilgotny, chłodny wiatr wiał mu wprost w oczy, ale on na to nie zważał. Szedł prędko, machał rękoma i stale patrzył w ziemię.

Przy ulicy Zberaskiej zatrzymał się i chwilę się zawahał.

Od Sedlerów dochodziły tu dźwięki zmieszanych, ostrych głosów. Werunsky zwrócił na lewo i poszedł w tym kierunku.

Przed szynkownią, obok Sedlerów, chwiała się postać zbiedzzonego pijaka, który groził przed otwartymi drzwiami, a przy każdym machnięciu ręką zataczał się. Wewnątrz huczało, jak w ulu. Słychać było rozdrażnione i oburzone głosy, i buchało stamtąd gorąco, jak wilgotny obłok pary,

przejętej wyskokiem i pleśnią. Wszyscy przechodnie unikali tego zapachu, ale Werunsky poczuł szaloną ochotę wejść tam, zasiąść na ławce obok tych upadłych ludzi, odurzyć się tym odorem i hałasem. Tam nie słyszałby o żadnem szczęściu i mógłby spokojnie wymyślać i kłaść i śmiać się dziko razem z innymi. Pragnął tego. Burzyło się i szumiało w nim wszystko, i szukał miejsca, gdzieby mógł sobie ulżyć.

Wtem ujrzał go wyrzucony pijak i postąpił chwiejnie ku niemu. Werunsky usunął się z drogi i przeszedł na drugą stronę w aleje. Było tam pusto i ciemno. Mnóstwo żółtych akacyowych liści, ostatnia zdobycz jesiennych wichrów, przy każdym powiewie rozlatało się i smutno szumiało, aż zapadały znowu w dolki koło drzew lub układały się w zagłębieniach przy trawnikach. Teraz dopiero przejęły rzeźbiarza dreszcze, gdy szedł aleją. Na ławce naprzeciw Techniki siedział obdarty wyrostek o zuchwałem spojrzeniu i stara kobieta w wytartem futrze i podartych trzewikach, które wyglądały z pod łatanej i ostrzępionej spódnicy. Rzadkie siwe włosy wysuwały się z pod chustki i opadały na zaognione jej oczy.

Werunsky chciał prędko koło niej przejść na drugą stronę placu. Tymczasem od ulicy Jecznej gnali cztery sztuki bydła, które wlokły się smutnie i ociężale na zabiciu. Werunsky zatrzymał się i patrzył na nie. Przejął go niezmierny żal i tęsknota. Wszystko zdawało mu się pozbawione nadziei, zdecydowane na śmierć. Gdyby spotkał na drodze swej rzekę, byłby się w nią rzucił.

Powoli skręcił na ulicę Resslerową. W przedsiönku u Szalków śpiewali czterej oryle, siedząc przy blaszanych kwartach, ochryplymi głosami, smutnie i monotownie znając piosenkę rybacką.

Co dwa wiersze powtarzali tę samą przeciąglą nutę. Werunsky przysłuchiwał się chwilę. Ta pieśń mu się po-

dobą, pociągała go ku sobie. Zdawało mu się, że kto ją śpiewa, ma już ze światem rachunki skończone. Owładnęła nim niepokonana chęć przysiąść się do nich i zaśpiewać.

Chwilkę się wahał. Potem wszedł...

Z głosami orylów mieszał się do późnej nocy rozpaczliwy głos jego.

XVI.

Odtąd upadek Werunskiego był zupełnie zdecydowany.

Przyjrząwszy się szczęściu Towary, zaczął się sobą brzydzić. Sama myśl, samo wspomnienie o szczęściu malarza wystarczało, aby wzbudzić w nim żądzę zniweczenia siebie.

Myśl ta, dodana do poprzednich warunków: słabości charakteru, biedy, pod którymi padał, pociągnęła go na dno.

Co dawniej było tylko pragnieniem zapomnienia, usunięcia się z otaczającej biedy, to przeszło niemal w szal samobójczy.

Z rozkoszą wyszukiwał najgorsze szynkownie, a najordynarniejsze towarzystwo działało na niego uspokajająco. Zmarnienie w niem było pewniejsze i szybsze. W spokojniejszym, lepszym, odpowiedniejszym otoczeniu czuł się nieswój. Czegoś mu w niem brakowało. Był smutny i nieśmiały. Za to w przedsiódkach piwiarni, w pokątnych szynkowniach o wątpliwej opinii, był jak u siebie.

Wyszukiwał najodleglejszych szynków, płacił za innych i pozwalał płacić za siebie, zaznajomił się z ludźmi niepewnej reputacyi.

Pił od rana do nocy, ale nigdy w jednym i tem samym miejscu; przeciwnie, odwiedzał zwykle w ciągu dnia cztery do pięciu różnych zakątków, gdzie go wszędzie znali, gdy nie miał pieniędzy, dawali na kredyt, a gdy był pijany, pozwalali się zdrzemnąć.

Prócz tych miejscowości bywał też Werunsky u kupców kolonialnych.

Chodził „posilać żołądek,“ aby „nabrać apetytu.“

Zaraz rano, jak tylko wyszedł z domu, wstępował do kupca Skąły, który ma „najlepszą karlowarską, jakiej w całej Pradze nie dostanie.“ Ta nie szkodzi wcale, przeciwnie jest „prawdziwem lekarstwem.“

Takich kupców, mających najlepszą karlowarską, znał w każdej części miasta i wstępował do nich po drodze z jednej gospody do drugiej. Teraz bywał i w dzień pijany. Czuć było od niego piwo, a czasami i wódkę.

Twarz obrzmiewała im dalej, tem więcej, przyczem nabierała żółtawej cery z szaro-sinym odcieniem na dolnych powiekach, które wciąż były wilgotne i opuchłe. Głos mu ochrypl, chód stał się leniwy i ociężały, a ciało przejmowało ciągle osłabienie.

Odzienie miewał powalane plamami z rozlanego piwa, obszarpane, zgniecione i przesiąknięte dymem. Wszyscy znajomi zaczęli go unikać, i mówiono o nim nawet między najlepszymi przyjaciółmi jak o człowieku straconym.

— Szkoda go—dodawali pobłażliwsi.

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi; on z pewnością źle skończy—dodawali surowsi.

— Łotr!—mawiali krewni.—Wstyd nam robi—wzdychali i zwracali oczy ku niebu, jeżeli kto obcy o nim wspomniał. •

Przez czas jakiś maskował Werunsky opuszczenie w swem ubraniu czystym kołnierzykiem, mankietami i no-

wym krawatem, ale potem i o to nie dbał. Nie wstydził się chodzić w przydeptanych, popękanych butach i ostrzępiomych spodniach.

Kiedy znowu w lutym wyszły mu pieniądze, pił na kredyt, dokąd się dało. Obszedł wszystkie gospody, gdzie go znano.

Gorzej było, gdy nie dotrzymywał oznaczonych terminów zapłaty, kiedy po ostrem napomnieniu nastąpiły złośliwe docinki, potem ostrzeżenia, groźby i nakoniec surowe łajkanie.

I Werunsky, nie mając krajcara przy duszy, wyrzucany i wypędzany zewsząd, pozbył się reszty wstydu i zaczął narzucać się znajomym i krewnym i stawać niezręcznym, omijanym i unikany. Prócz ukojenia swej pijackiej namiętności przestał dbać o wszelkie inne względy, a zdobyście guldena jakim bądź sposobem wpędzało go w poniżające sytuacje, których się już przestał brzydzić.

Pisywał listy do braci, do ich żon, szwagrów i teściów i posyłał Bożenę pożyczać pieniędzy.

Biedna ta kobieta kaszlała teraz ustawicznie dniami i nocami i ledwie włóczyła nogi. Nie narzekała jednak, nie skarżyła się, nie odmawiała, nie broniła się. Robiła, co jej kazano, rada nierada; zgodnie lub ze wstrętem, nikt nie wyczytał tego z jej twarzy, na której nie widać było już nic, prócz zgubnych śladów choroby, która ją toczyła i spokojnego zdania się na łaskę i niełaskę losu.

Otulona wełnianą chustką, chodziła do sklepiku pani Szwejnohowej i drżącym, jakającym się głosem prosiła o pożyczanie guldena, o dwa, tłómacząc się, że teraz właśnie mąż nie ma roboty, że za tydzień odda, że, da Bóg, znowu będzie lepiej.

Uginały się pod nią nogi, gdy z taką prośbą stawała przed tą kobietą pękata, grubą i ordynarną. Ile usłyszała za to wyrzutów o swej lekkomyślności, chęci wydania się za mąż, ile wymysłów na męża! Ten pijak, leniuch, łotr,

nikczemnik, który nie ma kawałka sumienia i uczucia! A jakiego udawał pana, jak zadzierał nosa i nadymał się, jak indyk! A teraz niema wstydu za grosz.

Pani Szwejnhowa krzyczała na całe gardło, dobierała najgorszych słów, za wszystko, czego kiedykolwiek doznała mściła się na Werunskim z rozkoszą i zadowoleniem.

Doczekawszy się chwili, gdy mogła zabrać głos, używała jej należycie i spłacała dług z procentem. I dopiero gdy Bożena z płaczem zaklinała ją na Boga, drżąc całą, prosiła, aby już dała pokój, wysuwała pani Szwejnhowa szufladkę i wyjmowała z niej guldena.

— Ech, nie, poczekaj—rzekła po chwili i cofnęła rękę, gdy Bożena po pieniądź sięgała — zrobimy inaczej. Onby to przepił, ten twój artysta. Chodź tu, wciągnęła ją za sobą do kuchni. Tu masz koszyk, tak... dam ci tu masła, mąki, jajek, trochę kawy, trochę cukru, żebyś i ty cokolwiek z tego użyła. No, jest więcej niż za guldena, ale Bóg z tobą!—i pani Szwejnhowa, zbierając towar z różnych kątów, układała go w koszyku, ocierając swe wielkie popękane ręce o zasmolony niebieski fartuch.

— Zapłaty nie wymagam—słyszysz?.. tylko koszyk mi odnieś! — wołała jeszcze za Bożeną, kiedy ta odchodziła z pełnemi łez oczyma, chwiejnymi krokami, jak żebraczka, zawstydzona, poniżona.

Człapami także szła do Lidy. Siadała w ciepłej kuchni na kufrze i zaczynała mówić o najpowszedniejszych rzeczach.

Nie mogła się zdecydować odrazu powiedzieć tej siostrze, którą widziała, jak nachylona szorowała podłogę, lub stała w drewnianych trepkach nad balią, aby jej pożyczyła guldena. Ale w domu nie było wódki, a Werunsky czuł się nieszczęśliwy. Wyczytała w jego oczach straszny ból i niepohamowane pragnienie, zlitowała się nad nim i poszła.

A Lida pożyczała z krwawo zapracowanego zarobku, z oszczędzanych grosz do grosza pieniędzy.

Bożena nie miała już za złe mężowi, że pije. Broń Boże! Ona przez swe własne nieszczęście pojmowała namiętność Werunskiego, ten jego nieugaszony żar wewnętrzny i rozpacz, gdy nie mając krajcara, męczy się tym piekielnym ogniem.

I w niej pałała żądza zniszczenia, ale ona miała chorobę, która pożerała ją powoli, lecz skutecznie.

Z rozpaczliwym spokojem śledząc jej postępy, zaczęła pojmować żądzę Werunskiego, a nawet potrafiła się z nią zżyć. Gdyby nie choroba, byłaby może zapila się także.

Już nie tylko ona sama, lecz i on wydawał się jej skazany na pewną śmierć. Poddawszy się losowi bez walki, rozumiała i jego upadek na dno. I dlatego miała dla niego tylko nieskończoną litość, ale nigdy żadnego wyrzutu.

Z niezmiernem współczuciem i uśmiechem nieopisanie łagodnym patrzyła nań, gdy wracał pijany do domu, kiedy rano szukał pieniędzy. I chętnie wlokła się, aby mu ich dostarczyć.

Czasami posyłał żonę do swych krewnych, albo listem, z albo z jakim szkicem, odlewem, lub obrazkiem.

W początku lutego przeniósł z pracowni wszystko do kuchni swego mieszkania.

Co się tylko dało sprzedać, sprzedał już dawniej; teraz przyszła kolej na szkice przyjaciół, odlewy figur i modeli. Posyłał z niemi żonę do Frydryka i Emany, nawet do starego Hruszki.

I Bożena udawała się na tę smutną pielgrzymkę, Wiedziała, gdzie ją co czeka.

Sługa brała od niej list i figurkę lub obrazek i niosła państwu do pokoju. Nikt nie wyszedł poprosić i dalej, lub chociaż wskazać krzesło, aby siadła. Słyszała tylko przed-

kie chodzenie, trzaskanie drzwiami, tłumioną gniewną rozmowę, z której u Frydryka rozpoznawała wyraźnie wyrzuty bratowej.

— Zawsze ci mówiłam, że kiedyś nam na kark spadnie! Otóż masz! Śliczny brat. Daj mi z nim pokój.

— Cicho bądź na Boga, choćby przed sługą—uspokajał Frydryk żonę po niemiecku.—On nie jest taki zły, tylko, żeby się był inaczej ożenił. Aber bitt' dich so eine Person!... Die ist an Allem schuld. Das war ein Unglück!

Słowa te wyrzeczono tak, aby tam w przedpokoju dobrze je słyszała.

W końcu przyszła sługa i przyniosła dwa, trzy guldeny, bez odpowiedzi, bez słowa, z litościwem tylko spojrzeniem na tę zestarzałą, drżącą i płaczącą kobietę.

U budowniczego powtarzano znowu:

— Żebracy, żebracy! To są ci artyści! Wolę każdego sztukatora. Ale wciąż się to jeszcze dmie i puszy, jak paw. Myśmy, zawsze tylko u nich robotnicy. Tylko nasze pieniądze dla nich dobre. I za takie bzdurstwa... Na co to się przyda?

— Bajdury!—odzywał się pan Hruszka, słyhać było jak chrząka, żeby splunąć.

Tylko u Jakubców przyjęto ją grzeczniej, gdy przyszła po raz pierwszy. Ledwie list oddała, wyszedł pan gospodarz z uśmiechem na ustach, ale zaledwie ujrzał przed sobą tę wychudłą, zmizerniałą kobietę, zachmurzył twarz, a za drugim razem kazał powiedzieć, że go nie ma w domu.

Chociaż wycieczki te były bardzo przykre, pomimo całej nieprzyjemności, goryczy, braku litości i współczucia—jakiemi na tych wyprawach była Rożena częstowana, szła bez szemrania, cierpliwie, ile razy tylko pieniądze z domu wyszły.

Powoli znikąca sztuka za sztuką z ich gospodarki

Częściej, niż do krewnych, chodziło się do lombardów; do krewnych zanoszono tylko to, czego by lombard nie przyjął, lub dał za mało. Sztuka po sztuce zastawiono lepsze meble, zegar, w końcu przyszła kolej na ubranie.

Mieszkanie opróżniało się. Pustka po kątach zdawała się prorokować bliskość zupełnej zagłady.

Był wtedy człowiek, który usilnie, wytrwale ofiarowywał w tych ciężkich czasach swą pomoc Werunskiemu, wszelkimi możliwymi sposobami, nawet podstępem starał się ją podsunąć. Werunsky unikał nawet spotkania z tym człowiekiem, a jeśli nie mógł go ominąć, odtrącał, a nawet obrażał.

Tym człowiekiem był Towara.

XVII.

Wkrótce po wizycie u Towary, Werunsky spotkał się niechcący z Żywotem.

Daremnie chciał go ominąć. Sikowski go złapał, i wpatrując się weń swemi blado-niebieskimi oczyma i wykrzywiając usta, zarzucił go potokiem pytań:

— Co porabiasz, kochanku? Czemu nie chodzisz do Trnków? Albo przynajmniej dlaczego nie powiesz, gdzie cię można spotkać? Mnie tam obojętne, gdzie piję, ale nie lubię sam siedzieć przy piwie.

Werunsky był tem zaniepokojony, chciał się nawet wymknąć, ale Żywot go nie puścił.

— Zaraz nazajutrz, — mówił dalej — jak cię Towara zabrał, przyszedł do Trnków i pytał o ciebie. A od tego

czasu był tam już ze trzy razy. Przypuszcza, że się gniewasz na niego, i każe ci powiedzieć, że broń Boże, nie chciał cię dotknąć zwierzeniem się ze swem szczęściem. Zapewniał mię, że nie przypuszczał wcale, iż tobie dziecko umarło i w jakich okolicznościach, że żona ci choruje, a ty nie masz zajęcia. O wszystkim dowiedział się dopiero potem, jakęś mu zginął. Polecił mi, abym ci powiedział, żebyś się nie gniewał, żebyś go odwiedzał, on ci z chęcią usłuży w potrzebie.

— Niech nie łże!—gniewnie rzucił Werunsky.—Dlaczegożby mi to wszystko opowiadał z takimi szczegółami, z takimi przechwałkami? Dlaczego?

— A czemużes ty nam opowiadał u Trnków o Bożenie, nie pytając się, czy czasem tem nie otwierasz komu zakrzepłej rany!

W tem przypomnieniu Sikowskiego czuć było lekką wymówkę.

Werunsky nie odpowiadał. Dopiero po chwili, nie chcąc się poddać, rzekł:

— Choćby nie wiedział, to po mnie przecież widać, jak daleko zajechałem.

— Szczęśliwy człowiek widzi tylko siebie i mniema, że jest środkiem świata. Tyś już zapomniał, coś sam wyrabiał.

— Czyż ja byłem szczęśliwy?—z cierpkim wyrzutem pytał Werunsky.

— Byłeś, czy nie byłeś, nie mówmy o tem, ale Towara jest.

Werunsky nie przeczył; zdawał się rozmyślać. Przeszli całą ulicę, milcząc.

— A więc pójdziesz do niego? — spytał nakoniec Żywot.

— Nie pójde! Nie chcę się z nim spotykać! Nie chcę go widzieć! — szybko mówił Werunsky, jakby broniąc się wszelkimi siłami.

W kilka dni po tem spotkaniu Werunsky sam odszukał u Trnków Żywota. Twarz miał bardziej ożywioną, a zwykłą w ostatnich czasach obojętność zastąpiło gorące rozdrażnienie.

— Rozmyślałem nad tem—zaczął prawie bez wstępu siadając tuż obok przyjaciela.—U Towary też tego nie można nazwać szczęściem. Nie można, mów co chcesz—zaczął z naciskiem, jakby mu ktoś niewidzialny przeczył, Sikowski bowiem siedział spokojnie, tylko złośliwie się uśmiechał.—Rozmyślałem o tem całymi dniami.

— I nocami...—dodał Żywot.

— Tak, i nocami. I wiesz, do czego doszedłem?—Nachylił się tak blisko do Sikowskiego, że ten czuł jego gorący oddech:—Do tego, że to wszystko, com miał za szczęście, nie jest właściwie szczęściem. Wszystko to było głupstwem, wszystko!.. rozumiesz?—mówił rzeźbiarz ochrypłym głosem, ale wyraźnie.

— A dlaczego?—spytał Żywot.

— Dlatego, że szczęście powinno płynąć z wewnątrz, nie ze świata. Co pochodzi ze świata, nie jest stałe, może zawieść, ale co we mnie powstało i zapuściło korzenie i napawa mię zadowoleniem, to trwa zawsze. Wiesz, kiedy sobie tak człowiek podpije i zapomni o świecie—tylko się tak uśmiecha... Obserwowałem takiego człowieka, obserwowałem go przez trzy noce i będę go modelował. Pyszny okaz!.. przytłusty... tak w gūście Falstaffa... wymodeluję go śpiącego, kiedy widać, że mu wszystko obojętne, co się wkoło niego dzieje—jak poddaje się wewnętrznemu zadowoleniu, jak ono maluje się na jego twarzy... i ten utwór dopiero nazwę Szczęście. Cóż ty na to?

Żywot wpił oczy w Werunskiego i rzekł gniewnie.

— Jeszcze nie dasz pokoju? Jeszcze ci mało?

— To nie przejdzie, póki żyć będę... albo póki nie zdołam stworzyć takiego dzieła.

— I jeszcze masz nadzieję?

— Przecież dopiero teraz doszedłem prawdy, w postaci wewnętrznego źródła szczęścia.

— I ty wierzysz jeszcze w istnienie szczęścia?—pytał Żywot litośnie.

— Chodź zobaczyć tego człowieka. On jest tak nieskończenie szczęśliwy!.. A wiesz i ja, gdy tak zapominam...

— No, a cóż po wytrzeźwieniu? A ty sam, czy tak jesteś zadowolony? — nacierał nań Żywot prawie gniewnie.

Werunsky chwilę milczy. Nie chce się tak na razie rzec swego pomysłu. To wewnętrzne źródło naprawdę mu się podoba. A zresztą nie chce uznać, żeby Towara był szczęśliwy.

— Nie roztrząsajmy tak tego—mówi nakoniec.—To jednak pewne, że szczęścia musimy szukać w sobie, nie w otoczeniu. Szczęścia nie tworzy wypadek, i wypadek go nie może zniszczyć. A u Towara to wypadek. Mów, co chcesz! To nie prawdziwe szczęście. Żeni się tylko tak, dla zapewnienia bytu, a spotyka niespodzianie miłość. Nie wierzę, nie wierzę! W tem nie może tkwić nic głębszego. Szczęście wewnątrz trzeba zdobywać inaczej. Ofiarami. Towara się tylko pod nie podszywa. I sądzi, że tem człowiekowi dowiedzie, jak jego teorye były racjonalne. Płytkie były, jak i on sam. Moje były dziecinne głupstwa... niedojrzałe... ale jego są płytkie i basta!.. Gdyby sam patrzył głębiej, widziałby tę próżnię.

— Czy nie przemawia przez ciebie zazdrość? — rzucił złośliwie Żywot.

— Chyba, proszę cię, sam uznasz, że tak głupio nie można nabyć szczęścia? Tylko chwycić od niechcienia i już je posiadać.. A potem, co on wie o szczęściu? Narozmyślał się kiedy o niem! Zgłębiał? Może powiedzieć, że to, co teraz odczuwa, jest szczęście, jak dziecko, gdy znajdzie szych, a myśli, że to złoto.

— Obyśmy tylko byli na jego miejscu!

— Czy możesz twierdzić, że nie jesteśmy bliżsi prawdziwego szczęścia, niż on? Czego od świata oczekujemy? Niczego; on tymczasem życzy sobie, aby przynajmniej zostało tak, jak jest. I to ma być prawdziwym szczęściem, co świat może odebrać, lub zniweczyć? Tak sobie myślałem w tych dniach, czy człowiek nie jest na drodze do prawdziwego szczęścia, skoro przekonał się, że ani miłość, ani żona, ani dziecko, ani sława, krótko powiedziawszy; nic, w czem młodzieniec upatruje szczęście, nie jest szczęściem? A tę szkołę przeszliśmy już.

Werunsky umilkł, nie czekając na potwierdzenie Żywota. Zdawało się nawet, że mu obojętne w tej chwili, czy go kto słucha, lub nie.

Żywot patrzył nań uszczypliwie, jak człowiek, który dawno już ten stan przebył i patrzy nań, jak na młodzieńcze marzenie.

Po chwili rzeźbiarz podniósł głowę, którą miał na ręku opartą, i wpatrując się w Żywota, rzekł poważnie:

— Czy nie sądzisz, że prawdziwe uchwycenie szczęścia byłoby wtedy, gdyby oznaczało, iż rzeczywiste szczęście osiągnął ten, kto go przestał szukać na świecie, ale na którym byłoby widać, że znalazł je na zawsze w sobie, nie podlegające zmianom?

— Przywidzenia, utopie!

— Nie! Słuchaj mnie. Przedstaw sobie figurę mniszki, na której twarzy maluje się spokój duchowy, wypływający z olbrzymiego płomienia wiary, który wypełnia jej duszę i serce. Niebiański blask bije z tej twarzy. Wyrażnie na niej widać, iż wyrzekła się świata. To wyrzeczenie jednak jest cieniem tego spokoju, a cień ten pada na jej twarz. Teraz wyobraź sobie taką twarz bez tego cienia? Czyby to nie było uosobieniem szczęścia?

Zamglone oczy Werunskiego błysły, jakby drgnęła w nich iskra. Spojrzenie utkwił w Sikowskim, pragnąc wyczytać odpowiedź z jego twarzy.

— Myślałby kto, żeś już wszystko utopił—rzekł Żywot pomału, jakimś ponurym głosem.—A tymczasem utopiłeś tylko rzeźbiarza, filozof jeszcze został.

I przez chwilę patrzył drwiąco na przyjaciela.

— A czyś ty już wszystko pogrzebał? — spytał Werunsky po chwili smutnym głosem.

— Pogrzebał, nie pogrzebał, kochanku, ale przynajmniej o tem nie mówię—odrzekł Żywot, ale tak, jakby coś w sobie tłumił.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to u ludzi takich, jak wy, śmieszne. Szewcy deklamują, pijacy filozofują. Czemu nie ciągną?... Et, napij się, Werundo, zduś to, nie myśl o tem, wyrwij to ostatnie pióro. Prędeż się to skończy. Stuknij się oto, kotku.

W tych słowach Żywota drżały udawane drwiny i dogasający okrzyk człowieka.

Blysk oka Werunskiego zagaśł. Kurczowo uchwycił dzbanek, i jakby naprzeciw niego siedział uosobiony los jego, surowy i nieubłagany, smutnie uśmiechnął się i rzekł:

— Masz słuszość, szkoda gadania—i stuknął w dzbanek, a dopiwszy, dodał:—Ja tylko chciałem powiedzieć, że Towara nie jest rzeczywiście szczęśliwy.

Sikowski wruszył ramionami i rzekł niedbale:

— Po co go poniżasz? Czemu zapierasz? Mnie całkiem wszystko jedno, a i tobie, kochanku, za pół roku będzie także.. Jam ci tylko powtórzył, o co on prosił, i dosyć.

Odtąd Werunsky nie mówił z Żywotem o Towarze, ale szczęście jego nie przestawało go w głębi dręczyć. Sam Towarz to pojmował. Nie zastając go nigdzie i nie doczekawszy się Werunskiego, pisał do niego. Zamówił do swej pracowni dwa posążki i zaproponował żartem, po przyjacielsku, jaki zadatek.

Werunsky na list ten wcale nie odpowiedział i sądził

że obrażony Towara zaniecha dalszych prób. Sprawilo mu to pewne zadośćuczynienie i przyjemność. Tembardziej tedy był zdziwiony, gdy w początku lutego Towara zjawil się zrana w jego mieszkaniu.

Werunsky leżał jeszcze i, mrużąc coś pod nosem na swe usprawiedliwienie, zaczął się w kącie za drzwiami ubierać.

Bożena w kuchni prała kilka sztuk bielizny w wannie. Szlafroczek wisiał na niej, jak na szkielecie. Ale nieszczęście wycisnęło na jej szlachetnej twarzy męczeński wyraz. Płócząc i wyzymając bieliznę, kaszłała cicho i nieśmiało. Spróbowała się uśmiechnąć, ale ten uśmiech szarpał serce.

Zaduch z prania w kuchni, duszne powietrze w pokoju, pustka i nieład wokoło, wszystko to razem robiło na Towarze strasznie przykre wrażenie. Przewyciężał się jednak, aby nie pokazać tego po sobie i utrzymać dobry humor.

— Ty mnie zupełnie zaniedbujesz — mówił głośno ze świeżym, wesołym akcentem.—I wybrałeś sobie taki zakątek, gdzie nikt trafić nie może, ani cię odnaleźć. Ale jaki masz piękny widok!—stał przy oknie, w którym nie było firanek, i patrzył na zaśnieżone wzgórza i w nieprzeniknionej mgle ginące lasy i brzegi Wełtawy.

Drugie okno za łóżkiem Werunskiego zasłonięte było łątanym fartuchem.

Ledwie rzeźbiarz skończył się ubierać, zaproponował koledze przechadzkę. Każda minuta, którą Towara przepędzał w tym jego barłogu, była dla niego przykra, i nieznośna.

Gdy się nareszcie znaleźli na ulicy, nie potrafił Werunsky zapanować nad sobą, a i Towara spoważniał, i twarz jego nabrała wyrazu smutnego.

— Nie wytrzymałeś: musiałeś przyjść popatrzeć na moje szczęście, co? — zaczął złośliwie rzeźbiarz, szcękając przytem zębami, tak go niewyspanego zimno trzęsło, a twarz mu zbladła i zsiniała.

— Przyszedłem ci powiedzieć, abys się opamiętał, abys się nawrócił—rzekł wyraźnie Towara.

Ale zaraz zaczął delikatniej i szczerzej: — Grzeszysz przeciw swej żonie, grzeszysz przeciw sobie, jako człowiekowi, a głównie jako artyście. To, co robisz, jest rozmyślnem samobójstwem—głos Towary stawał się dobitniejszym i bardziej rozgoryczonym:—to zbrodnia nie do przebaczenia. Przecież poniżasz nie tylko siebie, lecz i sztukę.

— Bylebyś ty ją podnosił!

— Werundo, zapomniałeś już zasad, dotyczących się sztuki? Już nie wiesz, jaka siła była w tobie? I jest dotychczas! Czy chcesz dać do ręki broń tym, którzy napadają na sztukę i artystów?

— Sądzisz, że na mojem miejscu byłbyś lepszym?

— Wierz mi, że tak.

— Nie gadaj! Tyś był tylko mądrzejszym, przebieglejszym, więcej wyrachowanym hypokrytą, nie więcej. Żyjesz w odpowiedniem towarzystwie, jak należy, malujesz i myślisz, że tak być powinno, żeś szczęśliwy. Ale to, co masz, nie jest szczęściem: to złudzenie! Tak, ty okłamujesz siebie i innych—sapał Werunsky rozdrażniony.

— No, a praca?—spytał poważnie Towara.

— Frazes, frazes, frazes!—rozkrzyczał się rzeźbiarz.— Najedz się tych farb i tego płótna. Udław się nawet niemi!

Ze złośliwych jego ruchów i kurczów twarzy z zawisłości, którą ciskały jego oczy, przemawiało nieszczęście człowieka niepracującego i nienawiść jego przeciw pracującemu, którą daremnie silił się zamaskować lekceważeniem i zaprzeczeniem.

— Ale daj mi pokój!—mówił bardziej podrażniony.— Ja nie dbam o twą hypokryzyę, więc nie wtrącaj się do mej nędzy. Do widzenia!

I uchyliwszy kapelusza, uciekał od Towary, jakby go ziemia paliła.

— Biedak!—pomimo woli szepnął Towara, patrząc za odchodzącym.—Nieszczęśliwy biedak...

Chwilę się wahał, potem puścił się za nim, ale wkrótce zatrzymał się, widząc, że Werunsky wchodzi do sklepu Skały.

Nawet po tej rozmowie Towara nie przestał zajmować się losami Werunskiego.

Dwa razy jeszcze próbował z nim mówić, ale rzeźbiarz zbył go wprost brutalnie. Wstrętnym mu był ten człowiek, usiłujący powstrzymać go w upadku, nienawidził go za to, że pracował wytrwale i zdobywał uznanie.

Na wiosnę, gdy Werunskiemu było najgorzej, posłał Towara parę razy podczas jego nieobecności Bożenie pieniądze, a nawet sam ją odwiedził, nalegając, aby nie wahała się przyjmować od niego pomocy, i prosząc szczerze, aby nie wspominała o tem ani słowa mężowi, w którego uratowanie sam przestał wierzyć.

W końcu maja choroba złamała ostatecznie wytrzymałość Bożeny. Już nie mogła wychodzić, a nawet suwać się po mieszkaniu.

Całymi dniami leżała na łóżku bez czucia, a zdawało się jej, że i bez myśli. Mając przymknięte oczy i ręce złożone na pierzynie, bawiła się chwilami swymi wychudłymi palcami, jakby w drzemce, przerywanej żywymi snami.

Tylko gdy nadchodził atak kaszlu, unosiła się i kurczowo łapiąc się poręczy, z wytrzeszczonemi oczyma, otwartemi ustami chwytala powietrze, broniąc się od zaduszenia.

Miłosierdzie sąsiadek i pomoc Towary przedłużały jej dni.

Wtedy Werunsky już sam obchodził krewnych. Zobojętniał na poniżenia, na wymówki i przykre słowa, miał

tylko smutny uśmiech w pół rozpaczliwy, ale niezmiernie przejmujące spojrzenie.

Dawali mu już i przenoszone ubranie, a on je przyjmował. Eman użył go do kopiowania niektórych planów, i on się do tego włożył, aby tylko nie uszło go wsparcie.

A gdy już nie miał wyjścia, szedł do sztukatorskiego warsztatu Grüna i po pół dnia tam pracował, modelując z rysunków ozdoby do kapiteli i karyatydy. Chodził też i do innych warsztatów, z uśmiechem przyjmował napiwki od pryncypała i chętnie ze wspólnego dzbanka pił na braterstwo z czeladnikami.

— Eda idzie, Eda przyszedł, pomysłności, Edo!—krzyczeli na niego po przyjacielsku, kiedy do nich przyszedł, a on, czasami ledwie stojąc na nogach, rzucał się na beczkę lub worek i wołał ochryłym głosem:

— No, koledzy, mam pragnienie, poślijcie po dzbanek!
Gdy wybuchali śmiechem, wstawał i mówił oburzony:

— Czekaaj, zdunie, jak ja zrobię swoje Szczęście, za funduję wam!—poczem znowu zsuwał się na brzeg beczki, a czasami umyślnie wpadał do niej, lub dawał się tam wrzucić. I z całego gardła pomagał nowemu wybuchowi śmiechu.

Już się nie wstydził grać roli błazna. Dowcipkował i śmiał się sam z siebie, i pomagał w tem żartom innych.

Tylko litośne spojrzenia go mieszały; uśmiech wtedy przerywał, dowcip, którym chciał odciąć, zawodził, usta się wykrzywiały, a w smutnych oczach pałało całe jego niezczęście.

XVIII.

Ciężkim, przerywanym krokiem wracał Werunsky jednej nocy na początku września z pijatyki do domu.

Ulice były puste, smutne i ciemne. Na rogach tylko samotna lampa rzucała w ciemności na chodnik jakieś niesmiałe drżące koło, przecięte cieniem jej podstawy.

Kroki Werunskiego odbijały się nieprzyjemnie. Północno-zachodni wiatr, gwiżdżący mu w plecy, pędził go ku przodowi, przejmując go aż do kości. Werunsky szedł po prawej stronie ulicy, tuż obok domów, tak, że chwilami prawem ramieniem ocierał się o ściany.

Od onegdaj nie był w domu. Przeszłą noc przehułał z czeladnikami Grüna, a przedrzemawszy się trochę w warsztacie, pił znowu dzień cały.

W głowie czuł jakąś pustkę. Ogarniała go nadzwyczajna senność. Nie myślał o niczem, tylko aby się dostać do domu i rzucić na łóżko.

Droga zdawała mu się strasznie długa i niezmiernie nużąca. Czasami głowa opadała mu na piersi, oczy się przymykały, a nogi się chwiały. Po chwili opamiętał się znowu i zamruczał pod nosem monotonną melodyę rybackiej pieśni:

„Myśmy stali, gdyby skała“...

Nareszcie dowlókl się do pustej, strasznej ulicy Macha i stanął przed domem, w którym mieszkał.

Niepewnym krokiem dostał się na drugie piętro i otworzył drzwi od kuchni.

Starał się iść cicho, aby nie obudzić żony, i myślał się położyć w kuchni. Ale zaledwie wszedł, zawołała nań Bożena słabym, jęczącym głosem:

— Edouszy... mężu.

Nie było to po raz pierwszy, że Werunsky wracał do domu drugiego dnia, a nawet drugiej nocy.

Ale zawsze potem się wstydził, a gdy się do niego kto odezwał, starał się być uprzejmy i usłużny aż do przesady. Spojrzeniem przyznawał się do winy i błagał o miłosierdzie. W takich chwilach miał napady czułości i dobroci, śmiał się i płakał zarazem i ogarnąłby miłością cały świat, aby mu tylko nikt surowo nie przypomniał jego winy. Z usłużności jego przemawiał strach, z gorliwości prośba, aby go nie bardzo obserwować, badać i żałować,

Zaniepokojony, ogłędnie wchodził na zawołanie żony do pokoju.

Przy łóżku chorej paliła się świeca.

Żółtawe światło padało na bezbarwną jej twarz i wilgotne, rozpuszczone, rudawe włosy.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła ku drzwiom, a skoro wszedł Werunsky, uśmiechnęła się i spróbowała wyciągnąć do niego rękę.

— Toś poczciwy, kiedyś przyszedł—szepnęła.

— Ale czemu nie śpisz? czy ci gorzej? — spytał zawstydzony troskliwie.

— Było mi bardzo źle, ale już teraz mi lepiej — zaszeptała znowu z uśmiechem.

Werunskiemu zrobiło się bardzo przykro; żał go przejął. Spojrzenie jej, łagodność głosu i rozpaczliwa bezsilność szarpały mu serce.

Obszedł po cichu łóżko, stanął w głowach i delikatnie przyłożył lewą ręką na jej wilgotne czoło, a prawicą ujął jej wychudłą ciepłą rękę.

Ona powoli zwróciła ku niemu twarz i uśmiechnęła się z niewysłowioną tklivością.

— Edouszy... słuchaj... ty nie wiesz, jak mi było smutno... jakem się bała... nigdy nie było mi tak strasznie.

Werunsky przywykł do milczącej cierpliwości Bożeny,

i dlatego ta scena wydała mu się jakaś osobliwa, jakaś dziwnie znacząca, że gardło mu się ścisnęło, i łzy zalały oczy. Daremnie starał się opanować to wzruszenie, uległ mu w końcu.

— Ale duszko... — szepnął, nie mogąc na nic więcej się zdobyć.

— Daj mi pić — dodała spokojniej, i on przytrzymał jej szklanekę przy ustach, choć mu ręka drżała.

— Idź się położyć — ciągnęła dalej łagodnie, ocierając blade wargi końcami palców.

Werunsky chciał zgasić świecę, ale Bożena prosiła, aby zostawił ją palącą się.

Uściskał ją tedy raz jeszcze za rękę i położył się na swoje łóżko. Kiedy już leżał, zwróciła się ku niemu i, położywszy swą dłoń na jego rękę, przytknęła oczy.

Twarz jej nabrała wyrazu spokoju, usta raz jeszcze wyszeptaly:

— Nawet nie wiesz, jak jestem rada, żeś w domu... Teraz mi tak dobrze... już dawno nie było mi tak dobrze...

Ale Werunsky już jej nie słyszał. Usnął prędko i twardo.

Ona także ucichła, trzymając go stale za rękę, i mając głowę ku niemu zwróconą, uśmiechała się spokojnie... Zdrzemnęła się...

Pokój zalegała cisza, której nawet nie przerywało tykotanie zegaru.

Już oddawna nie mieli żadnego i nawet nie potrzebowali go w swym smutnym trybie życia.

Nad ranem dopaliła się świeca. Przez chwilę jeszcze tlił się papier, którym była owinięta, a który się zajął, ale i ten wkrótce zagasł.

Pokój ogarnęła ciemność, którą przenikał słaby, smutny przedświt, wpadający niezakrytą połową okna z szarego nieba.

Gdy się rozwidniło, zaczęła koło okna latać wielka mucha, która zatoczyła się z brzękiem po pokoju, a siadłszy na chłodnej ręce Werunskiego zaczęła po niej łązić.

Ręka drgnęła, mucha uciekła.

Po chwili siadła na czoło Bożeny i spokojnie łąziła po jej twarzy, ale ani jeden mięsień w niej się nie poruszył.

.

Werunsky długo się nie mógł obudzić. Zdawało mu się, że już dwa razy kołatano do drzwi, ale nie był w stanie w żaden sposób otrząsnąć się z rannych snów, które go omotały nierozzerwanem przedziwem.

Nakoniec koło dziewiątej się ocknął.

Leniwie wpatrywał się w sufit i przypominał sobie, co się działo wczoraj i onegdaj.

Powoli i z trudem przychodziły wspomnienia. Dopiero po chwili nabrał świadomości, że jest bardzo spragniony.

Zwróciwszy się w kierunku kuchni i odkaszlawszy, zawołał przeciągle;

— Wody!

Myślał, że, jak zwykle, Bożena zwlekła się już z łóżka i przyniesie mu pić. Ale nikt się nie odezwał, nic się nie poruszyło.

Zdziwiony spojrzął na łóżko Bożeny.

Jej twarz była ku niemu pochylona, oczy słabo przymknięte, z za bladych warg, rozwartych spokojnym, szczęśliwym uśmiechem widać było dwa rzędy zębów. Ręka spoczywała na krawędzi, przytrzymując się jej. Dolna część wychudłego ciała zapadła w głąb łóżka, tak, że nie było widać wcale jej konturów z pod przykrycia.

— To śpi spokojnie! — pomyślał sobie Werunsky i patrzył na nią przez chwilę.

Potem przetarł ręką oczy i wpatrzył się w nią badawczo; źrenice jego zdawały się schodzić w jednym kierunku na ustach Bożeny.

Powoli nachylał się coraz niżej i niżej, twarz jego nabierała wyrazu przerażenia, z pewnem wahaniem wyciągnął rękę i dotknął czoła Bożeny.

Szybko ją jednak cofnął, otworzył usta, wytrzeszczył oczy i jednym susem wyskoczył z łóżka.

— Co to jest, mój Boże!—krzyknął, drżąc całym ciałem, zerwał fartuch z okna i zbliżył się do łóżka Bożeny.

— Bożeno!.. duszko!—zawołał najpierw spokojnie, potem coraz głośniejsze, nakoniec dotknął się jej prawej ręki, którą miała na sercu wspartą, i chciał ją unieść.

Była zimna i sztywna.

Werunsky jeszcze nie chciał wierzyć. Podsunął rękę pod plecy Bożeny, chciał ją unieść, zwrócić ku sobie, przytulić, ale podniesiona głowa ciężko opadła z powrotem i zagłębiła się w poduszkę.

Kilkakroć jeszcze przetarł sobie Werunsky oczy, brał się drżącymi rękoma za głowę, poczem znowu i znowu schylał się nad Bożeną i wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczyma i dotykał palcami chłodnych jej rąk i twarzy.

Nie—to nie było złudzenie: Bożena nie żyła.

Skonała, jak niekiedy umierają suchotnice: gasnąc niepostrzeżenie w czasie snu.

. ,

Złamany i bezsilny, siadł Werunsky na poręczu łóżka i mimo woli złożył ręce, które drżały mu ze strachu. Spuścił na piersi głowę i tylko chwilami odważał się spojrzeć na zmarłą.

Przedewszystkiem było mu przykro, że zmarła tak skromnie, cicho, spokojnie. Tak, jakby nikomu nie chciała

robić tem przykrości, jak zwykle ustępowała mu z drogi, szepcząc nieśmiało:

— Wybacz, wybacz, przepraszam...

Myśl ta wydała się Werunskiemu tak dotkliwą i bolesną, że wzruszony rzucił okiem na żonę, a ze ściśniętego gardła wyrwało mu się żałościwie:

— Moja biedaczka, moja nieszczęsna Boża!...

A głos jego brzmiał tak smutno, drżąco i czule, że łzy mu trysnęły z oczu.

Żal rozsadzał mu piersi. Zdawało mu się, że się udławi. Pomimo woli, przystąpił do okna i otworzył je.

Chłodne powietrze wrześnieowego poranku wpłynęło do pokoju.

— Właśnie trzeba otworzyć okno, gdy kto umrze... żeby mogła dusza ulecieć!—przypomniał sobie Werunsky i niechęcący spojrział w górę, czy nie mignie się tam białawy obłoczek i nie przebije szafirowego sklepienia.

Rzeczywiście mu się zdawało, że jakaś biała chmurka tam w górze się rozplywa.

Po chwili zaczęło mu być zimno przy oknie i, odszedłszy, zaczął się pośpiesznie, ale cicho, ubierać, chodząc na palcach. Przytem co czas jakiś rzucał bojaźliwe spojrzenie na trupa, czy nie otworzy oczu.

Już będąc ubrany, siadł znowu na krawędzi łóżka, a przeżegnawszy Bożenę, zamknął jej oczy, przyczem wyraz jej twarzy nabrał zupełnego spokoju.

Werunsky nie odwracał się od niej, czekając, czy oko zostało przymknięte. Zostało...

Potem nachylił się nad nią, pocałował w czoło i usta, a podniósłszy jej lewą rękę, na której była ślubna obrączka, ostrożnie położył na prawej.

Im dłużej się tak zajmował zmarłą, tem mniej się jej obawiał.

Podniósł jej głowę, włosy odgarnął z czoła i ułożył fałdy białego nocnego ubrania.

Pomimo woli jego, pomimo świadomości, przebijał się w nim artysta. A gdy tak delikatnie i oględnie wszystko urządził, zdawało mu się, że nieboszczka uśmiecha się, wciąż bardziej zadowolona i wdzięczniejsza.

Był to prawdziwie niebiański uśmiech, z którego przebijało takie wymarzone, spokojne szczęście, że zdawało się oblewać całe oblicze. A chociaż twarz jej była wychudła, nabyła w tym odbłyску takiego duchowego uszlachetnienia rysów, jakiego nigdy za życia nie miała. Nos i czoło występowały teraz wyraźniej, a te wybitne ich linie przemawiały jasno i radośnie.

Ten spokój, ta cisza, to szczęście na wieki!

Ten jasny, prawie słoneczny uśmiech na ustach był bez śladu wyrzutu, bez cienia żalu.

Werunsky, przejęty bólem i wzruszeniem, widział w nim wyraźny, przejmujący dowód uznania i tkliwą wdzięczność za opiekę, jaką ją teraz otaczał.

— Jak ją to cieszy... a zawsze była taka skromna... Taka cicha gołąbeczka...

I szepcząc to, płakał i nie powstrzymywał łez, jakby sobie życzył, żeby na nią spadały, aby o nich wiedziała.

Czuł niepohamowane pragnienie wynagrodzenia jej jakoś w tej ostatniej chwili wszystkiego, czego ją dawniej pozbawiał, chciał jej tem niejako powiedzieć:

— Ja cię jednak kochałem, ale byłem taki nieszczęśliwy!...

Wtem mu przyszło na myśl: czemu jej tego nie powiedział wczoraj, gdy przyszedł do domu? czemu się nawet nie pożegnali? czemu wszystko było tak śpieszne, niespodziewane?

Przypominał sobie usilnie, co właściwie wczoraj mówili, co mu powiedziała naostatek. Serce mu pękało, gdy sobie przypominał, że jej nawet nie pocałował.

I schylił się nad nią i okrywał pocałunkami, i skrapiał łzami całą jej twarz, i szyję, i ręce. Zdawało mu się, że powinien klęknąć przy nieboszczce i błagać ją o przebaczenie przez całe swe życie.

Ale gdy po chwili przez łzy spojrział na nią i ujrzał ten uśmiech spokojny, cały żal, który go o mało nie zadusił, rozpływał się i, płacząc, jak dziecko, mówił urywanie:

— Jakaś ty dobra! jakaś ty dobra!

To znów przyszło mu na myśl, jak to człowiek może tak lekko umrzeć? Że też nic nie mówiła! Jak jej było biedacze podczas dnia? Wspomniała, że źle, że strasznie...

Werunskiego przejęła niepokonana ciekawość dowiedzieć się tego wszystkiego.

Wybiegł z mieszkania do sąsiadki, pani Ritterowej, zubożalej wdowy po urzędniku z ubezpieczeń, która żonę jego codziennie w ostatnich czasach odwiedzała.

Była to szczerą, prostoduszną Niemką, śniada i koścista. Zobaczywszy płaczącego Werunskiego, zrozumiała zaraz co się stało, i otarłszy tylko ręce o fartuch, pośpieszyła sama do jego mieszkania. Przeżegnawszy najpierw zmarłą krzyżem świętym, klękała i pomodliła się za nią, potem napadła na Werunskiego bez pardonu. Była wielomówna, jak wszystkie Niemki, i zalała go potokiem wyrzutów.

Werunsky słuchał ze zwieszoną głową, nie broniąc się, nie usprawiedliwiając ani słówkiem.

— To była prosta kobieta,—powtórzyła znowu dobitnie pani Ritterowa—ale mimo to nie mieliście prawa jej zaniedbywać. Pozwolić jej umierać prawie bez pomocy! Fe, wstydzicie się! Ona, biedactwo, was jeszcze tłumaczyła i mówiła, że nie była dla was odpowiednia. Ale skoróście zbłądzili, nie należało się mścić na niej! Boże, wy, mężczyźni, jesteście wszyscy słabi i samolubni! Zbłądzicie

ale nie macie siły odpokutować sami! Ba, szukacie sposobności zrzucić ten ciężar na innych. Żyjecie tylko dla siebie, ale kobiety mają żyć wyłącznie dla was. Jaki to los zgotowaliście nieboszczce? A czy choć raz jeden prosiliście ją o przebaczenie? Niech Bóg broni! Przeciwnie, daliście jej odczuć, że ona winna waszemu nie-szczęściu.

A ona była jak baranek. Tylko spuściła głowę i cicho płakała, potem się pomodliła, i znów cierpiała bez szemrania. To szczęście, że ją Bóg do siebie powołał!

Werunsky pozwolił jej mówić, nie odezwał się wcale; sam wiedział, że względem nieboszczki zaciągnął wielki dług, i miał tylko jedno życzenie zdołać jeszcze choć częściowo się wypłacić.

Niegdyś pragnął złożyć u stóp jej sławę, aby jej inne kobiety zazdrościły, a co z nią uczynił?

Ale zachowa jej pamięć, jak Bóg jest na niebie.

Gdy pani Ritterowa skończyła, siadł i napisał list do brata Frydryka i posłał go przez nią do kasy oszczędności, prosząc, aby po drodze wstąpiła do lekarza. Sam poszedł kupić oleju i trochę gipsu, bo ten, który miał w domu, nie dał się już użyć.

Wróciwszy, natychmiast rozrobił gips, izbliżywszy się do zmarłej, ostrożnie zdjął maskę z jej twarzy. Przelotna myśl dojrzała w nim niezwłocznie.

Potem zaraz w kuchni ustawił stół do modelowania, zbierał po wszystkich kątach i oknach łopatki, drut, resztki rurek, złożył podstawę, sprzątał i porządkował, aby tylko mieć miejsce do pracy.

Nie była to łatwa robota, bo od kilku miesięcy nie miał nic w ręku.

Tymczasem nadszedł lekarz, wydał świadectwo śmierci, a wkrótce potem przyszła i pani Ritterowa.

Frydryk przysłał żadaną sumę, ale z wyraźnem zastrzeżeniem, że to wsparcie będzie ostatnie. Nie do-

dał ani słowa współczucia... natomiast bolesną uwagę, że teraz, jeżeli będzie chciał, ma znowu możliwość podniesienia się i powrotu do dawnego towarzystwa. Werunsky spojrzeniem przeprosił zmarłą, leżącą tam na łóżku, a list zniszczył.

Zaraz po obiedzie pani Ritterowa z panią Szwejnową obmyły nieboszczkę, uczesały i ubrały, a Werunsky tymczasem w kuchni zrobił odlew maski, który powiódł się bez zarzutu.

Ten sam niebiański uśmiech na tej białej gipsowej twarzy, to samo spokojne przymknięcie oka, taż dobitność czoła i nosa.

W tej chwili znowu w Werunskim artysta miał przewagę nad małżonkiem. Nie słyszał lamentacyi pani Szwejnowej, przeplatanej kolącymi docinkami, nie słyszał przyświadczenia pani Ritterowej; cały był pochłonięty myślą stworzenia zmarłej pomnika, któryby zachował jej podobieństwo i był wieczną po niej pamiątką.

Pomysł ten, powstały rano, zaczął nabierać pewniejszych kształtów.

Wyobrażał sobie z równej powierzchni wystającą połowę trumny, cokolwiek ku widzowi pochyloną, tak, że widoczna była głowa nieboszczki i złożone na piersiach ręce, trzymające krzyżyk. Twarz tej zmarłej to twarz Bożeny, z tym szczęśliwym uśmiechem bez śladu wyrzutu lub żalu.

Aż do samych rąk nieboszczka okryta szatą, która pada w ciężkich fałdach na podstawę pomnika, gdzie złożono wieniec palmowy.

W malowniczo ułożone fałdy szaty zapadły tu i tam róże, któremi otoczona głowa zmarłej, i które leżą też na piersiach, przykrytych białą koronką.

A im więcej rozmyślał Werunsky, tem wyraźniej widziałów pomnik, tem ostrzej występował on nawet w drobnych szczegółach.

Żądza uchwycenia ich rozwija się, kipi w nim nieokielżaną siłą, przewyższa nawet nałóg, bo Werunsky zapomina o piciu, nie czuje pragnienia, namiętność do pracy go pochłania i pragnie tylko co prędzej utrwalić powstały obraz w podatnym materiale.

Gdy wszedł do pokoju i ujrzał na okrytym prześcieradłem stole ciało Bożeny z krzyżykiem w ręku, spoglądał na nią przejęty, ale już bez dojmującej boleści i ciężkiego żalu.

A im dłużej na nią patrzył, tem głębiej przenikał osobliwość tego uśmiechu i wbijał go sobie w pamięć.

Na jego naleganie musiały kobiety zmienić poniekąd uczesanie Bożeny w ten sposób, aby szeroki warkocz rudawych włosów otaczał głowę bliżej czoła, ciągnąc się szeroko za małe uszy, których odstawanie, powstałe skutkiem wychudzenia, cokolwiek łagodził.

Gdy to skończyły, Werunsky wziął ołówek i zrobił sobie szkic.

XIX.

Nazajutrz po południu wnieśli dwaj ludzie do mieszkania Werunskiego jasną dębową trumnę, biało wysłaną i srebrną blachą ozdobnie na kantach pobitą.

Werunskiego na chwilę przeszył srogi ból, ale wkrótce opanował go poważny spokój.

Pani Ritterowa ze Szwejnohową robiły przygotowania do ułożenia zmarłej w trumnę.

Wyraz twarzy Bożeny nie zmienił się, tylko uśmiech był jakiś wyraźniejszy, skamieniały. Na czole i skroniach

cera cokolwiek zóółkła, a z warg zniknął ostatni ślad czerwieni.

Między panią Szwejnową a Werunskim powstał spór krótki.

On nalegał już wczoraj wieczorem, żeby Bożenę ubrać w ślubną suknię, i choć pani Ritterowa z początku wzbraniała się i robiła swoje uwagi, ale w końcu ustąpiła, zgodziła się na prośby męża, obiecując welon tak ułożyć, aby wolno i lekko obejmował szyję, a rozgarnięty spływał środkiem zapadłych piersi do pasa, poczem oba końce miały nikać w fałdach sukni.

Teraz, gdy już wszystko było gotowe, pani Szwejnowa nie chciała nawet słyszeć o białej sukni, tłumacząc, że to dla mężatki nie wypada, że nigdzie nic podobnego nie robią; ale Werunsky uparł się na swoim, mówiąc, że go nic nie obchodzi co wypada.

Oburzenie pani Szwejnowej dobrzmiało w kilku przytłumionych uwagach o rozumie i nowościach panów artystów, kilku głębokich westchnieniach i przeszło nakoniec w obojętną uległość.

Werunsky sam potem pomagał przy ubieraniu, kładzeniu ciała do trumny; przy upinaniu i układaniu welonu nikt nie śmiał mu przeszkadzać.

Układał go z największą troskliwością, a odchodząc co chwila na parę kroków, badał plastyczność kształtów fałd i zmarszczek. Sam także złożył na nim sztywne ręce Bożeny i włożył w nie krzyżyk.

Po południu poszedł kupić kwiatów. Przyniósł cały bukiet olbrzymich ponsowych burbońskich róż, które kwitną jeszcze we wrześniu, i białych georgiń i otoczył nimi głowę Bożeny; jedną różę włożył jej z boku w rudawy warkocz.

Potem ozdobił niemi welon i w odpowiednich miejscach fałdy sukni.

Z pomocą pani Ritterowej i Szwejnowej postawił

trumnę na stole przy ścianie i, podwyższywszy od muru jej nogi, pochylił ją cokolwiek i pilnie obserwował, jakie wrażenie sprawiają ozdoby.

Nie zadowalało go to jeszcze. Trzeba było próc tego przykryć dolną część trumny.

Z zakładu pogrzebowego postarał się o czarne sukno i zarzucił je tak na trumnę, aby okrywając zmarłą do pasa, spływało na ziemię. Znowu ułożył malowniczo całun i ozdobił go różami.

Jasne wrześnieowe słońce zachodziło powoli i rzucało na ścianę, o którą była wsparta trumna, spokojne swe światło.

Ostro zarysowywały się kształty głowy na białej poduszce w łagodnem tem oświetleniu. Na rysach twarzy, linjach czoła i lekko załamane go nosa igrało to miękkie światło i zdawało się oblewać twarz jakimś nadziejskiem opromienieniem. Złotawo-rudy warkocz iskrzył się ognistymi pasami, a burbońskie róże, rozsiane wkoło głowy, zdawały się płonąć...

Czyste to opromienienie jakby spływało po fałdach welonu, którego delikatną tkaninę osrebrzało do stężonych białych rąk i kantów krzyża, w nich utkwionego.

Werunsky, stojąc zdaleka i badawczo wpatrując się w ten obraz, był napelniony jakąś wielką pokorą, pobożnością i niezakłóconym spokojem.

Zdawało się, że za każdym takim spojrzeniem dusza jego staje się lepszą i czystsza, że napelnia się cichą, niebiańską muzyką.

W takim usposobieniu, im dłużej patrzył na trumnę, tem więcej cały ten obraz nabywał dla niego cechy nadziejskiej.

Wszystko rozpływało się, drżało, błyszczało w tej świecącej aureoli, która złotą falą wprost z niebios się lała. A w tem świetle bujają zwolna aniołkowie o srebr-

nych skrzydłach i spuszczają się coraz niżej, aż do samej trumny, z którą cichutko ulatują w niebiosy.

Źrenice jego rozszerzyły się, usta przestały odychać.

Już sobie nie wyobrażał, że tam w trumnie spoczywa jego żona, lecz że istota czysta, wyższa, błogosławiona, która zalicza się do aniołów, nie do ludzi.

Tak nie uśmiecha się człowiek, takie szczęście nie osiada na ludzkiej twarzy.

Pochodzi ono z nieba.

Wtem jak błyskawica przeszła Werunskiemu przez głowę myśl, która poraziła na chwilę jego duszę. Przetarł ręką czoło, zwrócił się do otwartego okna i znów się zbliżył do trumny.

Niema wątpliwości... ten obraz przed nim, ta zmarła o tym niebiańskim uśmiechu — czyż to nie jest rozwiązanie zagadki, która od dwóch lat ściga go i gnębi! Czy to nie jest obraz doścignionego, doskonałego, zupełnego, niezaprzeczonego szczęścia, bez śladu wymówki i cienia żalu?!

Werunskiemu zdawało się, że spadło mu bielmo z oczu, że przejrzał na nie, że wyjrzał z ciemności na światło. Czego marnie szukał w pracy, w iluzjach młodości, w błędach życia, w wicherzącym prądzie namiętności, za czem dążył w cieniu obojętności świata, po cierniach zawodów, w palającym żarze—to leży teraz rozwiązane, skreślone niebiańskim uśmiechem na martwych ustach.

Oto odpowiedź.

I jak po objawieniu Bożem, pokornie i nabożnie, napełniony dziecianną, niepowrotną, uszczęśliwiającą wiarą, stoi tu przed tym obrazem, jak przed otwartą księgą, która mu powierzyła tajemnicę, zakrytą przed wielu śmiertelnikami.

Niegdyś była chwila, gdy tak stał przed portretem tej, która tu leży nieruchoma, i gdy w radosnem uniesieniu,

widząc go oświetlonym wspaniałem zachodniem słońcem, wołał w zachwycie:

— Moje szczęście, moje szczęście!

Ale wtedy opierał się na mgłach snów młodzieńczych; dziś stoi na pewnym, twardym fundamencie życiowego doświadczenia.

Cała treść jego i smutny przebieg mówi o tej różności pojęć.

I była niegdyś chwila, gdy niejasno przeczuwał, że prawdziwy pomysł do posągu Szczęścia przyjdzie mu niespodzianie, padnie mu w ramiona, jak dojrzały owoc, i oto dziś zjawił się przed nim, jak jasny punkt w oddali, po długiej pielgrzymce w ciemności, po cierniach, po chłodzie i błocie: niebiański uśmiech na martwych ustach!

Cały się czuje tem przejęty, każdy nerw w nim drży, pragnie już ujrzeć to dzieło wykonane. Zupełne przeświadczenie, że ta myśl jest właśnie prawdziwa, zapłonęło w nim jasnym ogniem.

A obok błyska nieśmiała nadzieja; czy jeżeli ją wykona, to posiadzie rzeczywiste szczęście?

Niebiański uśmiech na martwych ustach!

.

Jakiś dziwny, nieznan, bolesny, a radosny zarazem spokój szerzy się w jego piersi.

Ale powoli przezwycięża go artystyczne pragnienie uchwycenia tego obrazu, który wydaje się mu objawieniem Bożem: utwalić go, aby nie znikł, o władnąć nim, wryć w materię i ukazać światu!

Werunsky chwyta znowu kredkę i, stojąc przed trumną, rysuje i kreśli z zapalem aż do wieczoru.

Zmysły jego opuściło zwykłe osłabienie, i wstąpiła w nie nowa siła.

Pewnie i akuratnie chwytał kontury, cieniował głębie,

wyprowadzał światła; ręka jego nabyła sprężystości, oko bystrości, a dusza woli i pewności.

Geniusz artyzmu stał przy nim i wspierał go w pracy.

XX.

W skromnym pogrzebie Bożeny brało udział niewiele osób.

Z krewnych Werunskiego, jak i na wesele, nikt nie przyszedł. Dla rodziny Werunskiego Bożena nigdy nie istniała.

Z przyjaciół przybył Towara, który zaraz rano przysłał wspaniałą wieniec.

Zbliżył się do Werunskiego i podał mu rękę. Ten długo ją ścisnął i szeptał wzruszony:

— Wybaczysz?

Malarz spojrział w jego zielonawe, marzycielskie oczy i rzekł po przyjacielsku:

— Przecież rozumiałem twoje położenie. Zapomniałem już o tem.

I idąc po schodach z Werunskim, który go wziął pod rękę, tłumaczył przed nim Lemarego.

— Bardzo żałuje, ale jest na weselu Poura za świadka. Nie mógł mu odmówić.

— Pour się żeni?

— Dziś ślub o godzinie czwartej. Baron Rex wyrobił mu miejsce bibliotekarza i kustosza u księcia z Berna. Miejsce dobre, służba wygodna.

— Patrzcie, więc wypłynął!— rzekł Werunsky i przypomniał sobie pannę Fichtrównę.

Ona dziś idzie do ołtarza, gdy jego żona...

Przed domem czekali państwo Kleinwirthowie.

Werunsky nie widział ich już od roku. Wyprowadzili się na prowincję.

Pan Kleinwirth otrzymał za pośrednictwem swego szwagra, profesora uniwersytetu, miejsce sekretarza przy wyższej gospodarczej szkole i bawił teraz w Pradze na wakacyach. Wyglądał bardzo zadowolony, a żona jego wypiękniała, nabrała tuszy i cery.

Werunsky spuścił przed nimi nieśmiało oczy. A choć pani Kleinwirthowa była jak zwykle uprzejma, jemu wydawało się, że w spojrzeniu jej męża czyta cichą litość. Z pewnością wie, jak nisko upadł. A jakie pokładał w nim nadzieje, gdy go poznał!

Zmieszany, szeptał słowa podziękii za dowód ich współczucia.

A gdy od nich odszedł, pomyślał sobie:

— Tak każdy wznosi się, polepsza swe stanowisko, zabezpiecza sobie przyszłość, tylko ja upadam!

Ale wkrótce to przypadkowe spostrzeżenie znikło pod wrażeniem, jakie czynił skromny kondukt pogrzebowy.

Werunsky, idąc koło Towary za karawanem, spoglądał chwilami na trumnę, a po każdym takim spojrzeniu przychodziła mu na myśl uśmiechnięta twarz nieboszczki. Ale i ten obraz, ginął nie mogąc się utrzymać w jakimś dziwnym wirze, który otaczał Werunskiego.

Słyszał za sobą miarowe kroki gromadki ludzi, uczestniczącej w pogrzebie, a obok siebie szlochanie i łkanie Lidy i pani Szwejnohowej, które w czarnych jedwabnych chustkach szły za trumną z zapłakanymi oczyma i czerwonymi policzkami, ocierając z nich co chwila wielkie krople łez.

Przed nim prawidłowy, dźwięczny krok koni, ciągnących karawan, i monotony turkot kół po bruku usypiały go jakoś tak, że szedł senny, niepewnym krokiem.

Chciał przemódz to znużenie i postanowił przebiec w myśli całe swe pożycie z Bożeną, ale ledwie zaczął przypominać sobie czasy poznania i odtwarzać sobie chwile, gdy na Bożenę oczekiwał, myśli zabląkały się do sklepiku pani Szwejnohowej, do pojedynczych jego kątów, padły na gipsowe fajki w oknie, na cybuch jego ojca, ten długi cybuch z szafirowymi chwastami i grubym bursztynem na końcu—i już rozpamiętywał czasy swego dzieciństwa.

Takim sposobem przeskakiwały myśli jego z przedmiotu na przedmiot, jak w czasie porannego snu, nie dając się pokierować, ani wstrzymać.

Ze względu na ważność sytuacji, roztargnienie to go gniewało, brał je za znieważanie takiej chwili, ale nie potrafił go opanować nawet wtedy, gdy karawan wjechał na cmentarz, gdy kondukt stanął wkoło wykopanego grobu i trumnę do niego na zawsze spuszczone.

Martwił się w tej chwili, że ma takie niestałe usposobienie, i zdawało mu się, że cała ta pogrzebowa ceremonia jest snem tylko, jakby nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ważny akt w tej chwili się rozgrywa.

Był ciekaw się dowiedzieć, co czują inni, i wielką miał ochotę zapytać o to Towarę. Ale obejrzawszy się na niego i spostrzegłszy płaczącą panią Szwejnohową i Lidę, pomyślał sobie, że nawet proste te kobiety mają poważniejsze usposobienie, niżeli on. Z pewnością on tylko jeden jest takim szczególnym wyjątkiem. Jest w nim dużo uczucia, ale mało naturalności! Musi też w tem tkwić cały kierunek jego losu.

Podczas tego rozważania, prawie bez jego udziału odbył się cały obrządek nad grobem.

Wreszcie mechanicznie wpadł w „Ojcze nasz,” który teraz wszyscy za księdzem odmawiali. Ale skoro biorący udział w pogrzebie się rozeszli, on został i prosił Towarę, żeby na niego poczekał.

Dopiero gdy się cmentarz opróżnił, przeżegnał się i prosił przyjaciela, żeby piechotą wrócili do domu.

Było to w pół do szóstej; dzień był piękny i jasny.

Nad ziemią unosił się drżący blask słoneczny. Werunsky powoli opanowywał swe roztargnienie. Kiedy znalazł się z Towarą w polu, powstało i wybujało w nim niepoko-
nane pragnienie wyznania mu wszystkiego, zwierzenia się ze wszystkim, co się w ostatnich czasach z nim działo. Czuł nawet, że Towarze jest to obowiązany. A potem chciał mu też powiedzieć o swym planie, choćby dlatego, aby Towara wiedział, że on znowu chce pracować.

Z początku niezwięźle, jakby wypadkowo, rzucał mu pojedyncze zdania, ale potem się rozgadał.

Mówił o śmierci Bożeny, o tem dziwnie cichem, spokojnem skonaniu. Nie ukrywał nawet swych myśli, jak się czuje względem niej winien. Opisywał, jak wyglądała po śmierci w trumnie, gdy ją słońce jasno oświetliło, i jak powstała w nim myśl, że ten obraz stanowi jedyne rzeczywiste, uchwytnie, prawdziwe, zupełne, niepocho-
dzące ze świata szczęście. Szczęście niebiańskie, wieczne.

Chciał mówić spokojnie, ale był bardzo rozczulony. Z tonu jego mowy i spojrzeń, które rzucał czasami na Towarę, czytać można było prośbę.

„Wybacz, ale nie uznaję innego szczęścia, nawet twego!”

Malarz go pojmował.

— Tak—rzekł sobie w duchu:—biedak Werunsky nie mógł dojść do innego rezultatu. Stał się pesymistą.

Ale chociaż tą myślą bronił swego rodzinnego szczęścia i szczęścia, które mu daje jego praca, nie mógł jednak uchronić się od jakiegoś tajemniczego uczucia, że poj-
mowanie Werunskiego ma jakiś szczególny, melancholiczny powab, który zyskuje sobie sympatyę, a który darzy pocie-
chą zawiedzione i smutne dusze, że ma ono w sobie coś pociągającego i silnego, jak wiara, coś słodkiego i zwy-

cięskiego, jak poezya. I Towara odczuł jakąś tęsknotę i smutek.

Ten bogaty, poszukiwany i szczęśliwy malarz spojrział na idącego obok niego rzeźbiarza z nabrzmiałą twarzą, ze śladami nieszczęścia i przeżycia na niej, z nieśmiałym wzrokiem człowieka, który wie, że upada, że wzbudza litość—spojrział z podziwieniem i szacunkiem, z jakim patrzymy na ludzi, których uznajemy przewagę duchową.

— Jam zawsze pokładał w tobie wiarę—rzekł Werunskiemu poważnie—i nie zawiodłem się.

Werunsky spojrział na niego z wdzięcznością i zapalił się jeszcze więcej.

— Za cztery, pięć tygodni postaram się wykończyć—mówił dalej.—Za miesiąc już możesz przyjść zobaczyć.

Przechodzili właśnie koło sztachet restauracyi w Krawinie, w kierunku budki przy drodze, gdzie sprzedają owoce.

Między gałęziami drzew owocowych po lewej stronie coś błysnęło.

Zachodzące słońce.

Obaj spojrzeli i stanęli. Ten zachód ich zachwyił.

Nad Petrzynem unosiły się całe pasy ciemno-fioletkowych chmur, ale bliżej ku Krawinowi niebo się wyjaśniało, a nad ich głowami było zupełnie jasne i miało czysty zielonawy odcień.

Nad ogrodem Eichmanna przed nimi stała wielka chmura, która była oświetlona różowo. W kierunku Petrzyna obłoczki miały tylko brzeżki złotawe, dalej ciemne pasy tłały szeroko na wrębowanych brzegach, jak tli się i trawi ciemno-szara tektura. W jednym miejscu były przerwane i otwierały widok na krwawo płonące słońce.

Nie był to właściwie widok nieba, lecz wspaniały widok czarodziejskiego królestwa płomieni.

Połowa widocznej nad horyzontem kuli słonecznej

wciąż się zmniejszała, aż znikła. Po chwili brzegi ciemnych pasów dotlały, a obłoczki ostygły. Środek ich staczał się w ciemne, szare, chłodne.

Ściemniało się.

Sylwetka Petrzyna była bezbarwna, jak ciemniejszy cień na ciemnej chmurze. Tylko nad ich głowami było dotychczas jasno.

Szli drogą na plac Purkyniego. Na prawo widać było kontury kościoła Ś-go Wita, bliżej nich szkielet rusztowania na kopule budowy muzeum sterczał smutnie pozabawiony światła.

Przed nimi Winohrady pogrążały się jak we mgle, ale na ulicach było jeszcze jasno, tylko że chłodnawo.

Jesienny wiatr przedmuchiwał ulice. Zapalono latarnie.

Przy jasno-żółtym zmierzchu białe ich płomienie z zaświecił robiły smutne wrażenie.

Jakaś tęsknota wkradła się Werunskiemu i Towarze w dusze.

Szwaczki, hafciarki, robotnicy i robotnice z fabryk wracali do domu. W wędliniarniach było pełno. Rój tych drobnych, zmęczonych postaci strasznie się różnił od wspaniałości zachodu.

— Takie jest życie—rzekł Werunsky.

Towara chciał się uśmiechnąć, ale przejął go szczególnie dreszcz smutku. Pojmował słowa przyjaciela, pomimo swego dostatku, i zabołały go one.

— Czy pójdziesz do Trnków?—spytał, gdy się rozchodzili.

— Pójdę do domu.

Towara ścisnął mu długo i szczerze rękę, a kiedy potem sam szedł do domu, nie mógł się pozbyć jakiegoś wiru niepokoju i uczucia smutku. Rozczulony zbliżył się do kolebki swego dziecięcia i, wpatrując się w jego drobną główkę w koronkowym czepeczku, nie mógł

otrząsnąć się z nigdy dotychczas nie odczuwanych obaw, że ten skarb jego mógłby umrzeć i opuścić go. Przytem czuł, jak męczy go poczucie ludzkiej słabości, a wspomniawszy Werunskiego, powtórzył po nim pół pytająco, na pół wierząco:

— Prawdziwe szczęście nie pochodzi ze świata.

Wtem nagle tupnął niecierpliwie nogą, przetarł twarz rękoma, a myśli jego pomimo woli przeszły półgłosem przez usta.

— Czyż jestem babą! To ten pogrzeb mię tak usposobił. Takie myśli wyczerpują energię. Każdy zachód ma swój czar — a Werunsky zachodzi. Ale ja — ja jestem w południu życia.

XXI.

Kto widział w połowie października w ubogiem mieszkaniu Werunskiego opartą jeszcze o podstawę figurę Szczęścia, wykonaną w płaskorzeźbie na czarno malowanej desce, był nią głęboko przejęty.

Odrobiona tylko z szarej gliny, robiła jednak imponujące wrażenie.

Pierwszy zobaczył ją Towara. Stał długo i wpatrywał się w tę zmarłą śpiącą w trumnie, i czuł się mocno wzruszony. Potem odwrócił się do Werunskiego i, nie mogąc przemówić słowa, uściśnął go tylko za rękę. Dopiero po chwili zebrał myśli. Ale całe jego prawdziwe uznanie, wyrażone słowami, nie było tak wymowne, jak ów niemy podziw.

Przez cały następny tydzień Towara nie był zdolny

do pracy. Nie dawało mu to pokoju. Obchodził kolegów i posyłał wprost do Werunskiego. Przyprawdzał ich z sobą. Między innymi odwiedził go w towarzystwie Urbana, który od września mieszkał w Pradze, gdyż został tu profesorem.

Spotkali się tam ze starym rzeźbiarzem Quisem, pierwszym nauczycielem Werunskiego. Podziw wszystkich był zupełny i szczery.

— Tylko z marmuru, z kararyjskiego marmuru chciałbym ją widzieć—powtarzał Quis kilkakrotnie. Wiecie, ta błyszcząca białość, iskrząca się gwiazdeczkami i jakby przejrzysta! A przytem tak ciepła, miękka, jedwabna. Nie znam wspanialszego materiału. Edynku, posłuchajcie mnie—zwracał się do Werunskiego.

On zaś, przyjmując swych gości z nieśmiałym uśmiechem, nie mógł się go pozbyć przez cały czas ich bytności. Na ich pochlebstwa i słowa uznania nie był w stanie należycie odpowiedzieć i ciągle czuł się nieswoim.

Zmizerniał w ostatnim czasie. Był niezwykle, blade tylko marzycielskie, wilgotne oko jego świeciło czasem szczególnym blaskiem, jakby dogasające światło tej twórczej siły, która mu wiernie towarzyszyła przy wykonaniu tej pracy.

I teraz uśmiechnął się do Quisa i machnął ręką.

— Bóg ci pobłogosławił ręce — rzekł Urban poważnie.

— Patrzcie tylko, ta miękkość, to ciepło... a w dodatku ta lekkość! Ten uśmiech jakby natchniony. Niegodziwy człowieku, kto przy was stał? Teraz mi jeszcze powiedzcie, że nie możecie pracować, ja wam sprawię!—ciągnął wymowny Quis dalej i zmuszał się do gniewnego rozgoryczenia tonu, a tymczasem spoglądał na Werunskiego pełen uwielbienia i podziwu, jakby chciał wybadać z jego twarzy, gdzie właściwie ta siła w nim tkwi, i jak powinien wyglądać człowiek, który takie rzeczy tworzy.

Jeszcze silniejsze wrażenie robiło dzieło Werunskiego, odlane z gipsu.

Kiedy sztukatorscy pomocnicy wynosili z mieszkania model do odlania, nakładali go na ręczny wózek i odwozili do Pragi, było Werunskiemu przykrzej, niż na pogrzebie Bożeny. Z tęsknotą i strachem postępował za nimi i nie ustąpił na chwilę z warsztatu, dopóki odlewu nie wyjęto z formy. Drżał przy tej całej procedurze, w której dzieło jego powierzone było obcym rękóm, skazane na ich łaskę i niełaskę.

Znał wprawdzie tych robotników jako zdolnych i zręcznych, na których można było polegać, ale gdy widział, jak polewają model różową gipsową masą, że pod nią niknie każdy rys, kiedy ona tężała w bezkształtne pokrycie, to w gardle go ścisnęło, a serce biło, jak młotem. A potem, gdy z tego pokrycia wyjmowali nie, raczej szarpali po kawałkach glinę modelu, kiedy nie pozostało nic, prócz tej niepewnej zdradliwej jamy w bezkształtnem pokryciu, to uczuł zimne dreszcze w całym ciele i nie miał chwili spokoju, dokąd cały odlew nie był odbity. Ale gdy zaczęły się ukazywać części modelu lśniące białe, w dziewiczej czystości i nieskażonym kształcie, przejęło go ciche, ciepłe uczucie radości, operlonej, nieopisaną tęsknotą.

Utwór jego zdawał mu się być odrodzony w niepokalanej bieli i czystości, wznioślejszy w tym odlewie bez zarzutu, który miejscami wygładzony i biało poszelakowany, miał być publicznie wystawiony na noworocznej wystawie artystów krajowych. Był on jej punktem kulminacyjnym. Odpowiednio ustawiony koło okna, tak, że światło dzienne padało na uniesioną poniekąd głowę zmarłej, spływając po delikatnych rysach twarzy ku złożonym na piersiach rękóm i zsuwając się dalej na kanty trumny.

Chyba nigdy noworoczna wystawa nie była tak zwiedzana jak tego roku. O dziele Werunskiego mówic-

no ogólnie, tam nawet, gdzie, prawdę powiedziawszy, nigdy się sztuką nie zajmowano, a tem mniej sztuką czeską. O wrażeniu, jakie dzieło zrobiło, można było sądzić po głębokości spokoju, który dokoła panował. Każdy zbliżał się do niego z jakąś milczącą pobożnością, z powstrzymanym oddechem. Jakby miał przyklęknąć pomodlić się przy tej zmarłej, która tak cicho z niebiańskim uśmiechem na zimnych ustach, spała w swej trumnie. Powtarzały się tu te same objawy, jak w miejscach, gdzie bywają wystawione ciała zmarłych. Każdy bał się głośniej stąpnąć, zakaszlać, przemówić. Tu tylko szeptano lub porozumiewano się wzrokiem, a wiele oczu zaszło łzami. Jedna młoda nerwowa pani rzuciła się na kolana i zaczęła głośno płakać.

Nikogo nie pobudziło to do śmiechu. Wszyscy pojmowali, że podobne wzruszenie było możliwe, i uszanowali ten objaw.

Wkrótce wszystkie wystawy księgarskie pełne były fotografii utworu Werunskiego, a kupowali je na zabój.

Od lat kilku żadne dzieło artystyczne nie miało takiego powodzenia u publiczności jak płaskorzeźba Werunskiego. W całej Pradze mówiono tylko o niej. Nietylko opowiadano sobie o utworze, ale też o mistrzu i jego żonie. Powtarzano prawdę i bajki. Ale zajęcie, jakim zabarwiano i ciekawość, z jaką słuchano świadczyły, że powodzenie pracy Werunskiego było prawie sensacyjne.

W końcu chwyciła się tej rzeczy spekulacya handlowa. Przedsiębiorca prywatny ofiarował Werunskiemu pewien udział w zyskach, za pozwolenie wystawienia dzieła w większych miastach. Przytem już robił sobie plany, że urządzi wystawę wieczorem, przy elektrycznym oświetleniu, które rzucałoby tajemnicze księżycowe światło na białość trumny i twarz nieboszczki, lub że w zacienionej sali oświetli je tylko jedyną lampą, wiszącą u sufitu. Przytem tylna strona rzeźby będzie osłonią i zawieszona

draperyą, która nad trumną złączona utworzy baldachimowe sklepienie, modrowy jego odcień będzie padał na białosć gipsu.

Była to prosta spekulacya na podrażnienie podnieconej wyobraźni widzów, ale powiodła się znakomicie. Werunsky przyjął propozycyę przedsiębiorcy, i w Dreźnie, Lipsku, Berlinie, oraz Monachium ona doznała znacznego materialnego powodzenia. Imię Werunskiego stało się zaraz głośnie na obczyźnie.

Werunsky był z tego zadowolony. Znajdował w tem jakieś zadośćuczynienie, nie tyle względem swej pracy, ile raczej dlatego, że całe te zastępy ludzi chodzą teraz oglądać jego Bożenę. Zbliżają się do niej cicho, z szacunkiem, nawet nabożeństwem. A więc przecie zdołał ją uczynić sławną! Chociaż w części spłacił swój dług, dotrzymał przyrzeczenia. Aż za granicę dostała się jej podobizna. Tysiące obrazów ją uchwyciły. Jest uwieczniona ponieważ dzieło jego powiodło się.

A gdy się tak do niej zbliżają inne kobiety, kobiety bogate, może nawet która z nich odczuwa zazdrość...

Przeświadczenie to i te uwagi napęłniają go zadowoleniem, uszczęśliwiają go.

Z Monachium dostał później propozycyę od włoskiego rzeźbiarza, który tam bawił i był znakomitością w kierunku rzeźby architektonicznej, że wykona jego utwór z karyjskiego marmuru, ale nie jako wypukłą płaskorzeźbę, lecz w całej plastyce, jako katafalk. Zgodził się na to Werunsky pod warunkiem, że wzmiankowany rzeźbiarz zrobi lub da wykonać z gotowego swego dzieła kopię, którą prześle Werunskiemu, aby mógł ją umieścić na grobie Bożeny.

Warunki te przyjęto.

Powodzenie Werunskiego nie ograniczało się tylko niezwykłym udziałem szerokiej publiczności, lecz nabierało prawdziwej ceny jednomyślną pochwałą krytyki artystycznej.

Najważniejszy, decydujący głos tak odezwał się o nim po noworocznej wystawie w Pradze:

„Już przeszło półtrzecia roku temu, jak Edward Werunsky wystawił swą płaskorzeźbę „Prawdę,” którą przedstawił jako duch przenikliwy, jako artysta poeta, szczególnej głębokości i siły; wykazał też w niej znaczny postęp pod względem technicznym tego dzieła.

„Po tak pocieszającym i szczęśliwym występie, młody artysta napięte nasze oczekiwania i słuszne nadzieje zmienił powoli w obawę, której nie brakło pewnych podstaw...

„Ale im chmurniejsze były przepowiednie pesymistów względem jego dalszej czynności, tem większą jest radość nasza z nowego jego dzieła, którem wysunął się przed nami, przewyższając o wiele swe otoczenie. Nietylko szczerą radością, ale wyznamy wprost, dumą napełnia nas jego dzieło, bo sięga nad pospolitość, dosięga aż dzieł mistrzowskich. Tak Werunsky stoi przed nami—nie jako początkujący, lecz jako młody mistrz.”

Po takim wstępie dano opis dzieła, poczem referat tak się kończył: „Swem Szczęściem pan Werunsky potwierdził jasno, że jako artysta poeta nie ma sobie równego. Idea, którą przedstawia w swej pracy, jest poważna i głęboka, zrodziła się w głębi jego duszy. Jest w niej część jego wyznania wiary; że brzmi tak poważnie, tak smutno, nie ma nikt prawa wytykać. Jest bowiem wielkim i silnym wyrazem, wobec którego nikną wszelkie drobiazgowy zarzuty. Co jednak dla nas jest najważniejszym i pod względem nadziei naszych na przyszłość artysty ma największą cenę, to dojrzałość techniczna która to dzieło pod każdym względem znakomicie odznacza. Podziwu zasługuje przede wszystkim mistrzowskie ułożenie całości: To delikatne ledwie dostrzegane pochylenie trumny ku widzowi, to pełne wdzięku plastycznego pochylenie głowy,

która, choć uniesiona poduszką jednak ciężarem swym w nią zapada, a przez to zarazem zadość czyni prawom fizycznemu, i jest tak wyrachowane, aby przy odpowiednim oświetleniu (po za głową) padanie cieni podnosiło jak naj-silniej wrażenie plastyczne. A jak delikatnie i czule ułożono zarzucony welon! Lekka ta materya zdaje się być obdarzona czuciem tak miękko i przytulnie, jakby pie-szczotliwie obejmuje to martwe ciało, a przytem tak niezwykłe malowniczo. Za pomocą niego osiągnięto zamaskowanie śpiczastości ramion i zapadłych piersi. A jak poważnie, głęboko i smutno przemawiają spływające szaty, którą trumna okryta! Tak i z tej materyi przebija mowa, a raczej powiedzmy — muzyka. Każda fałda tworzy ton, pełny powagi i cichego smutku. A cóż dopiero, powiedzieć mamy o tych, na piersiach złożonych, delikatnych, długich rękach! Odważamy się napisać, że co przemilcza twarz, dopowiadają te ręce. Widzimy w nich całe życie kłopotów, zmartwień i całe szczęście pośmiertnego wiecznego spoczynku.

„Kto nie widział dzieła Werunskiego, temu może się wydać przesadą, cośmy o niem wyrzekli, ale nam, którzyśmy na nie patrzali, jest przykro, że nie potrafimy mówić lepiej, aby je sprawiedliwie ocenić.

„Obejrzyjcie ten utwór ze wszystkich stron, studyujcie każdy szczegół, zauważcie każdy kwiat, który leży koło głowy zmarłej, lub wygląda z fałd welonu i sukna. Zauważcie jak misternie jest traktowane delikatne pajęczce przedziwo tego welonu, i ciężka materya całunu, a wszędzie okaże się zupełna doskonałość.“

Jeden z najbardziej renomowanych krytyków niemieckich, ale zawsze trochę polemizujący, pisał między innymi o pracy Werunskiego:

„W obecnym okresie tworzenia artystycznego, którego przykrem charakterystycznym znamieniem jest smutny brak głębszych motywów, jakby umyślnie okazywana próżnia

duchowa obok technicznego mistrzostwa, przesada, aż do dziwactwa i absurdum, przy dziele, jakim jest praca pana Werunskiego nabieramy otuchy. Dawno już nie staliśmy przed tak poważnym plastycznym utworem, w dodatku tak wspaniale wykonanym. Tu panowie mistrze koronkowych materyałów, tu twórcy płytkich piękności pod pajęczą zasłoną, jako mniemanego szczytu rzeźbiarskiej sztuki, tu spojrzycie na tę figurę Szczęścia! Nie dławicie się z braku powietrza, nie czujecie swej miernoty?

„Już od lat kilku nie mieliśmy takiej prawdziwej pociechy, jak przy tym utworze austriackiego artysty; już od lat kilku nie mieliśmy takiego zadowolenia, jak przy uznaniu które zdobywa wszędzie, gdzie się tylko ukaże.

„Pan Werunsky jest podobno jeszcze młody. Można oczekiwać po nim dzieł mistrzowskich—życzymy mu powodzenia i zapewniamy go, że powodzenie jego będzie nas serdecznie cieszyło.

XXII.

Ale „Szczęście” zakończyło karierę artystyczną Werunskiego. „Szczęście” było skutkiem ostatniego, usilnego wybuchu jego podkopanych sił duchowych. Po gorączkowym usiłowaniu, z jakim nad tem dziełem pracował, w niedostatku i przy zupełnie zmienionym trybie życia, po nocach niespokojnych, a często bezsennych, nastąpiło najpierw niezwykle osłabienie, wysilenie, a potem jakieś stałe osłupienie.

Dokończywszy swego „Szczęścia,” dzieła, o którym marzył przez trzy lata, dzieła, do którego pomysł okupił

krwawem doświadczeniem, całym światem zawodów, całą głębią swego upadku, zaspokoivszy gorączkowe pragnienie po jego ukończeniu — poddał się myśli, że wykonał zadanie swego życia. Nie czuł już dalszego polotu ducha, żadnego życzenia.

Jakiś czas cieszył się jeszcze powodzeniem swego dzieła, odbierał udziały, jakie mu się należały za prawa reprodukcji, potem od przedsiębiorcy wystawy, spłacił swe długie, trochę się uporządził, i trochę zaoszczędził. Ale im dalej, tem bardziej zapadał w jakąś obojętność i dał się ować jakiemuś spokojnemu, nieuniknionemu smutkowi, objawiającemu się na jego bladej twarzy i w marzycielskiem oku przejmującą melancholią. Smutek ten i tęsknota wzrastały z mniemania, z którym uparcie się zżył, że już wykonał wszystko. Ani życie, ani sztuka nic dla niego nie mają.

Pewnego dnia po nowym roku zaszedł bez szczególnej myśli, błądząc bez celu ulicami, do Trnków. Raczej nogi, niż głowa lub serce go tam zaniosły. Znajome miejsce, znajome twarze otoczyły go tam, stare zwyczaje objawiające się w stawianiu szklanek, chwytaniu ich, przyciskaniu do ust, powolnem nachylaniu, przebieraniu palcami po stole, krótko mówiąc, we wszystkich tych szczegółach, które zrastają się niejako z nałogowymi pijakami i stanowią ich charakterystykę. Leciuchno, jak bańki, wypłynęły na wierzch, z niemi wysunął się i zwykły ustalony powolny tok myśli: Wróciło i usposobienie powoli przechodzące ze smutku we wspomnienie, ożywienie, wesołość, potem w żądę zapomnienia wszystkiego, co człowieka gniecie, chęć omanienia się, utonięcia we wrzawie...

Poszedł tam raz, drugi, trzeci, spotkał się z Żywotem, wspominali razem, pili razem, zapominali razem.

A rano myśl zakuta, leniwa, ociążała, nie otrząsająca się, powolna aż do wieczora w gospodzie...

Teraz tego stanu nie przerywał ani razu jakiś polot

ducha, żądza sławy — żaden promyk nie ożywiał tych pochmurnych, mgławych, smutnych resztek jego życia.

— Jużem gotów, przyjacielu! Com chciał, zrobiłem i niczego już nie oczekuję.

I z melancholijnym uśmiechem i spojrzeniem, stuknął się z Sikowskim, długo się napił, otarł szklanke palcami, obrócił ją tą stroną, jak zwykł ją stawiać przed sobą.

A po północy, lub już nad ranem, prowadzili się obaj chwiejnym krokiem przez próżne ciemne ulice Winohradów, nie mogąc się rozstać.

Powoli stał się Werunsky w zniszczonym zielonawym haweloku, zmiętym brązowym kapeluszu, typową figurą, znaną ogólnie nietylko na Winohradach, lecz i w Pradze.

Mało kto go zaczepił, ale wszyscy nań patrzali, a minąwszy, oglądali się za nim jeszcze.

— Boże, jak może tak człowiek upaść?—z udaniem współczuciem, ale z wewnętrznem zadowoleniem dziwili się porządni, otyli obywatele i emeryci, ich żony i córki, przewracali zgorzeni oczyma.

Przytem czuli wielką ochotę o tym wypadku pogawędzić i zauważyć znacząco:

— Właśnie artyści, artyści! U nich to nic dziwnego, proszę państwa!—i wymowny uśmiech krążył im koło ust.

— Kto to?—pytał ktoś, nie znający stosunków swych przewodników.

— Ten? To jest rzeźbiarz Werunsky, ale on już oddawna nic nie robi. Trochę jest melancholikiem, a w dodatku...—traćwszy sąsiada czynił ruch, oznaczający pijaństwo.

Pogardliwy uśmiech dokończył reszty, a wstrząśnienie głową i mrugnięcie oczyma dowodziło, że był należycie zrozumiany.

Takim sposobem, Werunsky stawał się im dalej tem bardziej i niepowrotnie jednym z osobników w szeregach tych stra-

conych egzystencyi wielkowiejskich, które ze wszystkich warstw i klas społeczeństwa ludzkiego wykazują zapewne największy procent duchów niegdyś genialnych, i które budzą największe współczucie w ludziach naprawdę wykształconych, a drwiny i pogardę w duszach płytkich i niskich. Powoli zaczęto mówić o Werunskim jako o byłym rzeźbiarzu.

XXIII.

Od wystawienia „Szczęścia” Werunskiego upłynęło przeszło półtora roku. W połowie września urządzono na ogrodzonej przestrzeni przed Krawinem jedno z tych charakterystycznych ludowych uroczystości, które dają zawsze sposobność kilku zamożniejszym damom czytać swe nazwiska kilkakrotnie w gazetach, w połączeniu z epitetami wspaniałomyślnie, szczodre, patriotyczne, a które zwykle około tych dam zgromadzają zawsze kilka nader gorliwych i niewolniczo usługowych komitetów i eleganckich amatorów dobrych partyi, i które nakoniec wabią setki tych dobrych niewielkich mężów, chętnie pijących tu masę kiepskiego piwa, rozradowanych wzniosłem przeświadczeniem wykonanego obowiązku względem ojczyzny.

Ryła to jedna z jesiennych niedziel, którejby każdy odżałować nie mógł, iż nie użył jeszcze trochę tego słońca i ciepła. Na przestrzeni, wyznaczonej na uroczystość, ludzi było aż czarno.

Pod werendą, której dach tworzyło rozpięte płótno, siedziała arystokracja winohradzka. Nie brakowało tu naturalnie pana przedsiębiorcy Hruszki z jego dwiema cór-

kami i ich zięciami, panem budowniczym Werunskim i pomocnikiem adwokata Lemarym. Dla brata przybył też i Frydryk z żoną i teściem, panem Jakubcem, który także był wielbicielem zabaw. I pani Regina przyszła z nimi, choć Towara miał nadejść dopiero wieczorem. Nie mogli go wywołać z pracowni.

Po wielkiem powodzeniu, jakie miał jego nowy obraz, wystawiający chrzciny w zamożnej mieszczańskiej rodzinie, pracował jeszcze usilniej niż kiedykolwiek przedtem. Imię jego nabierało rozgłosu, i drobne jego prace były poszukiwane i dobrze płacone. Dochody miał teraz znakomite.

Panie siedziały w strojach, które świadczyły o ich bogactwie, a na ich twarzach widać było pewność siebie i stosunków. Spokojnie, przymrużonemi oczyma spoglądały ze swych wygodnych miejsc na te fale drobnego ludu, cisnące się i tłoczące, na tych biednych urzędniczków, rzemieślników i śmiesznych studencików z wielkimi ideami, ale próżną kieszenią.

Pomału zbliżał się wieczór. Wrzawa stała się głośniejszą, tu i tam próbowano zaśpiewać, raczej zaryczeć przepitym głosem. Z początku próby te uśmierzano, ale potem natarczywością swą zyskały sobie prawo i akompaniament. Przy niektórych stołach śpiewano już chórem.

Niebo zwolna szarzało, nad ziemią ściemniało się.

Przed samym zmrokiem małżonka Frydryka spostrzegła Edę Werunskiego, który z Sikowskim przechodził koło stołu. Obaj szli niepewnie i oglądali się nieśmiało. Pani Ksenia zwróciła na nich spojrzeniem uwagę męża, który oznaczał:

— Już tu są. Po co tu przyszli?

Wtem ujrzał ich też Lemary.

— Patrz, tam Eda z Sikowskim — wskazał budowniczemu.

spotkaniu rąbano Niemców nieboraków, jako drwa w lesie. Strach też był po całym ich kraju taki, że każdy chował się w myszą dziurę. Wiedział dobrze cesarz austriacki, że żaden z królów chrześcijańskich nie pomoże mu; do kogóż tu się udać? Juźcić do Polaków, którzy gotowi zawsze byli bronić każdego, co cierpiał niewinną krzywdę od nieprzyjaciół Chrystusa.

Owóż kiedy król Jan szedł pewnego dnia na mszę św. zastąpili mu drogę na korytarzu w zamku krakowskim dwaj posłowie, jeden od papieża, drugi od cesarza i padłszy mu do nóg, wołali: Królu ratuj Wiedeń! a papieżki dodał: i chrześcijaństwo! — król się zmięczył, i zebrawszy 30 tysięcy żołnierza, poszedł ratować Wiedeń. W całym wojsku wielka była ochota; sam król gdy wsiadł na koń, rzekł: Proszę Boga, żebym tylko tych Turków zastał, a nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie. — Że to z Krakowa do Wiednia dobrych sześćdziesiąt mil, przeto wojsko ciągnęło bardzo spieszenie, aby się nie spóźnić. Gdy pod Wiedniem stanęło (1683 r.). Turcy zażarte szturmy przypuszczali do miasta; Niemcy też dowiedziawszy się o przyjściu króla Sobieskiego, tem odważniej się bronili. Była to trzecia godzina w nocy, gdy król Jan kazał się zbudzić. Zaraz z bębnow zrobiono ołtarz pod dębem i ksiądz obozowy odprawił mszę św. w czasie której król brał św. komunię i krzyżem leżał. Po nabożeństwie wojsko szykowało się do bitwy i królowi przyprowadzono bułanego konia, który nazywał się „pałasz;“ wsiadł na niego i zaczął objeżdżać szeregi. Potem przywoławszy do siebie jednego porucznika jazdy pancernej, rzekł doń, pokazując mu palcem: widzisz Waszmość tę kupkę Turków? — Widzę Miłościwy królu — odpowiedział.

Otóż tam stoi sam Wezyr (czyli najstarszy hetman turecki), żebyś Waszmość tam z swoją chorągwią skończył i uderzył kopijami w ten namiot.—Porucznik odebrawszy ten rozkaz, pobiegł do swojej chorągwi, a kazawszy żołnierzom nastawić kopije, jak do klócia, puścił się w cwał. Turcy rzucili się na tę garstkę jak rój pszczoł; wzbil się tuman kurzawy, z której kiedy niekiedy błyskała chorągiew Polska z białym orłem. — Król patrząc na to dobył drzewa Krzyża św. i relikwii z odpustami wielkimi, i żegnał ich mówiąc te słowa: Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów zmiłuj się nad ludem twoim! — W pół godziny otrzepawszy się z kurzawy, powrócił ów porucznik, narobiwszy ogromnego bigosu między Turkami, a niestraciwszy swoich tylko kilkunastu, a całe wojsko nabrało otuchy i ochoty do boju. Po tej pierwszej próbie zaczęła się porządna bitwa; nasiekano pogan i potopiono ich w rzece Dunaju; dopomogli także Niemcy oblężeni, bo wypadłszy z murów, mścili się za swoje ciężkie krzywdy; obóz turecki, który się na parę mil ciągnął, wpadł w nasze ręce ze wszystkimi bogactwami. Było tam pełno złota, koni, wielbłądów, owiec stadami. Poganin uciekając, nie zdążył tego pobrać, nawet zastano jeszcze kotły przy ogniu, w których się jedzenie gotowało. — Zwykle Turcy już w ten czas polubili zbytek, dla tego w namiotach zastano takie wygody, jakby w pałacach: były tam łóżka bardzo kosztowne, łaźnie z pachnącemi mydlami, drogiemi olejkami, a co cukru, konfitur i wszelkich dostatków, to jak w sklepie. Nie dziw, że zatopieni w takich zbytkach, nie mieli serca dotrzymać placu Polakom zahartowanym na głód i słoty. — Zwycięstwo to ocaliło Niemców od ostatniej zguby, bo pe-

i siedziałby z nami przy jednym stole. Gdyby nawet miał jakie inne zajęcie.. Ale to nie jest żadne stanowisko. Takie jest przynajmniej moje zapatrywanie.

— Ba...—potwierdził pan Hruszka.

— Ale proszę was, nie mówmy już o tem — nalegał Frydryk.—O czem to rozmawialiśmy wprzódy?

Chwilę przypominano sobie i powtarzano niepewne domysły.

— Aha! — rzekła nakoniec Toniczka — O domu Karobków.

— Tak, tak, dobrze — potwierdził budowniczy, i zwróciwszy się do swego teścia, zaczął nalegać, aby ten dom kupił.—Póki jeszcze czas!—upominał.

Tejrozmowie przysłuchiwali się wszyscy uważnie, nawet damy.

Tymczasem wrzawa stawała się coraz głośniejsza, a kiedy muzyka zagrała pieśni ludowe, śpiewano je chórem.

U pierwszego stołu nastął teraz jakiś ruch. Kilku panów wstało i witało się.

— Moje uszanowanie, panie Towara!

— Szacunek, panie gospodarzu!

— Sługa pański, panie dobrodzieju.

Ze wszystkich stron wszystko garnęło się do niego.

— Ach, Towara—rzekł Frydryk.

Pani Regina się uśmiechnęła.

— Patrzcie, to jest artysta, ten cieszy się szacunkiem — zauważył z zadowoleniem pan Hruszka i dobrodusznie patrzył na Reginę, a wzrok jego zdawał się mówić: „To co innego—o, ja to rozumiem.”

W końcu Towara dostał się do swoich. Był wesoły i uśmiechnięty.

— Żeś też nareszcie przyszedł!—rzekła Regina, do siadającego obok niej męża z lekką wymówką w głosie, ale szczęśliwym uśmiechem na ustach.

— Tak długo było dzisiaj widno — tłumaczył się Towara. — Dziękuję — zwrócił się do teścia, grzecznie częstującego go cygarem.

— Patrzcie tam: jest: Eda z Sikowskim — zawołał po chwili, ujrawszy rzeźbiarza i chciał powstać.

— Chyba do nich nie pójdziecie — zauważył pan Jakubec i pociągnął go napowrót na krzesło.

— A czemu nie? — spytał Towara, patrząc ze zdziwieniem po wszystkich.

— Ale dajże spokój! — rzucił budowniczy, a w pogardliwym jego spojrzeniu mógł wyczytać wyjaśnienie, czemu nie ma chodzić.

Wtem zbliżył się stołu protektor uroczystości z prezesem zarządzającego komitetu. Obaj panowie serdecznie wstrząsnęli rękę Towary, a mówiąc głośno, spoglądali na siebie, jakby chcąc wyczytać wzajemną zgodę w podobieństwie poglądów.

— To pięknie z waszej strony, żeście raczyli uczcić naszą zabawę swą obecnością. Takie odwiedziny potrafimy cenić.

— Rzeczywiście, rzeczywiście, wielki honor... wielka przyjemność — potakiwał pan protektor, który mówcą nie był.

— Nie wiem czem zasłużyłem na wasze względy panowie — bronił się malarz.

— Ale, ale, ale! — grzmiał protektor i dokończył niewypowiedziane pochlebstwo szerokim uśmiechem.

— O proszę, potrafimy cenić obecność tak znakomitego artysty — gładko basował prezes.

Uszczęśliwiony pan Jakubec poklepał zięcia po ramieniu, a Eman złośliwie się uśmiechnął.

— Czyście też panowie byli także podziękować panu Werunskiemu? — spytał Towara.

Pan protektor zwrócił się z uśmiechem do budowniczego i przyjacielsko podał mu rękę.

— Ja myślę o rzeźbiarzu Werunskim, który tu jest także obecny.

— Ach, tak...—rzekł pan prezes.—Tak, pamiętam, niedawno przyszedł. Czyście go wypadkiem nie widzieli?—zwrócił się do protektora.

— Nie, nie zauważyłem—odrzekł ten niedbale.

— A więc idźcie, panowie, w pierw do niego. Jeżeli tu jest jaki znakomity artysta, to przedewszystkiem on.

— Ale, ale, ale, panie dobrodzieju—huczał znów pan protektor i poklepał już Towarę po ramieniu, co znaczyło. Przecież wiemy, znamy się na tem... Przyczem śmiał się urywanym przytłumionym głosem. — Owszem, owszem talent.. znakomity talent, ale.. — i pan prezes, zwrócił ręce dłońmi ku górze lewą wyżej niż prawą i zarazem wzruszył lewem ramieniem, uśmiechnąwszy się przytem chytrze. Gdy wszyscy zbyli to milczeniem, a Towara patrzył nań przenikliwie, zaczął się przesadzać w grzecznościach: Raccie mi wybaczyć panowie, nie miałem nic złego na myśli..

— Ale przecież wszyscy to wiemy — uspokajał go pan budowniczy.—Widzicie, że nie siedzi między nami, i wiecie dlaczego.

— Wybaczcie, raz jeszcze proszę.. ale pan Towara.. jego skromność—wprowadził mię w przykre położenie—jeszcze raz proszę o przebaczenie —rospływał się pan prezes.

Towara patrzył nań surowo i pogardliwie się uśmiechał. Potem widać było, że chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką i nachylił się do Reginy.

Pan protektor i prezes zaczęli tymczasem mówić z panem Hruszką i budowniczym.

— U nas artystów sądzą po odzieniu i kieszeni—szepnął Towara do Jakubca.

— No, nie gniewajcie się, nie gniewajcie, ci ludzie nie mają do tego zmysłu! Gdzie znowu! Ale widzicie.. wyście też za bardzo skromni,—dodał pobłaźliwie, a zauwa-

żywszy, że Towarze wygasło cygaro, przytrzymał mu chętnie rozpaloną zapalną.

Towara zapalił je i prędko pociągnął. Był zły i nie ukrywał się z tem, a w końcu rozdrażnienie jego przeszło, w niepokój i smutek. Patrzył na stół, przy którym siedział Eda, i było mu bardzo przykro.

Tymczasem ściemniało całkiem. Różnobarwność latarni dosyć malowniczo wyglądała. Niecierpliwie oczekiwano sztucznych ogni, jako najciekawszej części programu.

W tej chwili wskazywali odległy stół, przy którym siedział Werunsky z Żywotem, dwaj młodzieńcy. Jeden w ogromnym, niedbale zgniecionym kapeluszu na głowie, o długich włosach, w jaskrawym krawacie, z resztką wirzynki w cienkich wargach, drugi o twarzy prawie kobiecej, kędzierzawy blondyn, o nieśmiałym, wstydliwym spojrzeniu. Słomiany kapelusz z szeroką niebieskawą wstążką leżał obok niego na stole.

— Patrz: tam jest Werunsky—mówił szeptem do kolegi.—Wiesz: twórca „Szczęścia.”

— Aha! Znam go już dawno z ulicy. Ale z kim on siedzi?

— Z Sikowskim.

— Kto to taki?

— Człowieku, ty nie znasz literatury! Czyż nie czytałeś poezyi Sikowskiego? Nie znasz jego nowelek: „Spód bębna,” „Różia z probostwa,” „W jubilerskim sklepie?” Nie znasz jego poematu „Miłością do szczytu?” Boże! wy malarze nic nie czytacie.

— Przepraszam. Ale to już dawno wyszło? co?

— Przed dziesięciu laty.

— A potem nic nie pisał?

— Nic. A taki talent! Ale nieszczęście, wiesz.. pije, upada, zabija się. Stracony.

— Tak, jak Werunsky. A wiesz, to genialny człowiek. Szczęście. Dodatek do Tyg. ilustr.

wiek — pomysły ma wspaniałe, jak mało kto — ale także stracony na zawsze!

— Wiesz, czemu to przypisują? — pytał po chwili młody poeta o nieśmiałym spojrzeniu, a dziewczyna jego twarz rozjaśniła się jakimś wewnętrznym szczęściem.

— No, czemu?

— Że nigdy prawdziwie nie kochali, że nie poznali tej miłości prawdziwej, unoszącej na szczyty, tej wielkiej, idealnej, chętnej do ofiar, wiesz... tej, jaką my kochamy!

A po wypowiedzeniu tych słów z pośpiechem i odwagą, zapatrzył się błyszczącymi oczyma w dal.

— Tak, gdyby Werunsky miał przy sobie istotę, jaką jest moja Wiktorya... — mówił przytłumionym głosem akademik malarz, a twarz jego rozjaśniła się szczęściem.

— Lub jak moja Julcia — wyrzekł poeta i zaraz zacytował: — W najniższej chacie dość miejsca dla dwojga kochanków.

Wtem rozległ się wystrzał z moździerza, zapowiadający początek sztucznych ogni.

Werunsky z Sikowskim nie zauważyli go nawet, tak byli zajęci rozmową.

— ... niech to wszystko będzie prawdą, niech to sobie był krok chybiony, ale tylko przy niej, tylko przy Bożenie, przy żadnej innej, mogło powstać me Szczęście. Ona dała pochop do niego — bronił się wytrwale rzeźbiarz.

Z sykiem wyleciała pierwsza rakieta w górę. Tam rozszczepiła się w pięć niebieskich i czerwonych kul, które jak lzy ogniste powoli spadały na dół.

Publiczność biła szalone oklaski. Orkiestra zaczęła grać

„Kde domov mój.”

Klaskanie przeszło w ogłuszającą wrzawę.

— Miłością do szczytu! — wołał natchniony, rozradowany młodziutki poeta, unosząc swą szklankę w górę.

— Do sławy!—dodał pewny siebie jego kolega i wypił do dna.

Sikowski spostrzegł ich w tej chwili i patrzył na nich z najzłośliwszym uśmiechem.

Ale i młodzieńcy zauważyli, że są obserwowani. Poeta trącił malarza i szepnął:

— Patrzę tutaj, obejrzyj się, teraz im się dobrze przyjrzesz.

Akademik ostrożnie się obejrzał, patrzył chwilę na Werunskiego i Sikowskiego, zwrócił się do kolegi i rzekł wzruszony:

— Biedacy...—poczem westchnął poważnie.

— To smutny koniec—potwierdził liryk i westchnął także, ale zaraz się uśmiechnął, wspomniawszy swą jasnowłosą Julcię, córkę niciarki, u której mieszka.

A akademikowi przeszedł przez myśl obraz jego szesnastoletniej Wiktorki, dziewczątka o miłuchnej twarzyczce, sieroty po niedawno zmarłym nauczycielu muzyki, którego nędzne mieszkanko mógł obserwować malarz ze swego pokoiku.

— Na pomyślność naszej miłości i ukochanych!—rzekł nagle wzruszony, ale uśmiechnięty.

— Naszych gwiazd nadziei!—dodał jasnowłosy młodzik.

Werunsky od swego stołu spoglądał na nich smutnie, wilgotnemi oczyma.

KONIEC.



24 -
46593/22966





Biblioteka UJK Kielce

UJK



0460230

25276

885